

## Spis rozdziałów

Rozdział pierwszy	
<b>25 XI 1970</b> .....	5
1. Piknik w środę po południu .....	7
Rozdział drugi	
<b>Lipiec 1978</b> .....	19
1.O szesnastu krokach .....	21
2.Jej zniknięcie. Zniknięcie zdjęć. Zniknięcie halki .....	29
Rozdział trzeci	
<b>Wrzesień 1978</b> .....	35
1.Członek wieloryba. Kobieta o trzech zawodach .....	37
2.O wyzwoleniu uszu .....	55
3.O wyzwoleniu uszu ciąg dalszy .	56
Rozdział czwarty	
<b>Przygoda z owcą (I)</b> .....	61
1.Dziwny mężczyzna. Wstęp .....	63
2.Dziwny mężczyzna .....	70
3.Szef .....	78
4.Liczenie owiec .....	83
5.Samochód i jego kierowca (1) .....	87
6.Czym jest wszechświat dżdżownicy?	91

Rozdział piąty	
<b>Listy od Szczura i ich echa</b> .....	99
1. Pierwszy list od Szczura .....	101
2. Drugi list od Szczura .....	107
3. Skończona pieśń .....	113
4. Ona pije Salty Dog i opowiada o dźwięku fal .....	126
Rozdział szósty	
<b>Przygoda z owcą (II)</b> .....	139
1. Dziwna opowieść dziwnego mężczyzny (1) ...	141
2. Dziwna opowieść dziwnego mężczyzny (2) ...	152
3. Samochód i jego kierowca (2) ....	168
4. Koniec lata i początek jesieni ....	173
5. 1/5000 .....	177
6. Piknik w niedzielne popołudnie ..	184
7. O mało pomysłowym, ale upartym myśleniu .....	193
8. Narodziny Szprota .....	201
Rozdział siódmy	
<b>Przygody w hotelu Pod Delfinem</b>	213
1. Przemieszczanie się zakończone kinem. Hotel Pod Delfinem .....	215
2. Owczy Profesor wchodzi na scenę	229
3. Owczy Profesor dużo je i dużo mówi	244
4. Pożegnanie z hotelem Pod Delfinem	264

Rozdział ósmy		
<b>Przygoda z owcą (JH)</b> .....	269	
1.Narodziny, rozkwit i upadek Dwunastu Wodospadów .....	271	
2.Dalszy upadek Dwunastu Wodospadów i owce .....	285	
3.Noc w Dwunastu Wodospadach		307
4.Mijamy pechowy zakręt .....	310	
5.Dziewczyna odchodzi z gór. Uczucie strasznego głodu .....	337	
6.O tym, co znalazłem w garażu i o czym myślałem na łące .....	341	
7.Nadchodzi Człowiek-Owca .....	345	
8.Niezwykły wiatr .....	356	
9.Rzeczy, które odbijają się w lustrze, i rzeczy, które nie odbijają się w lustrze .	372	
10.1 tak mija czas .....	381	
11.Mieszkańcy ciemności .....	383	
12.Szczur nakręca zegar .....	389	
13.Zielone i czerwone przewody. Zamarznięta mewa .....	398	
14.Po raz drugi na pechowym zakręcie		400
15.Przyjęcie o dwunastej w południe		403
Epilog .....	407	

Rozdział  
pierwszy  
25 XI 1970

## 1. Piknik w srodę po południu

O jej śmierci powiedział mi przyjaciel, który przypadkowo przeczytał o tym w gazecie. Krótka wzmianka w porannym wydaniu. Przeczytał ją powoli przez telefon. Zwyczajna notatka, jakby napisał ją dla wprawy początkujący dziennikarz świeżo po studiach.

Któregoś tam na jakimś tam rogu ktoś potrafił kogoś ciężarówką. Trwa śledztwo, gdyż istnieje podejrzenie, że była to wina kierowcy.

Brzmiało to trochę jak jeden z tych krótkich wierszy, które drukuje się czasem na okładce pisma.

- Gdzie będzie pogrzeb? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Czy ona w ogóle miała jakąś rodzinę?

Okazało się, że nawet ona miała jakąś rodzinę. Tego samego dnia zadzwoniłem na policję, poprosiłem o adres i numer telefonu jej rodziców, a potem zadzwoniłem do nich i zapytałem o datę pogrzebu. Tak jak ktoś kiedyś powiedział: gdy człowiekowi nie szkoda czasu, to prawie wszystkiego może się dowiedzieć.

Jej rodzice mieszkali w najstarszej dzielnicy Tokio. Otworzyłem plan miasta i zakreśliłem okolice ich domu czerwonym długopisem. Był to jeden z najbardziej typowych zakątków dawnego Tokio. Linie kolejki, metra i trasy autobusów przeplatały się tam jak fragmenty

jakiejś nieregularnej pajęczyny, a liczne kanały i uliczki tworzyły istny labirynt.

W dniu pogrzebu wsiałem do tramwaju w Waseda, a wysiałem dopiero gdzieś niedaleko pętli. Rozłozylem plan, ale w tej okolicy moglbym rownie dobrze posluzyc sie globusem. Zanim w koncu dotarlem do jej domu, musiałem kilka razy kupic papierosy, pytając o droge.

Dom byl stary, drewniany, otoczony plotem z brązowych desek. Za bramą po lewej mały zaniedbany ogródek, na tyle jednak duży, że można by go jakoś wykorzystać.

W rogu porzucony nieprzydatny już ceramiczny piecyk, w którym zebralo sie z piętnaście centymetrów deszczówki. Ziemia w ogrodzie była czarna i bardzo wilgotna.

Moze dlatego, że wyprowadzila sie z domu, mając szesnaście lat, pogrzeb byl cichy, tylko dla rodziny.

Większość żałobników stanowili krewni w podeszłym wieku. Ceremonię prowadził jej trzydziestoparoletni brat, a zresztą moze to byl szwagier.

Ojciec, drobny mężczyzna po pięćdziesiątce, byl ubrany w czarny garnitur z żałobną opaską na rękawie. Stał przy bramie, prawie sie nie poruszając. Skojarzył mi sie z asfaltową drogą zaraz po deszczu.

Wychodząc, uklonilem mu sie w milczeniu, on odpowiedział tym samym.

Poznałem ją jesienią sześćdziesiątego dziewiątego roku.

Miałem wtedy dwadzieścia, a ona siedemnaście lat. Nie-

daleko uniwersytetu znajdowała się mała kawiarnia, w której często umawiałem się ze znajomymi. Nie była to zbyt dobra kawiarnia, ale można się tam było napić wyjątkowo niesmacznej kawy i posłuchać hard rocka.

Zawsze siadała w tym samym miejscu i oparłszy łokcie na stoliku, zatapiała się w lekturze. Nosila okulary przywodzące na myśl aparat do prostowania zgryzu i miała kościste dłonie, ale było w niej coś atrakcyjnego. Zawsze siedziała nad zimną kawą i popielniczką pełną niedopałków. Tylko tytuły książek się zmieniały. Czasami był to Mickey Spillane, czasami Oe Kenzaburo, a czasami zbiór wierszy Ginsberga. To znaczy, że wszystko jej było jedno, co czytała, byle tylko czytać. Studenci przychodzący do kawiarni pożyczali jej książki, a ona czytała je od początku do końca, tak jakby metodycznie obgryzała kolbę kukurydzy. W tamtych czasach ludzie chętnie pożyczali sobie książki, więc książek nigdy jej chyba nie brakowało.

To były też czasy The Doors, The Rolling Stones, Deep Purple i The Moody Blues. W powietrzu było coś wibrującego, wydawało się, że wystarczy jeden mały ruch, a prawie wszystko wokół się rozleci.

Żyliśmy wszyscy z dnia na dzień, pijąc tanią whisky, uprawiając nudny seks, wiodąc nieprowadzące do niczego rozmowy i pożyczając sobie nawzajem książki. I tak te niewydarzone lata sześćdziesiąte próbowały dobiec końca i opuścić ze zgrzytem kurtynę.

Zapomniałem, jak miała na imię.

Mógłbym wyciągnąć ten wycinek z gazety i przypomnieć sobie, ale wydaje mi się, że teraz to już nie ma znaczenia. Zapomniałem, jak miała na imię. To wszystko.

Gdy spotykam się ze znajomymi, czasem przy okazji jakiejś rozmowy ktoś ją wspomina. Oni też nie pamiętają jej imienia. Pamiętacie, była taka dziewczyna, która z każdym szła do łóżka. Jakże ona się nazywała? Zupełnie zapomniałem. Ja też z nią parę razy spałem. Ciekawe, co ona teraz robi. Pewnie głupio by mi było, gdybym spotkał ją przypadkiem na ulicy.

... Dawno temu była dziewczyna, która z każdym szła do łóżka.

Takie teraz jest jej imię.

Oczywiście nie szła do łóżka z każdym spotkanym facetem. Miała na pewno jakieś swoje kryteria.

Ale nawet zakładając, że tak było, faktem jest, że spała prawie ze wszystkimi.

Kiedyś z czystej ciekawości spytałem ją o te kryteria.

- Hm... - zamyśliła się na pół minuty. -

Oczywiście, że nie wszystko jedno z kim. Przecież zdarza się, że ktoś mi się nie podoba. Ale ja chyba po prostu chcę poznać różnych ludzi. Albo sposób, w jaki świat jest urządzony.

- Idąc do łóżka z różnymi facetami?

- Tak.

Teraz ja z kolei się zamyśliłem.



- No i... udało ci się trochę poznać?
- Trochę tak.

Od zimy sześćdziesiątego dziewiątego do  
lata roku  
siedemdziesiątego prawie jej nie widywałem.  
Uniwersytet  
był kilka razy okupowany przez studentów  
albo zamykany, a ja, jak to ja, miałem  
własne prywatne kłopoty.

Kiedy jesienią siedemdziesiątego roku znów  
poszedłem  
do tej kawiarni, znalazłem tam już zupełnie  
inne twarze  
- jedyna znajoma była jej. Jak przedtem z  
głośników dobiegał hard rock, lecz powietrze  
utraciło dawne wibracje.  
Tylko ona i niesmaczna kawa były takie  
same jak przed rokiem.

Usiadłem naprzeciw niej i popijając kawę,  
zaczęliśmy rozmawiać o dawnych  
znajomych. Wielu z nich zrezygnowało ze  
studiów. Jeden popełnił samobójstwo, drugi  
zniknął bez śladu. Tak sobie zwyczajnie  
rozmawialiśmy.

- Co robiłeś przez ten rok? - zapytała.
- Różne rzeczy - odpowiedziałem.
- Dużo się nauczyłeś?
- Trochę.

Tej nocy spałem z nią po raz pierwszy.

O jej przeszłości nie wiem prawie nic.  
Czasami mam  
wrażenie, że ktoś mi o tym opowiadał, a  
może to  
ona sama coś wspomniała, kiedy poszliśmy  
do łóżka.

W pierwszej klasie szkoły średniej strasznie pokłóciła się z ojcem i odeszła z domu (a jednocześnie ze szkoły). Jakaś taka historia. Nikt z nas nie wiedział, gdzie właściwie mieszkała i z czego żyła.

Siedziała cały dzień w tej rockowej kawiarni, piła niezliczone kawy, paliła jednego papierosa za drugim i przewracając kartki książki, czekała na kogoś, kto zapłaci za kawę i papierosy (wtedy nie były to dla nas duże pieniądze). A potem zwykle szła do łóżka z tą osobą.

To wszystko, co o niej wiem.

Od tamtej jesieni do wiosny następnego roku przychodziła raz w tygodniu, we wtorkowe wieczory, do mojego mieszkania w Mitaka. Jadła przygotowaną przeze mnie prostą kolację, wypełniała popielniczkę niedopałkami i kochała się ze mną, słuchając Far East Network\*.

W środę rano budziliśmy się i szliśmy na spacer po lesie aż na teren ICU", gdzie w stołówce zjadaliśmy obiad. Po południu wypijaliśmy w holu słabą kawę, a jeśli pogoda była ładna, to leżeliśmy na trawniku i patrzyliśmy w niebo.

Nazywała to środowym piknikiem.

- Zawsze, kiedy tu przychodzimy, wydaje mi się, że jestem na prawdziwym pikniku.

- Na prawdziwym pikniku?

- Tak. Tu jest otwarta przestrzeń, trawniki ciągną się kilometrami, ludzie wyglądają na szczęśliwych...

---

' Rozgłośnia radiowa dla żołnierzy amerykańskich stagonujących w Japonii

' ICU - Międzynarodowy Uniwersytet Chrześcijański (International Christian University)



Usiadła na trawie i zapaliła papierosa,  
marnując przy  
tym kilka zapalek.

- Słońce wschodzi i zachodzi. Ludzie  
przychodzą  
i odchodzą. Czas płynie. Nie wydaje ci się, że  
jest jak na  
pikniku?

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat i za  
parę tygodni  
kończyłem dwadzieścia dwa. Nie zapowiadało  
się, że szybko  
skończę studia, a nie miałem też specjalnego  
powodu, by ze  
studiów rezygnować. I tak żyłem przez parę  
miesięcy w tym  
dziwnym pogmatwanym stanie  
rozczerowania, nie mogąc  
zrobić kroku w żadnym nowym kierunku.

Świat posuwał się naprzód i zdawało się,  
że tylko ja  
tkwię w miejscu. Jednak jesienią  
siedemdziesiątego roku  
świat przybrał jakiś smutny wygląd i zaczął  
szybko tracić  
barwy. Blask słońca, zapach trawy, nawet  
cichy dźwięk  
deszczu zaczęły mnie denerwować.

Wiele razy śnił mi się nocny pociąg.  
Milczący, za-  
tłoczony nocny pociąg wypełniony dymem  
papierosowym  
i zapachem toalety. Tak zatłoczony, że nie  
ma gdzie nogi  
postawić, a do siedzenia przyklejone są  
wyschnięte  
wymiociny. Nie mogąc tego znieść, wstaję i  
wysiadam na  
jakiejś stacji. Jest to dzika okolica i nigdzie  
nie widać  
świateł domów. Na stacji nie ma nawet  
żadnych koleja-  
rzy. Nie ma zegara ani rozkładu jazdy, nic.  
Zawsze  
dokładnie taki sam sen.

Wydaje mi się, że w tym okresie kilka razy  
byłem dla  
niej niemiły. Nie mogę już sobie dokładnie

przypomnieć,

o co chodziło. Może chciałem być niemiły sam dla siebie.

W każdym razie wyglądało na to, że wcale się tym nie przejmowała. A może wręcz sprawiała jej to przyjemność.

Nie wiem dlaczego. Ona chyba nie łagodności we mnie szukała. Nawet teraz ciągle jeszcze mnie to dziwi. Popadam w smutny nastrój, jakbym nagle dotknął niewidzialnej, unoszącej się w powietrzu ściany.

Nawet teraz dokładnie pamiętam to dziwne popołudnie dwudziestego piątego listopada siedemdziesiątego roku. Liście miłorzębów strącone przez silny deszcz pokrywały leśną ścieżkę, czyniąc ją podobną do żółtego wyschniętego koryta rzeczki. Spacerowaliśmy tą ścieżką z rękami w kieszeniach płaszczy. Słyszeć było tylko szelest deptanych przez nas liści i głośny śpiew ptaków.

- Nad czym tak rozmyślasz? - spytała nagle.

- To nic ważnego - powiedziałem.

Wysunęła się naprzód, usiadła na poboczu ścieżki i zapaliła papierosa. Siadłem obok niej.

- Zawsze masz złe sny?

- Często mam złe sny. Zazwyczaj o tym, że automat nie wydaje mi reszty.

Zaśmiała się i dotknęła mojego kolana.

- Chyba nie chcesz o tym mówić.

- Chyba nie wiem, jak o tym opowiedzieć - rzuciła na ziemię w połowie wypalonego papierosa i dokładnie zgmiotła go tenisówką.

- Zwykle trudno opowiedzieć o tym, o czym naprawdę chce się opowiedzieć. Nie uważasz?

- Nie wiem - powiedziałem.

Dwa ptaki zerwały się z szumem do lotu i zniknęły na bezchmurnym niebie, tak jakby się w nim rozplynęły.

Przez pewien czas w milczeniu wpatrywaliśmy się w miejsce, w którym zniknęły. Potem ona wzięła gałązkę i zaczęła rysować na ziemi niezrozumiałe kształty.

- Jak śpię z tobą, to czasem robi mi się bardzo smutno.

- Przykro mi - powiedziałem.

- To nie twoja wina. I to też nie dlatego, że trzymając mnie w ramionach, myślisz o innej dziewczynie. To mi nie przeszkadza. Ja... - Przerwała nagle i narysowała na ziemi trzy równoległe linie. - A zresztą sama nie wiem.

- Nie staram się zamykać przed tobą - powiedziałem po chwili. - Sam jeszcze dobrze nie wiem, co się stało.

Staram się obiektywnie zrozumieć różne rzeczy. Nie chcę niczego niepotrzebnie wyolbrzymić ani uczynić niepotrzebnie realnym. Ale na to trzeba czasu.

- Ile czasu?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem. Może rok, a może dziesięć lat.

Rzuciła gałązkę na ziemię, wstała i zdjęła z płaszcza źdźbło suchej trawy.

- Nie wydaje ci się, że dziesięć lat to prawie wieczność?

- Tak - powiedziałem.





Wyszliśmy z lasu, dotarliśmy aż na uniwersytet i tak jak zwykle usiedliśmy w holu, jedząc hot dogi. Była druga po południu i w telewizji bez przerwy pokazywali Yukio Mishirnę\*. Dźwięk był uszkodzony i prawie nic nie było słyhać, ale nam i tak było to obojętne. Skończyliśmy hot dogi i wypiliśmy po kawie. Jakiś student wszedł na krzesło i kręcił gałką dźwięku, ale po chwili zrezygnował, zszedł i gdzieś zniknął.

- Pragnę cię - powiedziałem.
- Dobrze - odrzekła i uśmiechnęła się.

Z rękami w kieszeniach powoli ruszyliśmy w stronę mieszkania.

Gdy się obudziłem, cicho płakała. Wątle ramiona drżały pod kocem. Włączyłem piecyk i spojrzałem na zegarek. Druga nad ranem. Pośrodku nieba unosił się biały księżyc. Poczekalem, aż przestanie płakać, potem wstałem, zagotowałem wodę i zaparzyłem herbatę z torebek. Wypiliśmy ją razem. Bez cukru, cytryny ani mleka, zwykłą gorącą herbatę. Potem zapaliłem dwa papierosy i podałem jej jednego. Trzy razy zaciągnęła się i wypuściła dym, potem zakaszła.

- Czy chciałeś kiedyś mnie zabić? - zapytała.
- Ciebie?
- Tak.
- Dlaczego pytasz o coś takiego?

---

\* Yukio Mishima - znany pisarz japoński 25 XI 1970 r popełnił rytualne samobójstwo po nieudanym zamachu stanu

Z papierosem w ustach potarła palcem  
powiekę.

- Tak sobie pytam, bez powodu.
- Nigdy - odpowiedziałem.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Dlaczego miałbym cię zabić?
- Masz rację - przytaknęła znudzona. -

Tylko tak

nagle pomyślałam, że nie byłoby źle, gdyby  
mnie ktoś

zabił. Podczas głębokiego snu.

- Ja nie mam morderczych skłonności.
- Nie?
- Chyba nie.

Roześmiała się, zgasiła papierosa w  
popielniczce,

dopiła herbatę i zapaliła nowego.

- Dożyję dwudziestu pięciu lat -  
powiedziała. - A po-  
tem umrę.

Umarła w lipcu siedemdziesiątego ósmego  
roku, mając  
dwadzieścia sześć lat.

Rozdział  
drugi  
Lipiec  
1978



## 1. O szesnastu krokach

Słyszac za plecami szysz..., upewniam się,  
ze drzwi od  
windy się zamknęły i powoli zamykam oczy.  
Następnie  
zbieram rozsypane fragmenty świadomości i  
przechodzę  
korytarzem szesnaście kroków do drzwi  
mieszkania.  
Szesnaście kroków z zamkniętymi oczami,  
ni mniej, ni  
więcej. Z powodu whisky w głowie mam  
mglisty zamęt,  
jakby obluzowały się w niej stare, wyrobione  
śruby, usta  
wypełnia smak smoły z papierosów.

Ale nawet gdy jestem bardzo pijany,  
potrafię przejść  
tych szesnaście kroków z zamkniętymi  
oczami równiutko  
jak po sznurku. Jest to rezultat wielu lat  
bezsensownego  
ćwiczenia. Zawsze gdy wracam pijany,  
prostuję plecy,  
podnoszę głowę, wciągam w płuca ranne  
powietrze  
i zapach betonowej podłogi korytarza. Potem  
zamykam  
oczy i idę szesnaście kroków we mgle  
whisky.

W tym świecie szesnastu kroków  
posiadam tytuł  
„najlepiej wychowanego pijaka”. To proste.  
Trzeba tylko  
zaakceptować fakt bycia pijanym.

Nie ma wtedy żadnych „ale”, „jednak”,  
„wszakże”  
i „przecież”.

I tak staję się najlepiej wychowanym  
pijakiem. Naj-  
wcześniej wstającym szpakiem i wagonem  
towarowym  
przejeżdżającym jako ostatni przez most  
kolejowy.

Pięć, sześć, siedem...



Przy ósmym kroku zatrzymuję się,  
otwieram oczy  
i oddycham głęboko. Lekko zadzwoniło mi  
w uchu. Tak  
jakby wiatr nadmorski poruszył zardzewiały  
plot z metalo-  
wej siatki. A właściwie już dawno nie byłem  
nad morzem.

Dwudziesty czwarty lipca,, szósta  
trzydzieści rano.  
Najlepsza pora roku i najlepsza pora dnia  
do patrzenia  
na morze. Jeszcze ludzie nie zdążyli  
zaśmiecić plaży.  
Ślady ptaków na piasku wyglądają jak igły  
sosnowe  
stracone przez wiatr.

Morze?

Znowu zaczynam iść. Lepiej zapomnieć  
o morzu.

Takie rzeczy dawno już zniknęły.

Kiedy po szesnastu krokach otwieram oczy,  
znajduję się  
jak zawsze dokładnie naprzeciwko swojej  
klamki. Wyjmu-  
ję ze skrzynki gazety z dwóch dni, dwie  
koperty i wkładam  
to wszystko pod pachę. Potem wyjmuję klucze  
z przypomi-  
nającej przepaść kieszeni i na chwilę  
przykładam czoło do  
zimnych metalowych drzwi. Gdzieś za uszami  
słyszę cichy  
dźwięk. Alkohol wsiąka w moje ciało jak w  
bawełnę. Tylko  
świadomość mam stosunkowo jasną.

No, no.

Uchylam drzwi tylko na jedną trzecią,  
wślizguję się do  
środka i zamykam. W przedpokoju jest  
cicho.

I wtedy zauważam czerwone damskie  
pantofle. Znam te  
czerwone pantofle. Pomiędzy zabłoconymi  
tenisówkami  
i tanimi sandałami wyglądają jak jakiś  
gwiazdkowy prezent  
nie w porę. Nad nimi, jak drobny kurz,  
unosi się cisza.





Siedziała z głową na stole kuchennym.  
Pod głowę  
podłożyła ręce. Proste, czarne włosy  
zasłaniały twarz.  
Między włosami prześwitywała biała  
nieopalona szyja.  
Miała na sobie wzorzystą sukienkę, której  
nie pamiętałem. Widać było kawałek  
wąskiego ramiączka  
stanika.

Zdjąłem marynarkę, czarny krawat i  
zegarek. Ona  
nawet nie drgnęła. Patrząc na jej plecy,  
zacząłem myśleć  
o przeszłości. O czasach, zanim ją  
pознаłem.

- Cześć - powiedziałem, ale nie zabrzmiało  
to jak mój  
głos, tylko jak jakiś głos, który przybył z  
bardzo daleka.  
Tak jak się spodziewałem, odpowiedzi nie  
było.

Wyglądała, jakby spała, płakała albo nie  
żyła.

Usiadłem po drugiej stronie stołu i  
przycisnąłem  
palcami powieki. Jasne światło słońca  
podzieliło stół na  
części. Ja byłem w świetle, ona w lekkim  
cieniu. Cień nie  
miał koloru. Na stole stała doniczka z  
uschniętą pelargonią. Ktoś za oknem polewał  
ulicę wodą. Było słycać  
plusk wody wylewanej na asfaltową ulicę i  
czuło się zapach asfaltowej ulicy polewanej  
wodą.

- Napijesz się kawy?

Milczenie. Upewniwszy się, że nie będzie  
odpowiedzi,  
wstałem, zmieliłem kawę na dwie filiżanki i  
nastawiłem  
radio. Po zmieleniu kawy uświadomiłem  
sobie, że właściwie miałem ochotę na  
herbatę z lodem. Zawsze decyduję się za  
późno.

W radiu nadawali odpowiednie na rano,  
nieškodliwe, popularne piosenki, jedną za  
drugą. Słuchając ich,



pomyślałem, że przez tych dziesięć lat świat się wcale nie zmienił. Tylko nazwiska piosenkarzy i tytuły piosenek są inne. No i ja jestem o dziesięć lat starszy.

Upewniwszy się, że woda w czajniku zawrzała, wyłączyłem gaz i odczekawszy trzydzieści sekund, zalałem wodą zmieloną kawę. Kawa wchłonęła tyle wody, ile mogła, zaczęła powoli pęcznieć i po kuchni rozszedł się ciepły zapach. Na zewnątrz grało już kilka cykad.

- Jesteś tu od wczoraj? - spytałem z czajnikiem w ręce. Włosy na stole lekko się poruszyły, jakby przytakując. - Długo czekałaś.

Nie odpowiedziała.

Z powodu pary unoszącej się z czajnika i silnego słońca w pokoju zaczynało być duszno. Zamknąłem okno nad zlewem, włączyłem klimatyzację i postawiłem na stole dwie filiżanki.

- Wypij - powiedziałem. Mój głos stawał się powoli podobny do siebie.

- Powinnaś wypić.

Po długich trzydziestu sekundach starannie przemysłanym ruchem podniosła głowę ze stołu i zaczęła się obojętnie przyglądać doniczce z uschniętą pelargonią. Kilka włosów przylgnęło do mokrego policzka. Otaczała ją lekka aura wilgotności.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Nie miałam wcale zamiaru płakać.

Podałem jej pudełko z papierowymi chusteczkami.

Wzięła jedną, bezgłośnie wytarła nos i niecierpliwie odgarnęła włosy z policzka.

- Miałam zamiar wyjść, zanim wrócisz.

Nie chciałam się z tobą spotkać.

- Ale zmieniłaś zdanie.

- Nie, tylko nie chciało mi się już nigdzie iść... Ale już idę, nie martw się.

- W każdym razie napij się kawy.

Piłem kawę, słuchając wiadomości drogowych i za

pomocą nożyczek otworzyłem dwa listy. Jeden był

zawiadomieniem ze sklepu meblowego, że jeśli do jakiejś

tam daty kupię meble, to dostanę dwadzieścia procent

zniżki. Drugi okazał się listem, którego nawet nie

chciało mi się czytać, od osoby, której nie chciałem

znać. Zwinąłem oba listy w kulkę, wyrzuciłem do

śmieci i zacząłem jeść resztki krakersów z serem. Ona

trzymała filiżankę w obu dłoniach, jakby próbując się

rozgrzać, i lekko przytknąwszy do niej wargi, wpatrywała

się we mnie.

- W lodówce jest sałatka.

- Sałatka? - podniosłem głowę i spojrzałem na nią.

- Z pomidorów i fasoli. Nie było nic innego. Ogórki zgniły, więc je wyrzuciłam.

- Uhm.

Wyjąłem z lodówki niebieską szklaną salaterkę z Oki-

nawy i wylałem na sałatkę pół centymetra sosu, który

jeszcze został w butelce. Pomidory i fasola były zimne jak



lód. Nie miały żadnego smaku. Krakersy i kawa też były bez smaku. To pewnie z powodu tego porannego światła, które rozkłada wszystko na czynniki pierwsze. Zrezygnowa-  
łem z kawy w połowie, wyciągnąłem z kieszeni zgniecione papierosy i zapaliłem jednego zapalkami z nadrukiem jakiejś restauracji, która z niczym mi się nie kojarzyła. Czubek papierosa zasyczał. Potem fioletowy dym zaczął rysować geometryczne wzory w porannym świetle.  
- Ryłem na nogr/ebie. Potem poszedłem do baru w Shinjuku\* i piłem. Kot pojawił się nagle, ziewnął szeroko i szybko wskoczył jej na kolana Podrapała go za uchem  
- Nie musisz się tłumaczyć — powiedziała. — To już mnie nie dotyczy.  
- Nie tłumaczę się. Rozmawiam.  
Lekko wzruszyła ramionami i wsunęła ramiączko stanika pod sukienkę. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu. Przypominała mi oglądane kiedyś zdjęcie miasta zatopionego na dnie morza.  
- Ktoś znajomy z dawnych czasów. Nie znałaś.  
- Tak?  
Kot przeciągnął się na jej kolanach i ze świstem wypuścił powietrze.  
W niilczeniu wpaUywałem się w koniec papieiosa.  
- Dlaczego umarł?

---

Shiryiiku - tokijska dzielnica handlnwo-  
rozrywkowa

- Wypadek samochodowy. Aż trzynaście złamanych kości.

- Kobieta?

- Tak.

O siódmej skończyły się wiadomości i informacje dla kierowców i znowu zaczęto nadawać lekką muzykę rockową. Odstawiła filiżankę na spodek i spojrzała na mnie

- Czy kiedy ja umrę, też będziesz tak pił?

- Piłem nie z powodu pogrzebu. Tylko pierwszy kieliszek albo dwa były z powodu pogrzebu.

Na dworze zaczynał się nowy dzień. Nowy, gorący dzień. Z okna nad zlewem widać było wieżowce. Lśniły bardziej niż zwykle

- Napijesz się czegoś zimnego?

Pokręciła głową.

Wyjąłem z lodówki dobrze schłodzoną colę i wypilem prosto z puszki

- Ona z każdym szła do łóżka -

powiedziałem. Zupełnie jak nekrolog. Nieboszczka z każdym szła do łóżka

- Dlaczego mi o tym mówisz? - spytała.

Sam nie wiedziałem dlaczego.

- W każdym razie to była dziewczyna, która z każdym szła do łóżka, tak?

- Tak.

- No ale 7 fnha hvln inar7ei?

- ~— -- c ~i~ j

W jej głosie brzmiał jakiś szczególny ton. Podniosłem głowę znad salaterki z sałatką i spojrzałem na nią poprzez uschniętą pelargonię.

- Tak sądzisz?  
- Tak mi się jakoś wydaje - powiedziała cicho. - Ty już taki jesteś.  
- Taki?  
- Jest w tobie coś takiego jak w klepsydrze. Kiedy piasek się przesypie, zawsze ktoś przyjdzie i odwróci.  
- Może i masz rację.  
Jej wargi rozchyliły się lekko i znów złączyły.  
- Przyszłam po resztę rzeczy. Płaszcz zimowy, czapki i tak dalej. Zapakowałam wszystko w kartonowe pudła.  
Czy mógłbyś to wysłać, jak będziesz miał wolną chwilę?  
- Mogę ci to dostarczyć do domu.  
W milczeniu pokręciła głową. - Nie trzeba. Nie chcę, żebyś przychodził. Rozumiesz, prawda?  
Miała rację. Często mówię niepotrzebne rzeczy.  
- Znasz adres, prawda?  
- Znam.  
- To wszystko. Przepraszam, że się zasiedziałam.  
- Wystarczą ci tamte dokumenty?  
- Tak, już wszystko załatwione.  
- Bardzo to było proste. Myślałem, że będzie dużo więcej załatwiania.  
- Każdy, kto nigdy tego nie robił, tak myśli, a tymczasem to jest naprawdę proste. Jak już wszystko się skończy. - Mówiąc to, jeszcze raz podrapała kota. - Jak się człowiek dwa razy rozwiedzie, to już jest fachowcem.  
Kot zamknął oczy, wyciągnął grzbiet i ułożył się z głową w zgięciu jej łokcia. Włożyłem filiżanki po kawie



i salaterkę po sałatce do zlewu i zebrałem okruszki po krakersach w jedno miejsce, używając jakiegoś rachunku.

Oczy bolały mnie od blasku słońca.

- Inne rzeczy wypisałam szczegółowo na kartce na twoim biurku. Gdzie są różne papiery, w które dni wywożą śmieci i tak dalej. Jeśli nie będziesz czegoś wiedział, to zadzwoń.

- Dziękuję.

- Chciałeś mieć dziecko?

- Nie - powiedziałem. - Wcale nie chcę dziecka.

- Ja się bardzo wahałam. No ale skoro tak się miało skończyć, to dobrze się stało. A może gdybyśmy mieli dziecko, tak by się nie skończyło, jak myślisz?

- Dużo małżeństw rozwodzi się, mimo że mają dzieci.

- To prawda - powiedziała i przez chwilę bawiła się moją zapalniczką. - Jeszcze ciągle cię kocham. Ale to pewno nie ma znaczenia. Sama już dobrze to rozumiem.

## 2. Jej zniknięcie. Zniknięcie zdjęć. Zniknięcie halki

P° J°J wyjsciu wypilem jeszcze jedna colę, wziąłem gorący prysznic i ogoliłem się. Mydło, szampon, krem do golenia - wszystko się kończyło.

Wyszedłem spod prysznic, uczesałem się, natarłem twarz balsamem i wyczyściłem uszy. Poszedłem do kuchni i podgrzałem resztkę kawy. Po drugiej stronie



stołu już nikogo nie było. Kiedy tak  
siedziałem i patrzyłem  
na puste krzesło, poczułem się jak małe  
dziecko z obrazów  
Giorgio de Chirico, pozostawione w  
nieznanym mieście.  
No ale nie byłem już małym dzieckiem.  
Powoli, nie  
myśląc o niczym, piłem kawę, potem  
siedziałem chwilę  
bez ruchu i zapaliłem papierosa.

Zważywszy, że nie spałem od dwudziestu  
czterech  
godzin, o dziwo, wcale nie byłem śpiący.  
Moje ciało było  
jakieś bezwładne, tylko umysł pływał bez  
celu po skom-  
plikowanym torze świadomości, jak  
oswojone wodne  
zwierzę.

Kiedy tak wpatrywałem się w to puste  
krzesło, przy-  
pomniałem sobie amerykańską powieść,  
którą kiedyś  
czytałem. Mąż opuszczony przez żonę przez  
wiele miesięcy  
trzymał na jej krześle w jadalni halkę. Im  
dłużej o tym  
myślałem, tym lepszy wydawał mi się ten  
pomysł. Do  
niczego to się nie przyda, ale lepsze jest  
od doniczki  
z uschniętą pelargonią. Może jak by tu było  
coś należą-  
cego do niej, to i kot trochę by się uspokoił.

Otworzyłem po kolei jej szuflady w  
sypialni, lecz  
wszystkie były puste. Pogryziony przez mole  
szalik, trzy  
wieszaki i paczka naftaliny. Tylko to zostało.  
Zabrała  
dosłownie wszystko. Porozrzucane w łazience  
kosmetyki,  
wałki do włosów, szczoteczka do zębów,  
suszarka, prze-  
różne specyfiki, podpaski, buty - od długich  
botków po  
sandały i kapcie - pudełko na kapelusze,  
biżuteria, której

miała całą szufladę, torebki, torby, walizki,  
portmonetki,  
zawsze porządnie poukładana bielizna,  
skarpetki, listy;

**30**

nie zostało nic, co miało jej zapach. Wydało mi się, że nawet starła odciski swoich palców. Nie było półki z książkami i zniknęła jedna trzecia płyt. Były to płyty i książki, które albo sama kupiła, albo dostała ode mnie.

Kiedy otworzyłem albumy, okazało się, że zniknęły wszystkie zdjęcia, na których była ona. Ze zdjęć, na których byliśmy razem, wycięła siebie i zostawiła mnie. Te, na których byłem tylko ja, widoki albo zwierzęta, pozostały nienaruszone. W albumach znajdowała się doskonale poprawiona przeszłość. Wszędzie byłem sam, a tylko gdzieś- niegdzie zdjęcia gór, rzek, jeleni i kota. Urodziłem się sam, potem ciągle byłem sam i dalej też będę sam. Zamknąłem albumy i wypaliłem dwa papierosy.

Pomyślałem, że mogła mi zostawić przynajmniej jedną halkę, no ale oczywiście to zależało od niej i ja tu nie miałem nic do powiedzenia. Postanowiła nic nie zostawiać i muszę się z tym pogodzić. Albo, tak jak proponowała, zacząć myśleć, że jej w ogóle nigdy nie było. No a skoro jej nie było, to nie może być i halki.

Włożyłem popielniczkę do wody, wyłączyłem klimatyzację i radio, jeszcze raz pomyślałem o jej halce, a potem poddałem się i położyłem spać.

Minął już miesiąc od czasu, kiedy zgodziłem się na rozwód i ona wyprowadziła się z mieszkania. Ten miesiąc nie miał żadnego znaczenia. Był bezkształtny jak ciepła galareta. Wydawało mi się, że nic przez ten

miesiąc się  
nie zdarzyło i naprawdę tak było.

Wstawałem o siódmej, parzyłem kawę,  
robiłem grzan-  
ki, szedłem do pracy, jadłem w restauracji,  
wypijałem  
dwa czy trzy kieliszki, wracałem do domu,  
mniej więcej  
przez godzinę czytałem w łóżku, gasiłem  
światło i zasy-  
piałem. W soboty i niedziele zamiast iść do  
pracy za-  
bijałem od rana czas w kinie, oglądając po  
kilka filmów.  
Potem jak zwykle sam jadłem kolację,  
piłem, czytałem  
i zasypiałem. I w ten sposób przeżyłem  
miesiąc, tak jak  
niektórzy dzień po dniu zamalowują na  
czarno daty  
w kalendarzu.

Wydało mi się, że w pewnym sensie nie  
było rady na  
to, że odeszła. Co się stało, to się nie  
odstanie. I to, jak  
dobrze było nam ze sobą przez te cztery lata,  
nie miało  
już znaczenia. Tak jak zdjęcia z tego  
ogłoconego albumu.

Również i to, że przez długi czas  
regularnie sypiała  
z moim przyjacielem i pewnego dnia  
wprowadziła się do  
niego, nie miało już znaczenia. Takie rzeczy  
mogą się  
zdarzyć i naprawdę się zdarzają. Dlatego nie  
uważałem,  
że w naszym wypadku było to jakieś  
wyjątkowe wyda-  
rzenie. W końcu to zależało tylko od niej.

- W końcu to zależy tylko od ciebie -  
powiedziałem.  
Było to niedzielne popołudnie w czerwcu,  
gdy powie-  
działa, że chce rozwodu, a ja siedziałem,  
kręcąc na palcu  
kółeczko od puszki piwa.

- To znaczy, że ci wszystko jedno? -  
zapytała. Powie-  
działa to bardzo powoli.

- Nie jest mi wszystko jedno -

odrzekłem. - Mówię  
tylko, że to zależy od ciebie.

**32**



- Prawdę mówiąc, nie chcę od ciebie  
odchodzić

- powiedziała po chwili.

- To nie odchodź.

- Ale z tobą do niczego nie dojdę.

Nic więcej nie powiedziała, lecz wydaje  
mi się, że

wiem, o co jej chodziło. Za kilka miesięcy  
skończę

trzydzieści lat. Ona skończy dwadzieścia  
sześć. I w porów-

naniu z ogromem tego, co było jeszcze przed  
nami, to, co

udało nam się zbudować, było naprawdę  
bardzo małe.

A może nawet równało się zeru. Te cztery  
lata przeżyli-

śmy, przejadając oszczędności.

To była właściwie moja wina. Nie  
powinienem był się

z nikim żenić. A przynajmniej ona nie  
powinna była

wychodzić za mnie.

Na początku uważała, że nie jest dobrze  
przystosowa-

na do życia w społeczeństwie, a ja jestem.  
Wypełnialiśmy

te swoje funkcje stosunkowo nieźle. I kiedy  
już myśleli-

śmy, że powinno nam się i dalej tak udawać,  
coś zaczęło

się psuć. Coś małego, co już nie dawało się  
naprawić.

Byliśmy w spokojnej długiej ślepej uliczce. I  
to był nasz

koniec. Dla niej byłem już straconym  
człowiekiem.

A jeśli nawet jeszcze mnie kochała, nie  
miało to już

znaczenia. Za bardzo przywykliśmy nawzajem  
do swoich

ról. Nic więcej nie mogłem jej ofiarować.  
Czuła to

instynktownie, a ja wiedziałem z  
doświadczenia. Nie

było już ratunku.

I w ten sposób zniknęła na zawsze z  
mojego życia,

zabierając wszystkie swoje halki. Niektóre

rzeczy się

zapomina, niektóre znikają, a niektóre umierają. I nie ma w tym prawie nic tragicznego.

Dwudziesty czwarty lipca, ósma  
dwadzieścia pięć rano.

Sprawdziłem cztery cyfry na zegarku  
elektronicznym,  
zamknąłem oczy i zasnąłem.

Rozdział  
trzeci  
**Wrzesień**  
**1978**



## 1. Członek wieloryba. Kobieta o trzech zawodach

Można uważać, że spanie z dziewczyną to bardzo ważna sprawa, a można też uważać, że to nic takiego. Czyli istnieje seks jako autoterapia i seks dla zabicia czasu.

Seks może być od początku do końca terapią albo od początku do końca sposobem na zabicie czasu. Zdarza się też, że seks, który zaczyna się jako terapia, pod koniec staje się zabijaniem czasu i na odwrót. Można powiedzieć, że nasze życie płciowe diametralnie różni się od życia płciowego wielorybów.

Nie jesteśmy wielorybami - to jedna z głównych tez mojego życia płciowego.

Kiedy byłem dzieckiem, mieszkałem o trzydzieści minut rowerem od akwarium. Akwarium pogrążone było w chłodnej ciszy typowej dla takich miejsc i tylko od czasu do czasu dochodził skądś plusk wody. Wydawało się, że w głębi ciemnego korytarza czai się Człowiek-Ryba.

Stado tuńczyków pływało w wielkim basenie, jesiotry podróżowały w górę wąskim korytarzem rzeki, piranie wbijały ostre zęby w kawałki mięsa, a węgorze elektryczne słabo świeciły małymi żaróweczkami. Było tam mnóstwo ryb. Różniły się nazwami, łuskami i skrzelami. Zupełnie nie rozumiałem, po co na ziemi żyje tyle różnych gatunków ryb.

W akwarium nie było oczywiście wielorybów. Wielo-

ryby są za duże. Żeby hodować wieloryba,  
trzeba by

przekształcić całe akwarium w jeden wielki basen. Akwarium miało tylko członek wieloryba. Niejako w następstwie. Przeżyłem więc te wrażliwe trudne lata dojrzewania, nie widząc prawdziwego wieloryba, tylko wpatrując się w jego członek. Gdy zmęczyło mnie wędrowanie po zimnych korytarzach akwarium, przychodziłem do dużej, cichej sali wystawowej, siadałem na wyściełanej ławce pod wysokim sufitem i spędzałem długie godziny bez ruchu przed członkiem wieloryba.

Czasami przypominał mi uschniętą palmę, czasami wielką kolbę kukurydzy. Gdyby nie tabliczka z napisem „Narząd płciowy wieloryba. Samiec”, nikt na pewno nie zorientowałby się, co to jest. Wyglądał raczej na jakieś wykopalisko z pustyni w środkowej Azji niż na rzecz pochodzącą z mórz Antarktydy. Był zupełnie inny niż mój własny członek i wszystkie, jakie do tej pory widziałem. Było też coś niewypowiedzianie żalnego w fakcie, że został obcięty.

Przypomniałem sobie ten olbrzymi członek wieloryba po tym, jak pierwszy raz miałem stosunek z dziewczyną. Serce ścisnęło mi się na myśl, jakie koleje losu musiał przejść, jaką daleką podróż odbyć, by trafić w akwarium do tej wielkiej sali wystawowej. I wydawało mi się, że nic nie da się już dla niego zrobić. Lecz miałem wówczas tylko siedemnaście lat i to było stanowczo za wcześnie na utratę nadziei. Wtedy właśnie zacząłem



myśleć: nie  
jesteśmy wielorybami.

**38**

Leżąc w łóżku, gładziłem włosy nowej dziewczyny i myślałem o wielorybach.

Pamiętałem to akwarium pod koniec jesieni. Szkło basenów było zimne jak lód, a ja miałem na sobie gruby sweter. Morze, widoczne z okna sali wystawowej, miało kolor ciemnego ołowiu, a niezliczone białe fale przypominały koronkowe kołnierzyki, jakie dziewczyny noszą przy sukienkach.

- O czym myślisz? - zapytała.

- O dawnych czasach - odrzekłem.

Miała dwadzieścia jeden lat, szczupłe piękne ciało i parę czarujących, doskonale uformowanych uszu. Pracowała na pół etatu jako korektorka w małym wydawnictwie, jako modelka pozująca do zdjęć uszu w fotografiach reklamowych i jako call-girl w małym, ekskluzywnym klubie dla ścisłego grona stałych klientów. Nie wiedziałem, które z tych trzech było jej głównym zajęciem. Ona sama też nie wiedziała.

Pracując jako modelka uszu, była najbardziej sobą. Ja tak uważałem i ona się zgadzała. Niestety, pozowanie do zdjęć uszu to bardzo wąska dziedzina, pozycja zawodowa modelki i wynagrodzenie są niezwykle skromne. Większość firm reklamowych, fotografów, charakteryzatorów i redaktorów pism traktowało ją jedynie jako właścicielkę uszu. Reszta jej ciała i osobowości były w całości odrzucane i uśmiercane w milczeniu.



- Ale naprawdę to nie jest tak - mówiła.  
- Uszy są  
mną, a ja jestem uszami.  
Jako korektorka i jako call-girl  
absolutnie nigdy,  
nawet na chwilę, nie pokazywała nikomu  
uszu.  
- Dlatego, że tam nie jestem naprawdę  
sobą - wy-  
jaśniła.

Biuro klubu, w którym pracowała jako call-  
girl (zresztą  
oficjalnie działającego jako klub poszukujący  
młodych  
talentów), znajdowało się w Akasaka.  
Właścicielka,  
zwana przez wszystkich Panią X, była  
siwowłosą Angiel-  
ką. Mieszkała w Japonii już od trzydziestu  
lat, mówiła  
płynnie po japońsku i umiała czytać  
podstawowe znaki.

Pani X prowadziła szkółkę konwersacji  
angielskiej dla  
kobiet, która znajdowała się zaledwie pięćset  
metrów od  
biura klubu. Wybierała spośród uczennic  
odpowiednie  
dziewczyny i werbowała je do klubu.  
Zdarzało się też, że  
pracownice uczęszczały na lekcje konwersacji  
angielskiej,  
oczywiście za obniżoną opłatą. Pani X  
zwracała się do  
swoich dziewczyn „dear”. W tym „dear” był  
ciepły ton  
wiosennego popołudnia. Mówiła do nich:  
Dear, musisz  
włożyć porządną koronkową bieliznę.  
Rajstopy się nie  
nadają. Albo: Pijesz herbatę z mlekiem,  
prawda, dear?  
Klienci byli starannie dobierani, większość  
stanowili  
bogaci biznesmeni po czterdziestce lub  
pięćdziesiątce.  
Dwie trzecie cudzoziemców, a reszta  
Japończyków. Pani X  
nie lubiła polityków, starców, zбочeńców i

biedaków.

Moja nowa dziewczyna była najzwyczajszą i najmniej efektowną z tuzina klubowych piękności. Z zakrytymi

usami wydawała się naprawdę przeciętna. Nie wiem, dlaczego wpadła w oko pani X i została zwerbowana. Może w jej zwyczajności pani X dostrzegła jakiś szczególny blask, a może po prostu uznała, że dobrze będzie mieć jedną zwyczajną dziewczynę. Tak czy inaczej, plan pani X się powiódł i dziewczyna miała kilku stałych klientów. W zwyczajnym ubraniu, zwyczajnym makijażu, zwyczajnej bieliźnie i wydzielając zapach zwyczajnego mydła, szła do Hiltona, hoteli Prince albo Okura i raz czy dwa razy w tygodniu, śpiąc z klientem, zarabiała tyle, że wystarczało jej na cały miesiąc.

Przez połowę pozostałych nocy spała ze mną za darmo.

Nie wiem, co robiła przez drugą połowę.

Jej życie jako korektorki w wydawnictwie było bardziej zwyczajne. Trzy razy w tygodniu szła do małego biura na trzecim piętrze gdzieś w Kanda. Pracując od dziewiątej do piątej, poprawiała odbitki szczotkowe, parzyła herbatę, schodziła po schodach (nie było windy) kupić gumkę do ścierania. Była tam jedyną niezamężną kobietą, ale nikt się do niej nie zalecał. Potrafiła jak kameleon, w zależności od miejsca i sytuacji, ukazywać i ukrywać swój blask.

Poznałem ją, a raczej jej uszy, zaraz po rozstaniu z żoną, na początku sierpnia. Pracowałem nad tekstem reklamowym dla firmy produkującej programy komputerowe i wtedy pierwszy raz zetknąłem się z jej uszami.

Dyrektor firmy reklamowej położył na biurku projekt broszury, kilka czarno-białych zdjęć, i poprosił, bym

w ciągu tygodnia napisał do nich trzy teksty. Wszystkie trzy zdjęcia okazały się zbliżeniami uszu. Uszy?

- Dlaczego uszy? - zapytałem.

- Nie wiem. Mają być uszy. Masz przez tydzień wymyślić coś w związku z uszami.

Przeżyłem tydzień, wpatrując się w zdjęcia uszu.

Przykleiłem zdjęcia taśmą do ściany nad biurkiem i wpatrywałem się w nie, paląc, pijąc kawę, jedząc kanapki i obcinając paznokcie.

W ciągu tygodnia jakoś skończyłem pracę, ale zdjęcia

uszu pozostały przyklejone nad moim biurkiem. Z jednej

strony nie chciało mi się ich odklejać, a z drugiej wpat-

rywanie się w uszy weszło mi w zwyczaj. Ale prawdziwa

przyczyna tego, że ich nie odkleiliśmy i nie wsadziłem

głęboko do szuflady, była taka, że te uszy mnie całkowicie

zafascynowały. Były jak sen o uszach. Można powiedzieć

- stuprocentowe uszy. Po raz pierwszy tak silnie przy-

ciągnęła mnie jakaś powiększona część ludzkiego ciała

(uwzględniając oczywiście narządy płciowe).

Przychodziło

mi do głowy, że oto jestem wciągany w jakiś wielki,

przeznaczony mi przez los wir.

Jeden łuk niezwykle odważnie przecinał całość

w poprzek. Inny bardzo precyzyjnie tworzył grupę

małych cieni, a jeszcze inny, jak prehistoryczne rysunki

w jaskiniach, opowiadał o dawnych dziejach.

Gładkość

płatka ucha królowała nad wszystkimi krętymi liniami,

a jego mięstość przewyższała wszelkie



przejawy życia.

**42**

W parę dni później postanowiłem zadzwonić do fotografa, który zrobił te zdjęcia, i dowiedzieć się o nazwisko i telefon właścicielki uszu.

- Po co ci? - zapytał fotograf.
- Zaciekawiała mnie. Ma śliczne uszy.
- Tak, uszy ma śliczne - powiedział

niewyraźnie - ale dziewczyna nie jest specjalnie ładna. Jak chcesz się umówić z młodą dziewczyną, to przedstawię ci modelkę, którą fotografowałem ostatnio w kostiumie kąpielowym.

- Dziękuję, nie - powiedziałem i zanotowawszy numer, odłożyłem słuchawkę.

Dzwoniłem do niej o drugiej, o szóstej i o dziesiątej, ale nikt nie odbierał. Prawdopodobnie była zajęta swoim własnym życiem. Zostałem ją w końcu następnego dnia o dziesiątej rano. Przedstawiłem się krótko i powiedziałem, że chciałem z nią porozmawiać na temat tamtej pracy i czy nie zjadłaby ze mną kolacji.

- Słyszałam, że ta praca już jest zakończona - powiedziała.

- Owszem, jest zakończona - odparłem.

Była chyba trochę zaskoczona, ale nie pytała o nic więcej. Umówiliśmy się następnego dnia po południu w kawiarni na ulicy Aoyama.

Zamówiłem stół w najlepszej francuskiej restauracji, jaką znałem. Włożyłem nową koszulę, długo dobierałem krawat i zdecydowałem się na marynarkę, którą miałem na sobie tylko dwa razy.

Tak jak uprzedzał fotograf, nie była specjalnie atrakcyjna. Zwyczajnie ubrana, z przeciętną twarzą, wyglądała na członkinię chóru w jakimś drugorzędnym żeńskim college'u. Ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało. Poczuję tylko rozczarowanie, widząc, że jej uszy były dokładnie ukryte pod rozpuszczonymi włosami.

- Ukrywasz uszy - rzuciłem od niechcienia.

- Tak - odrzuciła.

Ponieważ przyszliśmy dość wcześnie, byliśmy pierwszymi gośćmi. Przyciemniono światła i jeden z kelnerów zapalał długą zapalką czerwone świece. Główny kelner z miną zde gustowanego śledzia sprawdzał rozłożenie serwetek i zastawy. Dębowa klepka ułożona w jodełkę była pięknie wypolerowana i jego buty przyjemnie skrzypiały. Wyglądały na znacznie droższe niż moje. Kwiaty w bukietach były świeże, a na białej ścianie wisiły nowoczesne obrazy. Już na pierwszy rzut oka widać było, że oryginały.

Przejrzałem kartę win i wybrałem wytrawne białe wino, na zakąskę pasztet z kaczki, terrine z leszcza i wątróbki rybne w śmietanie. Ona przestudiowała uważnie kartę i zamówiła zupę z żółwia morskiego, zieloną sałatę i mus z flądry. Ja zdecydowałem się na zupę z jeżowca, cielęcinę pieczoną z pietruszką i sałatkę z pomidorów. Połowa mojego miesięcznego budżetu żywieniowego właśnie zniknęła.

- Bardzo miła restauracja - powiedziała. - Często tu

bywasz?

- Czasami przychodzę w związku z pracą. Ale jeśli jestem sam, to raczej nie chodzę do restauracji, tylko do

baru i tam piję i jem różne zakąski. To bardziej w moim stylu i tak jest łatwiej. Nie muszę się nad niczym zastanawiać.

- Co zwykle jesz w takim barze?

- Różnie, ale chyba najczęściej omlety i kanapki.

- Omlety i kanapki - powtórzyła. -

Codziennie jesz

w barze omlety i kanapki?

- Niecodziennie. Raz na trzy dni sam gotuję.

- Czyli przez dwa dni z trzech jesz w barze omlety i kanapki.

- Tak - powiedziałem.

- Dlaczego omlety i kanapki?

- W dobrych barach podają smaczne omlety i kanapki.

- Tak? - powiedziała. - Dziwny z siebie człowiek.

- Wcale nie - odparłem.

Nie wiedziałem, jak zacząć, więc siedziałem przez chwilę, milcząc i wpatrując się w niedopałek w popielniczce.

- Mielіśmy rozmawiać o pracy - próbowała mi ułatwić.

- Tak jak wczoraj mówiłem, ta praca jest już zakończona i nie było z nią żadnych problemów, więc nie ma o czym mówić.

Wyjęła z torebki długie mentolowe papierosy, zapaliła jednego firmowymi zapalkami i spojrzała na mnie, jakby mówiąc: „A więc?”.

Właśnie miałem zacząć, gdy do naszego stolika podszedł główny kelner, dumnie skrzypiąc butami. Uśmiechając się szeroko, wyciągnął ku mnie butelkę wina, jakby pokazywał mi zdjęcie jedyne go syna, i zademonstrował etykietę. Kiedy skinąłem głową, odkorkował



butelkę. Korek wyskoczył z przyjemnym pyknięciem.

Kelner nalał trochę wina do obu kieliszków. Smakowało

jak skondensowany budżet żywieniowy.

Kiedy odszedł, pojawili się dwaj inni kelnerzy i ustawili na stole trzy talerze zakąsek i dwa dodatkowe talerze.

- Strasznie chciałem zobaczyć twoje uszy  
- powiedziałem szczerze.

Nic nie mówiąc, nałożyła sobie pasztetu i wątróbki, a potem wypła łyk wina.

- Masz coś przeciwko temu?

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie mam nic przeciwko smacznej francuskiej kolacji.

- A masz coś przeciwko rozmowie o uszach?

- Nie, to zależy od rodzaju rozmowy.

- Rodzaj będzie taki, jak chcesz.

Pokręciła głową, podnosząc do ust widelec.

- Mów szczerze. To mój ulubiony rodzaj rozmowy.

Przez chwilę w milczeniu popijałem wino i jadłem.

- Skręcam - powiedziałem - i wtedy okazuje się, że ktoś przede mną jest już za następnym rogiem. I nie widzę tego kogoś. Dostrzegam tylko kawałek białego ubrania. I ten kawałek białego ubrania na zawsze pozostaje mi w pamięci. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Myślę, że tak.

- Twoje uszy wywołują we mnie właśnie takie uczucia.

Znowu jedliśmy w milczeniu. Dolałem nam obojgu

wina.

- Nie wyobrażasz tego sobie, tylko czujesz?

- zapytała.





- Tak.
- Czułeś się kiedyś tak przedtem?  
Zastanowiłem się chwilę i potrząsnąłem głową.
- Nie.
- I powodują to moje uszy?
  - Nie jestem całkiem pewny. Jak mogę być pewny?  
Nigdy nie słyszałem, żeby kształt czyichś uszu wywoływał w kimś zawsze takie same uczucia.
  - Znam kogoś, kto zawsze kicha na widok nosa Farah Fawcett-Majors. Kichanie ma często przyczyny psychologiczne. Jak raz przyczyna połączy się ze skutkiem, to potem trudno je oddzielić.
  - Nic nie wiem o nosie Farah Fawcett-Majors, ale...
  - napiłem się wina i zapomniałem, o czym chciałem dalej mówić.
  - W twoim wypadku jest trochę inaczej, tak? - powiedziała.
  - Tak, trochę inaczej - odparłem. - To, co czuję, jest bardzo niejasne, ale jednocześnie silne. - Rozłożyłem ręce szeroko na metr, a potem zbliżyłem je na pięć centymetrów. - Nie umiem tego dobrze wytłumaczyć.
  - Skoncentrowane zjawisko oparte na niejasnych podstawach.
  - Właśnie tak - powiedziałem. - Jesteś siedem razy mądrzejsza ode mnie.
  - Studiowałam korespondencyjnie.
  - Studiowałeś korespondencyjnie?
  - Tak, psychologię.

Podzieliłiśmy między siebie resztkę pasztetu. Znowu zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

- Jeszcze dokładnie nie wiesz, jaki jest związek między moimi uszami a tymi twoimi odczuciami, prawda?

- Tak - powiedziałem. - Nie wiem, czy twoje uszy działają na mnie bezpośrednio, czy też coś innego działa na mnie za pośrednictwem twoich uszu.

Położyła obie dłonie na stole i lekko poruszyła ramionami.

- Czy to, co czujesz, jest przyjemne, czy nieprzyjemne?

- Ani jedno, ani drugie. I jedno, i drugie. Nie wiem.

Ujęła kieliszek w obie dłonie i przez chwilę mi się przyglądała.

- Chyba powinieneś nauczyć się lepiej wyrażać swoje uczucia.

- Nigdy nie umiem niczego opisać - oznajmiłem.

Uśmiechnęła się.

- Ale to nie szkodzi. Mniej więcej zrozumiałam, o co ci chodzi.

- Co powinienem zrobić?

Milczała dłuższą chwilę. Wyglądała, jakby myślała o czymś innym. Na stole stało pięć pustych talerzy.

Wyglądały jak pięć wymarłych planet.

- Wiesz - powiedziała po długim milczeniu - myślę, że powinniśmy zostać przyjaciółmi. Oczywiście jeśli chcesz.

- Oczywiście, że chcę - odpowiedziałem.

- Ale musimy zostać bardzo, bardzo bliskimi przyjaciółmi - rzekła.

Przytaknąłem.

I w ten sposób zostaliśmy bardzo, bardzo bliskimi przyjaciółmi. Od naszego poznania się upłynęło zaledwie pół godziny.

- Chciałbym o coś zapytać jako twój nowy przyjaciel

- powiedziałem.

- Proszę.

- Po pierwsze, dlaczego zakrywasz uszy?

Po drugie,

czy twoje uszy już przedtem podziały

kiedyś na kogoś

ze szczególną siłą?

Nic nie mówiąc, wpatrywała się w swoje leżące na stole dłonie.

- Różnie bywało.

- Różnie bywało?

- Tak. Ale w sumie raczej przywykłam do siebie z zakrytymi uszami.

- To znaczy, że z zakrytymi uszami jesteś inna niż z odkrytymi?

- Tak.

Dwaj kelnerzy zabrali nasze talerze i przynieśli zupę.

- Powiedz mi coś o sobie z odkrytymi uszami.

- To już było tak dawno, że trudno mi opowiedzieć.

Od czasu kiedy skończyłam dwadzieścia lat, ani razu nie odkryłam uszu.

- No ale gdy pracujesz jako modelka, to je odkrywasz.

- Tak - powiedziała - lecz to nie są prawdziwe uszy.

- Nie są prawdziwe?

- To są zamknięte uszy.

Zjadłem dwie łyżki zupy, podniosłem głowę i spoj-  
rzałem na nią.

- Możesz mi coś więcej powiedzieć o zamkniętych uszach?

- Zamknięte uszy są martwe. Sama je uśmiercam.

Świadomie blokuję przejście... rozumiesz?

Niezbyt dobrze rozumiałem.

- Spróbuj mi zadać pytanie - powiedziała.

- Uśmiercasz uszy i w rezultacie przestajesz słyszeć?

- Nie. Uszy słyszą, tylko są martwe. Też mógłbyś to zrobić.

Położyła łyżkę do zupy na stole, wyprostowała się, uniosła ramiona o pięć centymetrów, zdecydowanie wysunęła brodę do przodu i tak siedziała przez dziesięć sekund. Potem nagle opuściła ramiona.

- Uszy już są martwe. Sam spróbuj.

Trzy razy powtórzyłem wszystkie jej ruchy, ale nie

miałem uczucia, że coś we mnie umarło. Tylko wino

zaczęło szybciej krążyć w moich żyłach.

- Moje uszy jakoś nie umieją umrzeć - powiedziałem

z rozczarowaniem.

Potrząsnęła głową.

- Nie szkodzi. Jak nie czujesz potrzeby, żeby je uśmiercać, to nie zrobi ci to różnicy.

- Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Proszę.

- Jakby podsumować to, co powiedziałeś, to do dwudziestego roku życia pokazywałaś uszy i potem

pewnego dnia je zakryłaś. I do dziś  
ani razu nie  
odkryłaś uszu. A kiedy absolutnie  
musisz odkryć  
uszy, blokujesz połączenie między uszami  
i świadomością. Tak?  
Zaśmiała się.

- Tak.

- Czy coś się stało z twoimi uszami,  
kiedy miałaś  
dwadzieścia lat?

- Nie spiesz się - rzekła i wyciągając  
prawą rękę,  
lekko dotknęła palców mojej lewej. -  
Proszę.

Rozlałem resztę wina do kieliszków i  
powoli opróż-  
niłem swój.

- Najpierw chcę się czegoś o tobie  
dowiedzieć.

- Czego?

- Wszystkiego. Gdzie się wychowałeś, ile  
masz lat,  
czym się zajmujesz, takich rzeczy.

- To wszystko jest bardzo zwyczajne. Takie  
zwyczajne,  
że na pewno zaśniesz przy słuchaniu.

- Lubię zwyczajne historie.

- Moja jest jedną z tych zwyczajnych  
historii, które  
nie mogą się nikomu podobać.

- Nie szkodzi. Mów. Masz dziesięć minut.

- Urodziłem się dwudziestego  
czwartego grudnia  
tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego  
roku. Wigilia to  
niezbyt dobre urodziny, bo dostaje się ten  
sam prezent  
i na urodziny, i na gwiazdkę. Wszyscy  
próbują w ten  
sposób zaoszczędzić. Znak Koziorożec, grupa  
krwi A. To  
połączenie występuje zwykle u  
pracowników banków

albo urzędów dzielnicowych. Nie zgadza się ze Strzelcem, Wagą i Wodnikiem. Nie uważasz, że to nudne?

- Bardzo ciekawe.

- Wychowałem się w zwyczajnym mieście i chodziłem do zwyczajnej szkoły. Byłem małomównym dzieckiem i wyrosłem na nudnego nastolatka. Poznałem zwyczajną dziewczynę i zakochałem się zwyczajną pierwszą miłością. Kiedy miałem osiemnaście lat, dostałem się na uniwersytet i przyjechałem do ToMo. Po studiach we dwójkę z przyjacielem założyliśmy małą firmę, która zajmowała się tłumaczeniami, i jakoś z tego żyliśmy. Od trzech lat zaczęliśmy też pracować przy redagowaniu materiałów reklamowych dla firm i to też idzie dość dobrze. Cztery lata temu ożeniłem się z dziewczyną poznaną w firmie i dwa miesiące temu się rozwiódłem. Przyczynę nie tak łatwo wytłumaczyć. Mam jednego starego kota. Palę czterdzieści papierosów dziennie. Zupełnie nie mogę się odzwyczaić. Mam trzy garnitury, sześć krawatów i pięćset niemodnych płyt. Pamiętam wszystkich przestępców z powieści Ellery'ego Queena. Mam też wszystkie tomy *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, ale przeczytałem tylko połowę. Latem piję piwo, a zimą whisky.

- I przez dwa z każdego trzech dni jesz omlety i kanapki.

- Tak - powiedziałem.

- Bardzo ciekawe życie.

- Do tej pory było nudne i dalej też tak pewnie będzie. Ale to mi wcale nie przeszkadza.

Przecież w końcu  
nie ma na to rady.

Spojrzałem na zegarek. Dziewięć minut i dwadzieścia sekund.

- Ale to, co powiedziałeś, to nie jest cała prawda o tobie?

Patrzyłem przez chwilę na swoje leżące na stole dłonie.

- Oczywiście, to nie wszystko. O żadnym, nawet najnudniejszym życiu, nie da się wszystkiego opowiedzieć.

- Czy mogę powiedzieć, co o tym sądzę?

- Proszę.

- Kiedy poznaję kogoś nowego, zawsze proszę, żeby opowiedział mi o sobie w dziesięć minut. I potem myślę

O tej osobie w sposób zupełnie przeciwny, niż mi o sobie

opowiedziała. Myślisz, że to niesłuszne?

- Nie - potrząsnąłem głową - myślę, że postępujesz słusznie.

Jeden kelner ustawił na stoliku talerze, drugi nałożył na nie potrawy, a kelner odpowiedzialny za sos polewał je sosem. Wyglądało to jak double play w baseballu, łącznik podaje do drugiej mety, a druga meta do pierwszej.

- Jeśli tę metodę zastosować do ciebie, wynik jest następujący - powiedziała, zatapiając nóż w musie

z flądry. - Twoje życie wcale nie jest nudne i może tylko

chciałbyś mieć nudne życie. Zgadza się?

- Może i jest tak, jak mówisz. Moje życie nie jest nudne

1 tylko chciałbym mieć nudne życie. Ale rezultat jest taki

sam. Tak czy inaczej, już je mam. Wszyscy starają się uciec

od nudy, a ja do niej dążę. To tak, jakbym jechał pod prąd

w godzinach szczytu. I dlatego wcale nie narzekam, że moje

życie zrobiło się nudne. Tyle że żona ode



mnie uciekła.

- Czy dlatego rozstałeś się z żoną?  
- Tak jak mówiłem przed chwilą, trudno to wyjaśnić.  
Ale jak powiedział Nietzsche: „Nawet bogowie zwijają sztandary, gdy się nudzą”, czy jakoś tak.  
Jedliśmy powoli. Ona dołożyła sobie sosu, a ja zjadłem kawałek chleba. Do końca drugiego dania każde z nas myślało o czym innym. Talerze zostały zabrane, pojawił się sorbet jagodowy i espresso. Zapaliłem papierosa. Dym tylko przez chwilę unosił się w powietrzu, a potem został bezszelestnie wessany przez wentylator. Kilka stolików było zajętych. Z głośników umieszczonych pod sufitem płynął koncert Mozarta.  
- Chciałbym usłyszeć więcej o twoich uszach - powiedziałem.  
- Chciałbyś zapytać, czy moje uszy mają jakąś szczególną siłę, prawda?  
Przytaknąłem.  
- Wolałabym, żebyś sam się przekonał. Jeśli nawet ci coś powiem, to do niczego ci się to nie przyda i niczego nie wyjaśni.  
Ponownie przytaknąłem.  
- Mogę odsłonić uszy - powiedziała, dopijając kawę  
- ale naprawdę nie wiem, czy to będzie dla ciebie dobre, czy nie. Może będziesz żałował.  
- Dlaczego?  
- Bo może twoja nuda nie jest aż taka silna, jak myślisz.  
- Nie ma rady - powiedziałem.  
Wyciągnęła ręce i położyła na moich dłoniach.

- I jeszcze jedno. Przez pewien czas po tym, przez kilka miesięcy nie opuścisz mnie, dobrze?

- Dobrze.

Wyjęła z torebki czarną opaskę do włosów, przytrzymała ją wargami, obiema rękami odgarnęła włosy do tyłu, zakręciła i szybko związała.

- No i jak?

Nabrałem powietrza i gapiłem się na nią w zaskoczeniu. Zaszło mi w gardle, nie mogłem wydobyć głosu.

Wydało mi się, że biała gipsowa ściana zafalowała.

Odgłosy rozmów i brzęk naczyń w restauracji zlały się i zawisły w powietrzu jak chmura, a po chwili znowu

wróciły do normy. Usłyszałem dźwięk fal i poczułem

zapomniany zapach zmierzchu. Ale to wszystko było tylko niewielką częścią tego, co poczułem w ułamku sekundy.

- Niezwykłe! - wyjąkałem. - Wyglądasz jak ktoś zupełnie inny.

- Sam widzisz - powiedziała.

## 2. O wyzwoleniu uszu

- Sam widzisz - powiedziała.

Była wręcz nierzeczywiście piękna. Pięknością z rodzaju tych, których nigdy nie widziałem, ani nawet sobie nie wyobrażałem. Nieogarnioną jak wszechświat, a jednocześnie czystą jak wielki lodowiec. Wręcz arogancko

przesadną, a jednocześnie bardzo uproszczoną. Przekraczając wszelkie znane mi pojęcia. Ona i jej uszy stały się jednością i ślizgały się po pochylonej powierzchni czasu jak odwieczny promień światła.

- Jesteś niezwykła - powiedziałem, odzyskując oddech.
- Wiem - odparła. - Tak właśnie wyglądam z wyzwoleńcami.

Kilku gości odwróciło się w naszą stronę. Wpatrywali się jak zaszokowani. Kelner, który przyszedł dolać kawy, jakoś nie mógł jej dolać. Nikt nic nie mówił. Tylko taśma z muzyką nadal się kręciła.

Wyjęła z torebki mentolowego papierosa i włożyła go do ust. Szybko podałem jej ogień.

- Chciałabym iść z tobą do łóżka - powiedziała.

Więc poszliśmy do łóżka.

### 3. O wyzwoleniu uszu ciąg dalszy

Jednak czas jej wielkości jeszcze nie nadszedł. Potem przez dwa czy trzy dni odkrywała co pewien czas uszy, ale później znowu ukryła te jaśniejące cuda pod włosami i stała się na powrót zwyczajną dziewczyną. To tak, jakby ktoś na początku marca zdjął na chwilę płaszcz.

- Jeszcze było za wcześnie na odkrycie uszu - powiedziała. - Jeszcze sama nie umiem dobrze panować nad własną siłą.

- Nie szkodzi - odrzekłem.

Nawet z zakrytymi uszami wcale nie była zła.

Czasami pokazywała mi uszy, ale zwykle miało to związek z seksem. Kiedy były odkryte, seks nabierał szczególnego charakteru. Gdy padał deszcz, czułem jego zapach. Kiedy ćwierkały ptaki, słyszałem to ćwierkanie bardzo dokładnie. Nie umiem tego dobrze wyjaśnić, ale to było mniej więcej coś takiego.

- Czy nie odkrywasz uszu, kiedy śpisz z innymi mężczyznami? - zapytałem ją pewnego dnia.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Oni nawet pewnie nie wiedzą, że mam uszy.

- Jaki jest seks z zakrytymi uszami?

- Taki z obowiązku. Nic nie czuję, tak jakbym żuła gazetę. Ale to nie szkodzi. Dobrze jest wypełnić obowiązek.

- Ale jest dużo lepiej, kiedy masz odkryte uszy?

- Tak.

- To powinnaś je odkrywać - powiedziałem. - Po co masz się męczyć.

Spojrzała na mnie poważnie i westchnęła.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

Myślę, że naprawdę wielu rzeczy nie rozumiałem. Po pierwsze, nie rozumiałem, dlaczego zrobiła dla mnie wyjątek. Nie wydawało mi się, bym czymś przewyższał bądź różnił się od innych. Roześmiała się, kiedy jej to powiedziałem.

- To bardzo proste - rzekła. - Ty mnie odnalazłeś. To jest główny powód.

- A gdyby ktoś inny cię odnalazł?

- Lecz nikt inny mnie nie odnalazł. Poza tym jesteś dużo atrakcyjniejszy, niż myślisz.

- To dlaczego tak nie uważam? - zapytałem.

- Dlatego, że żyjesz tylko połową siebie - powiedziała dobitnie - a druga połowa leży gdzieś beczynnienie.

- Taak?

- W tym sensie jesteśmy nawet do siebie podobni. Ja ukrywam uszy, a ty żyjesz tylko w połowie. Nie sądzisz?

- Nawet jeśli tak jest, moja druga połowa nie jest równie olśniewająca jak twoje uszy.

- Pewnie nie - uśmiechnęła się. - Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

Ciągle się uśmiechając, uniosła włosy i rozpięła guziki bluzki.

W pewne wrześniowe popołudnie pod koniec lata zrobiłem sobie urlop. Leżałem w łóżku i gładząc jej włosy, myślałem o członku wieloryba. Morze było koloru ciemnego ołowiu i silny wiatr uderzał w szyby. Sala była wysoka i oprócz mnie nie było tam żywego ducha. Członek wieloryba był na zawsze oddzielony od wieloryba i całkowicie utracił swe znaczenie.

Potem jeszcze raz pomyślałem o halce żony. Ale nie mogłem już nawet sobie przypomnieć, czy ona w ogóle miała jakąś halkę. Ten niejasny, niemający odbicia w rze-



czywistości obraz halki zawieszanej na krześle w kuchni  
jakoś utkwił mi w głowie. Nie mogłem sobie przypomnieć,  
co to znaczyło. Wydało mi się, że od lat żyję życiem kogoś innego.

- Czy nie nosisz halek? - zapytałem dziewczynę.

Podniosła głowę opartą na moim ramieniu i popatrzyła na mnie nieprzytomnie.

- Nie noszę.

- Aha.

- Ale jeśli wolałbyś, żebym nosiła halkę...

- Nie, nie - powiedziałem pośpiesznie - nie o to mi chodziło.

- Ależ nie krępuj się. Ja w pracy jestem do tego przyzwyczajona i nie ma w tym nic wstydliwego.

- Ale nie trzeba - powiedziałem. -

Wystarczy mi ty i twoje uszy. Nic więcej nie trzeba.

Ze zniechęceniem pokręciła głowę, a potem położyła ją na moim ramieniu.

- Za dziesięć minut będzie ważny telefon.

- Telefon? - spojrzałem na czarny aparat obok łóżka.

- Tak, zadzwoni telefon.

- Wiesz to na pewno.

- Wiem.

Z głową na mojej piersi zapaliła mentolowego papierosa. Po chwili popiół upadł obok mojego pępka, a ona, stuliwszy wargi, zdmuchnęła go poza łóżko. Złapałem ją za ucho. To było wspaniałe uczucie. W głowie mi się zakręciło, różne nieokreślone obrazy ukazały się na chwilę i zniknęły.



- W związku z owcami - powiedziała. -  
Dużo owiec  
i jedna owca.  
- Owca?  
- Tak - powiedziała i podała mi w połowie  
wypalone-  
go papierosa. Zaciągnąłem się raz i zgasilem  
go w popiel-  
niczce. - I tak zacznie się przygoda -  
dodała.

W chwilę później zadzwonił telefon.  
Spojrzałem na  
nią, ale spała głęboko na mojej piersi.  
Oczekałem cztery  
dzwonki i podniosłem słuchawkę.  
- Czy mógłbyś zaraz tu przyjechać? -  
zapytał mój  
partner. W jego głosie brzmiało  
zdenerwowanie. - To  
bardzo ważne.  
- Jak ważne?  
- Jak przyjedziesz, to sam zrozumiesz -  
powiedział.  
- Na pewno chodzi o owce - rzuciłem na  
próbę. Nie  
powinienem być tego mówić. Ze  
słuchawki powiało  
chłodem.  
- Skąd wiesz? - zapytał partner.  
I tak zaczęła się przygoda z owcą.

Rozdział  
czwarty  
**Przygoda z owcą**  
**(I)**



## 1. Dziwny mężczyzna. Wstęp

Są różne przyczyny, dla których człowiek zaczyna regularnie pić duże ilości alkoholu. Przyczyny są różne, ale rezultat zwykle taki sam.

W 1973 mój partner był wesołym pijakiem. W 1976 stał się trochę zręcznym pijakiem, a w lecie 1978 już nieporadnie dosięgł klamki drzwi prowadzących do uzależnienia alkoholowego. Tak jak wielu regularnie pijących, on też na trzeźwo był porządnym i sympatycznym człowiekiem, choć może niezbyt bystrym. Wszyscy też uważali go za może niezbyt bystrego, ale porządnego i sympatycznego człowieka. On też za takiego się uważał.

Dlatego pił. Pod wpływem alkoholu nabierał przekonania, że może się zgodzić z opinią, iż jest porządnym, sympatycznym człowiekiem.

Oczywiście na początku szło mu to bardzo dobrze, ale wraz z upływem czasu wzrastała ilość alkoholu i powstały małe pęknięcia. Te małe pęknięcia wkrótce przerodziły się w głęboki rów. Jego porządność i sympatyczność za bardzo wysunęły się do przodu i nie mógł ich dogonić. To się zdarza wielu osobom. Ale ludzie zazwyczaj nie myślą, że to, co się zdarzyło im, zdarza się wielu osobom. A szczególnie ci niezbyt bystrzy. Zaczął błądzić we mgle alkoholowej, próbując ponownie znaleźć to, co zniknęło mu z oczu. I sytuacja jeszcze bardziej się

pogorszyła.

Jak dotąd jeszcze udawało mu się być  
porządnym  
człowiekiem od rana do zmierzchu. Już od  
wielu lat  
świadomie unikałem widywania go po  
zmierzchu, więc  
dla mnie ciągle był porządnym człowiekiem.  
Mimo to  
wiedziałem, że po zmierzchu przestawał  
takim być, i on  
sam też dobrze o tym wiedział. Nigdy o tym  
nie roz-  
mawialiśmy, ale obaj byliśmy świadomi, że  
ten drugi  
wie. Nasze stosunki dalej układały się dobrze,  
jednak nie  
byliśmy już takimi przyjaciółmi jak kiedyś.

Mimo że nie rozumieliśmy się w stu  
procentach (nie  
stawiałbym nawet na siedemdziesiąt), był  
moim jedynym  
przyjacielem z okresu studiów i bolało mnie  
przyglądanie  
się, jak ten człowiek na moich oczach  
przestaje być po-  
rządny. Ale może właśnie w ten sposób  
stajemy się doj-  
rzalsi.

Kiedy dotarłem do biura, był już po jednej  
whisky. Po  
jednej był jeszcze ciągle porządny. Ponieważ  
jednak pił  
stale, pewnego dnia zacznie przed  
zmierzchem wypijać  
dwie. Wtedy będę musiał odejść z firmy i  
poszukać pracy  
gdzie indziej.

Stałem pod klimatyzatorem, by  
wysuszyć pot, i po-  
pijałem zimny napar z jęczmienia,  
przyniesiony przez  
sekretnikę. Żaden z nas się nie odzywał.  
Silne światło  
popołudnia pokrywało nierealnym pyłem  
leżące na pod-  
łodze linoleum. W dole za oknem było  
widać zielen  
parku i małe figurki ludzi opalających się na

trawnikach.  
Partner uderzał długopisem o wnętrze lewej  
dłoni.

- Podobno się rozwiodłeś? - odezwał się.

- Już dwa miesiące temu -

powiedziałem, dalej  
wyglądając przez okno. Kiedy zdjąłem  
okulary słoneczne,  
zabolały mnie oczy.

- Dlaczego się rozwiodłeś?

- Z przyczyn osobistych.

- Wiem - powiedział cierpliwie. - Nigdy  
nie słyszałem

o rozwodzie z innych przyczyn.

Milczałem. Od wielu lat mieliśmy  
niepisane porozu-

mienie, by nie poruszać spraw prywatnych.

- Nie mam zamiaru niepotrzebnie się

wtrącać - wy-

tłumaczył - ale ja też byłem z nią

zaprzyjaźniony i to był

dla mnie mały szok. Poza tym myślałem, że  
wszystko

dobrze się między wami układa.

- Wszystko dobrze się układało. Nie

rozstaliśmy się

w gniewie.

Popatrzył na mnie zniechęcony, zamilkł i  
dalej uderzał

długopisem w dłoń. Miał nową

ciemnoniebieską koszulę,

czarny krawat i porządnie uczesane włosy.

Zapach wody

kolońskiej i balsamu do włosów były dobrze

dobre. Ja

miałem na sobie podkoszulek ze Snoopym

trzymającym

deskę surfingową, sprane do białości levisy i

zabłocone

tenisówki. Z nas dwóch na pewno on był tym

porządnym.

- Pamiętasz, jak pracowaliśmy razem z nią,  
we trójkę?

- Doskonale pamiętam - odrzekłem.

- Wesoło było - powiedział partner.

Odszedłem od klimatyzatora i usiadłem na  
miękkiej,

błękitnej szwedzkiej kanapie, stojącej w

środku pokoju.



Wyjąłem z przeznaczonej dla gości  
papierośnicy jednego  
pali malla z filtrem i zapaliłem, używając  
ciężkiej zapal-  
niczki stojącej na stole.

- I?

- Wydaje mi się, że chyba za bardzo się  
rozrośliśmy.

- Mówisz o reklamach i folderach  
reklamowych?

Skinął głową. Uświadomiłem sobie, ile  
go musiało

kosztować powiedzenie tego, i zrobiło mi się  
go żal.

Zważyłem w ręku zapalniczkę, a potem  
wyregulowałem  
wysokość płomienia.

- Wiem, o co ci chodzi. - Odstawiłem  
zapalniczkę na

stół. - Ale przypomnij sobie. To nie ja  
zacząłem przyj-

mować takie zamówienia i nie ja  
zdecydowałem, żeby

spróbować sił w tej dziedzinie. To ty przyjąłeś  
zamówienia

i ty chciałeś spróbować. Tak czy nie?

- Nie mogłem wtedy odmówić i  
mieliśmy akurat

czas...

- I można było zarobić.

- I można było zarobić. Dzięki temu  
mogliśmy wyna-

jąc większe biuro, zatrudnić więcej osób.

Mogłem kupić

nowy samochód, mieszkanie, posłać dzieci  
do drogiej

prywatnej szkoły. Jak na trzydziestolatka to  
jestem raczej

dobrze sytuowany.

- Sam zarobiłeś. Nie ma się czego  
wstydzić.

- Nie wstydzę się - powiedział mój  
partner. Podniósł

ze stołu porzucony długopis i kilka razy  
lekko uderzył

nim o dłoń. - Ale kiedy myślę o dawnych  
czasach, to

trudno mi w to wszystko uwierzyć. Jak  
zaczynaliśmy



z długami, szukaliśmy tłumaczeń,  
rozdawaliśmy przed  
dworcem nasze ogłoszenia.

- Jak chcesz, to możemy znów  
porozdawać ogłoszenia.

Partner podniósł głowę i spojrzał na  
mnie.

- Ja nie żartuję.

- Ja też nie - powiedziałem.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Wiele się zmieniło - ciągnął partner. -

Zmieniło się

tempo naszego życia i sposób myślenia. Po  
pierwsze sami

nie wiemy, ile teraz zarabiamy. Przychodzi  
specjalista od

podatków, przygotowuje jakieś niezrozumiałe  
dokumen-

ty, a to jakieś odliczenie, a to amortyzacja, a  
to sposoby

obniżania podatku i sam już nie wiem co.

- Wszyscy to robią.

- Wiem. Wiem, że trzeba to robić i  
robię to. Ale

dawniej było weselej.

- Im dłużej żyjemy, tym dłuższy cień  
rzucają ściany

naszego więzienia - zanuciłem fragment  
starego wiersza.

- Co?

- Nic, nic - powiedziałem. - No i?

- No i wydaje mi się teraz, że uprawiamy  
wyzysk.

- Wyzysk. - Podniosłem głowę  
zdziwiony. Siedział

o' jakieś dwa metry ode mnie na wysokim  
krześle i jego

głowa znajdowała się o dwadzieścia  
centymetrów wyżej

niż moja. Na ścianie za nim wisiała litografia,  
której nigdy

przedtem nie widziałem. Przedstawiała  
skrzydlatą rybę.

Ryba nie wyglądała na specjalnie  
zadowoloną z faktu

posiadania skrzydeł. Pewnie nie wiedziała, jak się nimi posługiwać. - Wyzysk? - powtórzyłem, tym razem pytając sam siebie.

- Wyzysk.
- Wyzysk kogo?
- Wszystkich po trochu.

Siedząc na błękitnej kanapie, założyłem nogę na nogę i wpatrywałem się w ruch długopisu w jego dłoni, która znajdowała się na wysokości moich oczu.

- W każdym razie nie uważasz, że się zmieniliśmy?  
- zapytał.  
- Jesteśmy tacy sami. Nikt się nie zmienił i nic się nie zmieniło.

- Naprawdę tak myślisz?  
- Naprawdę. Nie ma mowy o żadnym wyzysku. To są wszystko bajki. Przecież nie wierzysz, że te trąbki Armii Zbawienia naprawdę zbawią świat? Za bardzo się przejmujesz.

- No, nieważne, pewnie rzeczywiście za bardzo się przejmuję - powiedział partner. - W zeszłym tygodniu ty, to znaczy my napisaliśmy tekst reklamowy margaryny. To był niezły tekst. I został dobrze przyjęty. Ale czy ty przez te parę lat jadłeś kiedyś margarynę?

- Nie. Nie lubię margaryny.
- Ja też nie. Właśnie o to mi chodzi.

Dawniej przynajmniej robiliśmy to, w co wierzyliśmy, i byliśmy z tego dumni. Teraz już tak nie jest. Żonglujemy tylko niemającymi znaczenia słowami.

- Margaryna jest zdrowa. To tłuszcz roślinny i ma mało cholesterolu. Nie zapada się po niej tak łatwo na choroby wieku starczego. Te nowe gatunki wcale nie są złe. Margaryna jest tania i dobrze się przechowuje.

- No to jedz margarynę!

Zapadłem głębiej w kanapę, powoli wyprostowałem nogi i ramiona.

- Na to samo wychodzi. Czy jemy margarynę, czy nie, wychodzi na to samo. Czy robimy skromne tłumaczenia, czy piszemy nieprawdziwe reklamy, wychodzi w sumie na to samo. Na pewno zonglujemy niemającymi znaczenia słowami, ale gdzie są słowa mające znaczenie? Słyszysz mnie? Nie ma uczciwej pracy. Tak jak nie ma uczciwego oddychania ani siusiania.

- Dawniej byłeś bardziej niewinny.

- Może - powiedziałem i zgasilem papierosa w popielnicze. - Na pewno gdzieś jest niewinne miasteczko, w którym niewinny rzeźnik kroi niewinną pieczoną szynkę. Jeśli myślisz, że niewinnie jest pić od południa, to pij, ile chcesz.

Przez długą chwilę słyhać było tylko dźwięk długopisu toczącego się po biurku.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie chciałem tego powiedzieć.

- Nie szkodzi - odrzekł partner. - Może masz rację.

Pstryknął termostat klimatyzatora. Było straszliwie spokojne popołudnie.

- Nie trać wiary w siebie - powiedziałem.

- Przecież sami własnymi siłami zaszliśmy aż tak daleko. Nikomu



nic nie zawdzięczamy. Różnimy się od tych wszystkich, którzy zadzierają nosa, bo mają poparcie i tytuły.

- Dawniej byliśmy przyjaciółmi - powiedział partner.

- Teraz też jesteśmy - odrzekłem. - Cały ten czas przepracowaliśmy razem. ■

- Nie chciałem, żebyś się rozwodził.

- Wiem - powiedziałem. - Ale czy nie powinniśmy porozmawiać o owcy?

Skinął głową, odłożył długopis i potarł powieki palcami.

- Ten mężczyzna przyszedł dziś rano o jedenastej

- powiedział partner.

## 2. Dziwny mężczyzna

Ten mężczyzna przyszedł o jedenastej. W firmie na tak małą skalę jak nasza są dwa rodzaje jedenastej rano.

Albo wszyscy są straszliwie zajęci, albo nikt nie ma nic

do roboty. Nie ma nic pośredniego. Czyli o jedenastej

rano albo nie myśląc o niczym, pracujemy jak mrówki,

albo nie myśląc o niczym, śnimy dalszy ciąg snów

z poprzedniej nocy. Prace średnio pilne (jeżeli są takie

prace) można odłożyć na popołudnie.

Ten mężczyzna przyszedł o jedenastej rano tego

drugiego typu, wybitnie sennej jedenastej. W pierwszej

połowie września pracowaliśmy jak wariaci, a potem

nagle nie było co robić. Troje z nas wzięło  
spóźnione  
urlopy, a reszta została, nie mając do roboty  
nic innego  
poza temperowaniem ołówków. Partner  
wyszedł do  
banku wystawić czek, ktoś inny zabijał czas  
w pobliskim  
sklepie muzycznym, słuchając najnowszych  
płyt, a sekre-  
tarka siedziała sama w biurze, odbierając  
telefony i czyta-  
jąc rubrykę *Fryzury na jesień* w czasopiśmie  
dla kobiet.

Mężczyzna bezszelestnie otworzył  
drzwi do biura  
i równie bezszelestnie je zamknął. Jego ciche  
zachowanie  
nie było świadome. Taki miał nawyk i  
przychodziło mu  
to naturalnie. Na tyle naturalnie, że  
dziewczyna w ogóle  
nie zauważyła, że ktoś przyszedł. Kiedy  
wreszcie się  
zorientowała, mężczyzna stał już przy jej  
biurku i spo-  
glądał na nią z góry.

- Chciałbym rozmawiać z dyrektorem -  
powiedział.

Mówił takim tonem, jakby miał zamiar  
przejechać  
białą rękawiczką po stole w poszukiwaniu  
kurzu.

Sekretarka nie miała pojęcia, o co chodziło.  
Podniosła  
głowę i przyjrzała mu się. Patrzył zbyt  
przenikliwie jak  
na klienta, wyglądał za dobrze na inspektora  
podatko-  
wego i za inteligentnie na policjanta. Inne  
zawody nie  
przychodziły jej do głowy. Mężczyzna  
pojawił się przed  
nią nagle, jak jakaś starannie zredagowana  
zła wiado-  
mość, i nie zniknął.

- Nie ma go w tej chwili - powiedziała,  
pospiesznie  
zamykając pismo. - Mówił, że wróci za pół



godziny.  
- Poczekam - odrzekł mężczyzna bez  
wahania, tak  
jakby od początku się tego spodziewał.

Zastanawiała się, czy spytać go o nazwisko, ale zrezygnowała i zaprowadziła do pokoju dla gości. Mężczyzna usiadł na błękitnej kanapie, *założył* nogę na nogę i znieruchomiał z wzrokiem wbitym w elektryczny zegar na przeciwległej ścianie. Nie zrobił ani jednego niepotrzebego ruchu. Kiedy później przyniosła mu napar z jęczmienia, ciągle siedział nieporuszony w tej samej pozycji.

- Akurat w tym miejscu, w którym siedzisz - powiedział partner. - I tak przez trzydzieści minut siedział w tej samej pozycji, wpatrując się w zegar. Spojrzałem na kanapę, na zegar naprzeciwko, a potem na partnera.

Jak na drugą połowę września było bardzo gorąco, ale mimo to mężczyzna był niezwykle starannie ubrany. Spod mankietów doskonale skrojonej szarej marynarki wystawało dokładnie półtora centymetra białej koszuli. Krawat był w paski, w subtelnych odcieniach i tak zawiązany, by tylko trochę zachwiana była proporcja między lewą a prawą stroną. Czarne buty z koźlej skóry lśniły.

Mógł mieć od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat, metr siedemdziesiąt pięć i ani grama niepotrzebego tłuszczu. Szczupłe dłonie nie miały ani jednej zmarszczki, a dziesięć długich gładkich palców przypominało stado zwierząt, które mimo wielu lat tresury zachowały jakieś

wspomnienia czasów wolności. Paznokcie  
były pięknie

**72**

wypolerowane dużym nakładem sił i czasu. Palce kończyły się dziesięcioma idealnymi owalami. Ręce były naprawdę piękne, ale sprawiały dziwnie nieprzyjemne wrażenie. Wskazywały na wysoką specjalizację w jakiejś dziedzinie, choć nie było dokładnie wiadomo, co to za dziedzina.

Jego twarz wyrażała mniej niż ręce. Rysy miał regularne, ale twarz była monotonna i nic się na niej nie rysowało. Nos o prostej linii i oczy jakby dorobione na końcu. Wargi wąskie i suche. Opalony. Od razu było widać, że ta opalenizna nie pochodzi z jakiejś przypadkowej plaży albo kortu tenisowego. Taką opaleniznę daje nieznane zwykłym ludziom słońce w nieznanym zwykłym ludziom miejscach.

Czas płynął zadziwiająco powoli. Te trzydzieści minut było zimne i twarde jak sworzeń w jakiejś ogromnej, sięgającej nieba maszynie. Kiedy partner powrócił z banku, wydało mu się, że powietrze w pokoju było bardzo ciężkie, jakby wszystko zostało przytwierdzone do podłogi gwoździami.

- Oczywiście, tak mi się tylko wydawało - powiedział partner.

- Oczywiście - odrzekłem.

Sekretarka, która została w firmie, żeby odbierać telefon, była już tym napięciem zupełnie wykończona. Nie wiedząc, o co chodzi, partner wszedł do pokoju i powiedział, że jest właścicielem firmy. Mężczyzna

poruszył się,

wyjął papierosa z kieszeni na piersi, zapalił i z lekką irytacją wypuścił dym. Powietrze wokół stało się odrobinę lżejsze.

- Ponieważ nie ma za dużo czasu, przejdźmy do rzeczy - powiedział spokojnie. Wyjął szybko z portfela wizytówkę, tak ostrą, że łatwo się nią skaleczył, i położył ją na stole. Nienaturalnie biała wizytówka była zrobiona z papieru podobnego do plastiku. Czarnymi literami wydrukowano na niej nazwisko. Brakowało tytułu, adresu i telefonu. Tylko cztery znaki imienia i nazwiska. Od patrzenia bolały oczy. Partner odwrócił wizytówkę, upewnił się, że po drugiej stronie nic nie ma, ponownie przyjrzał się nazwisku, a potem spojrzał na mężczyznę.

- Zna pan to nazwisko, prawda? - powiedział mężczyzna.

- Znam.

Mężczyzna przytaknął, obniżając podbródek o kilka milimetrów. Tylko oczy ani drgnęły.

- Proszę spalić.

- Spalić? - partner wpatrywał się w niego zaskoczony.

- Tę wizytówkę. Proszę od razu spalić - powiedział mężczyzna ostro.

Partner pospiesznie sięgnął po stojącą na stole zapalniczkę i podpalił rożek wizytówki. Trzymał ją w ręku, aż spaliła się do połowy, a potem położył w kryształowej popielniczce i obydwaj wpatrywali się w zamieniającą się w biały popiół wizytówkę. Kiedy został już tylko popiół, pokój wypełnił się ciężkim milczeniem, jakby właśnie

odbyła się w nim masakra.

**74**

- Przychodzę tu w imieniu tej osoby -  
powiedział  
mężczyzna po chwili. - Czyli wszystko, co  
panu powiem,  
proszę rozumieć jako życzenia tej osoby.

- Życzenia? - powtórzył partner.

- Życzenie to ładne słowo oznaczające  
podstawowy  
stosunek do określonego celu. Oczywiście -  
mówił mę-  
czyzna - można to też wyrazić inaczej.  
Rozumie pan?

Partner spróbował w myślach  
przetłumaczyć słowa  
mężczyzny na zwykły japoński.

- Rozumiem.

- Ale to nie jest rozmowa o ideach ani o  
polityce, tylko

O biznesie. - Mężczyzna poprawnie wymówił  
„business”.

Może był Amerykaninem pochodzenia  
japońskiego albo  
kimś takim.

- Pan jest biznesmenem i ja jestem  
biznesmenem.

I mówiąc realnie, między nami nie może  
być innej  
rozmowy niż rozmowa o biznesie. Niech o  
sprawach  
nierealnych rozmawiają inni, prawda?

- Tak - powiedział partner.

- Naszym zadaniem jest ubieranie takich  
nierealnych  
czynników w wyrafinowaną formę i  
umieszczanie ich  
w dziedzinie realnej. Ludzie często  
uciekają w sferę  
nierealną. Powodem jest to - mówiąc,  
mężczyzna dotknął  
palcem pierścionka z zielonym kamieniem,  
nałożonego  
na środkowy palec lewej ręki - że tak wydaje  
się łatwiej.

I często ludzie mają wrażenie, że nierealność  
zapanowa-  
ła nad realnością. Ale w świecie nierealnym  
nie istnieje  
biznes. Czyli jesteśmy ludźmi, którzy  
ukierunkowują





trudności. I dlatego jeżeli - przerwał na chwilę i jeszcze raz dotknął pierścionka - jeżeli nawet to, co teraz powiem, będzie zapowiadało dla pana jakieś trudności albo wy-  
magalo decyzji, proszę o zrozumienie. O to mi właśnie chodzi.

Partner nie bardzo rozumiał, o co właściwie chodzi, i milczał.

- A więc przedstawię życzenia tej osoby.

Po pierwsze, natychmiastowe przerwanie wydawania folderu reklamowego firmy ubezpieczeniowej P.

- Ale...

- Po drugie - mężczyzna przerwał partnerowi - chcę się spotkać z autorem tej strony.

Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki białą kopertę, a z niej złożoną na cztery kartkę i podał ją partnerowi. Partner wziął kartkę, rozłożył ją i obejrzał. Była to kartka z folderu reklamowego, który nasza firma zaprojektowała dla pewnej firmy ubezpieczeniowej. Zwykle zdjęcie z Hokkaido - chmury, góry, owce, łąka i zapożyczony skądś, nie najlepszy sielankowy wierszyk. To wszystko.

- To są nasze dwa życzenia. Co do pierwszego, to nie jest już właściwie życzenie, tylko fakt dokonany. Ściśle mówiąc, decyzje zgodne z naszymi życzeniami zostały już podjęte. Jeśli ma pan wątpliwości, proszę zadzwonić do kierownika działu reklamy.

- Rozumiem - powiedział partner.

- Ale łatwo mi sobie wyobrazić, że dla firmy tak małej jak wasza straty związane z taką sprawą mogą być bardzo



duże. Na szczęście jednak, jak pan zapewne wie, mamy niemałe wpływy w tym środowisku. I dlatego, jeśli spełnicie nasze drugie życzenie i jeżeli osoba odpowiedzialna za tę stronę dostarczy nam satysfakcjonujących informacji, jesteśmy gotowi nie tylko całkowicie zrekompensować wam poniesione straty, ale możemy zrobić dla was więcej.

W pokoju zapanowało milczenie.

- Jeżeli zaś nie spełnicie naszego życzenia - powiedział mężczyzna - wykończymy was. Nie będziecie mieli czego szukać w świecie reklamy.

Znowu milczenie.

- Czy ma pan jakieś pytania?

- Problem tkwi w tym zdjęciu, tak? -

zapytał niepewnie partner.

- Tak - odpowiedział mężczyzna - starannie dobiera-

jąc słowa, jakby miał ich ograniczony

zasób. - Tak, ale

nic ponadto nie mogę panu powiedzieć. Nie jestem do tego upoważniony.

- Skontaktuję się telefonicznie z osobą, która projek-

towała tę stronę. Myślę, że będzie tu o

trzeciej - powie-

dział partner.

- Dobrze - rzucił mężczyzna, spoglądając na zegarek.

- W takim razie o czwartej przyślę samochód. I jeszcze

jedno. To jest bardzo ważne: absolutnie nikt nie może

o tym wiedzieć. Zgadza się pan, prawda?

I rozstali się w sposób właściwy biznesmenom.

### 3. Szef

- I to wszystko - oznajmił partner.
- Nic z tego nie rozumiem - powiedziałem z niezapa-  
lonym papierosem w ustach. - Po pierwsze  
nie wiem, kim  
jest ten człowiek z wizytówki. Po drugie nie  
wiem, dlaczego  
nie podoba mu się zdjęcie owiec. No i nie  
wiem też, dla-  
czego może wstrzymać wydawanie naszego  
folderu.
- Człowiek z wizytówki jest grubą rybą  
prawicy.  
Ponieważ raczej nie pokazuje się publicznie,  
jego twarz  
i nazwisko nie są ogólnie znane, ale w  
świecie reklamy  
nie ma osoby, która by o nim nie słyszała.  
Pewnie ty jesteś  
jedyny.
- Nie są mi znane sprawy wielkiego  
świata - wy-  
jaśniłem.
- Powiedziałem „prawica”, ale on nie  
należy do tak  
zwanej prawicy, on nie należy nawet do  
prawicy.
- Coraz mniej rozumiem.
- Tak naprawdę to nikt nie wie, co on  
myśli. Nie  
wydał dzieł zebranych ani nie wygłasza  
publicznie prze-  
mówień. Nie zgadza się na wywiady ani na  
publikowanie  
żadnych zdjęć. Nie wiadomo nawet, czy żyje,  
czy umarł.  
Pięć lat temu dziennikarz z pewnego  
czasopisma próbo-  
wał nagłośnić sprawę jego zaangażowania w  
nielegalne  
inwestycje, ale został od razu uciszony.
- Jesteś świetnie poinformowany.
- Pośrednio znałem tego dziennikarza.

Zapaliłem zapalniczką trzymanego w ustach papierosa.

- Co teraz robi ten dziennikarz?

- Przeniesiono go do działu handlowego i od rana do

wieczora porządkuje rachunki. Świat mass mediów jest

zaskakująco mały i takie załatwienie sprawy to bardzo

dobre ostrzeżenie dla innych. Tak jak czaszki wiszące

przy bramach afrykańskich wiosek.

- O rany - powiedziałem.

- Ale wiadomo co nieco o jego życiu przed wojną.

Urodził się w tysiąc dziewięćset trzynastym na Hokkaido,

skończył tam szkołę podstawową i przyjechał do Tokio.

Tu ciągle zmieniał pracę i związał się z prawicą. Chyba

tylko raz był w więzieniu. Po zwolnieniu wyjechał do

Mandżurii, zaprzyjaźnił się z oficerami w sztabie Armii

Kwantuńskiej i stworzył jakąś organizację, nie wiem

dokładnie na czym polegającą. Od tego momentu powoli

staje się człowiekiem - zagadką. Krążą plotki, że zajmo-

wał się handlem narkotykami, pewnie tak było. Zagrabił

w Chinach, ile się dało, i powrócił do Japonii na pokładzie

niszczyciela na dwa tygodnie przed przystąpieniem do

wojny Związku Radzieckiego, przywożąc więcej szlachet-

nych kruszców, niż mógł unieść.

- Świetnie wyliczone w czasie.

- Tak, on zawsze wszystko robi we właściwej chwili.

Wie, kiedy atakować i kiedy się wycofać. I ma wyczucie.

Armia okupacyjna aresztowała go jako zbrodniarza wo-

jennego klasy A, ale śledztwo zostało przerwane i nie

doszło do oskarżenia. Oficjalnie z powodu choroby, lecz

dużo tam niejasności. Prawdopodobnie doszło do jakiegoś porozumienia z Amerykanami, bo MacArthur miał zakusy na Chiny.

Partner podniósł z biurka długopis i zaczął obracać go w palcach.

- Gdy wyszedł z więzienia Sugamo, wydobyl skarb, który uprzednio gdzieś ukrył, i podzielił go na dwie części.

Za jedną połowę wykupił całą frakcję konserwatywną, a za drugą cały biznes reklamowy. To w czasach, gdy reklama ograniczała się do ulotek.

- Trzeba przyznać, że miał dar przewidywania. Czy nie zarzucono mu, że ukrywa dochody?

- Nie żartuj! Przecież miał w garści frakcję konserwatywną.

- No tak - powiedziałem.

- Dzięki tym pieniądzom opanował politykę i reklamę i tak to trwa do dziś. On sam pozostaje niewidoczny, bo nie ma potrzeby, by się ujawniał. Jak się dzierży w ręku

reklamę i politykę, to nie ma rzeczy niemożliwych. Czy wiesz, co to znaczy opanować reklamę?

- Nie.

- Opanować reklamę to znaczy kontrolować prawie cały rynek wydawniczy i media. Bez reklamy nie mogą istnieć. To tak jak akwarium bez wody. Dziewięćdziesiąt pięć procent wiadomości, jakie oglądasz, to wiadomości kupione i wyselekcjonowane.

- Nadal nie rozumiem - powiedziałem. - Rozumiem, że trzyma w ręku przemysł informacyjny, ale dlaczego





ma wpływ nawet na folder reklamowy firmy ubezpieczeniowej? Przecież to był kontrakt zawarty z nami, bez pośrednictwa żadnej dużej firmy.

Partner zakaszał i wypił do końca wywar z jęczmienia, który nie był już zimny.

- Akcje. Jego pieniądze pochodzą z akcji. Manipulacje giełdowe, skup akcji, wykupywanie firm i tak dalej. Jego służby informacyjne gromadzą potrzebne informacje, a on je selekcjonuje. Tylko ułamek z nich dociera do mediów, a resztę zatrzymuje Szef. Oczywiście nie bezpośrednio, ale bywają też przypadki szantażu. Jeśli szantaż nie skutkuje, informacja jest przekazywana politykom do późniejszego wykorzystania.

- Chodzi o to, że każda firma ma jakiś słaby punkt?

- Każda firma ma jakąś tajemnicę i nie chciałaby, aby ta tajemnica została wyjawiona na zebraniu akcjonariuszy. I zwykle słucha, co się do niej mówi. Czyli Szef jest bogiem ponad tą trójcą, składającą się z polityki, przemysłu informacyjnego i akcji. Myślę, że teraz już rozumiesz, że dla niego zlikwidowanie jednego foldera reklamowego czy uczynienie nas bezrobotnymi jest łatwiejsze niż obranie jajka za skorupki.

- Coś takiego - powiedziałem. - Ale dlaczego taka gruba ryba przejmuje się jakimś zdjęciem z Hokkaido?

- To bardzo dobre pytanie - powiedział partner bez większego zainteresowania. - Właśnie miałem cię o to samo zapytać.

Milczeliśmy.

- A właśnie, skąd wiedziałeś, że chodzi o owce? - za-  
pytał. - Skąd? Czy dzieje się coś, o czym ja nie wiem?

- Bezimienne krasnoludki przędą w lesie na kołowrotku.

- Mógłbyś powiedzieć to tak, żebym zrozumiał?

- Szósty zmysł.

- O rany - westchnął partner. - Tak czy inaczej, mam jeszcze dwie najświeższe wiadomości. Dzwoniłem do tego dziennikarza, o którym wspominałem. Po pierwsze, mówi się, że Szef miał wylew czy coś takiego i ponoć jego stan jest beznadziejny. Ale nie jest to jeszcze oficjalnie potwierdzone. Druga wiadomość dotyczy mężczyzny, który tu przyszedł. To Numer Dwa, osobisty sekretarz Szefa i podobno to właśnie jemu Szef powierzył kierowanie organizacją. Jest Amerykaninem japońskiego pochodzenia, skończył Stanford i pracuje dla Szefa od dwudziestu lat. Nic bliżej o nim nie wiadomo, ale podobno jest niezwykle inteligentny. Tylko tyle udało mi się dowiedzieć.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Nie ma za co. - Partner nie patrzył na mnie. Jeśli nie pil za dużo, był ode mnie pod każdym względem porządniejszy. Był bardziej życzliwy niż ja, jego myśli były bardziej niewinne i lepiej zorganizowane. Ale prędzej czy później się upijał. To nie była pocieszająca myśl. Ludzie porządniejsi ode mnie schodzą na psy wcześniej niż ja.

Partner wyszedł z pokoju, a ja wyciągnąłem z szuflady

jego whisky i się napiłem.

**82**

#### 4. Liczenie owiec

'?\*

Możemy błądzić bez celu po krainie  
przypadkowości.

Tak samo jak skrzydlate nasionka niektórych  
roślin są

przenoszone przez kapryśny wiosenny wiatr.

Ale można też uważać, że w ogóle nie  
istnieje żadna

przypadkowość. To, co się już zdarzyło,  
najwyraźniej się

już zdarzyło, a to, co się nie zdarzyło,  
najwyraźniej się nie

zdarzyło. Czyli jesteśmy tylko chwilowym  
bytem uwię-

zionym pomiędzy „niczym” przed nami i  
„wszystkim” za

nami i nie ma tu ani przypadkowości, ani  
prawdopodo-

bieństwa. Między tymi dwoma poglądami  
nie ma właś-

ciwie dużej różnicy. To tak jakby nadać tej  
samej potrawie

dwie różne nazwy (dotyczy to zresztą  
większości przeciw-  
stawnych poglądów).

I tyle przenieśni.

To, że użyłem w folderze reklamowym  
zdjęcia owiec,

było według pierwszego poglądu (a)  
przypadkowe, we-

dług drugiego poglądu (b) nieprzypadkowe.

a) Szukałem odpowiedniego zdjęcia do  
biuletynu

reklamowego. Przypadkiem miałem w  
szufladzie zdjęcie

owiec. Wykorzystałem je. Spokojny  
przypadek w spokoj-

nym świecie.

b) Zdjęcie owiec cały czas czekało na mnie w szufladzie. Jeśli nawet nie użyłbym go do tego folderu reklamowego, użyłbym go kiedy indziej.

Jakby się zastanowić, mógłbym zastosować te zasady do wszystkich aspektów mojego dotychczasowego życia. Gdybym trochę poćwiczył, może nauczyłbym się żyć według sposobu (a) prawą ręką i według sposobu (b) lewą ręką. No ale to przecież w końcu wszystko jedno. To tak jak z otworem w obwarzanku. To, czy traktujemy otwór w obwarzanku jako próżnię czy jako byt, jest tylko kwestią metafizyczną i ani trochę nie wpływa na smak obwarzanka.

Kiedy partner wyszedł z pokoju, zrobiło się w nim nagle bardzo pusto. Tylko wskazówka elektrycznego zegara przesuwiała się bezszelestnie. Był jeszcze czas do przybycia samochodu o czwartej i nie miałem nic do roboty. W pokoju obok też panowała cisza. Siedziałem na błękitnej kanapie, popijałem whisky i wpatrywałem się we wskazówkę zegara, czując się jak nasionko dmuchawca unoszone przyjemnym powiewem klimatyzatora. Dopóki wpatrywałem się w zegar, wiedziałem przynajmniej, że świat idzie do przodu. Nawet jeśli to nie był duży świat, w każdym razie szedł do przodu. A skoro uświadamiałem sobie, że świat idzie do przodu, to znaczy, że istniałem. Nawet jeśli to nie było ważne

istnienie, to  
i tak istniałem. Wydało mi się dziwne, że  
człowiek może



uświadomić sobie swoje istnienie tylko przez  
wpatrywanie  
się we wskazówkę zegara. Na świecie muszą  
być też inne  
sposoby poznania. Myślałem nad tym, ale nic  
odpowied-  
niego nie przychodziło mi do głowy.

Zrezygnowałem i napiłem się whisky.  
Uczucie gorąca  
przeszło z gardła przez przetyk i gładko  
ześlizgnęło się na  
dno żołądka. Za oknem rozciągało się  
błękitne letnie  
niebo pokryte białymi obłoczkami.  
Wyglądało jak ładny,  
ale zniszczony antyk. Jak antyk starannie  
wypolerowany  
spirytusem przed aukcją. Wypiłem jeszcze  
łyk za to  
niebo, za to letnie niebo, które kiedyś było  
takie nowe.

Ta szkocka whisky nie była zła. I niebo, jak  
się człowiek  
przyzwyczaił, też nie było złe. Z lewej  
strony okna na  
prawą przeleciał jumbo jet. Wyglądał jak  
błyszczący  
owad pokryty twardym pancerzem. Kiedy  
kończyłem  
drugą whisky, ogarnęły mnie wątpliwości  
na temat:

dlaczego ja tu jestem?

O czym to ja myślałem?

O owcach.

Wstałem, zabrałem z biurka zdjęcie  
strony z folderu  
i wróciłem na kanapę. Potem ssąc kostki  
lodu o smaku  
whisky, przez jakieś dwadzieścia sekund  
wpatrywałem się  
uparcie w zdjęcie, próbując zgadnąć, jakie  
może mieć  
znaczenie.

Na zdjęciu było stado owiec na łące. Za  
łąką znajdował  
się brzozowy las. Te typowe dla Hokkaido  
wielkie brzozy.  
Nie małe brzożki rosnące przy bramie  
schludnego domu

pobliskiego dentysty. Wielkie brzozy, o  
których pnie

mogłyby jednocześnie ostrzyć pazury cztery niedźwiedzie.  
Sądząc po wielkości listków, była to chyba wiosna. Na szczytach gór w głębi jeszcze leżał śnieg. Bielał też gdzieś niegdzie na zboczach. Pewnie kwiecień lub maj. Pora, kiedy ziemia jest mokra od topniejącego śniegu. Niebo było niebieskie (prawdopodobnie niebieskie, bo nie można mieć całkowitej pewności na podstawie czarno-białego zdjęcia; mogło być nawet łososiowe), a nad górami unosiły się cienkie białe chmurki. Patrzyłem i patrzyłem, ale stado owiec oznaczało jedynie stado owiec, brzozy oznaczały brzozy, a białe chmurki białe chmurki. Tylko to. Nic innego.

Rzuciłem zdjęcie na stół, zapaliłem papierosa i ziewnąłem. Potem znowu wziąłem zdjęcie i zacząłem liczyć owce, ale łąka była bardzo duża i owce rozbiegły się po niej jak na pikniku w samo południe. Im dalej się posuwałem, tym mniej byłem pewny, czy to owca, czy tylko biały punkcik, potem już nie byłem nawet pewien, czy to biały punkcik, czy tylko złudzenie, a w końcu nie wiedziałem już, czy to złudzenie, czy w ogóle tam nic nie ma. Nie mając innego wyjścia, posługując się końcem długopisu, policzyłem tylko te przedmioty, co do których miałem pewność, że są owcami. Naliczyłem trzydzieści dwie. Trzydzieści dwie owce. Najzwyczajniej szy w świecie widoczek. Ani szczególnie pięknie skomponowany, ani stylowy.

Ale coś w nim było. Był zapach kłopotów.  
Poczułem  
go, kiedy pierwszy raz zobaczyłem to  
zdjęcie, i czułem  
cały czas przez te trzy miesiące.

Położyłem się na kanapie i trzymając  
zdjęcie nad  
głową, jeszcze raz policzyłem owce.

Trzydzieści trzy.

Trzydzieści trzy?

Zamknąłem oczy, pokręciłem głową i  
starałem się  
o niczym nie myśleć. Niech się dzieje, co  
chce. Nawet  
jeżeli coś ma się stać, to jeszcze się nie stało.  
A jak się  
stało, to już i tak po wszystkim.

Leżąc na kanapie, jeszcze raz próbowałem  
policzyć  
owce. I tak zasnąłem głębokim snem  
popołudnia pod-  
lanego dwiema szklaneczkami whisky. Przed  
zaśnięciem  
przez chwilę pomyślałem o uszach nowej  
dziewczyny.

## 5. Samochód i jego kierowca (1)

Tak jak zapowiedział mężczyzna, o  
czwartej przyjechał  
po mnie samochód. Dokładnie o czwartej,  
jak w zegarze  
z kukułką. Sekretarka wyciągnęła mnie z  
głębi twardego  
snu. Umyłem twarz w umywalce, lecz  
senność wcale nie  
odeszła. W czasie jazdy windą ziewnąłem  
trzy razy.

Ziewałem tak, jakbym kogoś oskarżał, ale to  
ja byłem  
oskarżającym i zarazem oskarżonym.

Na ulicy przed wejściem do budynku stał  
wielki  
samochód, wyglądający jak łódź podwodna.  
Był tak wielki,  
że pod jego maską mogłaby zamieszkać jakaś  
niewymaga-  
jąca rodzina. Szyby miał przydymione,  
niebieskawe, tak że

z zewnątrz nie można było zajrzeć do środka. Lśnił czarnym lakierem i nigdzie, nawet na zderzaku czy na felgach, nie było najmniejszej plamki. Obok samochodu czekał wyprostowany kierowca w średnim wieku, odziany w czystą białą koszulę i pomarańczowy krawat. Prawdziwy kierowca. Kiedy podszedłem, w milczeniu otworzył drzwi, poczekał, aż się usadowię, i zamknął. Potem sam wsiadł i zamknął drzwi. Dźwięk był tak cichy jak odwrócenie karty z nowej talii. W porównaniu z moim kupionym od przyjaciela piętnastoletnim garbusem w tym samochodzie było tak cicho, jakbym siedział na dnie jeziora z korkami w uszach.

Wnętrze też było imponujące. Podobnie jak wyposażenie większości samochodów, nie było może gustowne, ale niewątpliwie imponujące. Pośrodku wielkiego tylnego siedzenia znajdował się elegancki telefon, obok srebrny komplet składający się z zapalniczki, popielniczki i papierosnicy. Do tyłu przedniego siedzenia przymocowany był składany stolik i mała szafka, tak że można było coś sobie napisać albo zjeść. Klimatyzacja była cicha i przyjemna, a dywan na podłodze miękki.

Nie zauważyłem, kiedy samochód ruszył. Tak jakbym jechał w metalowej misie po gładkiej powierzchni jeziora wypełnionego rtęcią. Zastanowiłem się, ile musiał kosztować, ale nie było sensu nad tym myśleć. Suma przekraczała na pewno granice mojej

wyobraźni.

- Czy życzy pan sobie posłuchać muzyki?  
- zapytał  
szofer.

- Jakiejś usypiającej - powiedziałem.
- Oczywiście.

Kierowca wyszukał pod siedzeniem kasetę i włączył przycisk na desce rozdzielczej. Z dobrze ukrytych głośników popłynęły ciche tony sonaty na wiolonczelę solo.

I wybór utworu, i dźwięk były bez zarzutu.

- Czy zawsze wozi pan gości tym samochodem?

- zapytałem.

- Tak - odpowiedział kierowca ostrożnie.

- Ostatnio tak.

- Ach tak?

- To był dawniej samochód do wyłącznego użytku

Szefa - powiedział po chwili kierowca. Był znacznie

sympatyczniejszy, niż wydał mi się na początku. - Ale od

czasu gdy wiosną zachorował, już nie wychodzi, a nie ma

sensu, by samochód stał bezczynnie. A poza tym, jak pan

zapewne wie, jeżeli się regularnie samochodem nie jeździ,

nie można być go pewnym.

- Aha - powiedziałem.

To znaczy, że fakt choroby Szefa nie jest tajemnicą.

Wyjąłem z papierośnicy jednego papierosa i obejrzałem

go. Nie miał nazwy. Był to robiony na zamówienie

papieros bez filtra i kiedy zbliżyłem go do nosa, poczułem

zapach rosyjskiego tytoniu. Wahałem się przez chwilę,

czy zapalić, czy raczej schować go do kieszeni, ale w końcu

odłożyłem z powrotem do papierośnicy. Na papierośnicy

i zapalniczce wygrawerowany był wymyślny herb. W her-

bie widniała owca.





Owca?

Wydawało mi się, że zastanawianie się nad tym nie ma sensu, więc położyłem głowę na oparciu siedzenia i zamknąłem oczy. Od dnia, kiedy zobaczyłem tamto zdjęcie uszu, wiele rzeczy zaczęło wymykać mi się z rąk.

- Jak szybko dojedziemy do celu? - zapytałem.

- Za jakieś trzydzieści do czterdziestu minut, zależnie od ruchu na drodze.

- To czy mógłby pan trochę przykręcić klimatyzację?

Chciałbym dokończyć moją popołudniową drzemkę.

- Oczywiście.

Kierowca wyregulował klimatyzację i nacisnął jakiś guzik na desce rozdzielczej. Cicho uniosła się gruba szklana szyba i oddzieliła tylne siedzenie od przedniego.

Gdyby nie liczyć tonów Bacha, pogrążyłem się w absolutnej ciszy, lecz przestałem się już czemukolwiek dziwić.

Przytuliłem policzek do oparcia siedzenia i usnąłem.

Śniła mi się mleczna krowa. Taka raczej nieduża, ale wyglądająca, jakby wiele w życiu przeszła. Mijaliśmy się na dużym moście. Było przyjemne wiosenne popołudnie.

Krowa miała pod pachą stary wentylator i zapytała, czybym go tanio nie kupił. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy. Naprawdę nie miałem.

- W takim razie możesz mi w zamian dać obcęgi

- powiedziała krowa.

Wcale niezły interes, pomyślałem. Wróciliśmy razem do mnie do domu i wszędzie szukałem obcęarów, ale nie

mogłem znaleźć.

90

- Dziwne - powiedziałem - jeszcze  
wczoraj tu były.

Kiedy przyniosłem krzesło, żeby  
sprawdzić na górnej  
półce, kierowca obudził mnie, poklepując po  
ramieniu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Otworzyły się drzwi. Poczulem na twarzy  
słońce

późnego popołudnia. Tysiące cykad cykało,  
jakby na-

kręcały zegarki. Pachniało ziemią.

Wysiadłem z samochodu, wyprostowałem  
plecy i ode-

tchnąłem głęboko. I zacząłem się modlić,  
żeby ten sen

nie był symboliczny.

## 6. Czym jest wszechświat dżdżownicy?

Są symboliczne sny i są zdarzenia, które  
te sny

symbolizują. A może są symboliczne zdarzenia i  
są sny przez

nie symbolizowane. Symbol jest jakby  
honorowym burmist-

rzem we wszechświecie dżdżownicy. We  
wszechświecie

dżdżownicy mleczna krowa poszukująca  
obcęgów nie jest

niczym niezwykłym. Pewnie w końcu krowa  
znajdzie te

obcęgi, lecz to nie będzie miało ze mną nic  
wspólnego.

Ale jeżeli krowa będzie próbowała  
wykorzystać mnie

do szukania obcęgów, sytuacja stanie się  
diametralnie

różna. Wtedy znajdę się we wszechświecie  
o innym

sposobie myślenia. Można by dużo mówić o  
tym, dla-

czego kłopotliwe jest znalezienie się we  
wszechświecie

o innym sposobie myślenia. Pytam krowę:  
dlaczego



szukasz obcęgów? Krowa odpowiada: jestem strasznie głodna. Ja pytam: po co ci obcęgi, jeżeli jesteś głodna? Krowa odpowiada: przyczepię je do gałęzi drzewa brzoskwiniowego. Ja pytam: dlaczego brzoskwiniowego? Krowa odpowiada: no i właśnie dlatego pozbyłam się wentylatora. I tak bez końca. Ja zaczynam czuć nienawiść do krowy, a krowa zaczyna nienawidzić mnie. To jest właśnie wszechświat dżdżownicy. Żeby się z niego wydostać, musi się przyśnić inny symboliczny sen.

Miejsce, do którego przywiózł mnie ów wielki samochód w to wrześniowe popołudnie w 1978, było właśnie w samym centrum takiego wszechświata dżdżownicy. Inaczej mówiąc, moja modlitwa nie została wysłuchana. Rozejrzałem się wokół i westchnąłem. Miałem powód do westchnienia.

Samochód stał na szczycie małego pagórka. Z tyłu była zwirowa droga, którą musieliśmy tu przyjechać. Droga ta była jakby specjalnie kręta i dochodziła aż do widocznej w oddali bramy. Wzdłuż drogi jak rząd olówek stały w równych odległościach rtęciowe latarnie i cyprysy. Do bramy szłoby się pewnie z piętnaście minut wolnym krokiem. Pnie wszystkich cyprysów były oblepione niezliczonymi cykadami, które grały, tak jakby świat miał się niebawem skończyć.

Za cyprysami rozciągał się, opadając w dół, starannie

przystrzyżony trawnik. Na jego pochyłości  
bezładnie  
porozrzucane rosły krzewy azalii, hortensji i  
inne, bliżej

mi nieznane. Stado szpaków przesuwalo się po trawniku z lewej na prawą jak kapryśne ruchome piaski.

Po obu stronach pagórka znajdowały się wąskie kamienne schodki; u podnóża po prawej był ogród w stylu japońskim, ze stawem i kamiennymi latarniami, a po lewej - niewielkie pole golfowe. Obok niego znajdowała się altanka w kolorze lodów rumowych z rodzynkami, a za nią kamienny posąg greckiego boga. Jeszcze dalej, za posągiem, był ogromny garaż, przed którym inny kierowca polewał gumowym wężem inny samochód. Nie widziałem dokładnie, co to za samochód, ale na pewno nie był to używany volkswagen.

Stałem tak z założonymi rękami i jeszcze raz omiotłem wzrokiem ogród. Nie było się do czego przyczepić, ale zaczęła mnie od tego wszystkiego lekko boleć głowa.

- A gdzie jest skrzynka pocztowa? - zapytałem na wszelki wypadek.

Ciekawiło mnie, kto chodzi rano i wieczorem aż do bramy po gazetę.

- Skrzynka pocztowa jest przy tylnej bramie - powiedział kierowca.

Oczywiście. Jest i tylna brama.

Gdy skończyłem wpatrywanie się w ogród, spojrzałem przed siebie i zobaczyłem duży budynek.

Budynek wyglądał bardzo samotnie. Założmy, że jest jakaś reguła. No i jest oczywiście jakiś mały wyjątek, lecz z upływem czasu ten wyjątek rozrasta się jak plama i w końcu sam staje się jakąś inną regułą.



Tam z kolei

93

rodzi się nowy mały wyjątek i tak dalej - to właśnie przyszło mi do głowy, gdy patrzyłem na budynek. Przyminał jakieś prehistoryczne stworzenie, które ewoluowało, samo nie wiedząc w jakim kierunku.

Na początku był to chyba budynek w stylu zachodnim z okresu Meiji\*. Wysoki portal w stylu klasycystycznym znajdował się w centrum kremowej, dwupiętrowej części. Staromodne, wysokie podwójne okna, kilka razy odnawiane. Dach oczywiście pokryty miedzią, a rynny tak solidne, jak w rzymskim akwedukcie. Ta część budynku sama w sobie nie była taka zła. Sprawiała wrażenie czegoś eleganckiego, pochodzącego z dawnych, dobrych czasów.

Niestety jakiś dowcipny architekt doczepił do prawej strony aneks, dokładnie w tym samym kolorze i w tym samym stylu, zamierzając zapewne dopasować go do reszty. Cel był szczytny, ale dwie części zupełnie do siebie nie pasowały. Tak jakby ktoś na srebrnym talerzu podał sorbet i brokoły. Po tych zmianach upłynęło kilkadziesiąt bezczynnych lat i później dobudowano coś w rodzaju kamiennej wieży, a jeszcze później na szczycie wieży pojawił się ozdobny piorunochron. I to właśnie był błąd. Nie należało go tam umieszczać. Lepiej byłoby, gdyby cała budowla spłonęła od uderzenia pioruna.

Od wieży biegł pokryty ciężkim dachem korytarz, prowadzący do aneksu. Aneks też był jedyny w swoim rodzaju, ale przynajmniej reprezentował

jednolity wyraż-

---

Okies Meiji - 1868-1912

94

ny styl. Można by to nazwać „niezgodnością  
idei”. Wokół  
całego budynku unosił się żal podobny do  
tego, jaki musi  
czuć osiołek, któremu dano w żłobie i owies, i  
siano, a on  
umiera z głodu, nie mogąc się zdecydować.

Po lewej stronie domu, jako kontrast,  
rozciągała się  
parterowa willa w stylu japońskim.  
Żywopłot, starannie  
utrzymane sosenki i eleganckie proste  
korytarze przypo-  
minające tory w kręgielni.

Jako całość budowla przywodziła na myśl  
projekcję  
trzech filmów naraz, poprzedzoną  
zwiastunami innych,  
i stanowiła dość niezwykły widok. Jeżeli ktoś  
z premedy-  
tacją zaprojektował i budował ten dom przez  
długie lata,  
tak by w rezultacie odpędzał senność  
śpiącego i powodo-  
wał trzeźwienie pijaka, to powiodło mu się  
znakomicie.  
No ale tak oczywiście nie było. Takie  
budynki powstają  
przez kilka epok z połączenia dużych  
pieniędzy i drugo-  
rzędnego talentu.

Musiałem bardzo długo przyglądać się  
ogrodowi i bu-  
dynkowi, bo gdy się obejrzałem, kierowca  
stał obok mnie  
i spoglądał na zegarek. Wyglądało to na  
rutynową czyn-  
ność. Prawdopodobnie większość gości,  
których przywozi,  
tak samo jak ja staje na tym pagórku i gapi  
się wokoło.

- Jeżeli ma pan ochotę dłużej popatrzeć, to  
proszę bar-  
dzo - powiedział. - Mamy jeszcze osiem  
minut.

- Bardzo rozległy teren. - Żadne inne  
wyrażenie nie  
przychodziło mi do głowy.

- Dziesięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt

metrów kwa-  
dratowych - powiedział kierowca.

95'

- Brakuje tu jeszcze tylko czynnego wulkanu - zażartowałem, ale kierowca oczywiście nie zrozumiał. Tutaj nikt nie żartował. I tak upłynęło osiem minut.

Wprowadzono mnie do pokoju w stylu europejskim, mniej więcej piętnastometrowego, który znajdował się po prawej stronie od głównego wejścia. Pokój był bardzo wysoki, a pomiędzy ścianą i sufitem biegł rzeźbiony ornament. Stała tu stonowana, antyczna kanapa, stolik, a na ścianie wisiała martwa natura z okresu największego rozkwitu realizmu. Jabłko, wazon i nóż do papieru. Może dzieli się jabłko, uderzając w nie wazonem, i potem obiera nożem. Pestki i ogryzek można włożyć do wazonu. W oknach wisiały grube zasłony i firanki. Jedne i drugie podwiązano z boku dobranym kolorystycznie sznurem. Z okna widać było stosunkowo najlepszą część ogrodu. Dębowa posadzka lśniła ładnym blaskiem. Pokrywający połowę podłogi dywan wyglądał na stary, ale nadal zachował swoją grubość.

Niezły pokój. Całkiem niezły.

Ubrana w kimono służąca w średnim wieku weszła do pokoju, postawiła na stole szklanę soku z winogron i w milczeniu wyszła. Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem i zapanowała cisza.

Na stole leżały: srebrna papierośnica, zapalniczka i popielniczka, takie same jak te w samochodzie. I na każdej z nich był wygrawerowany ten sam herb z owcą.

Wyjąłem z kieszeni swoje papierosy z  
filtrem, zapaliłem

jednego srebrną zapalniczką i wypuściłem dym w kierunku wysokiego sufitu. Potem napiłem się soku z winogron.

Po dziesięciu minutach znowu otworzyły się drzwi i wszedł wysoki mężczyzna w czarnym garniturze. Nie powiedział ani „Witam”, ani „Przepraszam, że musiał pan czekać”. Ja też się nie odezwałem. W milczeniu usiadł naprzeciw mnie i lekko przechyliwszy głowę, przyglądał mi się, jakby próbując mnie oszacować. Tak jak powiedział partner, ten mężczyzna nie miał wyrazu twarzy.

Upłynęła dłuższa chwila.



Rozdział piąty  
Listy od Szczura i ich  
echa



## 1. Pierwszy list od Szczura

Data na stemplu pocztowym: 21 grudnia  
1977

Jak się masz? Wydaje mi się, że strasznie dawno się nie widzieliśmy. Ile to już lat?

Ile to właściwie lat?

Stopniowo tracę rachubę czasu, tak jakby na głowie przysiadł mi duży czarny ptak i bez przerwy trzepotał skrzydłami. Mogę doliczyć tylko do trzech. Przepraszam, ale chyba sam będziesz musiał policzyć te lata.

Wyjechałem z miasta, nikomu nic nie mówiąc. Może, że wynikły z tego dla Ciebie jakieś kłopoty. A może było ci nieprzyjemnie, że nawet Tobie nie powiedziałem o swoim wyjeździe. Wiele razy chciałem Ci się wytłumaczyć, ale jakoś nie umiałem. Pisałem listy i darłem je. No, ale to oczywiste, że człowiek nie umie wytłumaczyć innym tego, czego nawet sam dobrze nie rozumie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Nigdy nie umiałem pisać listów. Myli mi się kolejność, używam przez pomyłkę słów o odwrotnym znaczeniu.

A poza tym podczas pisania listów staję się jeszcze bardziej dezorientowany. W dodatku gdy czytam swoje listy, zaczynam mieć sam siebie dość, ponieważ widzę wtedy jasno, że nie mam poczucia humoru.

Zazwyczaj ludzie, którzy umieją pisać listy, nie muszą ich pisać. To dlatego, że mogą żyć we własnym



kontekście. No, ale to jest oczywiście tylko moje prywatne zdanie. Być może nie da się żyć w kontekście.

Jest strasznie zimno i ręce mi zgrabiały. Zdaje się, że należą do kogoś innego. Moje szare komórki też są jakby nie moje. Pada teraz śnieg. Wygląda jak szare komórki kogoś innego. I gromadzi się jak szare komórki kogoś innego. (Te zdania nic nie znaczą).

Gdyby nie zimno, miałbym się zupełnie dobrze. A co u Ciebie? Nie podaję Ci adresu, ale nie przejmuj się tym. To nie dlatego, że chcę coś przed Tobą ukryć. Zapewniam Cię, że nie. To bardzo delikatna sprawa. Zdaje mi się, że jakbym podał Ci adres, coś we mnie by się zmieniło. Nie umiem tego dobrze wyjaśnić.

Ty zawsze rozumiesz to, czego ja nie umiem dobrze wyjaśnić. Ale im lepiej rozumiesz, tym trudniej mi jest tłumaczyć. To pewnie jakaś wrodzona wada.

Oczywiście każdy ma jakieś wady, lecz moją największą wadą jest chyba to, że moje wady pogłębiają się z wiekiem. Tak jakbym w środku hodował kure. Kura znosi jajko, to jajko przekształca się w kure i ta nowa kura znosi jajko. Czy człowiek może tak żyć, żyć z taką wadą? Oczywiście że może. Właśnie na tym polega problem.

W każdym razie nie napiszę na kopercie swojego adresu. Tak będzie lepiej. I dla mnie, i dla Ciebie.

Może powinniśmy się byli urodzić w

dziewiętnasto-  
wiecznej Rosji. Ja byłbym jakimś księciem,  
ty jakimś

102

hrabią, jeździlibyśmy razem na polowania,  
pojedynkowa-  
libyśmy się, kochalibyśmy się w tych samych  
kobietach,  
mielibyśmy metafizyczne kłopoty i  
przyglądając się za-  
chodom słońca, popijalibyśmy piwo nad  
brzegami Morza  
Czarnego. A w późniejszych latach za udział  
w jakimś  
powstaniu zesłaliby nas razem na Syberię i  
tam byśmy  
umarli. Nie uważasz, że to byłoby wspaniałe?  
Gdybym się  
urodził w dziewiętnastym wieku, napisałbym  
lepszą po-  
wieść. Nie dorównałbym może  
Dostojewskiemu, ale był-  
bym niezłym drugorzędny pisarzem.  
Ciekawe, co Ty byś  
robił? Może po prostu byłbyś hrabią  
jakimśtam. Ale nawet  
samo bycie hrabią jakimśtam nie byłoby złe.  
Takie jakieś  
dziewiętnastowieczne.

No ale zostawmy to. Wróćmy do  
dwudziestego wieku.

Powiem Ci coś o mieście. Nie o tym, w  
którym się  
urodziliśmy, o innym mieście.

Są na świecie różne miasta. Każde ma w  
sobie coś  
niezrozumiałego i to mnie zawsze  
intryguje. Dlatego  
przez tych kilka lat byłem w wielu miastach.  
Jak się  
przypadkiem znajdę w takim mieście i wyjdę  
z budynku  
dworca, zawsze widzę przed sobą małe  
rondko. Wisi tam  
plan miasta, a w pobliżu jest pasaż  
handlowy. W każdym  
mieście jest tak samo. Nawet mordy psów są  
takie same.

Mimo to postanawiam jednak zrobić rundkę  
po mieście,  
potem wchodzę do biura pośrednika  
wynajmu mieszkań

i proszę o znalezienie taniego pokoju przy rodzinie.  
Oczywiście jestem obcy, a małe miasteczka nie są zbyt



życzliwe dla obcych i dlatego pośrednik nie od razu mi ufa, ale jak sam wiesz, jeśli tylko chcę, to potrafię być sympatyczny i zwykle udaje mi się zaprzyjaźnić prawie z każdym w ciągu kwadransa. W ten sposób mam już gdzie mieszkać i wiem trochę o mieście.

Następnie trzeba znaleźć pracę, więc należy zacząć od zaprzyjaźniania się z różnymi ludźmi. Ty byś pewnie od razu miał dosyć (ja zresztą też mam po pewnym czasie dosyć), ale i tak zwykle nie zatrzymuję się nigdzie powyżej czterech miesięcy. Najpierw trzeba znaleźć kawiarnię albo bar, do którego przychodzą młodzi ludzie (w każdym mieście jest takie miejsce, jakby serce), zacząć tam regularnie chodzić, poznać różnych ludzi i oni pomogą znaleźć pracę. Oczywiście podaję zmyślane nazwisko i informacje o sobie. Nie wyobrażasz sobie, ile mam teraz nazwisk i biografii. Czasami boję się, że mogę zapomnieć, kim jestem naprawdę.

Pracowałem już w wielu miejscach. W większości przypadków praca była nudna, ale przyjemnie jest być czymś zajęтым. Najczęściej zatrudniałem się na stacjach benzynowych. Bywałem też barmanem, pracowałem w księgarni, a nawet w rozgłośni radiowej. Byłem także robotnikiem drogowym i sprzedawcą kosmetyków. Jako sprzedawca cieszyłem się bardzo dobrą opinią! Spałem też z wieloma dziewczynami. Zupełnie nieźle śpi się z dziewczynami, używając fałszywego

nazwiska i zmyś-  
lając własną przeszłość.  
I tak to się ciągle powtarzało.

Skończyłem dwadzieścia dziewięć lat. Za  
dziewięć  
miesiące skończę trzydzieści.

Nie wiem jeszcze, czy takie życie mi  
odpowiada, czy  
nie. Nie wiem, czy istnieje ogólne pojęcie  
natury węd-  
rowca. Tak jak ktoś kiedyś napisał, do życia  
wędrownego  
potrzebna jest jedna z trzech natur: religijna,  
artystyczna  
albo duchowa. Jeśli nie jest się obdarzonym  
żadną z nich,  
nie można długo wędrować. Ale moim  
zdaniem do mnie  
żadna z tych trzech nie pasuje (gdybym  
musiał wybrać...  
a zresztą wszystko jedno).

A może przez pomyłkę otworzyłem jakieś  
drzwi i teraz  
nie mam jak się wycofać. Tak czy inaczej,  
drzwi już są  
otwarte i muszę sobie jakoś radzić. Przecież  
nie można  
w nieskończoność kupować wszystkiego na  
kredyt. To tyle.

Tak jak powiedziałem na początku (chyba  
powiedzia-  
łem), gdy myślę o Tobie, zaczynam się czuć  
trochę nie-  
pewnie. Prawdopodobnie dlatego, że  
przypominasz mi  
czasy, kiedy żyłem stosunkowo normalnie.

PS Załączam swoją powieść. Dla mnie nie  
ma już ona  
żadnego znaczenia, więc zrób z nią, co  
chcesz. Wyślę ten  
list ekspresem, tak by doszedł na  
dwudziestego czwar-  
tego. Mam nadzieję, że dojdzie.

<sup>1</sup> W każdym razie wszystkiego  
najlepszego z okazji  
urodzin

i

Białego Bożego Narodzenia!



Strasznie wymięty list od Szczura pojawił się w mojej skrzynce pocztowej dopiero dwudziestego dziewiątego grudnia. Na kopercie były aż dwie nalepki pocztowe z moimi kolejnymi adresami. Szczur wysłał list na stary adres, bo nie wiedział o moich przeprowadzkach. Nie miałem jak go zawiadomić.

Trzy razy przeczytałem cztery gęsto zapisane zielonkawe kartki, a potem spróbowałem odczytać zatartą nazwę na stemplu pocztowym. Była to nazwa miasteczka, o którym nigdy nie słyszałem. Zdjąłem z półki atlas i poszukałem go w spisie miejscowości. Z treści listu wynikało, że Szczur pisał z jakiegoś miejsca w północnej części wyspy Honsiu, i rzeczywiście okazało się, że miasteczko leżało w prefekturze Aomori. Małe miasteczko o jakąś godzinę jazdy pociągiem od miasta Aomori. Według rozkładu jazdy dziennie zatrzymuje się tam pięć pociągów. Dwa rano, jeden w południe i dwa wieczorem. Byłem kilka razy w Aomori w grudniu. Straszliwie zimno. Nawet sygnalizacja świetlna zamarzała.

Pokazałem list żonie. Powiedziała tylko „Biedny!”. Być może miała zamiar powiedzieć „Biedni!”. Oczywiście teraz to już nie ma znaczenia.

Dwustronicową powieść wrzuciłem do szuflady, nie patrząc nawet na tytuł. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie miałem ochoty jej czytać. Wystarczył mi list.

Potem usiadłem obok grzejnika i wypaliłem trzy

papierosy.

106

Kolejny list od Szczura przyszedł w maju  
następnego  
roku.

## 2. Drugi list od Szczura

Data na stemplu pocztowym: ? maja 1978

Wydaje mi się, że w poprzednim liście trochę  
za bar-  
dzo się rozgadałem, ale zupełnie nie pamiętam,  
o czym  
mówiłem.

Znowu zmieniłem miejsce pobytu. Nowe  
miejsce jest  
zupełnie inne niż wszystkie poprzednie. Bardzo  
spokojne.

Dla mnie nawet chyba trochę zbyt spokojne.

W pewnym sensie dotarłem chyba do celu.  
Zdaje mi  
się, że musiałem tu przyjechać, a jednocześnie,  
że przyje-  
chałem tu wbrew wszystkiemu. Nie jestem w  
stanie sam  
tego osądzić.

Co za okropny styl. Bardzo niejasny. Pewnie  
w ogóle  
nie zrozumiesz, o co chodzi. A może pomyślisz,  
że nadaję  
swojemu życiu niepotrzebnie duże znaczenie.  
Oczywiście  
jeśli tak pomyślisz, będzie to tylko moja wina.

Chciałbym, żebyś wiedział jedno. Mianowicie  
kiedy  
próbuję wyjaśnić Ci sedno sytuacji, w jakiej się  
znalaz-  
łem, moje zdania tak się właśnie gmatwają. Ale  
ja sam  
czuję się bardzo zrównoważony. Tak jak chyba  
nigdy  
przedtem.

Chciałbym Ci opowiedzieć o sprawach  
konkretnych.

Jak wspomniałem przed chwilą, ta okolica jest przerażająco spokojna. Ponieważ nie mam nic innego do roboty, całymi dniami czytam książki (tu jest tyle książek, że starczyłoby na dziesięć lat), słucham UKF albo płyt (jest tu też dużo płyt). Już chyba z dziesięć lat nie słuchałem tak dużo muzyki. To zadziwiające, że The Rolling Stones i The Beach Boys ciągle jeszcze śpiewają. Czas jednak jest jednym, niekończącym się ciągiem. My tego nie dostrzegamy, ponieważ zawsze wycinamy sobie kawałki czasu i dopasowujemy je do swoich własnych wymiarów, ale czas zawsze ciągnie się bez końca.

Tutaj nie ma żadnych własnych wymiarów. Nie ma też nikogo, kto chwaliłby lub ganił wymiary innych, dopasowując czas tylko do swoich. Czas płynie więc sobie jak przejrzysta rzeka. Gdy tu jestem, czasami wydaje mi się, że nawet plazma w moich komórkach zostaje uwolniona. Na przykład spoglądam na samochód, ale upływa parę sekund, zanim zdam sobie sprawę, że to samochód. Oczywiście mam pewną instynktowną świadomość, lecz ona nie łączy się zbyt dobrze ze świadomością empiryczną. Takich rzeczy jest ostatnio coraz więcej. To pewnie dlatego, że przez długi czas żyję w samotności.

Do najbliższej miejscowości jest stąd półtorej godziny samochodem. A właściwie to nie jest nawet miejscowość,



a szczątki bardzo małej miejscowości.  
Pewnie nawet nie  
będziesz mógł jej sobie wyobrazić. Tak czy  
inaczej, jest to  
taka sobie dość zwyczajna miejscowość.  
Można tam

dostać ubranie, jedzenie i benzynę. A jak komu na tym zależy, to można też zobaczyć ludzkie twarze.

Zimą droga pokrywa się lodem i praktycznie nie da się przejechać samochodem. Wokół drogi są bagna, więc cała powierzchnia ziemi zamarza i przypomina lodowisko.

Na to pada śnieg i nie wiadomo już nawet, którą drogą przebiega droga. Krajobraz z końca świata.

Dotarłem tu w początkach marca. Założyłem łańcuchy na koła jeepa i jechałem wśród takich widoków. Jak zesłaniec na Syberii. Teraz już jest maj i śnieg całkiem stopniał. W kwietniu od strony gór ciągle dochodził dźwięk schodzących lawin. Słyszałeś kiedyś lawinę? Po przejściu lawiny zapada idealna cisza. Taka stuprocentowa cisza, że człowiek sam już nie wie, gdzie się znajduje. Jest bardzo spokojnie.

Ponieważ zakopałem się tu w górach, już od blisko trzech miesięcy nie spałem z żadną dziewczyną. To samo w sobie nie jest takie złe, tylko jak będę dalej tak żył, to stracę zainteresowanie dla ludzi w ogóle, a tego bym nie chciał. Dlatego jak jeszcze trochę się ociepli, mam zamiar wybrać się gdzieś i znaleźć jakąś dziewczynę. Nie chcę się chwalić, ale zwykle nie jest mi trudno znaleźć dziewczynę. Jeśli tylko będę miał ochotę - wydaje mi się, że mój świat ostatnio ogranicza się do „jeśli tylko będę miał ochotę” - zawsze uda mi się wyemanować pewien seksapil. Dlatego stosunkowo łatwo mi

znaleźć dziewczynę. Ale problem polega chyba na tym, że sam nie mogę przyzwycząić się do tej swojej umiejętności. To

znaczy, że w pewnym momencie nie wiem już, gdzie kończę się ja, a zaczyna mój seksapił. Tak samo jak nie wiadomo, gdzie kończy się Laurence Olivier, a zaczyna Otello.

I dlatego wiedząc, że nie będę mógł wycofać się w trakcie, porzucam wszystko od razu, sprawiając w ten sposób kłopot różnym ludziom. Moje dotychczasowe życie było właśnie niekończącym się powtarzaniem takich sytuacji. Na szczęście (naprawdę na szczęście) teraz nie muszę już nic porzucać. To wspaniałe uczucie. A do porzucenia mam tylko siebie. To wcale nie jest zła myśl, żeby siebie porzucić. Nie, to zdanie brzmi zbyt żałosnie. Sama myśl wcale nie jest żalosna, ale jak się ją napisze, to taką się staje.

To dopiero kłopot.

O czym to ja mówiłem?

O dziewczynach, prawda? Każda dziewczyna ma w sobie taką ładną szufladkę, a w tej szufladce dużo śmiecia bez znaczenia. Ja to bardzo lubię. Potrafię wyjmować te rzeczy jedną po drugiej, otrzepywać z kurzu i odnajdywać ich znaczenie. Na tym właśnie polega seksapił. Ale co z tego wynika? Nic. Poza tym mógłbym tylko zrezygnować z bycia sobą.

Dlatego teraz po prostu myślę wyłącznie o seksie. Jak się zogniskuje całe zainteresowanie na seksie, to nie trzeba już się zastanawiać nad tym, czy coś jest żalosne, czy nie.

Tak jak popijanie piwa nad brzegiem

Morza Czarnego.

110

Spróbowałem przeczytać to, co dotąd napisałem.

Niektóre miejsca są nieco bez związku, ale jak na mnie

jest to napisane szczerze. Najlepsze są te nudne fragmen-

ty. Poza tym w końcu to nie jest list do Ciebie. To jest

raczej list do skrzynki pocztowej. Ale nie potępiaj mnie

za to. Samo dotarcie do skrzynki pocztowej zabiera tu

półtorej godziny jazdy jeepem.

Od tego miejsca to już naprawdę będzie list do Ciebie.

Mam do Ciebie dwie prośby. Z żadną z nich mi się nie

spiesz, więc zajmij się nimi, jak będziesz miał ochotę.

Będę Ci za to bardzo wdzięczny. Myślę, że trzy miesiące

temu nie mógłbym Cię o nic poprosić, a teraz mogę. To

już pewien postęp.

Pierwsza prośba jest z gatunku sentymentalnych.

Dotyczy „przeszłości”. Kiedy pięć lat temu wyjeżdżałem

z miasta, byłem strasznie skołowany i się spieszyłem.

Dlatego też nie zdążyłem pożegnać się z kilkoma osobami.

Konkretnie mówiąc, byłeś to Ty, Jay i pewna dziewczyna,

której nie znasz. Mam uczucie, że z Tobą jeszcze uda mi

się zobaczyć i pożegnać, ale z nimi mogę się już nie

spotkać. Więc jeśli kiedyś będziesz w naszym mieście,

pożegnaj ich ode mnie.

Wiem oczywiście, że to bardzo samolubna prośba.

Myślę, że powinienem sam do nich napisać, ale szczerze

mówiąc, wolałbym, żebyś to Ty pojechał do naszego

miasta i spotkał się z nimi. Wydaje mi się, że w ten

sposób lepiej dowiedzą się, co czuję, niż z listów, które mógłbym do nich napisać. Podam Ci adres i telefon tej

dziewczyny. Jeśli się przeprowadziła albo wyszła za mąż, to trudno, nie spotykaj się z nią. Ale jeżeli nadal mieszka pod tym samym adresem, zobacz się z nią i pozdrów ode mnie. Jaya też pozdrów i napijcie się za mnie piwa. To jest ta pierwsza prośba.

Ta druga jest trochę nietypowa. Wysłałam Ci zdjęcie.

Zdjęcie owiec. Chciałbym, żebyś je gdzieś zamieścił.

Wszystko jedno gdzie, tylko tak, żeby ludzie je zobaczyli.

To też jest bardzo egoistyczna prośba, lecz nie mam

nikogo poza Tobą, do kogo mógłbym się z tym zwrócić.

Mogę Ci odstąpić cały mój seksapil, tylko spełnij, proszę,

tę prośbę. Nie mogę Ci wyjaśnić przyczyny, ale to zdjęcie

jest dla mnie bardzo ważne. Myślę, że kiedyś, w przyszłości będę mógł Ci to wytłumaczyć.

Wysłałam też czek. Pokryj nim swoje wydatki. Nie myśl,

że zostanę bez pieniędzy. Tutaj nie mam nawet jak ich

wydać, a poza tym tylko to mogę teraz dla Ciebie zrobić.

    Nie zapomnij wypić za mnie piwa.

Po odklejeniu nalepki pocztowej o zmianie adresu nie

dało się odczytać daty na stemplu. W kopercie był czek

na sto tysięcy jenów, kartka z nazwiskiem i adresem

kobiety oraz czarno-białe zdjęcie owiec. Wyjąłem list ze

skrzynki, wychodząc z domu, i przeczytałem go przy

swoim biurku w pracy. Tak jak poprzednio list był

napisany na zielonkawym papierze, a czek został wy-

stawiony przez bank w Sapporo. To znaczy,



że Szczur  
przeniósł się na wyspę Hokkaido.

112

Opis lawin jakoś mnie nie przekonywał,  
ale list, jak  
Szczur sam przyznał, był uderzająco szczery. A  
poza tym nikt  
żartem nie wysyła czeków na sto tysięcy jenów.  
Otworzyłem  
szufladę biurka i wrzuciłem tam kopertę z całą  
zawartością.

Być może dlatego, że psuły się moje  
stosunki z żoną,  
nadejście wiosny szczególnie mnie nie  
cieszyło. Już od  
czterech dni żona nie wracała do domu.  
Mleko w lodówce  
zaczęło wydzielać nieprzyjemny zapach i kot  
był zawsze  
głodny. Jej szczoteczka do zębów wyschła jak  
skamielina.  
I do takiego mieszkania leniwie wlewało się  
wiosenne  
światło. Przynajmniej słońce jest zawsze za  
darmo.

Długa ślepa uliczka - pewnie miała rację.

### 3. Skończona pieśń

Do naszego miasta wybrałem się w  
czerwcu. Wymyśli-  
łem w pracy jakiś powód, wziąłem trzy dni  
wolnego i we  
wtorkowy poranek wsiadłem do ekspresu.  
Biała sportowa  
koszula z krótkimi rękawami, zielone  
bawełniane spodnie  
wypchane na kolanach, białe adidas. Nie  
miałem żad-  
nego bagażu i rano zapomniałem się ogolić.  
Od dawna  
nie noszone adidas miały strasznie dziwnie  
schodzone  
podeszwy z tyłu. Pewnie nieświadomie jakoś  
bardzo  
nienaturalnie stawiam stopy.

Cudownie było wsiąść do dalekobieżnego  
pociągu, nie  
mając bagażu. Czułem się jak bombowiec,  
który chciał



się trochę przelecieć i nagle został wciągnięty w zakrzywienie czasoprzestrzeni. Nic tam nie ma. Nie ma zamówionej wizyty u dentysty, nie ma problemów czekających w szufladzie biurka na rozwiązanie. Nie ma stosunków międzyludzkich, z których nie można się wyplątać. Nie ma dobrej woli, której wymaga zaufanie. Ja to wszystko wrzuciłem na dno chwilowego zapomnienia. Mam tylko adidas na schodzonych gumowych podszwach, które przybrały dziwny kształt. Trzymają się mocno stóp, jak niejasne wspomnienia z innej czasoprzestrzeni, ale to nie jest duży kłopot. Mogę się go pozbyć dzięki kilku puszkom piwa i wyschniętym kanapkom z szynką.

Wracałem do rodzinnego miasta po czterech latach. Poprzednio byłem tam w związku z formalnościami dotyczącymi ślubu. Ale jak się okazało, to, co dla mnie było formalnością, dla innych stanowiło coś więcej, więc cała ta podróż nie miała sensu. To różnice w sposobie myślenia. To, co jedni uważają za skończone, dla innych jeszcze trwa. To wszystko. Niby niewiele, ale gdy dojedzie się do końca szyn, te małe różnice urastają do wielkich różnic.

Od tego czasu nie mam już „rodzinnego miasta”. Nie mam już miejsca, do którego muszę wracać. Na myśl o tym poczułem ulgę. Już nikt nie pragnie się ze mną zobaczyć. Nikomu już na mnie nie *zależy* i nikt nie chce, żeby mnie na nim zależało.

Wypiłem drugą puszkę piwa i  
zdrzemnąłem się pół  
godziny. Gdy się obudziłem, to początkowe,  
przyjemne

uczucie wyzwolenia zupełnie zniknęło. Pociąg  
posuwał się  
dalej, a niebo stopniowo zasnuło się szarym  
kolorem,  
charakterystycznym dla pory deszczowej.  
Pod niebem  
rozciągał się nudny jak zawsze krajobraz.  
Choćby nie  
wiem jak zwiększyć szybkość, nie da się  
uciec od takiej  
nudy. Wręcz przeciwnie, im bardziej rośnie  
szybkość, tym  
prędzej wkraczamy w sam środek nudy. Na  
tym właśnie  
polega nuda. Siedzący obok mnie prawie bez  
ruchu dwu-  
dziestoparoletni biznesmen był całkowicie  
pogrążony  
w lekturze „Keizai Shinbun”\*. Granatowy  
letni garnitur  
bez jednej zmarszczki, czarne buty i biała  
koszula prosto  
z pralni. Zapaliłem papierosa, wpatrując się  
w sufit. Po-  
tem dla zabicia czasu zacząłem przypominać  
sobie po  
kolei tytuły piosenek nagranych przez  
Beatlesów. Doszed-  
łem do siedemdziesięciu trzech i więcej nie  
mogłem sobie  
przypomnieć. Ciekawe, ile pamięta Paul  
McCartney?

Popatrzyłem chwilę przez okno i znowu  
spojrzałem  
na sufit.

Miałem dwadzieścia dziewięć lat i za sześć  
miesięcy  
miała zapaść kurtyna nad moimi latami  
dwudziestymi.

Prawie nic się nie zdarzyło przez tych  
dziesięć lat.

Wszystko, co zdobyłem, było bezwartościowe  
i wszystko,  
co osiągnąłem, było bez znaczenia. Pozostała  
jedynie nuda.

Na początku musiałem odczuwać więcej,  
ale już tego  
nie pamiętam. Coś mnie wzruszało i przeze  
mnie wzru-

szalo innych. Lecz wszystko zostalo  
stracone. Stracone,

---

\* „Keizai Shinbun” - „Gazeta Ekonomiczna”  
(dziennik)

bo miało być stracone. Czy miałem inne wyjście oprócz wypuszczenia wszystkiego z rąk?

W każdym razie przeżyłem. Nawet jeśli jest prawdą, że dobry Indianin to martwy Indianin, z jakiegoś powodu dane mi było przeżyć.

Po co?

Czy po to, by opowiadać o dawnych czasach, mówiąc do ściany?

Niemożliwe.

- Dlaczego zatrzymałeś się w hotelu? - zapytał Jay ze zdziwieniem, kiedy wręczyłem mu pudełko zapalek, zapisawszy na nim numer hotelu. - Przecież masz tu dom, mógłbyś tam się zatrzymać.

- To już nie jest mój dom - odpowiedziałem.

Jay nic na to nie odrzekł.

Ustawiłem przed sobą trzy talerze zakąsek, wypilem pół piwa, wyjąłem z kieszeni listy od Szczura i podałem Jayowi. Jay wytarł ręce, przebiegł szybko wzrokiem dwa listy, a potem przeczytał je jeszcze raz powoli, słowo po słowie.

- No, no - powiedział z zaciekawieniem. - To on jednak żyje.

- Żyje - powiedziałem i napiłem się piwa. - Chciałbym się ogolić. Nie pożyczyłbyś mi maszynki i kremu do golenia?

- Proszę bardzo - powiedział Jay i wyjął spod kon-  
tuaru podręczny zestaw do golenia. - Możesz skorzystać z umywalki w łazience, ale tam nie ma ciepłej wody.



- Zimna wystarczy - powiedziałem. - Tylko  
żeby na  
podłodze nie leżała żadna pijana  
dziewczyna. Wtedy  
trudno się golić.

Jay's Bar zmienił się nie do poznania.  
Dawny Jay's Bar był małą wilgotną knajpką  
w suterenie  
starego budynku przy głównej szosie. W  
letnie wieczory  
powietrze wydobywające się z klimatyzatora  
przypominało  
mokrą mgłę. Jak posiedziało się tam dłużej,  
cała koszula  
robiła się wilgotna.

Prawdziwe chińskie imię Jaya było długie  
i trudne do  
wymówienia. „Jay” było przezwiskiem, które  
nadali mu  
żołnierze, gdy po wojnie pracował w bazie  
amerykańskiej  
i potem nikt już nie pamiętał jego  
prawdziwego imienia.

Jay opowiadał mi, że zrezygnował z  
pracy w bazie  
w 1954 i otworzył w pobliżu mały bar. To  
był pierwszy  
Ja/s Bar. Prosperował całkiem nieźle.  
Większość klientów  
stanowili oficerowie lotnictwa i atmosfera  
była przyjem-  
na. Kiedy bar wyrobił już sobie dobrą markę,  
Jay ożenił  
się, ale jego żona zmarła po pięciu latach.  
Jay nie  
powiedział ani słowa na temat przyczyn  
jej śmierci.

W 1963 roku, kiedy wojna w Wietnamie na  
dobre się  
rozpętała, sprzedał bar i przyjechał do  
„mojego” dalekiego  
miasta. Tu otworzył drugi Jay's Bar.

To wszystko, co wiedziałem na temat Jaya.  
Hodował kota,  
palił paczkę papierosów dziennie i nie brał do  
ust alkoholu.

Zanim poznałem Szczura, zawsze sam  
chodziłem do

Jay's Bar. Piłem piwo, paliłem papierosy i  
słuchałem

płyt, wrzucając monety do szafy grającej.  
Klientów bywało  
wówczas niewielu i często siedząc przy barze,  
rozmawiałem  
z Jayem. Zupełnie nie pamiętam, o czym. Na  
jakie tematy  
mogli rozmawiać małomówny  
siedemnastoletni uczeń  
szkoły średniej i owdowiały Chińczyk?  
Kiedy w wieku lat osiemnastu  
wyjechałem z miasta,  
Szczur przejął pałeczkę i zaczął pijać piwo w  
tym barze. Ale  
kiedy z kolei Szczur wyjechał z miasta w  
1973, nie było już  
komu przejąć pałeczki. W pół roku później z  
powodu  
rozbudowy drogi bar został przeniesiony. I w  
ten sposób  
skończyła się nasza legenda o drugim Jay's  
Bar.

Trzeci Jay's Bar, oddalony o jakieś pięćset  
metrów od  
poprzedniego miejsca, znajdował się nad  
rzeką. Nie był  
zbyt duży, ale mieścił się na drugim piętrze  
nowego,  
trzy piętrowego budynku z windą. Dziwne  
uczucie jechać  
windą do baru Jaya. To, że ze stołków  
barowych widać  
nocną panoramę miasta, też było dziwne. Okna  
wychodziły  
na zachód i południe. Za nimi rozciągały się  
góry i miejsce,  
w którym dawniej szumiało morze. Przed  
kilku laty część  
lądu została osuszona i pokryta wyglądającymi  
jak nagrob-  
ki wieżowcami. Stałem chwilę przy oknie i  
oglądałem  
nocną panoramę, a potem podszedłem do  
baru.

- Dawniej widać byłoby morze -  
powiedziałem.
- Taak - odparł Jay.
- Często się tam kąpaliśmy.
- Tak - powtórzył Jay, włożył do ust

papierosa i zapalił  
go ciężką zapalniczką. - Rozumiem, co  
czujesz. Zniszczyli

118

góry, postawili tam domy, wykopaną ziemią zasypali morze i znowu postawili domy. I są ludzie, którzy uważają, że to wspaniale.

W milczeniu piłem piwo. Z głośników na suficie dobiegał najnowszy przebój Boza Scaggsa. Szafa grająca gdzieś zniknęła. Większość klientów stanowiły pary studentki. Byli starannie ubrani, wytwornie sączyli whisky z wodą albo koktajle. Nie było ani pijanych dziewczyn, ani gwaru charakterystycznego dla barów pod koniec tygodnia. Po powrocie do domu pewnie wszyscy grzecznie przebiorą się w piżamy, umyją zęby i pójdą spać. Ale może to i dobrze. Staranność to wspaniała rzecz. Nigdzie nie jest powiedziane, że wszystko trzeba robić w jakiś określony sposób, ani w barach, ani nigdzie na świecie.

Jay cały czas wodził oczami za moim wzrokiem.

- No jak, bar się zmienił i czujesz się nieswojo?

- Wcale nie - odparłem - tylko zamieszanie przybrało inną formę. Niedźwiedź zamienił się z żyrafą czapkami, a z zebrawą szalikami.

- Nic się nie zmieniłeś - powiedział Jay ze śmiechem.

- Czasy się zmieniły - odrzekłem. - Jak się czasy zmieniają, to wiele rzeczy też się zmienia. Ale to nie szkodzi. Wszystko się zmienia. Nie można narzekać.

Jay milczał.

Ja zacząłem kolejne piwo, a on zapalił kolejnego papierosa.

- Jak żyjesz? - zapytał Jay.

- Nieźle - odpowiedziałem krótko.

- A jak żona?  
- Nie wiem. Jak to między ludźmi.  
Czasami zdaje mi się, że wszystko dobrze się ułoży, a czasem, że nie. Chyba na tym polega małżeństwo?  
- Hmm - powiedział Jay, z niezadowolaniem drapiąc się w nos czubkiem małego palca. - Zapomniałem już, jak to jest w małżeństwie. To było tak dawno.  
- Czy kot jest zdrow?  
- Zdechł cztery lata temu. Chyba niedługo po twoim ślubie. Zachorował na jelita... ale tak naprawdę to był już stary. W końcu żył aż dwanaście lat. Dłużej byłem z nim niż z żoną. Dwanaście lat to całkiem niezłe życie, prawda?  
- Tak.  
- Na wzgórzach jest cmentarz dla zwierząt, tam go pochowałem. Może sobie popatrzeć na wieżowce. W tej okolicy zewsząd widać już tylko wieżowce. Chociaż kotu to pewnie i tak obojętne.  
- Czujesz się samotny?  
- Tak, bardzo samotny. Żadnego człowieka by mi tak nie brakowało. Czy to nie dziwne?  
Potrząsnąłem głową.  
Podczas gdy Jay przygotowywał dla kogoś jakiś skomplikowany koktajl i sałatkę, ja zabawiałem się skandynawską łamigłówką leżącą na kontuarze. W szklanym pudełku trzeba było ułożyć scenkę z trzema motylkami latającymi nad polem koniczyny. Próbowałem przez dziesięć minut, a potem mi się znudziło.

- Nie planujecie dzieci? - spytał Jay, podchodząc.

- Jesteś w takim wieku, że mógłbyś już je mieć.

- Nie chcę.

- Nie?

- Przecież pewnie nie wiedziałbym, co zrobić, jakby mi się urodziło takie dziecko jak ja.

Jay zaśmiał się rozbawiony i dolał mi piwa.

- Ty zawsze martwisz się na zapas.

- Nie o to chodzi. Ja naprawdę nie wiem, czy słuszne jest dawanie początku nowemu życiu. Dzieci dorosną, pokolenia się zmieniają i co będzie? Jeszcze więcej gór zniszczą i jeszcze więcej morza zasypią. Wynajdą jeszcze szybsze samochody i jeszcze więcej kotów zostanie przejechanych. Nic więcej.

- To jest ciemna strona zagadnienia. Zdarzają się też dobre rzeczy i są też dobrzy ludzie.

- Jak mi dasz trzy przykłady, uwierzę ci

- powie-

- działałem.

Jay pomyślał przez chwilę, a potem się roześmiał.

- Ale to i tak osądzi pokolenie waszych dzieci, nie wy. Wasze pokolenie...

- Już się skończyło?

- W pewnym sensie - powiedział Jay.

- Pieśń się skończyła, ale melodię jeszcze słychać.

- Ty zawsze tak dobrze wszystko ujmujesz.

- Lubię się popisywać.



Kiedy w Jay's Bar zaczęło się robić tłoczno, powie-

j  
działem Jayowi dobranoc i wyszedłem. Była  
dziewiąta.

,  
Twarz piekła mnie jeszcze po goleniu w zimnej  
wodzie.

i  
Pewnie dlatego, że zamiast płynu po goleniu  
użyłem  
wódki z sokiem cytrynowym. Jay powiedział,  
że efekt  
będzie mniej więcej taki sam, ale teraz cała  
twarz  
pachniała mi alkoholem.

Wieczór był dziwnie ciepły. Niebo tak samo  
zachmu-  
rzone jak przedtem. Wiał lekki wilgotny wiatr z  
południa.

Jak zwykle zapach morza mieszał się z  
zapowiedzią  
deszczu. W powietrzu czuć było rozleniwienie,  
które dob-  
rze pamiętałem. Spośród traw porastających  
koryto rzeki  
dobiegało brzęczenie owadów. W każdej chwili  
mogło za-  
cząć padać. Jeden z tych deszczów, o których  
nie wiado-  
mo, czy pada, czy nie, ale po chwili jest  
człowiek zupełnie  
przemoczony.

W nieostrym białym świetle latarni  
rtęciowych widać  
było nurt rzeki. Płytki nurt, sięgający zaledwie  
do kostek.

Woda była tak przezroczysta jak dawniej.  
Wypływa prosto  
z gór, więc nie ma nawet jak jej zanieczyścić.  
Dno rzeki  
było pokryte małymi kamyczkami i piaskiem  
przyniesio-  
nym z gór. Gdzieś tam gromadzący się  
piasek tworzył  
maleńkie wodospady. Pod wodospadami  
powstawały  
jakby głębokie jeziora, a w nich pływały  
małe rybki.

W ciągu suchych miesięcy piasek wsysa  
całą wodę  
i zostaje tylko lekko wilgotna, biała,  
piaszczysta droga.  
Dawniej chodziłem na spacer w górę rzeki i  
szukałem  
miejsca, w którym znika wsysana przez  
piasek. Ostatnie

strumyczki zatrzymywały się nagle, jakby właśnie coś tam znalazły, i po chwili znikaly. Pochłaniała je czarna czeluść ziemi.

Bardzo lubiłem drogę prowadzącą wzdłuż rzeki. Szedłem razem z rzeką i czułem jej oddech. Ona żyje. To ona założyła to miasto. Przez wiele tysięcy lat niszczyła góry, niosła piasek, zasypywała nim morze i pozwalała bujnie rosnać drzewom. Od początku miasto należało do niej i dalej też tak prawdopodobnie będzie.

Dzięki porze deszczowej rzeka nie wysychała i płynęła aż do morza. Młode listki drzew posadzonych wzdłuż rzeki pachniały i wydawało się, że powietrze nasycone jest ich zielenią. Na trawie siedziało kilka par i kilkoro starszków spacerowało z psami. Uczniowie szkół średnich palili papierosy, siedząc obok swoich rowerów.

Zwyczajny wieczór wczesnego lata.

W pobliskim sklepie z alkoholem kupiłem dwie puszki piwa i niosąc w ręku papierową torbę, poszedłem nad morze. Rzeka wpadała do morza, tworząc małą zatoczkę, wyglądającą jak w połowie zasypany kanał. To pozostałość dawnego nabrzeża, które teraz zredukowano do szerokości pięćdziesięciu metrów. Plaża była taka jak dawniej. Małe fale wyrzucały na brzeg okrągłe kawałki drewna. Pachniało morzem. Na betonowym falochronie zostały dawne napisy zrobione farbą w aerozolu lub wyryte gwoździem. To było moje wytęsknione wybrze-

że, którego zostało tylko pięćdziesiąt metrów.  
Do tego  
dokładnie odgrodzono je dziesięciometrową,  
betonową

ścianą. Ale za to ta oddzielająca wążutki  
kawałek  
nabrzeża ściana ciągnęła się w dal  
kilometrami. I dalej  
było widać grupę wieżowców. Całkowicie  
zlikwidowali  
morze, zostawili tylko tych pięćdziesiąt  
metrów!

Oddaliłem się od rzeki i poszedłem na  
wschód czymś,  
co dawniej było nadmorskim bulwarem. O  
dziwo, ostał  
się jeszcze dawny falochron. Falochron bez  
morza wy-  
glądał jakoś dziwnie. Usiadłem na nim w  
miejscu, gdzie  
dawniej często przyjeżdżałem samochodem,  
wysiadłem  
i popijałem piwo, patrząc na morze. Teraz w  
miejscu  
morza rozciągały się poldery i wieżowce. Ta  
grupa nijakich  
bloków próbowała stworzyć w powietrzu  
miasto, ale  
zrezygnowała, i teraz wyglądała jak  
porzucone, nie-  
szczęśliwe filary mostu albo jak grupa  
małych dzieci  
z niepokojem wyczekujących powrotu ojca.

Pomiędzy blokami jak łączące je nici  
rozciągały się  
asfaltowe drogi, gdzieśgdzie znajdowały  
się ogromne  
parkingi. Były też: supermarket, dworzec  
autobusowy,  
stacja benzynowa, duży park i wspaniały  
klub osied-  
lowy. Wszystko wydawało się nowe i  
nienaturalne.

Tworząca poldery ziemia została  
przetransportowana  
z gór i miała zimny, posępny kolor, a tereny  
jeszcze  
niezagospodarowane pokryły się chwastami,  
zasianymi  
przez wiatr. Chwasty zadomowiły się na  
tej nowej  
ziemi zadziwiająco szybko; jakby  
wyśmiewając się ze

sztucznie przeniesionych drzew i trawników,  
staraly się  
dostać wszędzie.  
    Żałosny widok.

Ale cóż ja mogę powiedzieć? Tutaj już zaczęła się nowa gra według nowych zasad. Nikomu nie uda się jej zatrzymać.

Wypiłem drugie piwo i bez zastanowienia wyrzuciłem puszki tam, gdzie dawniej było morze. Puszki zniknęły wśród fal poruszanych wiatrem chwastów. Potem zapaliłem papierosa.

Kiedy kończyłem palić, zauważyłem zbliżającego się mężczyznę z latarką. Miał około czterdziestki. Był ubrany w szarą koszulę, szare spodnie i szarą czapkę. Na pewno jakiś strażnik.

- Przed chwilą coś pan wyrzucił, prawda?  
- zapytał, stając obok mnie.

- Owszem - odrzekłem.

- Co pan wyrzucił?

- Coś okrągłego, małego, z wieczkiem - powiedziałem.

Strażnik trochę się zakłopotał.

- Dlaczego pan to wyrzucił?

- Bez powodu - odparłem. - Od dwunastu lat zawsze wyrzucam. Raz wyrzuciłem nawet pół tuzina naraz i nikt nie miał pretensji.

- Dawniej było co innego - stwierdził strażnik. - Teraz

to są tereny należące do miasta, a zaśmiecanie terenów

należących do miasta jest wzbronione.

Milczałem przez chwilę. Coś się we mnie zatrzęsło i uspokoiło.

- Problem polega na tym - powiedziałem

- że to, co

pan mówi, ma sens.

- Takie są przepisy - dodał strażnik.  
Westchnąłem i wyjąłem z kieszeni paczkę  
papierosów.  
- Co mam zrobić?

- Nie mogę panu powiedzieć, żeby pan  
podniósł, bo  
jest ciemno i w dodatku zaraz będzie padać.  
Tylko proszę  
więcej nic nie wyrzucać.

- Już nie będę wyrzucał - powiedziałem. -  
Dobranoc.

- Dobranoc - odparł strażnik i odszedł.  
Położyłem się na falochronie i spojrzałem  
na niebo.

Tak jak przewidział strażnik, za chwilę  
zaczął padać  
drobny deszcz. Zapaliłem jeszcze jednego  
papierosa i po-  
wróciłem myślą do rozmowy ze strażnikiem.  
Wydało mi  
się, że dziesięć lat wcześniej byłem  
bardziej uparty.

A może tylko tak mi się wydaje. Wszystko  
jedno.

Wróciłem drogą wzdłuż rzeki i gdy  
złapałem taksówkę,  
deszcz przerodził się w mżawkę. Kazałem się  
zawieźć do  
hotelu.

- Pan na wycieczce? - zapytał starszy  
kierowca.

- Tak.

- Pierwszy raz w tej okolicy?

- Drugi - odpowiedziałem.

4. Ona pije Salty Dog i opowiada o dźwięku  
fal

- Mam dla pani list - powiedziałem.

- Dla mnie? - zapytała.



Było źle słycać i w dodatku na linii były jakieś trzaski, musieliśmy więc mówić głośno i drobne niuansy stały się niewyczuwalne. Tak jakbyśmy rozmawiali, stojąc z postawionymi kołnierzami na szczycie wzgórza przy dużym wietrze.

- List jest niby do mnie, ale odniosłem wrażenie, że jest skierowany do pani.

- Odniósł pan takie wrażenie?

- Tak - odrzekłem. Gdy to powiedziałem, pomyślałem nagle, że zachowuję się bardzo głupio.

Milczała przez chwilę. W tym czasie ustały trzaski na linii.

- Nie wiem, co było pomiędzy panią a Szczurem, ale poprosił mnie, bym się z panią zobaczył, i dlatego dzwonię.

Poza tym lepiej, żeby pani sama przeczytała ten list.

- I specjalnie po to przyjechał pan z Tokio?

- Tak.

Zakaszłała i przeprosiła.

- Dlatego, że to pana przyjaciel?

- Chyba tak.

- Dlaczego nie napisał bezpośrednio do mnie?

Bardzo słuszne pytanie.

- Nie wiem - powiedziałem szczerze.

- Ja też nie wiem. Przecież już się wszystko skończyło.

A może jeszcze nie?

Tego też nie wiedziałem. Powiedziałem, że nie wiem.

Leżałem na łóżku w hotelu i trzymając słuchawkę, wpatrywałem się w sufit. Wydawało mi się, że liczę

cienie ryb śpiących na dnie morza. Nie wiedziałem, do ilu ryb muszę dojść, zanim będę mógł skończyć.

- Kiedy zniknął pięć lat temu, miałam dwadzieścia siedem lat - mówiła łagodnie, ale brzmiało to tak, jakby siedziała na dnie głębokiej studni. - Przez pięć lat wiele się może zmienić.

- Tak - powiedziałem.

- Nawet jeśli nic się nie zmieni, to tak się nie myśli. »

Nie chce się tak myśleć. Jak się zacznie tak myśleć, to do niczego się nie dojdzie. Dlatego próbuję myśleć, że zupełnie się zmieniłam.

- Myślę, że rozumiem - powiedziałem.

Milczeliśmy przez chwilę. Ona pierwsza się odezwała.

- Kiedy go pan widział ostatni raz?

- Pięć lat temu, wiosną. Niedługo przed jego zniknięciem. i

]

- Czy coś panu powiedział? Dlaczego wyjeżdża z miasta albo coś takiego?

- Nie - odrzekłem.

- Zniknął bez słowa, tak?

- Tak było.

- Co pan wtedy czuł?

- W związku z tym, że on zniknął bez słowa?

- Tak.

Podniosłem się z łóżka i oparłem o ścianę.

- Hmm. Myślałem, że gdzieś po pół roku mu się znudzi i wróci. Nie sądziłem, że należy do ludzi, którzy

długo trzymają się tego samego.

- Ale nie wrócił.

- Nie.

Wahała się przez chwilę. Słyszałem jej spokojny oddech zaraz przy moim uchu.

- Gdzie pan się zatrzymał? - zapytała.

- W hotelu X.

- Jutro o piątej będę w kawiarni hotelowej. Tej na ósmym piętrze. Dobrze?

- Dobrze - powiedziałem. - Będę miał białą koszulę i zielone bawełniane spodnie. Włosy mam krótkie...

- Wyobrażam sobie pana - przerwała mi łagodnie.

Potem odłożyła słuchawkę.

Kładąc słuchawkę na widełkach, zastanawiałem się, co to znaczy, że mnie sobie wyobraża. Nie wiedziałem.

Nie wiem wielu rzeczy. Zdaje się, że człowiek z wiekiem nie staje się mądrzejszy. Charakter trochę się zmienia, ale przeciętność trwa wiecznie. Tak napisał pewien rosyjski pisarz. Rosjanie czasem mówią bardzo mądre rzeczy. Może wymyślają je w zimie.

Wziąłem prysznic, umyłem zmoczone deszczem włosy i owinąwszy wokół bioder ręcznik, usiadłem przed telewizorem. Obejrzałem stary amerykański film o łodzi podwodnej. Kapitan kłócił się z pierwszym oficerem, łódź była stara, poza tym ktoś cierpiał na klaustrofobię. Pesymistyczny scenariusz, ale w końcu wszystko dobrze się skończyło. Przesłaniem filmu było zdaje się, że jeśli tylko wszystko dobrze się skończy, to nawet wojna nie jest taka zła. Może niedługo zrobią film o tym, że w wojnie atomowej zniknęła ludzkość, ale wszystko dobrze się skończyło.



Wyłączyłem telewizor, wślizgnąłem się  
pod kołdrę  
I po dziesięciu sekundach spałem.

Następnego dnia o piątej jeszcze ciągle  
siąpił drobny  
deszczyk. Wyglądał na deszcz, który zaczął  
padać po  
czterech czy pięciu dniach pogody, kiedy  
wszyscy już  
myśleli, że pora deszczowa się skończyła. Z  
okna na  
ósmym piętrze cała ziemia wydawała się  
czarna i wil-  
gotna. Na wiadukcie autostrady ciągnął się  
wieloki-  
lometrowy korek samochodów jadących z  
zachodu na  
wschód. Kiedy tak długo wyglądałem przez  
okno, wydało  
mi się, że wszystko zaczęło się powoli  
roztapiać. Roz-  
tapiały się umocnienia portowe, roztapiały  
się dźwigi,  
roztapiał się las wieżowców i roztapiali się  
ludzie pod  
czarnymi parasolami. Zieleń stapała się z  
górami i spły-  
wała bezszelestnie w dół. Gdy jednak  
zamknąłem oczy na  
kilka sekund i ponownie je otworzyłem,  
miasto odzyskało  
dawny wygląd. Sześć dźwigów rysowało się  
wysoko na  
ciemnym deszczowym niebie, samochody  
jakby się obu-  
dziły i znowu płynęły ku wschodowi,  
parasole prze-  
chodziły przez ulicę, a bujna górską zieleń z  
zadowole-  
niem piła czerwcowy deszcz.

Środkowa część przestronnej kawiarni  
była obniżona  
i znajdował się w niej fortepian koloru wody  
morskiej.  
Pianistka w jaskrawej różowej sukience  
wygrywała syn-  
kopy i arpeggia, typowe dla hotelowych  
kawiarni. Grała

całkiem nieźle. Ostatnia nuta uniosła się w  
powietrzu  
i nic po niej nie zostało. „>”

Kobiety ciągle jeszcze nie było, choć  
minęła już piąta.  
Nie miałem nic do roboty, więc zamówiłem  
drugą kawę  
i obojętnie przyglądałem się pianistce. Miała  
około  
dwudziestu lat i gęste włosy, starannie  
ułożone jak bita  
śmietana na ciastku. Fryzura trzęsła się  
przyjemnie  
w rytm muzyki, a gdy skończył się utwór,  
zamarła w bez-  
ruchu. Potem zaczął się kolejny utwór.

Pianistka przypominała mi dziewczynkę,  
którą kiedyś  
znałem. Chodziłem wtedy do trzeciej klasy  
szkoły pod-  
stawowej i jeszcze uczyłem się gry na  
pianinie. Byliśmy  
mniej więcej w tym samym wieku i na tym  
samym pozio-  
mie, więc wiele razy graliśmy na cztery ręce.  
Nie pamiętam  
już ani jej imienia, ani twarzy. Pamiętam tylko  
długie białe  
palce, ładne włosy i miękką sukienkę. Nic  
poza tym nie  
mogę sobie przypomnieć.

Nagle przyszła mi do głowy dziwna myśl.  
Wydało mi  
się, że to ja zabrałem jej palce, włosy i  
sukienkę, a ta  
reszta żyje gdzieś sobie dalej. No ale to  
oczywiście bzdura.  
Świat żyje niezależnie ode mnie. Niezależnie  
ode mnie  
ludzie przechodzą przez ulicę, temperują  
ołówki, prze-  
mieszczają się z zachodu na wschód z  
szybkością pięć-  
dziesięciu metrów na minutę i grają w  
kawiarniach  
wypolerowaną prawie do nicości muzykę.

Świat - to słowo zawsze kojarzy mi się z  
olbrzymią  
platformą ze wszystkich sił podtrzymywaną  
przez słonia  
i żółwia. Żółw nie rozumie, jaką funkcję  
pełni słoń,

a słoń nie rozumie, jaką funkcję pełni żółw,  
ani jeden  
zaś, ani drugi nie rozumieją świata.



- Przepraszam za spóźnienie - usłyszałem za sobą  
kobięcy głos. - Nie mogłam wcześniej wyjść z  
pracy.

- Nic nie szkodzi. I tak nie mam dziś nic do  
roboty.

Położyła na stoliku kluczyk od schowka na  
parasole

i nie patrząc w kartę, zamówiła sok  
pomarańczowy. Na

pierwszy rzut oka trudno było określić jej  
wiek. Gdyby

nie powiedziała mi przez telefon, ile ma  
lat, pewnie

nigdy bym się nie dowiedział.

Ale skoro twierdzi, że ma trzydzieści trzy  
lata, to

znaczy, że ma trzydzieści trzy lata, i jeśli  
spojrzeć na nią,

wiedząc o tym, to wygląda na trzydzieści trzy  
lata. Gdyby

powiedziała, że ma dwadzieścia siedem,  
niewątpliwie

wyglądałaby na dwadzieścia siedem.

Ubrana była z przyjemną prostotą. Miała  
na sobie

luźne, białe bawełniane spodnie, koszulę w  
pomarań-

czowo-żółtą kratkę z podwiniętymi do  
łokcia rękawami

i skórzaną torebkę na ramię. Żadna z tych  
rzeczy nie była

nowa, ale wszystkie dobrze utrzymane. Nie  
miała pier-

ścionków, wisiorków, bransoletek ani  
kolczyków. Krótką

grzywkę nonszalancko odgarniała na bok.  
Małe zmarsz-

czki w kąciach oczu wyglądały jakby  
miała je od

urodzenia. Jedyne jej szczupła biała szyja  
wychylająca

się z rozpiętej u góry koszuli i leżące na  
stoliku dłonie

delikatnie przypominały o jej wieku.

Starzenie zaczyna się od małych, bardzo  
małych zmian.

I potem jak plama, której nie można zetrzeć,  
rozlewa się

po całym ciele.  
- Gdzie pani pracuje? - zapytałem.

132

]

- W biurze projektowym. Już od dawna.  
Rozmowa urwała się. Powoli wyjąłem  
papierosa i po-  
woli go zapaliłem. Pianistka zamknęła  
fortepian i poszła  
gdzieś odpocząć. Troszeczkę jej  
zazdrościłem.

- Od jak dawna jesteście przyjaciółmi? -  
zapytała.

- Już jedenaście lat. A pani jak długo go  
znała?

- Dwa miesiące i dziesięć dni -  
odpowiedziała natych-

miast. - Od czasu kiedy go poznałam do jego  
zniknięcia.

Pamiętam, bo piszę dziennik.

Przyniesiono sok pomarańczowy i zabrano  
moją pustą  
filizankę po kawie.

- Po jego zniknięciu czekałam trzy  
miesiące. Grudzień,  
styczeń, luty. Najzimniejsze miesiące. Czy  
zima była  
mroźna tamtego roku?

- Nie pamiętam - powiedziałem. Pytała o  
zimę sprzed  
pięciu lat, jakby pytała o wczorajszą pogodę.

- Czy pan kiedyś tak czekał na  
dziewczynę?

- Nie - powiedziałem.

- Jeśli przez pewien określony czas  
człowiek skupi się

na czekaniu, to potem robi się już wszystko  
jedno. Choćby

to było pięć, dziesięć lat czy miesiąc.

Wszystko jedno.

Skinąłem głową.

Wypiła połowę soku pomarańczowego.

- Jak pierwszy raz wyszłam za mąż, też  
tak było.

Zawsze czekałam, aż w końcu byłam tym tak  
zmęczona,

że zrobiło mi się wszystko jedno. Mając  
dwadzieścia

jeden lat, wyszłam za mąż, mając

dwadzieścia dwa,

rozwiódłam się i przyjechałam do tego  
miasta.



- Tak jak moja żona.  
- Co?  
- Wyszła za mąż, mając dwadzieścia jeden,  
i rozwiodła się, mając dwadzieścia dwa.

Przyglądała mi się przez chwilę. Potem zamieszała sok plastikowym patyczkiem. Zdaje się, że niepotrzebnie to powiedziałem.

- Ciężko jest wyjść młodo za mąż i potem od razu się rozwieść - powiedziała. - To tak, jakby szukało się czegoś bardzo powierzchownego i nierealnego.

Ale nierealne rzeczy tak długo nie trwają, nie uważa pan?

- Może i nie.

- Potem przez pięć lat po rozwodzie aż do poznania go wiodłam w tym mieście dość nierealne życie. Mieszkałam zupełnie sama. Prawie nie miałam znajomych, nie chciało mi się wieczorami wychodzić z domu, nie miałam chłopaka, wstawałam rano, szłam do pracy, kreśliłam projekty, po drodze robiłam zakupy w supermarkecie i sama zjadałam w domu obiad. Nastawiałam radio na UKF, czytałam, pisałam dziennik i prałam w wannie rajstopy. Mieszkanie jest blisko morza, więc zawsze było słychać szum fal. Ponure samotne życie, prawda? - Dopija resztkę soku pomarańczowego. - Nu-dzę pana.

W milczeniu potrząsnąłem głową.

Minęła szósta, w kawiarni przyciemniono światła i zaczęto podawać koktajle. Za oknem powoli zapalały się

światł  
a. Na  
ramie  
niu  
dźwig  
u  
równi  
eż  
zabły  
sło  
czerw  
one



światelko. Na dworze zapadł już zmierzch i widać było drobne igielki deszczu.

- Nie napiłaby się pani czegoś?
- Jak się nazywa wódka z sokiem grejpfrutowym?
- Salty Dog.

Przywołałem kelnera i zamówiłem Salty Dog oraz Cutty Sark z lodem.

- Na czym to ja skończyłam?
- Na ponurym życiu.
- Tak naprawdę to nie było takie ponure - powie-  
działa. - Tylko szum fal był trochę ponury. Jak się wprowadzałam, to administrator powiedział, że szybko przywykną, ale wcale tak się nie stało.

- Przecież już nie ma morza.

Uśmiechnęła się łagodnie. Zmarszczki w kącikach oczu leciutko się poruszyły.

- Tak. Ma pan rację. Już nie ma morza.

Ale nawet teraz wydaje mi się, że czasem słyszeć odgłos fal. Pewnie już na zawsze został mi w uszach.

- I wtedy pojawił się Szczur?
- Tak. Tylko ja go tak nie nazywałam.
- Jak go pani nazywała?
- Po imieniu. Chyba wszyscy tak go nazywali?

Rzeczywiście „Szczur” to było dość dziecinne przyzwisko.

- Słusznie - powiedziałem.

Przyniesiono koktajle. Wypiła łyk i starła serwetką sól, która przyłgnęła jej do warg. Na serwetce pozostał

lekki ślad szminki. Zręcznie złożyła serwetkę dwoma palcami.

- On był... jakby to powiedzieć, dość nierealny. Wie pan, o co mi chodzi?

- Myślę, że tak.

- Wydawało mi się, że potrzebuję jego nierealności, aby przewyciężyć swoją. Na początku tak myślałam. Dlatego go pokochałam. A może najpierw go pokochałam, a potem zaczęłam tak myśleć. Chociaż to wychodzi na to samo.

Pianistka wróciła po przerwie i zaczęła grać stare melodie filmowe, które zupełnie nie pasowały do tego czasu, miejsca i nastroju.

- Czasami myślę, że może to ja go wykorzystywałam.

I on od początku o tym wiedział. Jak pan myśli?

- Nie wiem - powiedziałem. - To sprawa między panią a nim.

Nic nie odrzekła.

Po mniej więcej dwudziestu sekundach milczenia zdałem sobie sprawę, że jej opowieść dobiegła końca.

Wypiłem ostatni łyk whisky, wyjąłem z kieszeni listy od Szczura i położyłem na środku stolika. Leżały tak przez pewien czas.

- Czy muszę tu przeczytać?

- Nie, proszę przeczytać po powrocie do domu. A jeśli nie będzie pani miała ochoty czytać, proszę wyrzucić.

Skinęła głową i schowała listy do torebki. Zatrząsk torebki wydał miły dźwięk. Zapaliłem drugiego papierosa





i zamówiłem jeszcze jedną whisky.  
Najbardziej lubię  
drugą szklaneczkę. Pierwsza mnie odpręża,  
a dopiero  
druga pozwala jasno myśleć. Trzecia i  
kolejne nie mają  
już smaku. Jedynie wpływają do żołądka.

- Tylko po to przyjechał pan aż z Tokio?
- spytała.
- Praktycznie tak.
- Jest pan bardzo uprzejmy.
- Nie myślałem o tym w ten sposób.

To pewnie  
przyzwyczajenie. Gdyby nasze role się  
odwróciły, on  
zapewne postąpiłby tak samo.

- Zrobił kiedyś coś takiego dla pana?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, ale dość długo sprawialiśmy sobie  
nawzajem  
nierealne kłopoty. To, czy je realnie  
załatwiamy, czy nie,  
to inna sprawa.

- Chyba prawie nikt nie myśli dziś tak  
jak pan?
- Może i nie.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, wstała i  
wzięła do ręki  
rachunek.

- Proszę mi pozwolić zapłacić. Spóźniłam  
się przecież  
czterdzieści minut.
- Jeśli pani sobie życzy, proszę bardzo -  
powiedziałem.

- Czy mogę o coś zapytać?
- Proszę.
- Powiedziała pani przez telefon, że  
mnie sobie  
wyobraża.
- Tak. Miałam na myśli, że wyobrażam  
sobie, jakim  
pan jest człowiekiem.

- I od razu mnie pani poznała?
- Od razu - odpowiedziała.

Deszcz padał dalej z takim samym natężeniem. Z okna pokoju widać było neon na budynku po drugiej stronie ulicy. Niezliczone nitki deszczu ciągnęły się w dół w jego sztucznym, zielonym świetle. Kiedy spojrzałem w dół, wydawało się, że wszystkie te nitki kierowały się w jeden punkt na ziemi.

Położyłem się na łóżku, wypaliłem dwa papierosy, a potem zadzwoniłem do recepcji i poprosiłem o zarezerwowanie miejsca w pociągu następnego dnia rano. Nie miałem już w tym mieście nic do roboty.

Deszcz padał aż do północy.

Rozdział  
szósty  
Przygoda z owcą  
(II)



## 1. Dziwna opowieść dziwnego mężczyzny (1)

Sekretarz w czarnym garniturze usiadł na krześle i patrzył na mnie bez słowa. Nie był to wzrok badawczy, oceniający ani przeszywający na wskroś. Ani zimny, ani ciepły, ani nawet obojętny. Nie zawierało się w tym wzroku żadne ze znanych mi uczuć. Po prostu patrzył na mnie. Możliwe, że patrzył na znajdującą się za mną ścianę, ale ponieważ akurat siedziałem na jej tle, więc w rezultacie patrzył na mnie.

Podniósł leżącą na stole papierośnicę, otworzył wieczko, wyjął papierosa bez filtra, kilka razy zmiękczył palcami jego czubek, zapalił za pomocą zapalniczki i wypuścił ukośne pasemko dymu. Potem odłożył zapalniczkę na stół i założył nogę na nogę. Przez ten cały czas nie spuścił ze mnie wzroku nawet na sekundę.

Wygląd mężczyzny zgadzał się z opisem mojego partnera. Ubrany był zbyt starannie, rysy miał zbyt regularne, a palce zbyt gładkie. I gdyby nie zdecydowana linia powiek i kształt zimnych, jakby szklanych oczu, wyglądałby na typowego homoseksualistę. To właśnie oczy powodowały, że nie wyglądał na homoseksualistę. Nie wyglądał w żaden określony sposób. Nie był do nikogo podobny i z nikim mi się nie kojarzył.

Po dokładniejszym przyjrzeniu okazało się, że jego oczy były przedziwnego koloru. W brązowawej czerni kryła się pewna ilość niebieskiego - różna

w lewym  
i prawym oku. Tak jakby jednym okiem  
myślał co innego

niż drugim. Dostrzegłem, że palce jego leżących na kolanach dłoni lekko się poruszały. Wyobraziłem sobie, że odłączą się od rąk i zaczną zbliżać się w moim kierunku. Dziwne palce. Te dziwne palce wyciągnęły się powoli w stronę stołu i zgasiły wypalonego zaledwie w jednej trzeciej papierosa. Lód w szklance roztopił się i było widać, jak woda miesza się z sokiem winogronowym. Mieszały się niezbyt równomiernie.

Pokój pogrążony był w tajemniczej ciszy. W wielkich domach czasem panuje taka cisza, wywołana tym, że w domu jest za mało ludzi w stosunku do jego rozmiarów. Lecz cisza panująca w tym pokoju była jeszcze innego rodzaju. Nieprzyjemnie ciężka i natrętna. Kiedyś doświadczyłem takiej ciszy, ale przypomnienie sobie, gdzie, zajęło mi dłuższą chwilę. Przypomniałem sobie, kartkując pamięć jak stary album. To była cisza otaczająca nieuleczalnie chorą osobę. Cisza nabrzmiała przecuciem nieuniknionej śmierci. W powietrzu unosił się jakiś pełen znaczenia kurz.

- Wszyscy umierają - powiedział mężczyzna cicho, nie spuszczając ze mnie wzroku. Mówił tak, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę. - Każdy kiedyś umrze.

Skończył mówić i znowu wszystko zatoneło w tej męczącej ciszy. Cykady dalej śpiewały. Z szaleństwem skazańców ocierały o siebie ciała, chcąc zatrzymać



odchodzące lato.

- Mam zamiar rozmawiać z tobą tak szczerze, jak to tylko możliwe - powiedział.

Zabrzmiało to jak dosłowny cytat z jakiegoś oficjalnego dokumentu. Dobór słów i składnia poprawne, ale żadnego uczucia.

- Szczera rozmowa to jednak nie to samo co mówienie prawdy. Związek pomiędzy szczerością a prawdą jest taki, jak między dziobem a rufą łodzi. Najpierw pojawia się szczerść, a dopiero na końcu prawda. I czas, który je dzieli, jest proporcjonalny do wielkości łodzi. Dlatego prawda na temat rzeczy wielkich staje się widoczna dopiero po bardzo długim czasie. Niekiedy pojawia się dopiero po naszym życiu. Więc jeśli nawet nie ukażę ci całej prawdy, to nie będzie to ani moja, ani twoja wina.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem. Upewniwszy się, że nie będzie odpowiedzi, mężczyzna mówił dalej.

- Przywieźliśmy cię tutaj, aby dalej popchnąć tę łódź. Ty i ja będziemy ją razem popychać. Porozmawiamy szczerze i w ten sposób zbliżymy się choć o krok do prawdy.

- Tu mężczyzna zakaszlał i spojrzał na swoją dłoń leżącą na poręczy kanapy. -Ale mówię zbyt abstrakcyjnie. Porozmawiajmy o konkretach. Chodzi o ten folder reklamowy, który zaprojektowałeś. Słyszałeś już o tej sprawie, prawda?

- Słyszałem.

Mężczyzna skinął głową i po chwili mówił dalej.

- Pewnie się zdziwiłeś. Każdemu byłoby nieprzyjemnie, gdyby zniszczono coś, w co włożył dużo pracy.

Szczególnie jeśli byłaby to praca, z której się utrzymuje.  
Będzie to dla was bardzo poważna strata, prawda?

- Zgadza się - powiedziałem.  
- Chciałbym, żebyś mi wytłumaczył, dlaczego to będzie poważna strata.  
- W takiej pracy jak nasza zawsze mogą się zdarzyć poważne straty. Mogłoby się teoretycznie zdarzyć, że klient by nam coś odesłał, bo nagle zmienił zdanie, a dla firmy naszej wielkości byłoby to zabójcze. Dlatego staramy się zawsze pracować stuprocentowo w zgodzie z oczekiwaniami klienta, czyli wręcz przesadnie uzgadniamy z klientem każdą linijkę. W ten sposób unikamy ryzyka. Praca nie jest przyjemna, ale my jesteśmy tylko małymi rybkami z niewielkim kapitałem.  
- Wszyscy tak zaczynają - pocieszył mnie mężczyzna.  
- Czyli mam rozumieć, że moje wycofanie tego folderu z rozpowszechniania będzie dużym szokiem finansowym dla waszej firmy?  
- Tak. Już go wydrukowaliśmy i zszyliśmy, więc musimy w ciągu miesiąca zapłacić za papier i za druk. Trzeba też zapłacić autorom artykułów. To wyniesie pewnie około pięciu milionów jenów i będziemy musieli pożyczyć na to pieniądze. Nie wystarczy nam, bo przed rokiem dość dużo zainwestowaliśmy w nowe wyposażenie.  
- Wiem - powiedział mężczyzna.  
- Poza tym wyłoni się problem dalszych kontraktów z klientem. Znajdziemy się w trudnej sytuacji, bo klienci zwykle unikają firm reklamowych, z którymi mieli kłopoty. Mamy z tą firmą ubezpieczeniową

roczny kon-

144

trakt na foldery reklamowe, ale jeśli teraz ten kontrakt zostanie zerwany, będzie to oznaczało koniec naszej firmy. Firma jest mała i na początku nie mieliśmy żadnych znajomości, lecz zapracowaliśmy na dobrą opinię. Klienci polecali nas sobie nawzajem i dzięki temu się rozwinęliśmy. Jeśli rozejdą się niekorzystne plotki, to będzie koniec.

Kiedy skończyłem mówić, mężczyzna przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Potem powiedział:

- Mówisz bardzo szczerze. Poza tym to, co mówisz, zgadza się z naszymi informacjami. Doceniam to. Co by się jednak stało, gdybym ja wyrównał wam wszystkie straty związane z likwidacją tego folderu i zagwarantował, że kontrakt będzie przedłużany?

- Nic by się nie stało. Wrócilibyśmy do naszej nudnej codzienności, zastanawiając się naiwnie, o co w tym wszystkim mogło chodzić.

- Mogę do tego dorzucić premię. Napisałbym tylko jedno słowo na wizytówce i od razu mielibyście dziesięć razy więcej zamówień. I to nie takich tanich śmieci.

- Czy to znaczy, że proponuje pan jakąś transakcję?

- Wymianę dobrej woli. Z dobrej woli poinformowałem twójgo wspólnika o przerwaniu publikacji tej broszury. Jeśli teraz ty okażesz dobrą wolę, potem ja ci się zrewanżuję. Mógłbyś tak na to spojrzeć? Przyda ci się moja dobra wola. Przecież nie możesz zawsze pracować

razem z tym mało rozgarniętym pijakiem.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

Zapadła cisza, jak po wrzuceniu małego kamyka do bardzo głębokiej studni. Minęło trzydzieści sekund, zanim kamyk wreszcie uderzył o dno.

- No, zresztą wszystko jedno - powiedział mężczyzna.

- To jest twoje zmartwienie. Przystudiowałem dokładnie twój życiorys. Był nawet dość ciekawy. Ludzie dzielą się na realnie przeciętnych i nierealnie przeciętnych. Ty najwyraźniej należysz do tych drugich. Lepiej o tym pamiętaj. Twój los to los nierealnej przeciętności.

- Będę pamiętał - powiedziałem.

Mężczyzna skinął głową. Wypiłem połowę soku z winogron, w którym rozpuścił się lód.

- Porozmawiajmy o konkretach - rzekł mężczyzna

- o owcy.

Mężczyzna wyjął z koperty duże czarno-białe zdjęcie i położył na stole przede mną. Wydało mi się, że do pokoju wkradło się trochę realności.

- To jest zdjęcie owiec, którego użyłeś w swoim folderze.

Jak na powiększenie zrobione z drukowanego zdjęcia, a nie z negatywu, odbitka była zadziwiająco czytelna. Prawdopodobnie wykonana jakąś specjalną techniką.

- Wiem tylko, że to zdjęcie dostało się w twoje ręce jakąś prywatną drogą i wykorzystałeś je potem w tym biuletynie. Zgadza się?

- Tak.



- Zgodnie z naszymi informacjami zdjęcie zostało zrobione w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przez zupełnego amatora zwykłym tanim aparatem. Nie tyje zrobiłeś.

Ty masz Nikona SLR i robisz lepsze zdjęcia. No i od pięciu lat nie byłeś na Hokkaido. Prawda?

- Zgadza się - powiedziałem.

- Hmm - powiedział mężczyzna i przez chwilę się nie odzywał. Milczał, jakby starając się wyważyć znaczenie ciszy. - Tak czy nie, potrzebne nam są trzy informacje.

Gdzie i od kogo dostałeś to zdjęcie, a także dlaczego zamieściłeś takie nędzne zdjęcie w folderze?

- Nie mogę powiedzieć - odpowiedziałem tak stanowczo, że aż sam się zdziwiłem. - Dziennikarz ma prawo nie wyjawiać źródła swoich informacji.

Mężczyzna nie odrywając ode mnie wzroku, przeciągnął po wargach czubkiem środkowego palca prawej ręki.

Powtórzył ten gest kilka razy i odłożył rękę na kolana.

Trwało milczenie. Pomyślałem, że dobrze by było, gdyby przynajmniej kukułka gdzieś zakukała. Ale oczywiście nie zakukała żadna kukułka. Kukułki nie kukają po południu.

- Dziwny z ciebie człowiek - powiedział mężczyzna.

- Gdybym chciał, mógłbym doprowadzić waszą firmę do zupełnej ruiny. Wtedy nie mógłbyś już nazywać się dziennikarzem. Oczywiście jeżeli przyjmiemy, że te były jakie foldery i ulotki, jakie robicie, można nazwać dziennikarstwem.

Znowu pomyślałem o kukułkach. Ciekawe, dlaczego

nie kukają po południu.

- Poza tym są sposoby, by zmusić takich facetów jak ty do mówienia.

- Pewnie tak - powiedziałem - ale to zabiera czas, a ja nie od razu zacznę mówić i nawet jeśli powiem, to i tak nie wszystko. A wy nie będziecie wiedzieli, czy to jest wszystko, czy nie, prawda?

Blefowałem oczywiście, ale najwyraźniej byłem na dobrej drodze. Niepewne milczenie, które teraz zapanało, świadczyło o tym, że zdobyłem punkt.

- Ciekawie się z tobą rozmawia - powiedział mąż-czyzna. - Twoja nierealność ma jakiś taki żałosny odcień. A zresztą to nieważne, porozmawiajmy o czymś innym.

Mężczyzna wyjął z kieszeni szkło powiększające i położył na stole.

- Obejrzyj sobie dokładnie to zdjęcie.

Wziąłem do lewej ręki zdjęcie, do prawej lupę i zacząłem się przyglądać. Niektóre owce patrzyły przed siebie, niektóre w bok, a jeszcze inne obojętnie skubały trawę. Wyglądało jak zdjęcie z dość nudnego koleżeńskiego zjazdu po latach. Przyjrzałem się wszystkim owcom po kolei, przyjrzałem się trawie, rosnącym z tyłu brzozom i górom w tle. Przyjrzałem się nawet małym chmurkom. Nie zauważyłem nic niezwykłego. Podniosłem wzrok i spojrzałem na mężczyznę.

- Zauważyłeś coś dziwnego? - zapytał.

- Nic.

Mężczyzna nie wydawał się rozczarowany.

- Zdaje się, że studiowałeś biologię? - powiedział.

- Co wiesz na temat owiec?



- Prawie nic. Zajmowałem się bardzo wyspecjalizowanymi, nikomu niepotrzebnymi rzeczami.

- Powiedz to, co wiesz.

- Parzystokopytne. Roślinożerne. Stadne.

Zdaje się, że przywieziono je do Japonii w początkach okresu Meiji.

Hoduje się je dla wełny i mięsa. To mniej więcej wszystko, co wiem.

- Zgadza się - powiedział mężczyzna. -

Tylko jedna

poprawka. Owce sprowadzono do Japonii nie w początkach

okresu Meiji, w erze Ansei\*. Ale tak jak powiedziałeś,

przedtem nie było w Japonii owiec. Istnieje legenda, że

owce zostały sprowadzone z Chin w okresie Heian\*\*, lecz

nawet jeśli to prawda, to tamte owce musiały wyginać. Tak

że do okresu Meiji większość Japończyków nigdy nie

widziała owcy i nie wiedziała, co to takiego.

I mimo że

owca jako taka była popularna, będąc jednym z dwunastu

zwierząt w znakach zodiaku chińskiego, nikt tak naprawdę

nie wiedział, jakie to zwierzę. Można

powiedzieć, że ludzie

tylko wyobrażali sobie owce, tak samo jak smoki albo

tapiry. Wszystkie wizerunki owiec

namalowane w Japonii

do okresu Meiji były zupełnie nonsensowne.

Tak samo jak

wiedza H.G. Wellsa o Marsjanach.

Nawet dzisiaj Japończycy nie wiedzą dużo o owcach.

Patrząc na to historycznie, owca jako zwierzę nigdy nie

miała związku z ich życiem. Owce sprowadzono ze

Stanów, przez pewien czas były hodowane, a potem

~~Era Ansei - 1854-1860~~  
~~Okres Heian-794-1192~~

hodowlę zarzucono. To wszystko. Po wojnie  
rozwinął się  
wolny handel owczą wełną i mięsem z  
Australią i Nową  
Zelandią, i nie było już potrzeby  
hodowania owiec  
w Japonii. Nie żal ci tych biednych owiec?  
Oto masz  
współczesną Japonię. Ale ja nie mam  
zamiaru ci tu  
opowiadać o pustce uczuciowej  
współczesnej Japonii.  
Chciałem tylko podkreślić dwa fakty: że do  
okresu Meiji  
prawdopodobnie nie było w Japonii ani  
jednej owcy i że  
potem liczba wszystkich importowanych  
owiec była  
dokładnie kontrolowana przez rząd. Jakie  
stąd wnioski?  
To było pytanie do mnie.

- Wszystkie rasy owiec znajdujące się w  
Japonii są  
dokładnie znane.

- Zgadza się. Mogę jeszcze tylko dodać, że  
w przypad-  
ku owiec, tak samo jak w przypadku koni  
wyścigowych,  
rozplód jest bardzo ważny. Dlatego też  
można łatwo  
sprawdzić rodowody prawie wszystkich  
owiec w Japonii  
do kilku pokoleń wstecz. Czyli są to  
zwierzęta, których  
hodowla jest całkowicie kontrolowana.  
Krzyżówki ras też  
są możliwe do sprawdzenia. Szmugiel z  
zagranicy nie  
istnieje. Chyba nikt nie kocha owiec na  
tyle, by je  
szmuglować. W Japonii mamy więc  
następujące rasy:  
sausdaun, merynosy hiszpańskie, cotswold,  
owcę chińską,  
shropshire, corriedale, szewiot, romanowską,  
wschodnio-  
fryzyjską, border leicester, romney marsh,  
lincoln, dorset  
horn, suffolk i to chyba wszystko. A teraz -

powiedział  
mężczyzna - jeszcze raz dobrze przyjrzyj się  
zdjęciu.

Ponownie wziąłem do ręki zdjęcie i lupę.



- Przyjrzyj się dobrze trzeciej owcy od prawej w pierwszym rzędzie.

Przytrzymałem lupę nad trzecią owcą od prawej w pierwszym rzędzie. Potem spojrzałem na owcę obok i znowu na trzecią od prawej.

- Czy teraz coś widzisz? - zapytał mężczyzna.

- Jakaś inna rasa - powiedziałem.

- Zgadza się. Oprócz tej trzeciej z prawej, wszystkie inne owce to zwyczajne owce rasy suffolk. Tylko ta jedna jest inna. Jest bardziej krępa niż suffolk i innego koloru. I jej pysk nie jest czarny. Wydaje się jakby znacznie silniejsza.

Pokazałem to zdjęcie wielu specjalistom od owiec. Wszyscy powiedzieli, że w Japonii taka owca nie istnieje. I prawdopodobnie na świecie też nie istnieje. Więc teraz przyglądasz się owcy, która powinna w ogóle nie istnieć.

Jeszcze raz zbadałem trzecią owcę od prawej. Po dokładnym przyjrzeniu się zauważyłem, że na grzbiecie miała niewyraźną plamę, jakby od rozlanej kawy. Plama była bardzo niewyraźna, wyglądała też na skazę na kliszy, a może to w ogóle było złudzenie. Chyba że ktoś naprawdę wylał kawę na tę owcę.

- Na grzbiecie ma jakąś niewyraźną plamę, prawda?

- To nie plama - powiedział mężczyzna.

- To łata w kształcie gwiazdy. Porównaj z tym.

Wyjął z koperty kartkę papieru i podał mi. Była to kopia rysunku owcy. Rysunek chyba zrobiono grubym ołówkiem i dookoła widniały ciemne ślady palców. Był to naiwny rysunek, ale miał w sobie jakąś siłę.

Porównałem

151

owcę z rysunku i tę ze zdjęcia. Najwyraźniej była to ta sama owca. Na grzbiecie narysowanej owcy była łąka w kształcie gwiazdy, taka sama jak u tej na zdjęciu.

- I jeszcze to - powiedział mężczyzna, wyjmując z kieszeni zapalniczkę i podając mi ją. Była to ciężka, zrobiona na zamówienie srebrna zapalniczka Duponta.

Wygrawerowany był na niej taki sam owczy herb, jak te w samochodzie. Na grzbiecie owcy widniała wyraźna łąka w kształcie gwiazdy.

Zaczęła mnie lekko boleć głowa.

## 2. Dziwna opowieść dziwnego mężczyzny (2)

- Wspominałem ci przedtem o przeciętności - powiedział mężczyzna - ale nie po to, by krytykować twoją przeciętność. Ty jesteś przeciętny po prostu dlatego, że

sam świat jest przeciętny. Nie sądzisz?

- Nie wiem.

- Świat jest przeciętny. Co do tego nie ma wątpliwości.

Czy świat był od początku przeciętny? Otóż nie. Początek

świata był chaotyczny, a chaos nie jest przeciętnością.

Przeciętność zaczęła się z chwilą, gdy ludzie oddzielili

środki produkcji od codziennego życia. A potem dzięki

proletariatowi stworzonemu przez Marksa ta przeciętność

się umocniła. Dlatego stalinizm łączy się ściśle z marksiz-

mem. Ja się zgadzam z Marksem. Był jednym z niewielu

geniuszy, którzy pamiętali jeszcze o chaosie,  
od którego  
wszystko się zaczęło. Tak samo zgadzam się z  
Dostojew-  
skim. Ale nie mogę przyjąć marksizmu. Jest  
zbyt prze-  
ciężny.

Z gardła mężczyzny dobył się jakiś  
dziwny dźwięk.

- Mówię teraz bardzo szczerze. To jest  
moje po-  
dziękowanie za to, że przedtem ty mówiłeś  
szczerze.

Postanowiłem odpowiedzieć na twoje  
naiwne pytania.

Ale musisz zdawać sobie sprawę, że gdy  
skończę mówić,  
twój wybór będzie bardzo ograniczony.

Chcę, żebyś

to dobrze zrozumiał. Inaczej mówiąc, to ty  
podbiłeś

stawkę. Zgoda?

- Nie ma rady.

- W tej chwili w tym domu przebywa  
umierający

stary człowiek - powiedział mężczyzna. -

Przyczyna jego

stanu jest jasna. W mózgu uformował mu  
się wielki

krwiak. Tak wielki, że wręcz zmienia kształt  
mózgu. Co

wiesz o chorobach mózgu?

- Praktycznie nic.

- To jakby krwawa bomba. Zablokowany  
krwiobieg

i obrzmienie. Jakby wąż połknął piłkę  
golfową. Kiedy

wybuchnie, mózg przestanie funkcjonować.

Ale operacja

jest niemożliwa. Może wybuchnąć w każdej  
chwili. Czyli

realistycznie mówiąc, pozostaje tylko

czekanie na nadej-

ście śmierci. Może umrzeć za tydzień, a może  
za miesiąc.

Tego nikt nie wie.

Mężczyzna stulił wargi i powoli wypuścił  
powietrze.



- W tym, że umrze, nie ma nic dziwnego.  
Jest stary,  
wiadomo, na czym polega choroba. Dziwne  
jest nato-  
miast, dlaczego dożył aż do dziś.

Nie miałem pojęcia, o co mężczyźni  
chodzi.

- Nie byłoby wcale dziwne, gdyby umarł  
trzydzieści  
dwa lata temu - ciągnął mężczyzna. - Albo  
czterdzieści  
dwa lata temu. Krwiak odkrył u niego po  
raz pierwszy  
pewien amerykański lekarz, kiedy Szefer został  
uwięziony  
jako zbrodniarz wojenny klasy A. To było  
jesienią czter-  
dziestego szóstego roku, niedługo przed  
procesem tokij-  
skim. Lekarz zobaczył zdjęcie  
rentgenowskie krwiaka  
i doznał szoku. A to dlatego, że medycyna  
nie znała  
przypadku, by ktoś mógł żyć z równie  
wielkim krwiakiem,  
i to nie tylko żyć, ale żyć bardziej aktywnie niż  
inni. Wtedy  
Szefera przeniesiono z więzienia Sugamo do  
szpitala Świę-  
tego Łukasza, który wtedy był przejęty  
przez armię  
amerykańską. Poddano go tam szczegółowym  
badaniom.

Badania trwały przez rok, ale nic nie  
wyjaśniły. Tyl-  
ko tyle, że może umrzeć w każdej chwili i  
sam fakt, że  
jeszcze żyje, jest zadziwiający. Lecz żył sobie  
dalej spokoj-  
nie. Mózg funkcjonował normalnie. Nikt nie  
znał przy-  
czyny. Ślepa uliczka. Człowiek, który  
teoretycznie powi-  
nien nie żyć, żyje i cieszy się dobrym  
zdrowiem.

Wyjaśniło się jeszcze kilka drobnych  
faktów dotyczą-  
cych jego choroby. Co czterdzieści dni  
miewał silne,

trzydniowe ataki bólu głowy. Twierdził, że bóle rozpoczęły się w roku trzydziestym szóstym. Przypuszczano, że wtedy też musiał uformować się krwiak. Bóle były tak

silne, że podawano mu środki przeciwbólowe. Po prostu narkotyki. Ale narkotyki, łagodząc ból, wywoływały dziwne halucynacje. Bardzo intensywne halucynacje. Tylko on wiedział, co mu się zwiadywało, ale ponoć nie było to nic przyjemnego. Dokładne dane na temat tych halucynacji ma armia amerykańska. Lekarze to wszystko dokładnie opisywali. Ja dostałem się nielegalnie do tych materiałów i czytałem je wielokrotnie. Choć napisane beznamiętnym naukowym językiem, były przerażające. Chyba mało kto mógłby znieść takie potworne, regularnie powtarzające się halucynacje.

Nikt nie wiedział, skąd się brały. Przypuszczano, że krwihak regularnie emanuje jakąś energię i że te bóle głowy są reakcją organizmu. Gdy usunie się tę reakcję, owa energia bezpośrednio stymuluje jakąś część mózgu i halucynacje są efektem tej stymulacji. Oczywiście to była tylko hipoteza, ale armia amerykańska bardzo się nią zainteresowała. I wtedy rozpoczęto dokładne badania. Ścisłe tajne badania prowadzone przez wywiad. Nawet dziś jeszcze dokładnie nie wiadomo, dlaczego wywiad amerykański zainteresował się badaniami krwiaka jakiegoś człowieka, ale można sobie wyobrazić kilka przyczyn. Po pierwsze, może pod płaszczykiem badań medycznych próbowali uzyskać jakieś inne, poufne wiadomości. Na przykład na temat kanałów szpiegowskich i kanałów



przemytu opium na terenie Chin. Porażka  
Czang Kaj-  
-szeka oznaczała dla Ameryki utratę układów  
w Chinach.  
Marzyli o pozyskaniu wszystkich układów  
Szefa. Wyniki

badań nie zostały oczywiście podane do wiadomości publicznej. Po ich zakończeniu Szef został uwolniony, bez procesu. Należy przypuszczać, że dokonano jakiejś zakulisowej transakcji. Wolność została kupiona za informacje.

Druga możliwość to, że próbowano znaleźć związek pomiędzy pewną ekscentrycznością Szefa, który stał się liderem prawicy, a krwiakiem. Wytłumaczę ci to jeszcze później. To był bardzo ciekawy pomysł. Ale myślę, że nic nie udało im się wykryć. Skoro nawet teoretycznie niemożliwe jest, że on żyje, to jak miałyby im się udać wyjaśnienie czegoś tak skomplikowanego? Trzeba by zrobić sekcję zwłok. Więc to też była ślepa uliczka.

Trzecia możliwość dotyczy „prania mózgu”.  
Chodzi o teorię, że jeżeli wyśle się do mózgu pewne bodźce, to będzie można wywołać określoną reakcję. Wówczas to ' było modne. Teraz już wiadomo, że wtedy w Ameryce istniał zespół zajmujący się badaniem prania mózgu.

Nie wiadomo, na który z tych trzech wariantów kładły nacisk badania przeprowadzane przez wywiad. To wszystko kryje się w mrokach historii. Wie o tym tylko garstka ludzi z ówczesnego dowództwa sztabu armii amerykańskiej i Szef. Szef do dziś ani mnie, ani nikomu innemu nic na ten temat nie powiedział i pewnie już nie powie. Dlatego to, co teraz mówię, to tylko przypuszczenia.

Mężczyzna skończył mówić i cicho zakaszłał. Nie miałem pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy wszedłem do tego pokoju.

- Wiadomo natomiast więcej o okresie powstania krwiaka, czyli o roku trzydziestym szóstym. W trzydziestym drugim roku pod zarzutem udziału w spisku dotyczącym planowanego zamachu na jakąś ważną osobistość Szef został uwięziony. Przebywał w więzieniu do czerwca trzydziestego szóstego roku. Zachowały się dokumenty więzienne i sprawozdania medyczne, sam Szef też czasem wspominał coś na ten temat. Gdy się uporządkuje te wszystkie informacje, widać, że wkrótce po osadzeniu w więzieniu Szef zaczął cierpieć na silną bezsenność. Nie była to zwykła bezsenność, ale dolegliwość o niebezpiecznym natężeniu. Czasami nie spał przez trzy, cztery dni, a nawet przez tydzień. Policja wymuszała wówczas zeznania od więźniów politycznych, nie dając im spać. Szczególnie w przypadku Szefa, ponieważ chodziło o konflikt pomiędzy frakcją prorządową i procesarską, śledztwo było bardzo surowe. Gdy więzień próbował spać, polewano go wodą, bito bambusowym kijem albo świecono w oczy silnym światłem. Jeśli takie traktowanie się przedłuża, większość ludzi po paru miesiącach jest w fatalnym stanie. Niszczony są nerwy regulujące sen. Albo się umiera, albo wariuje, albo cierpi na stałą bezsenność. W wypadku Szefa stało się to trzecie. Jednakże bezsenność minęła całkowicie wiosną trzydziestego szóstego roku, dokładnie wtedy kiedy powstał krwiak.

Co o tym  
sądzisz?

- To znaczy, że ta ekstremalna bezsenność  
zabloko-  
wała krążenie krwi w mózgu i spowodowała  
krwiak?

- To jest najsluszniejsza hipoteza. Nawet amatorowi się nasuwa, więc pewnie nasunęła się i amerykańskim lekarzom. Ale to nie wszystko. Uważam, że brakuje tam jednego ważnego czynnika. Krwiak był chyba zjawiskiem towarzyszącym czemuś innemu. Przecież wielu ludzi ma krwiaki, a nie wykazują takich symptomów. A poza tym nie wyjaśnia to, dlaczego SzeF ciągle żył.

To, co mówił mężczyzna, wydawało się logiczne.

- Jest jeszcze jeden dziwny fakt łączący się z krwiakiem.

Od wiosny trzydziestego szóstego roku SzeF stał się innym człowiekiem. Do tego czasu był przeciętnym działaczem prawicowym. Urodził się jako trzeci z kolei syn ubogiego rolnika z Hokkaido; gdy miał dwanaście lat, odszedł z domu i pojechał do Korei. Tam mu się nie poszczęściło, więc wrócił do Japonii i został członkiem prawicowego ugrupowania. Był porywczym młodym człowiekiem, zawsze wymachującym samurajskim mieczem. Pewnie nawet nie umiał za dobrze czytać. Ale gdy opuszczał więzienie w roku trzydziestym szóstym, już pod każdym względem nadawał się na przywódcę prawicy. Miał charyzmę, umiejętność logicznego rozumowania, mógł wygłaszać przemówienia wywołujące gwałtowne reakcje tłumów, umiejętność przewidywania, politycznej gry i podejmowania decyzji, a nade wszystko umiał wykorzystać słabości społeczeństwa do tego, by nim kierować.

Mężczyzna odetchnął i lekko zakaszłał.

- Oczywiście jego teorie jako ideologa  
prawicy i jego  
rozumienie świata były dosyć  
nieskomplikowane. Ale to

nie było ważne. Ważne było, jak to się da zinstytucjonalizować. Tak jak Hitler zinstytucjonalizował na poziomie państwa ideę narodu wybranego i przestrzeni życiowej. Lecz Szefer nie poszedł tą drogą. Poszedł boczną drogą prowadzącą w cieniu. Stał się człowiekiem niewychodzącym na scenę, kierującym społeczeństwem zza kulis. W tym celu pojechał w trzydziestym siódmym do Chin. Ale to nieważne. Wróćmy do krwiaka. Chciałem podkreślić, że czas powstania krwiaka nakłada się na czas, kiedy Szefer doznał tej cudownej, kompletnej przemiany wewnętrznej.

- Czyli zgodnie z pańską teorią nie ma związku przyczynowo-skutkowego między krwiakiem a przemianą wewnętrzną - powiedziałem - tylko są one paralelne, a wywołane przez jakiś tajemniczy czynnik.

- Jesteś naprawdę bystry - powiedział mężczyzna.

- Krótko i w samo sedno.

- No a jaki to ma związek z owcą?

Mężczyzna wyjął z papierośnicy drugiego papierosa, ugniół go lekko w palcach i włożył do ust. Nie zapalił.

- Dojdę do tego w swoim czasie - powiedział.

Przez chwilę trwało napięte milczenie.

- Zbudowaliśmy królestwo - powiedział mężczyzna.

- Wielkie podziemne królestwo. Trzymamy wszystko w garści. Politykę, finanse, środki masowego przekazu, biurokrację, kulturę i wszystkie inne rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażasz. Wchłonęliśmy nawet wro-



gie nam elementy. Establishment i  
antyestablishment.

Wszystko. I większość z nich nawet nie zdaje sobie sprawy, że są częścią naszego królestwa. To jest niezwykle dobrze pomyślana organizacja. I tę organizację samodzielnie stworzył po wojnie Szefer. Czyli państwo jest jakby statkiem i Szefer, siedząc na dnie tego statku, jego udziałowym władcą. Jeśli wyciągnie korek, statek zatoni, a pasażerowie pogrążą się w morzu, nie wiedząc nawet, co się stało.

Dopiero teraz zapalił papierosa.

- Ale ta organizacja ma swój kres. Będzie nim śmierć króla. Jeśli król umrze, królestwo upadnie, dlatego że król zbudował i utrzymywał je sam dzięki swojemu geniuszowi. Moja hipoteza jest taka, że zbudował i utrzymywał je za pomocą pewnego tajemniczego czynnika. Gdy Szefer umrze, wszystko się skończy. A to dlatego, że nasze królestwo nie było organizacją biurokratyczną, tylko idealną maszyną poruszaną siłą jednego mózgu. W tym tkwi nasza siła i nasza słabość. Albo może „tkwiła”. Po śmierci Szefa prędzej czy później organizacja się rozleci i, jak pałac Walhalla\* unicestwiany przez płomień, zatoni w morzu przeciętności. Nikt nie będzie w stanie zastąpić Szefa. Organizacja zostanie podzielona, tak jak wielkie pałace są burzone, by zrobić miejsce dla osiedli mieszkaniowych. Świat jednolity i prawdopodobny. Nie będzie w nim miejsca na wolę. A może ty myślisz, że właśnie tak powinno się

postąpić. Podzielić.

---

\* W mitologii skandynawskiej część  
niebiańskiego pałacu Odyna, miejsce pobytu  
poległych  
wojowników

Ale zastanów się przez chwilę. Japonia robi się stopniowo zupełnie płaska, nie będzie gór, wybrzeża ani jezior i wszędzie staną osiedla mieszkaniowe. Uważasz, że to słuszne?

- Nie wiem - powiedziałem. - Nie wiem, czy pytanie jest właściwie postawione.

- Jesteś inteligentny - rzekł mężczyzna, zaplatając palce na kolanach. Końce palców poruszały się w wolnym rytmie. - Osiedla mieszkaniowe to był tylko przykład.

Dokładniej mówiąc, organizacja dzieli się na dwie części.

Część posuwającą się do przodu i część popychającą do przodu. Są jeszcze inne części, wykonujące inne funkcje,

ale to jest główny podział i nasza organizacja składa się

z tych dwóch głównych części. Inne są praktycznie bez

znaczenia. Część posuwająca się do przodu to Wola,

a część popychająca do przodu to Zyski.

Ludzie, którzy

mają do Szefa pretensje, zawsze mówią o Zyskach. I po

śmierci Szefa ludzie zbiegną się, by dzielić również Zyski.

Nikt nie będzie chciał Woli. Bo nikt nie będzie mógł jej

zrozumieć. O to mi chodziło, gdy mówiłem o podziale.

Woli nie da się podzielić. Albo się ją w stu procentach

odziedziczy, albo zostanie w stu procentach stracona.

Palce mężczyzny nadal wybijały powolny rytm. Poza

tym wszystko było takie samo jak na początku. Nie-

przenikniony wzrok, zimne oczy, twarz o regularnych

rysach bez żadnego wyrazu. Twarz była cały

czas zwróco-  
na ku mnie pod tym samym kątem.  
- Co to jest Wola? - zapytałem.

- Pojęcie kierowania przestrzenią,  
kierowania czasem  
i kierowania możliwościami.  
- Nie rozumiem.  
- Oczywiście nikt nie rozumie. Tylko SzeF  
rozumiał to  
instynktownie. Mówiąc przesadnie,  
zanegował samopo-  
znanie. Tylko w ten sposób można dokonać  
całkowitej  
rewolucji. Powiem to tak, abyś zrozumiał:  
rewolucji,  
w której kapitał wcieli się w pracę, a praca  
w kapitał.  
- Brzmi to jak fantazja.  
- Wręcz przeciwnie. Samopoznanie jest  
fantazją  
- przerwał mi mężczyzna. - Oczywiście to,  
co ja mówię,  
to tylko słowa. Choćbym użył bardzo wielu  
słów, nie uda  
mi się wytłumaczyć ci pojęcia Woli w  
takim sensie,  
w jakim posługiwał się nią SzeF. Moje  
wyjaśnienia wyrażą  
tylko korelacje pomiędzy mną a tą Wolą  
za pomocą  
innych korelacji natury językowej. A  
negacja samopo-  
znania łączy się z kolei z negacją języka.  
Jeśli dwa filary  
humanizmu europejskiego, poznanie jednostki  
i ewolucyj-  
na kontynuacja, stracą swe znaczenie, to i  
język straci  
swe znaczenie. Byt nie będzie jednostką,  
tylko stanie się  
chaosem. Ty też nie będziesz samodzielnym  
bytem, tylko  
będziesz chaosem. Mój chaos będzie też  
twoim chaosem,  
a twój chaos moim chaosem. Byt będzie  
porozumieniem,  
a porozumienie bytem.  
Wydało mi się, że w pokoju nagle zrobiło  
się bardzo  
zimno i że obok mnie czeka ciepłe łóżko.  
Ktoś mnie do  
niego zaprasza. Ale to było oczywiście tylko

przywidzenie.  
Jeszcze jest wrzesień i na dworze grają  
niezliczone cykady.

- To rozszerzenie świadomości, którego dokonywaliście, a raczej próbowaliście dokonać w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, zupełnie się nie udało, ponieważ zaczęło się od jednostki. To znaczy, jeśli próbuje się powiększać świadomość jednostki, mimo że nie zmienia się ona jakościowo i ilościowo, musi się to skończyć rozczarowaniem. Właśnie w tym znaczeniu mówiłem o przeciętności. No ale i tak nie zrozumiesz, niezależnie od tego, ile bym ci tłumaczył. Mnie też specjalnie nie zależy na tym, żebyś rozumiał. Staram się tylko szczerze rozmawiać.

- Ten rysunek, który ci pokazałem - ciągnął mężczyzna - jest kopią rysunku pochodzącego z danych szpitala armii amerykańskiej. Datowany jest dwudziestego siódmego lipca czterdziestego szóstego roku. Został wykonany własnoręcznie przez Szefa na prośbę lekarzy, jako jedna z prób zarejestrowania jego halucynacji. Zgodnie z wynikami badań ta owca z bardzo dużą częstotliwością pojawiała się w halucynacjach Szefa. Jeśli odwołamy się do liczb, to okaże się, że była obecna w około osiemdziesięciu procentach. Czyli na pięć halucynacji w czterech pojawiała się owca. I to nie zwykła owca, a ta z czerwonobrazową łata w kształcie gwiazdy na grzbiecie.

Następnie ten herb z owcą, wygrawerowany na zapalnicze, jest herbem, którym Szef zaczął się posługiwać od trzydziestego szóstego roku jako swoim własnym. Jak



pewnie sam zauważyłeś, owca w herbie jest  
dokładnie taka  
sama jak ta na rysunku. I owce te są takie  
same jak owca  
na twoim zdjęciu. Nie uważasz, że to  
bardzo ciekawe?

- To pewnie czysty przypadek - powiedziałem. Staralem się mówić lekko, ale chyba nie bardzo mi wyszło.

- To nie wszystko - ciągnął mężczyzna. - SzeF z wielkim zapalem zbierał wszystkie dane i informacje na temat owiec w Japonii i za granicą. I raz w tygodniu bardzo starannie sprawdzał wszelkie artykuły, jakie ukazały się na temat owiec w gazetach i czasopiśmie w całej Japonii. Ja mu w tym pomagałem. SzeF robił to z wielką energią, tak jakby czegoś szukał. Gdy SzeF zachorował, ja, zupełnie prywatnie, kontynuowałem tę pracę. Bardzo mnie ciekawiło, co z tego wyniknie. I wyniknęłaś ty. Ty i twoje owce. Nie wygląda to na przypadek.

Zważyłem w rękę zapalniczkę. Była przyjemnie ciężka. Ani za ciężka, ani za lekka. Zdarza się czasem na świecie taka właśnie waga.

- Czy wiesz, dlaczego SzeF aż z takim zapalem szukał tej owcy?

- Nie wiem - powiedziałem. - Chyba łatwiej zapytać Szefa?

- Gdybym mógł, to bym zapytał. SzeF od dwóch tygodni jest nieprzytomny. Już prawdopodobnie nie odzyska przytomności. I jeśli SzeF umrze, mroki tajemnicy owcy z łąką w kształcie gwiazdy nigdy nie zostaną rozwiązane. A tej myśli nie mogę znieść. Nie ze względu na moją osobistą stratę, ale z powodów natury ogólnej.

Otworzyłem zapalniczkę, zapaliłem i zamknąłem.

- Pewnie myślisz, że to, co mówię, jest głupie. I może

nawet tak jest. Może to naprawdę jest  
głupie. Ale chcę,

164

żebyś zrozumiał, że tylko to nam pozostało.  
SzeF umrze.

Umrze jego wola. I wszystko wokół tej woli  
też zniknie.

Zostanie tylko to, co da się policzyć. Nic  
innego. Dlatego  
chcę znaleźć tę owcę.

Po raz pierwszy na parę sekund  
przymknął oczy.

Zapanowała cisza.

- Powiem ci, jaka jest moja hipoteza. To  
tylko hipo-  
teza. Jak ci się nie spodoba, możesz o niej  
zapomnieć.

Otóż ja myślę, że ta owca kształtuje wolę  
Szefa.

- Jak foremka do wycinania ciasteczek w  
kształcie  
zwierzątek - powiedziałem.

Mężczyzna udał, że nie słyszy.

- Owca musiała dostać się do wnętrza  
Szefa. To stało  
się przypuszczalnie w trzydziestym szóstym  
roku. I potem  
żyła w nim przez czterdzieści lat. Znalazła  
tam pewnie  
łąkę i brzozowy zagajnik. Tak jak na tym  
zdjęciu. Co  
o tym myślisz?

- Myślę, że to bardzo interesująca  
hipoteza - powie-  
działem.

- To jest szczególna owca. Bardzo  
szczególna  
owca. Chcę ją znaleźć i potrzebna mi jest  
twoja pomoc.

- Co pan zrobi, jak już ją pan znajdzie?

- Nic nie zrobię. Pewnie nie będę mógł  
nic zrobić.

Zrobienie czegoś nie będzie leżało w moich  
możliwoś-  
ciach. Chcę tylko na własne oczy zobaczyć,  
jak znikają

moje marzenia. A jeśli owca będzie sobie  
czegoś życzyła,

zrobię dla niej, co tylko będę mógł. Kiedy  
SzeF umrze,

moje życie praktycznie straci sens.



Mężczyzna umilkł. Ja też milczałem,  
tylko cykady  
nadal śpiewały. Drzewa lekko szumiały  
poruszane wie-  
cznym wiatrem. W całym domu nadal  
niezmiennie  
panowała cisza. Ziarenka śmierci rozsypały  
się po nim  
jak zakaźna choroba, przed którą nie ma się  
jak bronić.

Wyobraziłem sobie łąkę w głowie Szefa.  
Wielką łąkę, na  
której uschła trawa i z której uciekła owca.

- Jeszcze raz powtarzam: chcę wiedzieć,  
skąd masz to  
zdjęcie - powiedział mężczyzna.  
- Nie mogę powiedzieć - odrzekłem.  
Mężczyzna westchnął.  
- Próbowałem rozmawiać z tobą szczerze.

I dlatego  
chcę, żebyś ty też był szczery.

- Nie mogę panu powiedzieć. Jeśli  
powiem, to może  
oznaczać kłopoty dla osoby, która dała mi  
zdjęcie.

- To znaczy - powiedział mężczyzna -  
że masz  
powody, by myśleć, że to może sprawić  
jakiś kłopot tej  
osobie związanej z owcami.

- Nie, nie mam powodów. Tylko tak mi  
się wydaje.

Coś się za tym kryje. Cały czas tak  
myślałem, słuchając  
pana opowieści. Coś się za tym kryje. Mam  
takie uczucie.

- I dlatego nie możesz powiedzieć.  
- Tak - odrzekłem i zastanowiłem się  
przez chwilę.

- Ja jestem specjalistą od kłopotów. W  
dziedzinie spra-  
wiania ludziom kłopotów chyba nikt mi  
nie dorówna.

I dlatego próbuję unikać takich sytuacji,  
ale przez to  
przysparzam ludziom jeszcze więcej  
kłopotów. Choćbym  
nie wiem jak się starał, zawsze kończy się  
tak samo.



Jednak nawet wiedząc o tym, nie mogę zrobić tego świadomie. To jest pewnie rodzaj hipokryzji.

- Nie bardzo rozumiem.

- To tylko znaczy, że przeciętność przybiera różne formy.

Wyciągnąłem papierosa i przypaliłem zapalniczką.

Zrobiło mi się trochę lżej na duszy.

- Jak nie chcesz powiedzieć, to nie mów - rzekł

mężczyzna. - Za to ty będziesz musiał znaleźć owcę. To

jest nasz ostateczny warunek. Jeżeli w ciągu dwóch mie-

sięcy od dzisiaj znajdziesz owcę, zapłacimy ci tyle, ile

będziesz chciał. Jeśli nie znajdziesz, będzie koniec z twoją

firmą i z tobą. Zgadzasz się?

- Nie mam wyboru - stwierdziłem. - Ale jeśli okaże

się, że to wszystko pomyłka i nigdy nie było żadnej owcy

z łata w kształcie gwiazdy?

- Sytuacja będzie taka sama. I dla mnie, i dla ciebie są

tylko dwa rozwiązania. Albo znajdziesz owcę, albo nie.

Nie ma nic pośredniego. Żal mi cię, ale tak jak wcześniej

mówiłem: to ty podbiłeś stawkę. Ponieważ dostałeś piłkę,

musisz biec do bramki. Nawet jeśli nie ma bramki.

- Rozumiem - powiedziałem.

Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki grubą kopertę

i położył przede mną.

- Użyj tego na pokrycie kosztów. Jak ci zabraknie,

zadzwoń. Natychmiast ci doślę. Jakies pytania?

- Nie mam pytań, ale mam uwagi.

- Jakies?





- To jest, ogólnie biorąc,  
nieprawdopodobnie idiotyczna  
historia, ale w pana ustach brzmi jakoś  
prawdziwie. Nikt by  
mi nie uwierzył, gdybym opowiedział, co tu  
dzisiaj zaszło.

Mężczyzna lekko skrzywił wargi.  
Wyglądało to trochę,  
jakby się uśmiechnął.

- Zaczyniesz od jutra. Tak jak  
powiedziałem przed  
chwilą, dwa miesiące od dziś.

- Trudna sprawa. Dwa miesiące mogą nie  
starczyć. Prze-  
cież muszę szukać jednej małej owcy na  
wielkim terenie.

Mężczyzna patrzył na mnie bez słowa.  
Kiedy mi się  
tak przyglądał, odniosłem wrażenie, że robię  
się w środku  
jak pusty basen. Brudny, odrapany basen.  
Nie wiadomo,  
czy w przyszłym roku będzie się nadawał do  
użytku.

Mężczyzna przypatrywał mi się przez pełne  
pół minuty  
i przez ten czas ani razu nie drgnęła mu  
powieka. Po  
czym powoli otworzył usta.

- Powinieneś już iść - powiedział.  
Mnie się też tak wydawało.

### 3. Samochód i jego kierowca (2)

- Czy życzy pan sobie wrócić do firmy, czy  
też gdzieś  
indziej? - zapytał kierowca.

Był to ten sam kierowca co przedtem, ale  
teraz wydawał  
się sympatyczniejszy. Na pewno łatwo się  
zaprzyjaźniał  
z ludźmi.

Powoli przeciągnąłem się na szerokim siedzeniu i zasta-  
nowiłem się, dokąd by tu pojechać. Nie  
miałem zamiaru  
wracać do firmy. Gdy tylko pomyślałem, że  
miałbym  
wyjaśnić wszystko przyjacielowi, rozboleła  
mnie głowa.  
Jak mógłbym mu to wyjaśnić? Poza tym  
przecież jestem  
dziś na urlopie. Nie chciało mi się też wracać  
prosto do  
domu. Wydawało mi się, że przed powrotem  
do domu  
lepiej będzie zobaczyć normalnych ludzi  
normalnie cho-  
dzących na dwóch nogach po normalnym  
świecie.

- Do zachodniego wejścia dworca  
Shinjuku - po-  
wiedziałem. Pewnie dlatego, że zrobiło się  
późne popo-  
łudnie, na drodze prowadzącej do Shinjuku  
był strasz-  
ny korek. Od pewnego momentu samochody  
prawie  
przestały się poruszać, tak jakby pozarzucały  
kotwice.  
Wydawało się, że czasem przesuwały się o  
kilka cen-  
tymetrów, jak poruszane falami. Przez  
chwilę myślałem  
o szybkości, z jaką kręci się Ziemia.  
Ciekawe, ile ki-  
lometrów na godzinę przesuwa się ta  
autostrada w prze-  
strzeni kosmicznej? Obliczyłem szybko w  
pamięci i otrzy-  
małem przybliżony wynik, ale nie  
wiedziałem, czy to  
szybciej, czy wolniej niż karuzela w wesołym  
miasteczku.  
Wielu rzeczy nie wiemy. Tylko wydaje  
nam się, że  
mniej więcej wiemy. Jeśli przyszliby do  
mnie kosmici  
i zapytali: „Słuchaj, powiedz, z jaką  
szybkością obraca  
się równik?”, to byłbym w kłopotcie. Nie

umiałbym  
pewnie nawet wyjaśnić, dlaczego po wtorku  
następuje  
środa. Na pewno by się ze mnie śmiali.  
Czytałem  
*Braci Kammazow* i *Cichy Don* po trzy razy.  
Nawet raz

przeczytałem *Ideologię niemiecką*. Znam wartość pi do szesnastego miejsca po przecinku. I mimo to by mnie wyśmiali? Pewnie tak. Śmialiby się do rozpuku.

- Czy życzy pan sobie posłuchać muzyki?  
- zapytał kierowca.

- Chętnie - odparłem.

Ballada Chopina wypełniła wnętrze samochodu. Poczuję się jak człowiek czekający w holu na rozpoczęcie przyjęcia weselnego.

- Przepraszam - powiedziałem do kierowcy - czy pan zna wartość pi?

- Chodzi panu o trzy przecinek czternaście i tak dalej?

- Tak, do ilu miejsc po przecinku pan zna?

- Do trzydziestu dwóch - powiedział kierowca jak gdyby nigdy nic. - Dalej nie bardzo pamiętam.

- Do trzydziestu dwóch?!

- Jest taki specjalny sposób, żeby zapamiętać. Dlaczego pan pyta?

- Nic takiego - powiedziałem rozczarowany. - Bez powodu.

Potem słuchaliśmy przez pewien czas Chopina, a samochód przesunął się o jakieś dziesięć metrów. Inni kierowcy i pasażerowie autobusów wpatrywali się w nasz niezwykle samochód. Człowiek jednak czuje się nieswojo, wiedząc, że inni mu się przypatrują, nawet jeśli okna są zrobione ze specjalnego szkła i nie można z zewnątrz zajrzeć do środka.

- Straszny korek - powiedziałem.



- Tak - odparł kierowca. - Ale tak samo,  
jak nie ma  
nocy bez świtu, nie ma korka bez końca.

- To prawda - rzekłem - ale czy korki  
nigdy pana nie  
denerwują?

- Oczywiście, że denerwują. Jestem  
niezadowolony,  
szczególnie kiedy mi się spieszy. Ale staram  
się myśleć,  
że to wszystko są próby, na jakie jesteśmy  
wystawiani.

Czyli denerwowanie się oznacza własną  
przegraną.

- To brzmi jak bardzo religijna  
interpretacja korka.

- Jestem chrześcijaninem. Nie chodzę do  
kościół,  
ale jestem chrześcijaninem.

- Tak? - wyjąkałem. - I nie dostrzega  
pan żadnej  
sprzeczności pomiędzy byciem  
chrześcijaninem i byciem  
kierowcą grubej ryby prawicy?

- Szef jest wspaniałym człowiekiem. Ze  
wszystkich  
osób, jakie znam, on jest najwspanialszy,  
zaraz po  
Panu Bogu.

- Zna pan Pana Boga?

- Oczywiście. Codziennie rozmawiam z  
Nim przez  
telefon.

- Ale - powiedziałem i urwałem. Znowu  
nie mogłem  
zebrać myśli. - Ale gdyby wszyscy  
dzwonili do Pana  
Boga, telefon byłby ciągle zajęty, tak jak  
informacja  
o numerach telefonicznych popołudniami.

- Taki problem nie istnieje. Pan Bóg  
jest bytem  
jednoczesnym. To znaczy, że jeśli nawet naraz  
zadzwoń-  
by milion ludzi, Pan Bóg mógłby  
rozmawiać z całym  
milionem jednocześnie.





- Ja się na tym nie znam, ale czy to jest ortodoksyjna interpretacja? To znaczy, z teologicznego punktu widzenia?

- Ja mam radykalne poglądy, dlatego nie rozumiemy się z kościołem.

- Aha - powiedziałem.

Samochód przesunął się zaledwie o pięćdziesiąt metrów. Włożyłem do ust papierosa i kiedy miałem go zapalić, zorientowałem się, że cały czas ściskam w dłoniach zapalniczkę. Nieświadomie zabrałem ze sobą tę zapalniczkę firmy Dupont z herbem owcy, którą podał mi mężczyzna. Przyłgnęła do mojej dłoni tak naturalnie, jakbym miał ją od niepamiętnych czasów. Przyjemnie ciężka, przyjemnie gładka, nic jej nie można zarzucić. Zastanowiłem się chwilę i postanowiłem ją zatrzymać. Nikt się nie przejmuje stratą jednej lub nawet dwóch zapalniczek. Trzy razy ją otworzyłem i zamknąłem, potem zapaliłem papierosa i schowałem ją do kieszeni. W zamian wyjąłem jednorazową zapalniczkę BIC i włożyłem do kieszeni na drzwiach.

- Dostałem kilka lat temu od Szefa - powiedział nagle kierowca.

- Co?

- Numer telefonu Pana Boga.

Westchnąłem cicho. Czy ja zwariowałem? A może to on jest wariatem?

- Tylko panu podał ten numer?

- Tak, tylko mnie. Jest wspaniałym człowiekiem. Czy pan także chciałby ten numer?

- Jeśli to możliwe.



- Więc podam panu. Numer tokijski,  
dziewięć-cztery-pięć-...

- Proszę zaczekać - powiedziałem,  
wyjąłem długopis  
i notes i zapisałem numer. - Ale czy na  
pewno wolno  
panu podać mi ten numer?

- Na pewno. Nie podaję go oczywiście  
każdemu, lecz  
pan wygląda na dobrego człowieka.

- Dziękuję - rzekłem. - Ale o czym ja  
będę z nim  
rozmawiał? Nie jestem chrześcijaninem.

- Myślę, że to nie szkodzi. Może pan mu  
szczerze  
powiedzieć, co pana martwi, co pan myśli.  
Nawet jeśli  
powie pan coś głupiego, Pan Bóg ani nie  
będzie znudzony,  
ani nie będzie się z pana śmiał.

- Dziękuję. W takim razie zadzwonię.

- Bardzo dobrze - powiedział kierowca.  
Samochód ruszył miękko i w dali ukazał  
się budynek  
dworca Shinjuku. Więcej już nie  
rozmawialiśmy.

#### 4. Koniec lata i początek jesieni

Gdy samochód dotarł do celu, miasto  
spowite już było  
w szafirowym mroku. Lekki wiatr  
zwiastujący koniec lata  
prześlizgiwał się między domami i poruszając  
sukienkami  
kobiet, odbijał się echem na wyłożonym  
płytami chodniku.

Wjechałem na ostatnie piętro jednego z  
hotelu, wszed-  
łem do przestronnego baru i zamówiłem  
piwo Heineken.

Przyniesiono je dopiero po dziesięciu minutach. Czekając, oparłem głowę na dłoni i przymknąłem oczy. O niczym nie myślałem. Gdy tak siedziałem z zamkniętymi oczami, wydawało mi się, że kilkaset krasnoludków zamiata wnętrze mojej głowy. Zamiatały bez końca, przesuwając kurz z miejsca na miejsce. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by posłużyć się szufelką.

Przyniesiono piwo i wypilem je od razu dwoma haustami. Potem zjadłem wszystkie orzeszki, które podano na talerzyku razem z piwem.

Już nie słyszałem szurania szczotek. Wszedłem do kabiny telefonicznej obok kasy i zadzwoniłem do dziewczyny ze wspinałymi uszami. Nie było jej ani w domu, ani u mnie. Może wyszła coś zjeść. Nigdy nie je w domu.

Potem zadzwoniłem do nowego mieszkania żony, ale po dwóch dzwonekach zmieniłem zdanie i rozłączyłem się. Właściwie nie miałem jej nic specjalnego do powiedzenia, a nie chciałem, żeby pomyślała, że jestem pozabawiony wszelkich uczuć.

Poza tym nie miałem już do kogo zadzwonić. Byłem w sercu tętniącego życiem, dziesięciomilionowego miasta i były tylko dwie osoby, do których mogłem zadzwonić.

W dodatku jedna z nich jest moją byłą żoną. Poddałem się, wsunąłem dziesięciojenówkę z powrotem do kieszeni i wyszedłem z kabiny. Potem zamówiłem u przechodzącego akurat kelnera jeszcze dwa heinekeny.

I tak dzień dobiegał końca. Wydało mi się,

że jeszcze  
nigdy nie przeżyłem równie jałowego.  
Ostatni dzień lata

powinien mieć smak ostatniego dnia lata, a  
dziś cały czas  
byłem popychany i ciągnany z miejsca na  
miejsce. Za oknem  
wszystko pokryła chłodna ciemność początku  
jesieni. Na ziemi,  
w dole, w nieskończoność ciągnęły się małe  
żółte światełka.  
Z góry wyglądały tak, jakby czekały, że ktoś  
je zdepta.

Przyniesiono piwo. Wypiłem pierwsze z  
nich, wysypa-  
łem na dłoń wszystkie orzeszki z dwóch  
talerzyków i powoli  
je jadłem. Przy sąsiednim stoliku cztery  
kobiety w średnim  
wieku plotkowały, popijając kolorowe  
tropikalne koktajle.  
Przyszły tu po lekcji pływania na basenie.  
Kelner stał  
nieruchomo i tylko ziewnął lekko, skłaniając  
głowę. Drugi  
kelner wyjaśniał treść menu starszej parze  
Amerykanów.  
Zjadłem wszystkie orzeszki i wypiłem trzy  
piwa. Po  
skończeniu trzeciego nie miałem już nic do  
roboty.

Wyciągnąłem z tylnej kieszeni lewisów  
kopertę, otwo-  
rzyłem, wyjąłem plik banknotów, każdy po  
dziesięć ty-  
sięcy jenów, i zacząłem liczyć. Były to nowe  
banknoty,  
opasane banderolą, i przypominały raczej  
nową talię  
kart. Gdy doszedłem mniej więcej do  
połowy, rozboleła  
mnie ręka. Przy dziewięćdziesiątym szóstym  
podszedł  
starszy kelner, zabrał puste puszki i zapytał,  
czy przynieść  
mi jeszcze jedną. Skinąłem w milczeniu  
głową, nie prze-  
rywając liczenia. Wyglądał na zupełnie  
niezainteresowa-  
nego faktem, że liczę sobie w barze  
pieniądze.

Doliczyłem się stu pięćdziesięciu

banknotów, włożyłem  
je z powrotem do koperty, wsunąłem do  
kieszeni i akurat  
przyniesiono piwo. Zjadłem kolejną porcję  
orzeszków.  
Potem zastanowiłem się, dlaczego  
właściwie jem tyle

orzeszków. Była tylko jedna odpowiedź. Musiałem być głodny. Jak się zastanović, to od rana zjadłem tylko kawałek ciasta z owocami.

Zawołałem kelnera i poprosiłem o menu. Nie było omletów, ale mieli kanapki. Zamówiłem kanapki z serem i ogórkiem. Zapytałem, z czym je podają, i okazało się, że z chrupkami ziemniaczanymi i kiszonym ogórkiem. Zrezygnowałem z chrupek na rzecz podwójnej porcji ogórka. Zapytałem też, czy przypadkiem mają obcinacz do paznokci. Oczywiście mieli. W barach hotelowych naprawdę mają różne rzeczy. Kiedyś w barze pożyczyłem słownik francusko-japoński.

Powoli piłem piwo, patrzyłem na nocną panoramę miasta, obciąłem paznokcie nad popielniczką, znowu popatrzyłem na panoramę, a potem opiłowałem paznokcie. I tak zrobiło się zupełnie ciemno. Jestem specjalistą od zabijania czasu w wielkich miastach.

Z ukrytego w suficie głośnika dobiegło moje nazwisko. Na początku nie zabrzmiało jak moje, ale w kilka sekund po wywołaniu zaczęło po trochu nabierać charakteru mojego własnego nazwiska i wkrótce przerodziło się po prostu w moje nazwisko.

Podniosłem rękę, dając znak kelnerowi, który zbliżył się, przynosząc bezprzewodowy telefon.

- Plany się trochę zmieniły - powiedział głos, który znałem ze słyszenia. - Stan Szefa uległ nagłemu pogorszeniu. Nie mamy za wiele czasu, więc ty też będziesz



miał go mniej.

176

- Ile?

- Miesiąc. Dłużej nie możemy czekać.

Jeśli w ciągu

miesiąca nie znajdziesz owcy, koniec z tobą.

Nie będziesz

miał już dokąd wrócić.

Miesiąc, pomyślałem, ale moje pojęcie czasu było nie-

odwracalnie zachwiane. Wydawało mi się, że nie ma

wielkiej różnicy, czy mam miesiąc, czy dwa.

Nie ma przecież

żadnej ustalonej normy czasu potrzebnej na znalezienie

jednej owcy.

- Skąd pan wiedział, że tu jestem? - zapytałem.

- Wiemy większość rzeczy - powiedział mężczyzna.

- Oprócz miejsca pobytu owcy - rzuciłem.

- Tak jest - przytaknął mężczyzna. - W

każdym razie

nie marnuj czasu. Lepiej dobrze zastanów się nad swoim

położeniem. I nad tym, że jesteś w takim

położeniu ze

swojej własnej winy.

Tak właśnie było. Wyjąłem z koperty pierwszy bank-

not. Zapłaciłem rachunek i zjechałem windą na ziemię.

Na ziemi, jak i przedtem, normalni ludzie chodzili

normalnie na dwóch nogach, ale wcale nie zrobiło mi się

od tego lżej na duszy.

5. 1/5000

Wróciłem do domu i w skrzynce

pocztowej oprócz

popołudniowego wydania gazety znalazłem

trzy listy.

Jeden był zawiadomieniem z banku o stanie konta, drugi zaproszeniem na jakieś nudno zapowiadające się przyjęcie, a trzeci ulotką od pośrednika handlu używanymi samochodami. Napisane było w niej, że jeśli się kupi samochód o jedną klasę lepszy, życie staje się o wiele przyjemniejsze. Co ich obchodzi mój samochód? Złożyłem listy razem, przedarłem na pół i wyrzuciłem do kosza.

Wyjąłem z lodówki sok, nalałem sobie do szklanki, usiadłem przy kuchennym stole i wypiliśmy. Na stole leżała kartka od dziewczyny. „Wychodzę coś zjeść. Wrócę o pół do dziesiątej”. Elektroniczny zegar na stole pokazywał dziewięć i trzydzieści. Wpatrywałem się w niego przez chwilę i trzydzieści zmieniło się w trzydzieści jeden, a potem w trzydzieści dwa.

Gdy już znudziło mi się wpatrywanie w zegar, rozebrałem się, wszedłem pod prysznic i umyłem włosy. Na półce stały cztery rodzaje szamponu i trzy rodzaje odżywek. Za każdym razem gdy idzie do sklepu, kupuje coś nowego. I za każdym razem kiedy wchodzę do łazienki, zauważam, że coś przybyło. Policzyłem też, że były cztery kremy do golenia i pięć tubek pasty do zębów. Jakby je wszystkie ustawić po kolei obok siebie, rządkiem byłyby strasznie długie. Wyszedłem spod prysznica, przebrałem się w spodnie gimnastyczne i podkoszulek i dopiero wtedy pozbyłem się tego niewytłumaczalnego, nieprzyjem-

nego uczucia i poczułem się dobrze.

178

Wróciła dwadzieścia po dziesiątej, niosąc pod pachą papierową torbę z supermarketu. Zawsze chodziła po zakupy w nocy. W torbie były trzy zmiotki, pudełko spinaczy i sześć puszek dobrze schłodzonego piwa. Postanowiłem znowu napić się piwa.

- Chodziło o owce - powiedziałem.

- Przecież ci mówiłam - odparła.

Wyjęła z lodówki puszkę parówek i odgrzała je na patelni. Ja zjadłem trzy, a ona dwie. Przez okno kuchenne powiał przyjemnie chłodny wiaterek.

Powiedziałem jej, co zdarzyło się w firmie, o samo- chodzie, o domu, o dziwnym sekretarzu, o krwiaku i o przy- sadzistej owcy z łata w kształcie gwiazdy. Opowiadanie tego wszystkiego zajęło mi dużo czasu i gdy skończyłem, zegar wskazywał jedenastą.

- To wszystko - powiedziałem.

Nie wydawała się specjalnie zdziwiona moją opowieścią.

Słuchając, cały czas czyściła uszy i nawet parę razy ziewnęła.

- No to kiedy wyjazd?

- Wyjazd?

- Przecież jedziesz szukać owcy.

Zamarłem z palcem w kółeczku kolejnej puszkę piwa i spojrzałem na nią.

- Nigdzie nie jadę - powiedziałem.

- Ale przecież jak nie pojedziesz, będziesz miał kłopoty.

- Żadne kłopoty. I tak miałem odejść z firmy i nawet jeśli będą mi przeszkadzać, to tyle co na chleb uda mi się jakoś zarobić. Przecież chyba mnie nie zabiją?

Wyjęła z pudełka kolejny owinięty watą patyczek i bawiła się nim przez chwilę.

- Ale to przecież takie proste. Wystarczy znaleźć jedną owcę, prawda? Zapowiada się bardzo ciekawie.

- Nie da się znaleźć. Hokkaido jest znacznie większe, niż ci się wydaje, i są tam setki tysięcy owiec. Jak znaleźć wśród nich jedną? To zupełnie niemożliwe. Nawet jeśli ta owca ma na grzbiecie łatę w kształcie gwiazdy.

- Pięć tysięcy.

- Co pięć tysięcy?

- Tyle jest owiec na Hokkaido. W czterdziestym siódmym było aż dwieście siedemdziesiąt tysięcy, ale teraz zostało tylko pięć.

- Skąd wiesz?

- Po twoim wyjściu poszłam do biblioteki i sprawdziłam.

Westchnąłem.

- Wszystko wiesz.

- Nie, nie wszystko. Znacznie więcej jest *razczy*, których nie wiem.

- Uhm - powiedziałem. Otworzyłem drugą puszkę i wlałem połowę do jej szklanki, a drugą połowę do swojej.

- W każdym razie na Hokkaido jest teraz tylko pięć tysięcy owiec. Według danych statystycznych rządu. No i co? Poprawił ci się trochę humor?

- I tak wychodzi na to samo - powiedziałem. - Czy pięć tysięcy, czy dwieście siedemdziesiąt, nie ma wielkiej różnicy. Kłopot polega na znalezieniu jednej owcy na

takiej dużej przestrzeni. Szczególnie gdy nie ma się żadnych wskazówek.

- Przecież masz wskazówki. Po pierwsze masz zdjęcie, po drugie masz tego przyjaciela. Na pewno jednym lub drugim sposobem będzie można się czegoś dowiedzieć.

- Obie te wskazówki są bardzo niejasne. Takich widoczków jak na zdjęciu jest zapewne mnóstwo, a na liście od Szczura nawet stempla nie można odczytać.

Napiła się piwa. Ja też się napiłem.

- Nie lubisz owiec? - zapytała.

- Lubię - powiedziałem.

Znowu zaczynało mi szumieć w głowie.

- Ale już postanowiłem, że nie jadę - oświadczyłem.

Chciałem tak to powiedzieć, żebym sam uwierzył, ale niezbyt dobrze mi wyszło.

- Napijesz się kawy?

- Chętnie - odrzekłem.

Sprzątnęła puszki po piwie oraz szklanki i nastawiła

wodę. Do czasu, aż zawrzała woda, słuchała kaset

w pokoju obok. Johnny Rivers śpiewał *Midnight Special*,

potem *Roli OverBeethoven*. Ajeszcze później *Secret Agent Man*.

Gdy zawrzała woda, zaczęła parzyć kawę, podśpiewując

w rytm *Johnny B. Goode*. Ja w tym czasie czytałem

wieczorne wydanie gazety. Była to bardzo rodzinna scenka.

Gdyby nie owca, pewnie byłbym w dobrym nastroju.

Aż do trzasku obwieszczającego koniec taśmy piliśmy

w milczeniu kawę i chrupaliśmy cienkie biszkopty. Potem

dalej czytałem gazetę. Kiedy już wszystko przeczytałem,





zacząłem czytać od nowa. Zamach stanu,  
śmierć aktora  
firmowego, kot, który umie robić sztuczki, ale  
nie było nic  
specjalnie interesującego. Przez cały ten czas  
Johnny Rivers  
śpiewał stare rock and rolle. Gdy taśma  
ponownie dobiegła  
końca, złożyłem gazetę i spojrzałem na  
dziewczynę.

- Sam jeszcze nie wiem. Wydaje mi się, że  
rzeczywiś-  
cie lepiej może poszukać owcy, nawet jeżeli  
nic z tego nie  
wyjdzie, niż siedzieć tu beczynn timer. Ale  
jednocześnie nie  
chcę, żeby ktoś mi rozkazywał, żeby mnie  
zastraszał  
i zmuszał.

- Ale prawie wszystkim ktoś rozkazuje,  
zastrasza ich  
i zmusza. Takie jest życie. I być może nie  
należy oczekiwać  
niczego innego.

- Może i tak - powiedziałem po chwili.

Ona w milczeniu czyściła uszy. Czasami  
spomiędzy  
włosów wyzierał miękki płatek ucha.

- Hokkaido jest piękne o tej porze  
roku. Nie ma  
turystów, pogoda jest ładna i wszystkie owce  
pasą się na  
łąkach. Najlepsza pora.

- Pewnie tak.

- A jeśli - powiedziała i zjadła ostatniego  
biskopta  
- a jeśli zabierzesz mnie ze sobą, na pewno ci  
się przydam.

- Dlaczego tak sobie bierzesz do serca to  
szukanie  
owcy?

- Bo ja też chcę zobaczyć tę owcę.

- Może się okazać, że to zwyczajna owca  
i wszystko  
było na próżno. I tylko zostaniesz  
niepotrzebnie wplątana  
w te wszystkie kłopoty.



- Nie szkodzi. Twoje kłopoty to też i  
moje kłopoty  
- uśmiechnęła się lekko. - Szaleję za tobą.  
- Dziękuję - powiedziałem.  
- Tylko tyle?  
Odłożyłem gazetę na stół. Wiatr przyniósł  
skądś za-  
pach papierosa.  
- Szczerze mówiąc, to wszystko mi się nie  
podoba.  
Jest w tym jakiś haczyk.  
- Gdzie?  
- Nie wiem - powiedziałem. - Cała  
historia jest  
nieprawdopodobnie głupia, a mimo to  
wszystkie szczegóły  
są jasne i pasują do siebie.  
Nic nie mówiąc, bawiła się, tocząc palcem  
leżącą na  
stole gumkę.  
- A poza tym co będzie, jak znajdę tę  
owcę? Jeżeli to  
jest naprawdę tak niezwykła owca, jak  
twierdzi ten  
mężczyzna, to będę w jeszcze gorszej  
sytuacji niż teraz.  
- Ale przecież twój przyjaciel już jest w  
tej gorszej  
sytuacji. Jakby tak nie było, nie przysłałby ci  
specjalnie  
tego zdjęcia.  
Miała rację. Wyłożyłem wszystkie swoje  
karty na stół  
i wszystkie przegrywały z kartami partnera.  
Wszyscy  
wiedzieli, co miałem w ręku.  
- No to chyba nie ma rady i muszę  
jechać - pod-  
dałem się.  
Na jej twarzy pojawił się uśmiech.  
- Myślę, że to i dla ciebie będzie najlepsze.  
Wydaje mi  
się, że na pewno znajdziemy owcę.

Skończyła czyszczenie uszu, zawięła wszystkie patyczki w ligninową chusteczkę i wyrzuciła. Potem wzięła gumkę i związawszy włosy z tyłu, odsłoniła uszy. Wydawało mi się, że powietrze w pokoju się zmieniło.  
- Chodźmy do łóżka - powiedziała.

## 6. Piknik w niedzielne popołudnie

Obudziłem się o dziewiątej. Nie było jej obok mnie. Pewnie wyszła coś zjeść, a potem wróciła prosto do siebie do domu. Nie było żadnej kartki. W łazience suszyła się jej bielizna i chusteczka do nosa.

Wyjąłem z lodówki sok pomarańczowy, napiłem się i włożyłem do tosterka kromki trzydniowego chleba. Chleb smakował jak gips. Z okna widać było oleandry w ogródku sąsiada. W oddali ktoś ćwiczył na pianinie. Grał tak, jakby schodził w dół ruchomymi schodami jadącymi w górę. Trzy tłuste gołębie siedziały na słupie telegraficznym i gruchały sobie o niczym. A może właśnie gruchały o czymś. Może na przykład bolą je odciski i o tym gruchają. Z ich punktu widzenia moje zachowanie nie ma pewnie sensu.

Kiedy udało mi się wtoczyć do gardła dwa tosty, gołębi już nie było. Został tylko słup telegraficzny i oleandry. Był to niedzielny poranek. W niedzielnym wydaniu gazety było kolorowe zdjęcie konia przeskakującego przez



przeszkodę. Na koniu siedział blady jeździec w czarnej czapce i patrzył z niechęcią na sąsiednią stronę. Na sąsiedniej stronie był długi artykuł o hodowli orchidei. Jest kilkaset gatunków orchidei i każdy z nich ma swoją historię. W jakimś kraju kiedyś pewien książę nawet oddał życie za orchidee. Artykuł twierdził, że w orchideach jest coś, co zmusza człowieka do myślenia o własnym losie. Zdaje się, że we wszystkim można doszukać się filozofii i losu.

W końcu zdecydowałem, że wyruszę na poszukiwanie owcy i humor znacznie mi się poprawił. Wydawało mi się, że energia wypełnia mnie aż po czubki palców. Nie czułem się tak ani razu od czasu, gdy przekroczyłem ważny próg dorosłości, w wieku lat dwudziestu. Włożyłem naczynia do zlewu, dałem śniadanie kotu i wykręciłem numer mężczyzny w czarnym garniturze. Odebrał po sześciu dzwonekach.

- Mam nadzieję, że pana nie obudziłem - powiedziałem.

- Nie martw się. Zawsze wcześnie wstaję - odrzekł.

- O co chodzi?

- Jaka gazetę pan czytuje?

- Wszystkie ogólnojapońskie i osiem regionalnych.

Regionalne dostają dopiero po południu.

- I wszystkie pan czyta?

- To jest część mojej pracy - powiedział mężczyzna

cierpliwie. - O co chodzi?

- Niedzielne wydania też pan czyta?



- Tak, niedzielne też czytam -  
odpowiedział.  
- Widział pan zdjęcie konia w dzisiejszej  
gazecie?  
- Widziałem zdjęcie konia - odpowiedział  
mężczyzna.  
- Nie wydawało się panu, że koń i  
jeździec myślą  
o zupełnie innych rzeczach?'  
Ze słuchawki wypłynęła cisza i jak światło  
księżycy  
załała pokój. Nie było nawet słycać  
oddechu. Taka  
cisza, że aż uszy bolały.  
- Jaką masz do mnie sprawę? - zapytał  
mężczyzna.  
- Tak sobie tylko rozmawiam.  
Pomyślałem, że dobrze  
by było, gdybyśmy mieli jakieś wspólne  
zainteresowania.  
- Mamy wspólne zainteresowania. Na  
przykład kwes-  
tę owcy - kaszel. - Przepraszam, ale ja nie  
mam tyle  
wolnego czasu co ty. Może mógłbyś krótko  
wyjaśnić,  
o co ci chodzi.  
- O to mi właśnie chodzi - powiedziałem.  
- Krótko  
mówiąc, mam zamiar jutro wyruszyć na  
poszukiwanie  
owcy. Długo się wahałem, ale w końcu  
postanowiłem.  
Jednak chciałbym szukać moim  
sposobem, w moim  
tempie. Gdy sobie rozmawiam, chciałbym  
móc rozmawiać  
tak długo, jak mam ochotę. Ja też mam  
prawo sobie  
porozmawiać. Nie chcę być ciągle  
obserwowany i nie  
życzę sobie, żeby jacyś obcy mną dyrygowali.  
To wszystko.  
- Ty chyba nie rozumiesz, w jakim jesteś  
położeniu.  
- To pan nie rozumie, w jakim ja jestem  
położeniu.  
Proszę posłuchać. Ja się nad tym całą noc  
zastanawiałem



1 uświadomiłem sobie, że nie mam nic do stracenia.

Rozstałem się z żoną, z firmy mam zamiar dziś zrezyg-

nować. Mieszkanie jest wynajęte, nie mam w nim nic wartościowego. Mam tylko dwa miliony oszczędności i jeden używany samochód. I mam jeszcze starego kota.

Wszystkie moje ubrania są niemodne, a moje płyty to antyki. Nie posiadam ani sławy, ani społecznego zaufania, ani seksapilu. Nic mam też żadnego talentu i nie jestem zbyt młody. Często mówię coś głupiego i potem tego żałuję.

Używając pana słów, jestem przeciętnym człowiekiem. Czy mam coś do stracenia? Jeśli mam, proszę mi powiedzieć co?

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Przez ten

czas urwałem zwisającą u guzika koszuli nitkę i narysowałem długopisem trzydzieści gwiazdek.

- Każdy ma jedną lub dwie rzeczy, których nie chciałby

stracić - powiedział mężczyzna. - Ty też.

Jesteśmy zawodowcami w wyszukiwaniu takich rzeczy.

Każdy ma w sobie punkt znajdujący się gdzieś pomiędzy marzeniami

i dumą. Tak jak każda rzecz ma środek ciężkości. Możemy

to znaleźć. Dowiemy się tego wkrótce i o tobie. Człowiek

uświadamia to sobie dopiero wtedy, gdy to

straci. - Krótkie

milczenie. - Ale to problem, który pojawi się dopiero na

dalszym etapie. Rozumiem sens twojego przemówienia.

Spełnię twoje wymagania. Nie będziemy się niepotrzebnie

wtrącać. Możesz sobie postępować, tak jak chcesz. Przez

ten jeden miesiąc. W porządku?

- W porządku - powiedziałem.

- To na razie.

Rozłączył się. Rozłączył się w nieprzyjemny

sposób. Aby  
zatrzeć to nieprzyjemne wrażenie, zrobiłem  
trzydzieści

pompek i dwadzieścia ćwiczeń na mięśnie brzucha. Potem zmyłem naczynia i zrobiłem pranie z trzech dni. Czułem się już prawie dobrze. Była przyjemna wrześniowa niedziela. Lato znikło już gdzieś jak wspomnienie, którego nie można sobie dokładnie przypomnieć.

Nałożyłem nową koszulę, parę lewisów, tych bez plamy z keczupu, dwie skarpetki od tej samej pary i uczesałem się. Mimo to nie wróciło jednak uczucie, które miewałem w niedzielne poranki, mając siedemnaście lat. Oczywiście że nie. Nie ma rady. Zestarzałem się.

Następnie poszedłem na parking i volkswagenem, który już się praktycznie rozsypywał, pojechałem do supermarketu. Tam kupiłem tuzin puszek z jedzeniem dla kota, piasek do jego skrzynki, podrózny zestaw do golenia i skarpetki. Potem usiadłem przy ladzie cukierni i pijąc praktycznie pozbawioną smaku kawę, zjadłem pączka z cynamonem. Naprzeciwko lady wisiało lustro. Widziałem w nim odbicie siebie samego jedzącego pączka. Przyglądałem się sobie przez chwilę, trzymając w ręku nadgryzionego pączka. Zastanawiałem się, co ludzie myślą, gdy na mnie patrzą. No ale oczywiście nie wiedziałem, co inni myślą. Skończyłem pączka, dopiłem kawę i wyszedłem.

Przy dworcu było biuro podróży. Zarezerwowałem dwa miejsca na następny dzień w samolocie do Sapporo. Potem wszedłem do znajdującego się w budynku dworca

domu towarowego, kupiłem płócienną torbę  
podróżną  
na ramię i pelerynę od deszczu. Za  
każdym razem

wyciągałem z koperty kolejny  
dziesiędotysięczny banknot,  
ale "plik wcale nie stawał się cieńszy. Tylko  
ja jakbym  
chudł. Na świecie są takie pieniądze. Sam fakt,  
że człowiek  
je ma, wywołuje gniew, i wydawanie ich  
wprawia w fatal-  
ny nastrój. Jednak kiedy się kończą, sam  
człowiek siebie  
nienawidzi. A gdy się samego siebie  
nienawidzi, ma się  
ochotę wydawać pieniądze. Tylko pieniędzy  
już nie ma.

Sytuacja bez wyjścia.

Usiadłem na ławce przed dworcem,  
wypaliłem dwa  
papierosy i przestałem myśleć o  
pieniądzach. Jak to  
w niedzielny rano plac przed dworcem był  
pełen rodzin  
z dziećmi i młodych par. Kiedy tak obojętnie  
im się  
przyglądałem, przypomniałem sobie, jak  
moja żona od-  
chodząc, powiedziała, że może powinniśmy  
byli mieć  
dzieci. Rzeczywiście byłem już w takim  
wieku, że mógł-  
bym nawet mieć kilkoro. Ale kiedy  
wyobraziłem sobie  
siebie jako ojca, popadłem w przygnębienie.  
Wydawało  
mi się, że jeśli byłbym dzieckiem, nie  
chciałbym mieć  
takiego ojca jak ja.

Niosąc pod pachami papierowe torby z  
zakupami  
i paląc papierosa, wróciłem na parking i  
położyłem  
wszystko na tylnym siedzeniu. Potem  
pojechałem na  
stację benzynową i poprosiłem o  
zatankowanie i zmianę  
oleju. W tym czasie poszedłem do  
pobliskiej księgarni  
i kupiłem trzy kieszonkowe wydania  
powieści. Tym  
sposobem pozbyłem się dwóch kolejnych

banknotów,  
a moje kieszenie wypełniły się monetami.  
Wróciłem do  
mieszkania, wsypałem monety do  
szklanej salaterki

w kuchni i umyłem twarz zimną wodą. Wydawało mi się, że wstałem bardzo dawno temu, ale gdy spojrzałem na zegar, okazało się, że do południa było jeszcze dużo czasu.

Dziewczyna wróciła o trzeciej po południu. Miała na sobie kraciatą koszulę, spodnie koloru musztardy i okulary słoneczne tak ciemne, że od patrzenia mogła rozboleć głowa. Na ramieniu miała taką samą płócienną torbę jak moja.

- Zrobiłam przygotowania do wycieczki - powiedziała, poklepując wypchaną torbę. - To pewnie będzie długa wycieczka, prawda?

- Pewnie się przedłuży.

Położyła się na kanapie przy oknie i nie zdejmując okularów i patrząc w sufit, paliła mentolowego papierosa. Zaniósłem jej popielniczkę, usiadłem obok i pogładziłem ją po włosach. Przyszedł kot, wskoczył na kanapę i położył głowę i przednie łapki na jej nodze. Kiedy znudziło jej się

\  
palenie, włożyła papierosa do moich ust i ziewnęła.

- Cieszysz się, że jedziemy na wycieczkę? - zapytałem.

- Bardzo się cieszę. Najbardziej z tego, że jadę z tobą.

- Ale jeśli nie znajdziemy owcy, nie będziemy mieli dokąd wrócić. Może całe życie będziemy musieli podróżować.

- Tak jak ten twój przyjaciel?

- Tak. Jesteśmy w pewnym sensie do siebie podobni. Tyle że on pojechał z własnej woli, a ja



jestem  
zmuszany.

190

Zgasilem papierosa w popielniczce. Kot podniósł głowę, ziewnął szeroko i powrócił do poprzedniej pozycji.

- Skończyłeś swoje przygotowania do wycieczki?

- zapytała.

- Nie, jeszcze nie. Ale nie zabieram dużo bagażu.

Trochę ubrań i przybory toaletowe. Ty też nie musisz tak dużo zabierać. Możemy tam kupić wszystko, co będzie potrzebne. Mam aż za dużo pieniędzy.

- Ale ja to lubię - zachichotała. - Jak nie mam dużo

bagażu, to nie czuję się na wycieczce.

- Hmm, ciekawe...

Z otwartego okna napłynął wysoki głos ptaka. Nigdy

jeszcze takiego nie słyszałem. Nowy ptak w nowej porze

roku. Nabrałem w dłoń płynącego z okna popołudniowe-

go światła i położyłem na jej policzku. Siedzieliśmy tak

dłuższą chwilę. Patrzyłem na białe chmurki przesuwające

się z jednej strony okna na drugą.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- To trochę dziwnie zabrzmiało, ale dlaczego nie wydaje

mi się, że teraz jest teraz? Nawet to, że ja to ja, nie jest

tak do końca jasne. Albo że tutaj jest tutaj. Zawsze tak

jest. Wszystko zaczyna pasować do siebie dopiero dużo

później. Przez te ostatnie dziesięć lat ciągle się tak czuję.

- Dlaczego dziesięć lat?

- Tak tylko powiedziałem: dziesięć. Może więcej.

Zaśmiała się, podniosła kota i delikatnie postawiła

na ziemi.

- Obejmij mnie.



Objęliśmy się na kanapie. Kiedy zbliżyłem  
twarz do  
obicia antycznej kanapy, kupionej w sklepie  
ze starzyzną,  
poczułem zapach dawnych czasów. Jej  
miękkie ciało  
stapiało się z tym zapachem. To było  
łagodne i ciepłe  
uczucie, jak jakieś niejasne wspomnienie.  
Odgarnąłem  
jej włosy i lekko dotknąłem wargami uszu.  
Świat leciutko  
zadrżał. Mały, naprawdę mały świat. Czas  
płynął jak  
lekki wiaterek.

Rozpiąłem guziki jej koszuli, położyłem  
dłoń pod  
piersią i przyglądałem się.

- Zupełnie jakbym żyła, prawda?

- Ty?

- Tak, moje ciało i ja sama.

- Tak - powiedziałem - naprawdę  
wygląda, jakby  
żyło.

Jest naprawdę cicho. Wokół już nic nie  
słyszeć.

Wszyscy prócz nas wyszli gdzieś świętować  
pierwszy  
dzień jesieni.

- Wiesz, bardzo lubię takie rzeczy -  
wyszeptała  
cichutko.

- Uhm...

- Tak jakbym była na pikniku. Bardzo  
przyjemnie.

- Na pikniku?

- Tak.

Objąłem ją mocno, odgarnąłem ustami  
grzywkę i jesz-  
cze raz pocałowałem w ucho.

- Czy tych dziesięć lat było długie? -  
zapytała cicho  
tuż przy moim uchu.

- Tak - powiedziałem - wydaje mi się, że bardzo długie. Bardzo długie i nic nie udało mi się skończyć.

Lekko poruszyła leżącą na poręczy kanapy głową i uśmiechnęła się. Znałem skądś ten uśmiech, ale nie pamiętałem, kto i kiedy tak się uśmiechał. Rozebrane dziewczyny mają ze sobą przerażająco dużo wspólnego i zawsze mnie to zbija z tropu.

- Poszukajmy owcy - powiedziała z zamkniętymi oczami. - Jak znajdziemy owcę, wszystko inne pójdzie dobrze.

Patrzyłem przez chwilę na nią, a potem na jej uszy. Miękkie światło popołudnia spowijało jej ciało, jak na jakiejś starej martwej naturze.

## 7. O mało pomysłowym, ale upartym myśleniu

O szóstej wstała, ubrała się starannie, poprawiła włosy przed lustrem w łazience, popsikała się dezodorantem i umyła zęby. W tym czasie ja siedziałem na kanapie i czytałem *Przygody Sherlocka Holmesa*. Opowiadanie zaczynało się od słów: „Mój przyjaciel Watson rzadko miewa dobre pomysły, ale za to jest bardzo uparty”. Był to świetny początek opowiadania.

- Dzisiaj wrócę późno, więc nie czekaj na mnie

- powiedziała.

- Praca?

- Tak. Chciałam mieć dzisiaj wolne, no ale nie ma rady. Musiałam się zgodzić, ponieważ od jutra biore urlop.

W chwilę po jej wyjściu otworzyły się drzwi.

- Słuchaj, a co będzie z kotem podczas naszego wyjazdu? - zapytała.

- Masz rację! Zupełnie o tym nie pomyślałam. Ale jakoś to załatwię.

Drzwi znowu się zamknęły.

Wyjąłem z lodówki mleko i żółty ser i dałem kotu.

Kot jadł ser z trudem. Miał już bardzo słabe zęby.

W lodówce nie było niczego nadającego się dla mnie, więc oglądając wiadomości, napiłem się piwa. To była niedziela bez prawdziwych wiadomości. W takie dni

w popołudniowych wydaniach wiadomości zwykle poka-

zują materiał z ogrodu zoologicznego.

Popatrzyłem na

żyrafę, słonia i pandę, a potem

wyłączyłem telewizor

i wykręciłem numer.

- Chodzi o kota - powiedziałem do mężczyzny.

- Kota?

- Mam kota.

- I?

- Jeśli się ktoś nim nie zajmie, nie będę mógł

wyjechać.

- Musi być w pobliżu jakieś schronisko dla zwierząt.

- On jest stary i słaby. Jak go włożą na miesiąc do

klatki, to zdechnie.

Słychać było bębnienie palców o stół.

- No i?

- Chciałbym, żebyście się wy nim zajęli.  
Macie tam ogród i jeden kot przecież nie sprawi dużego kłopotu.

- To niemożliwe. Szef nie lubi kotów, a poza tym do ogrodu zlatują się ptaki. Jak będzie kot, ptaki przestaną przylatywać.

- Szef jest przecież nieprzytomny, a mój kot nie jest na tyle sprytny, żeby łapać ptaki.

Palce jeszcze kilka razy uderzyły o blat stołu i za-trzymały się.

- Dobrze. Jutro o dziesiątej wyślę po niego kierowcę.

- Mam dla niego przygotowane jedzenie i piasek. Je tylko puszki tej jednej firmy, więc jak się skończą, proszę mu kupić takie same.

- Może te szczegóły mógłbyś przekazać kierowcy.

Chyba już wcześniej ci wspominałem, że jestem bardzo zajęty.

- Chciałbym załatwić to tylko z jedną osobą. W ten sposób wiadomo, kto jest odpowiedzialny.

- Odpowiedzialny?

- To znaczy, że jeśli podczas mojej nieobecności kot zniknie albo zdechnie, to nawet jeżeli znajdę owcę, nic wam nie powiem.

- Coś takiego! - powiedział mężczyzna. - No, niech ci będzie. Twoje myśli chodzą dziwnymi drogami, ale jak na amatora jesteś wcale niezły. Mów powoli, bo będę notował.

- Nie dawajcie mu tłustego mięsa, bo wszystko wymiotuje. Ponieważ ma słabe zęby, nie może też jeść





nic twardego. Rano mleko i puszkę jedzenia.  
Po południu  
suszona sardynka i mięso albo ser. Proszę mu  
codziennie  
zmieniać piasek, bo on nie lubi brudnego.  
Często dostaje  
biegunki i jeżeli nie przejdzie mu po dwóch  
dniach,  
proszę go zabrać do weterynarza i podać  
lekarstwa.

Przerwałem i nasłuchiwałem szelestu  
długopisu su-  
nącego po papierze.

- To wszystko? - zapytał mężczyzna.

- Ma świerzb w uszach, więc codziennie  
trzeba mu  
przetrzeć uszy patyczkiem z watką  
namoczoną w oliwie  
z oliwek. Ponieważ tego nie lubi i się  
wrywa, trzeba  
uważać, by nie przekłuć mu bębenków. Poza  
tym jeżeli nie  
chcicie mieć porysowanych mebli, trzeba mu  
raz w tygo-  
dniu obcinać pazurki. Zwykłym obcinaczem  
do paznokci.

Jestem prawie pewien, że nie ma pcheł, ale  
lepiej na wszelki  
wypadek co pewien czas wykąpać go w  
szamponie przeciw  
pchłom. Sprzedają go w sklepach  
zoologicznych. Po kąpieli  
proszę kota dobrze wytrzeć ręcznikiem,  
uczesać i wysuszyć  
suszarką. Jeśli się tego nie zrobi, kot się  
przeziębi.

Długopis pracowicie notował.

- Jeszcze coś?

- Nie, to chyba wszystko.

Mężczyzna odczytał mi to, co zanotował.

Bardzo do-  
kładne notatki.

- To wystarczy, tak?

- Tak.

- To na razie - powiedział mężczyzna i  
rozłączył się.

Na dworze było już zupełnie ciemno.

Wsunąłem do



kieszeni spodni jakieś drobne, papierosy i zapalniczkę, nałożyłem adidas i wyszedłem.

Poszedłem do snack baru, do którego często chodziłem, i zamówiłem kotlet z kurczaka i bułkę. Czekaając na jedzenie, znowu napiłem się piwa, słuchając nowej płyty Brothers Johnson. Gdy się skończyła, zmieniono płytę i zaczął śpiewać Bil Withers. Zjadłem kotleta z kurczaka, słuchając Billa Withersa. Potem podczas *Star Wars* Maynarda Fergusona wypilem kawę. Nie miałem wrażenia, że zjadłem posiłek.

Gdy sprzątnięto filiżankę po kawie, podszedłem do różowego telefonu, wrzuciłem trzy dziesięciojenówki i wykręciłem domowy numer partnera. Odebrał jego starszy syn, uczeń szkoły podstawowej.

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Dobry wieczór - poprawił mnie.

Spojrzałem na zegarek. Miał rację. Po chwili podszedł partner.

- Jak było? - zapytał.

- Czy możemy teraz rozmawiać? Nie jecie akurat kolacji?

- Jemy, ale to nie szkodzi. Nie jest to jakaś specjalna kolacja, a poza tym bardziej ciekawi mnie to, co masz do powiedzenia.

Opowiedziałem mu w skrócie o rozmowie z mężczyzną w czarnym garniturze. Opowiedziałem o dużym samochodzie, o wielkim domu i o umierającym starym człowieku. Nie wspomniałem jednak o owcy. Nie sądziłem,



żeby mi uwierzył, a poza tym cała historia  
zrobiłaby się za  
długa. Ale przez to, jak można się było zresztą  
spodziewać,  
moja opowieść nie miała sensu.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział  
partner.

- Niektórych rzeczy nie mogę ci  
powiedzieć. Jak ci  
powiem, ty też będziesz miał kłopoty. Ty  
masz rodzinę...

- mówiąc to, myślałem o jego  
niespłaconym pięcio-  
pokojowym luksusowym mieszkaniu, o  
żonie z niskim  
ciśnieniem i dwóch przemądrzałych  
synkach. - To jest  
tego rodzaju sprawa.

- Aha.

- W każdym razie jutro muszę wyjechać.

Myślę, że  
może mnie nie być dość długo. Miesiąc,  
może dwa albo  
trzy, sam dokładnie nie wiem. A może już  
w ogóle nie  
wrócę do Tokio.

- Coś podobnego!

- Dlatego chciałbym, żebyś przejął firmę.

Ja się wyco-  
fuję. Nie chcę wciągać cię w swoje kłopoty.  
Moje prace są  
mniej więcej zakończone, a poza tym, mimo  
że byliśmy  
partnerami, to ty dźwigałeś ciężar firmy, a ja  
pracowałem  
tylko na pół gwizdka.

- Ale jak ciebie nie będzie, kto się zajmie  
wszystkimi  
drobnymi sprawami?

- Skonsoliduj front. Wróć do dawnych  
metod. Zrezyg-  
nuj ze wszystkich zamówień na materiały  
reklamowe  
i redagowanie i wróć do oryginalnego  
pomysłu biura  
tłumaczeń. Tak jak ostatnio mówiłeś. Zostaw  
tylko jedną  
sekretarkę i zwolnij tych wszystkich ludzi  
pracujących



na zlecenia. Już ich nie będziesz potrzebował. Jak im zapłacisz za dwa miesiące, nie będą narzekać. Możesz przenieść biuro do jakiegoś mniejszego lokalu. Spadną wpływy, ale zmaleją też i wydatki. Ponieważ mnie nie będzie, już nawet na tym zarobisz i nie poczujesz specjalnej różnicy. I zmartwienia z powodu podatków i, jak to nazwałeś, wyzysku też będą dużo mniejsze. Spodoba ci się.

Partner zastanawiał się, nic nie mówiąc.

- Nic z tego - powiedział - na pewno się nie uda.

Włożyłem do ust papierosa i otworzyłem zapalniczkę.

W tym czasie podeszła kelnerka i zapaliła mi papierosa zapalką.

- Wszystko będzie w porządku. Ja ci to mówię. Ja, z którym zaczynałeś.

- Udawało się, bo robiliśmy to razem - powiedział.

- Do tej pory nigdy jeszcze nie udało mi się nic zrobić samodzielnie.

- Nie mówię ci, żebyś robił więcej.

Mówię ci, żebyś robił mniej. Rób zwykłe tłumaczenia, takie jak robiliśmy przed rewolucją przemysłową. Ty, sekretarka, pięciu czy sześciu tłumaczy na zlecenia i dwóch profesjonalistów na stałe. Musi się udać.

- Ty nie wiesz o mnie wszystkiego.

Moneta wpadła gdzieś do środka z brzękiem. Włożyłem kolejne trzy.

- Ja jestem inny niż ty - powiedział. - Ty byś dał sobie sam radę. Ale ja nie. Jak nie mam do kogo narzekać i kogo się poradzić, to nie mogę iść naprzód.





Zastłoniłem słuchawkę i westchnąłem.  
Rozmowa pro-  
wadziła donikąd. W kółko to samo.

- Halo? - powiedział.
- Słyszę, słyszę - odrzekłem.

Ze słuchawki dobiegały głosy dwóch  
chłopców, którzy  
klócili się, zmieniając kanały w telewizorze.

- Pomyśl o dzieciach - powiedziałem. To  
nie było  
zagranie fair, ale nie miałem wyjścia. - Nie  
możesz się  
nad sobą rozczulać. Jeśli ty myślisz, że się  
nie uda, to dla  
nich to oznacza koniec. Jak masz pretensje  
do świata,  
nie powinieneś mieć dzieci. Musisz  
porządnie pracować,  
a nie pić.

W słuchawce zapadła długa cisza.  
Kelnerka przyniosła  
mi popielniczkę, a ja gestem zamówiłem  
piwo.

- Masz rację - powiedział. - Spróbuję, ale  
nie jestem  
pewien, czy mi się uda.

Nalałem sobie piwa do szklanki, wypięm  
łyk i mówi-  
łem dalej.

- Uda się. Sześć lat temu nie mieliśmy ani  
pieniędzy,  
ani znajomości i patrz, jak daleko zaszliśmy.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak bezpiecznie  
się czułem,  
pracując razem z tobą.

- Niedługo do ciebie zadzwonię.

- Dobra.

- Dziękuję ci za wszystko. Było bardzo  
przyjemnie

- powiedziałem.

- Jak skończysz swoje sprawy i wrócisz  
do Tokio,  
znowu się do mnie przyłącz.

- Dobrze.

Rozłączyłem się.

Obaj wiedzieliśmy, że już pewnie nie wrócę do tej firmy. Jak się razem przepracuje sześć lat, zna się siebie nawzajem na tyle dobrze, że takie rzeczy się wie.

Zabrałem butelkę i szklanę, wróciłem do stolika i skończyłem piwo. Straciłem pracę, ale humor mi się poprawił. Staję się coraz mniej skomplikowany. Straciłem miasto rodzinne, straciłem przyjaciela, straciłem żonę, a za kilka miesięcy stracę swoje lata dwudzieste. Zastanawiałem się przez chwilę, jaki będę, gdy skończę sześćdziesiąt lat. Myślenie o tym nie miało sensu. Nie wiem nawet, co będzie za miesiąc.

Wróciłem do domu, umyłem zęby, przebrałem się w piżamę, wszedłem do łóżka i dalej czytałem *Przygody Sherlocka Holmesa*. O dziesiątej zgasilem światło i zasnąłem głęboko. Spałem do rana.

## 8. Narodziny Szprota

O dziesiątej pod blokiem pojawił się ten idiotyczny przypominający łódź podwodną samochód. Kiedy zobaczyłem go z drugiego piętra, wyglądał nie jak łódź podwodna, a raczej jak olbrzymia, odwrócona dnem do góry metalowa forma do ciasta. Taka, w której można by zrobić tak wielkie ciastko, że trzysta dzieci jadłoby je



przez dwa tygodnie. Usiedliśmy we dwójkę na parapecie i przez pewien czas przyglądaliśmy się samochodowi.

Powietrze było wręcz nieprzyjemnie przejrzyste. Przyminało sceny z przedwojennych filmów ekspresjonistycznych. Lecący wysoko helikopter wydawał się nienaturalnie mały, a bezchmurne niebo wyglądało jak olbrzymie oko, któremu odcięto powiekę.

Pozamykałem wszystkie okna, wyłączyłem lodówkę, odciąłem dopływ gazu. Pranie było zebrane, łóżko nakryte narzutą, popielniczki umyte i olbrzymia ilość kosmetyków w łazience porządnie poustawiana. Czyszczenie opłaciłem z góry za dwa miesiące i odwołałem prenumeratę gazety. Spojrzałem z progu na swoje wyludnione mieszkanie, które nagle wydało się bardzo ciche. Patrząc na nie, myślałem o czteroletnim życiu z żoną i o dziecku, które mogliśmy mieć. Otworzyły się drzwi do windy i dziewczyna zawołała mnie. Wtedy zatrzasnąłem za sobą metalowe drzwi mieszkania.

Czekając na nas, kierowca w zapamiętaniu polerował suchą szmatką przednią szybę samochodu. Na samochodzie, tak jak przedtem, nie było nawet pyłku i lśnił w słońcu jakimś nieziemskim blaskiem. Wydawało się, że jeśli by dotknąć go ręką, można się oparzyć albo doznać innych obrażeń.

- Dzień dobry - powiedział kierowca. Był to ten sam religijny kierowca co przedwczoraj.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.



- Dzień dobry - odpowiedziała dziewczyna.  
Trzymała kota, a ja papierową torbę z kocim jedzeniem i piaskiem.

- Piękna pogoda, prawda? - powiedział kierowca, spoglądając na niebo. - Mówi się chyba, że powietrze jest przejrzyste.  
Skinąłem głową.

- Jak jest taka pogoda, wiadomości od Pana Boga docierają pewnie bez kłopotu - powiedziałem.

- Ależ to nie jest tak! - odrzekł kierowca. - Wiadomości kryją się we wszystkim. I w kwiatkach, i w kamieniach, i w chmurach...

- A w samochodach? - zapytałem.

- W samochodach też.  
Na to ja:  
- Ale przecież samochody są robione w fabrykach.  
- Nie ma znaczenia, kto coś zrobił, bo i tak wola Pana Boga kryje się we wszystkim.

Na to ona:  
- Tak jak świerzbowce w uszach?  
- Tak jak powietrze - poprawił ją kierowca.  
- To znaczy, że w samochodach robionych w Arabii Saudyjskiej kryje się Allah.

- W Arabii Saudyjskiej nie produkuje się samochodów.

Na to ja:  
- Naprawdę?  
- Naprawdę.

- To jaki Bóg kryje się w samochodach robionych w Ameryce i eksportowanych do Arabii Saudyjskiej?

- zapytała dziewczyna.

To było trudne pytanie.

- Przecież ja muszę panu coś powiedzieć o kocie

- rzuciłem linę ratunkową.

- Ładny kot - powiedział kierowca, oddychając z ulgą.

Ale kot wcale nie był ładny. Wręcz odwrotnie. Był przeciwieństwem ładnego kota. Sierść miał jak wyłysiały dywan, koniec ogona zagięty pod kątem sześćdziesięciu stopni, zęby żółte, trzy lata temu skaleczył się w prawe oko, rana nie goiła się i z oka ciekła mu ropa, no i przy tym był już prawie ślepy. Nie byłem nawet pewien, czy potrafiłby jeszcze odróżnić kartofel od tenisówki. Na łapach miał pełno wyschniętych odcisków, w uszach jak zły los tkwiły mu świerzbowce i z powodu podeszłego wieku ze dwadzieścia razy dziennie psuł powietrze. Był młodym, zdrowym kocurem, kiedy moja żona znalazła go pod ławką w parku i przygarnęła, ale teraz szybko staczał się ku upadkowi, jak kula od kręgli położona na szczycie zbocza drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Do tego nie miał nawet imienia. Nie wiedziałem, czy brak imienia pogłębia, czy też może zmniejsza tragedię kota.

- Dobry kotek - powiedział kierowca, jednak nie miał

odwagi go pogłaskać. - Jak ma na imię?

- Nie ma imienia.

- To jak pan go woła?





- Nie wołam - powiedziałem. - On sobie po prostu żyje.

- Ale przecież nie siedzi ciągle bez ruchu. Ma własną wolę i rusza się. To dziwne, żeby coś, co ma własną wolę i rusza się, nie miało imienia.

- A na przykład szproty mają własną wolę i ruszają się, a nikt im imion nie nadaje.

- Ale pomiędzy szprotami a ludźmi nie istnieją uczucia i nawet jeśli zawołać je po imieniu, i tak by nie zrozumiały. Można by im nadać imiona, gdyby ktoś chciał.

- To by znaczyło, że zwierzęta, które mają własną wolę, ruszają się oraz tworzą związki uczuciowe z ludźmi, a do tego słyszą, zasługują na imiona.

- Właśnie tak - powiedział kierowca i kilka razy przytaknął na znak, że się zgadza. - Czy w takim razie ja mógłbym nadać mu imię?

- Ależ proszę bardzo! Jakie imię?

- A może Szprot? Jak pan uważa?

Dlatego, że do tej pory był traktowany jak szprotka.

- Niezłe - powiedziałem.

- Prawda, że niezłe? - powiedział z dumą kierowca.

- Jak sądzisz? - zwróciłem się do dziewczyny.

- Niezłe - powiedziała. - Czuję się, jakbyśmy stwarzali niebo i ziemię.

- Niech się stanie Szprot - wygłosiłem.

- Chodź, Szprot - powiedział kierowca i wziął kota na rękę. Kot zląkł się, ugryzł kierowcę w palec i puścił bąka.

Kierowca zawiózł nas na lotnisko. Kot siedział grzecznie na przednim siedzeniu. Co pewien czas puszczał bąka. Zorientowaliśmy się po tym, że kierowca ciągle otwierał okno. Po drodze opowiadałem mu, jak zajmować się kotem. Powiedziałem mu o czyszczeniu uszu, o sklepie, w którym sprzedają dezodorant do odświeżania skrzynki z piaskiem, o tym, ile go karmić i tak dalej.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział kierowca.

- Dobrze się nim zaopiekuję. W końcu przecież jestem jego chrzestnym ojcem.

Na drodze nie było prawie ruchu i samochód mknął na lotnisko jak łosoś płynący w górę rzeki podczas tarła.

- Dlaczego statki mają imiona, a samoloty nie? - zapytałem kierowcę. - Dlaczego mówi się lot numer dziewięćset siedemdziesiąt jeden albo trzysta dwadzieścia sześć, ale jak statek, to zaraz ma imię własne, Konwalia albo Stokrotka?

- Pewnie dlatego, że jest o wiele więcej samolotów niż statków. Samoloty produkują masowo.

- Naprawdę? Przecież statki też produkują dość masowo, i myślę, że jest ich więcej niż samolotów.

- Jednak - powiedział kierowca i zamilkł na kilka sekund - nierealne też byłoby nadanie imion wszystkim miejskim autobusom.

- Ja myślę, że byłoby wspaniałe, gdyby każdy miejski autobus miał imię - powiedziała dziewczyna.

- Ale wtedy pasażerowie zrobiliby się wybredni. Poja-

dę z Shinjuku do Sendagaya, jeśli przyjedzie  
Antylopa,  
ale w Muła za nic nie wsiądę - powiedział  
kierowca.

- Jak uważasz? - zapytałem dziewczynę.
- Ja też pewno nie wsiadłabym w Muła - powiedziała.
- Ale żal wtedy kierowcy Muła - stwierdził

kierowca.

Była to wypowiedź, jak przystało na kierowcę. - Przecież to nie jego wina.

- Słusznie - poparłem go.
- No tak - odparła ona. - Lecz ja i tak

wsiadłabym w Antylopę.

- Właśnie w tym rzecz - powiedział

kierowca. - Imio-

na statków to pozostałość jeszcze z czasów sprzed maso-

wej produkcji. Zasada była taka sama jak przy nadawaniu

imienia koniowi. Dlatego samoloty używane tak jak konie

mają imiona. Na przykład „Spirit of St. Louis” albo „Enola

Gay”\*. Są świadomie identyfikowane.

- To znaczy, że u podstaw leży pojęcie żywego stworzenia?

- Tak.

- Czyli cel, przeznaczenie to drugorzędny element imienia?

- Tak. Jeśli mielibyśmy tylko oznaczyć przeznacze-

nie, wystarczyłyby numery. Tak jak traktowano Żydów

w Oświęcimiu.

- Aha - powiedziałem. - Ale jeżeli u podstaw imienia leży świadomość życia, to dlaczego nadaje się imiona

dworcom, parkom i stadionom, mimo że są nieożywione?

- Co byśmy poczęli, gdyby dworce nie miały nazw?

\* „Spmt of St Loujs” - samolot, w którym Charles Lindbergh przeleaał w 19271 przez Atlantyk, „Enola Gay” - superfoiteca B-29, z której w 1945 r zrzucono bombę atomową na Hiroszimę



- Dlatego chcę, żeby mi pan wytłumaczył to nie z punktu widzenia przeznaczenia, tylko zasady.

Kierowca zamyślił się głęboko i nie zauważył, że światło zmieniło się na zielone. Stojący za nami samochód z przyczepą kempingową zatrąbił na melodię z *Siedmiu wspaniałych*.

- Może dlatego, że nie można ich pozamieniać. Na przykład jest tylko jeden dworzec Shinjuku i nie można go zamienić z dworcem Shibuya. Czyli takie rzeczy, których nie można pozamieniać miejscami i które nie są produkowane masowo. Co pan sądzi o tych dwóch kryteriach? - zapytał kierowca.

- Byłoby świetnie, gdyby dworzec Shinjuku znalazł się w Ekoda - powiedziała dziewczyna.

- Gdyby dworzec Shinjuku był w Ekoda, to stałby się dworcem Ekoda - nie dawał się kierowca.

- Ale wtedy i linia kolejowa Odakyu musiałaby się przenieść.

- Wróćmy do początku - powiedziałem. - Co by było, gdyby można pozamieniać dworce miejscami? Gdyby wszystkie dworce kolei japońskich były produkowane masowo i składane, i można by zamienić dworzec tokijski z dworcem Shinjuku?

- To proste. Jeśli byłby człowiek w Shinjuku, to tam znajdowałby się dworzec Shinjuku. A jeśli w Tokio, to tam znajdowałby się dworzec tokijski.

- To znaczyłoby, że nazwy nie są nadawane przedmiotom, tylko funkcjom, a to by przecież wskazywało na przeznaczenie, cel.



Kierowca milczał przez chwilę, ale odezwał się szybciej niż poprzednio.

- Nagle mi to przyszło do głowy - powiedział. - Może powinniśmy spojrzeć na wszystko optymistyczniej.

- Jak to?

- Wszystkie miasta, parki, ulice, stadiony, kina i tak dalej mają nazwy. Nadano im nazwy w zamian za to, że zostały przytwierdzone do ziemi.

Nowa teoria.

- W takim razie - powiedziałem - jeśli odrzuciłbym całkowicie świadomość i został gdzieś przytwierdzony, też dostałbym jakieś wspaniałe imię?

Kierowca spojrział na mnie we wstecznym lusterku.

Wyglądał tak, jakby zastanawiał się, czy jest tu gdzieś jakaś pułapka.

- Przytwierdzony?

- Unieruchomiony, na przykład zamrożony albo coś takiego. Jak Śpiąca Królewna.

- Ale przecież pan ma już imię?

- No tak - powiedziałem. - Zapomniałem.

Po otrzymaniu kart wstępu do samolotu pożegnaliśmy się z kierowcą. Chciał czekać aż do odlotu, ale zostało jeszcze półtorej godziny, więc zrezygnował i odjechał.

- Dziwny człowiek - rzekła dziewczyna

- Jest miejsce, w którym mieszkają tylko tacy ludzie - powiedziałem. - Tam mleczone krowy poszukują obcęgów.



- Jak w piosence *Home on the Range*.
- Może i tak - odparłem.

Weszliśmy do restauracji na lotnisku i zjedliśmy wczesny obiad. Ja zamówiłem zapiekane krewetki, a ona spaghetti. Za oknem widać było boeingi 747 i tristary.

Ładowały i startowały z powagą sugerującą jakąś ważną misję. Dziewczyna jadła spaghetti, nakładając na widelec po jednej nitce makaronu i podejrzliwie mu się przyglądając.

- Zawsze myślałam, że w samolocie podają posiłki

- powiedziała z niezadowoleniem.

- Nie - odparłem, wkładając do ust kawałek zapiekanki i studząc go przed połknięciem.

Potem szybko

popiłem zimną wodą. Zapiekanka była tak gorąca, że nie

czułem żadnego smaku. - Podają na

trasach między-

narodowych. A na krajowych, jeśli są

dłuższe, czasem

jakieś drugie śniadanie, ale nic specjalnego.

- A filmy?

- Nie ma. Przecież lot do Sapporo trwa niewiele ponad godzinę.

- To nic nie ma.

- Nie ma. Siadasz na swoim miejscu, czytasz książkę

i dolatujesz do celu. Jak w autobusie.

- Tylko nie czeka się na światłach.

- Właśnie. Nie czeka się na światłach.

- O rany - powiedziała z westchnieniem.

Zostawiła

w połowie zjedzone spaghetti, odłożyła

widelec i wytarła

usta papierową serwetką. - To nie ma po

co nadawać

samolotowi imienia.

- Słusznie. Samoloty są dosyć nudne. Tyle tylko że nie zabierają dużo czasu. Pociągiem jedzie się chyba ze dwanaście godzin.

- To co się dzieje z resztą czasu?

Zrezygnowałem z jedzenia zapiekanki i zamówiłem dwie kawy.

- Z resztą czasu?

- Przecież lecąc samolotem, oszczędza się ponad dziesięć godzin. Gdzie się podziewa ten czas?

- Nigdzie się nie podziewa. Dolicza się go. Możemy sobie te dziesięć godzin spędzić tak, jak chcemy, czy to w Tokio, czy w Sapporo. W ciągu dziesięciu godzin można obejrzeć cztery filmy i zjeść dwa posiłki, prawda?

- A jak ja nie będę chciała oglądać filmów ani jeść?

- To już twoje zmartwienie, a nie wina czasu.

Przygryzła wargi i przez chwilę przyglądała się przysadzistej sylwetce boeinga 747. Zawsze przypominają mi pewną brzydką, grubą kobietę, która mieszkała koło nas. Ogromny obwisły biust, spuchnięte nogi, pomarszczona szyja. Lotnisko wyglądało jak miejsce zebrań takich kobiet. Kilkadziesiąt z nich przybywa i odchodzi jedna po drugiej. Wyprostowani piloci i stewardesy przechodzący w różnych kierunkach przez halę lotniska wyglądali dziwnie dwuwymiarowo, jakby te kobiety pozbawiły ich cienia. Zdawało mi się, że nie było tak za czasów samolotów DC7 i Friendship, ale tak naprawdę nie pamiętałem. Może tak tylko mi się wydaje, bo 747

wyglądają jak grube,  
brzydkie kobiety.

- Słuchaj, czy czas puchnie? - zapytała mnie.

- Nie, czas nie puchnie - odpowiedziałem, ale mój głos nie brzmiał jak mój głos. Odkaszniałem i napiłem się kawy. - Czas nie puchnie.

- Ale przecież go przybywa. Sam powiedziałeś, że się dolicza.

- To tylko znaczy, że mniej czasu potrzeba na przemieszczanie się. Całkowita ilość czasu się nie zmienia. Tylko można dzięki temu zobaczyć dużo filmów.

- Jeśli ktoś ma ochotę obejrzeć film - powiedziała.

Po przyjeździe do Sapporo rzeczywiście od razu obejrzeliśmy dwa filmy.

Rozdział siódmy  
**Przygody w hotelu Pod  
Delfinem**



1. Przemieszczanie się zakończone kinem.

Hotel *q*  
Pod Delfinem

Podczas lotu przez cały czas obserwowała krajobraz w dole. Ja, siedząc obok, czytałem *Przygody Sherlocka Holmesa*. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a na ziemi ciągle widziałem przesuwany się cień naszego samolotu. Ściśle mówiąc, ponieważ siedzieliśmy w samolocie, odbijający się na ziemi cień nie był jedynie cieniem samolotu, bo powinien też właściwie zawierać w sobie nasze cienie. A jeśli tak, to znaczy, że również ślad naszych postaci odciskał się na powierzchni ziemi.

- On mi się bardzo podoba - powiedziała, popijając sok pomarańczowy z papierowego kubeczka.

- Kto?

- Ten kierowca.

- Tak - przytaknąłem. - Mnie się też podoba.

- A poza tym Szprot to bardzo dobre imię.

- Owszem, to naprawdę dobre imię. Kot też może

będzie szczęśliwszy tam niż u mnie.

- Nie kot, tylko Szprot.

- Słusznie, Szprot.

- Dlaczego nigdy nie nadałeś mu imienia?

- Sam nie wiem - powiedziałem. Zapaliłem papierosa

zapalniczką z herbem owcy. - Może po prostu nie lubię

imion jako takich. Ja to ja, ty to ty, my to my, oni to oni,

wydaje mi się, że to wystarczy.

- Ach tak? - zdziwiła się. - A wiesz, że ja lubię słowo „my”. Jest w nim coś z epoki lodowcowej, nie uważasz?

- Z epoki lodowcowej?

- Tak. Na przykład my powinniśmy teraz przenieść się ku południowi albo my powinniśmy teraz zapolować na mamuta.

- Aha - powiedziałem.

Po wylądowaniu na lotnisku Chitose odebraliśmy bagaż i wyszliśmy z budynku. Było chłodniej niż się spodziewaliśmy. Nałożyłem na podkoszulek flanelową koszulę, a ona narzuciła na bluzkę wełnianą kamizelkę. Najwyraźniej jesień zadomawiała się tu o miesiąc wcześniej niż w Tokio.

- Może powinniśmy byli się urodzić w epoce lodowcowej - powiedziała w autobusie jadącym w stronę Sapporo.

- Ty polowałbyś na mamuty, a ja chowałabym dzieci.

- Brzmi wspaniale - odparłem.

Potem ona przysnęła, a ja przyglądałem się gęstym lasom ciągnącym się wzdłuż drogi.

W Sapporo weszliśmy do kawiarni i zamówiliśmy kawę.

- Najpierw ułożmy ramowy plan działania - zacząłem.

- Podzielimy się zadaniami. Ja będę poszukiwał krajobrazu ze zdjęcia, a tobie przypadnie owca. W ten sposób zaoszczędzimy trochę czasu.

- Brzmi racjonalnie.



- Tak, jeśli wszystko dobrze pójdzie - powiedziałem.

- W każdym razie chciałbym, żebyś dowiedziała się o rozmieszczeniu owczych ferm, tych, które dawniej były największe, i o rasy tutejszych owiec. Myślę, że możesz to znaleźć w bibliotece albo w Urzędzie Okręgowym.

- Bardzo lubię biblioteki - powiedziała.

- To się świetnie składa.

- Zaczynamy od zaraz?

Spojrzałem na zegarek. Pół do czwartej.

- Nie, już jest późno. Zaczniemy od jutra. Dzisiaj spędzimy czas przyjemnie, potem znajdziemy jakiś nocleg, zjemy kolację, wykąpiemy się i pójdziemy spać.

- Chciałabym iść do kina - oznajmiła.

- Do kina?

- No przecież specjalnie zaoszczędziliśmy czas, lecąc samolotem.

- Masz rację - powiedziałem. Po czym poszliśmy do pierwszego napotkanego kina.

Obejrzeliśmy dwa filmy, kryminalny i horror. W kinie było pusto. Od dawna nie siedziałem w takim pustym kinie. Dla zabicia czasu policzyłem ludzi na widowni. Osiem osób razem z nami. Dużo więcej ludzi wystąpiło w tych filmach.

Filmy należały do gatunku tych najgorszych. Z rodzaju tych, z których człowiek ma ochotę wyjść, gdy tylko po ryku lwa Metro Goldwyn Mayer ukazuje się tytuł. Są takie filmy.

Mimo to dziewczyna cały czas poważnie wpatrywała się w ekran, tak jakby chciała go pochłonąć. Nie miałem nawet jak do niej zagadać. W końcu więc też się poddałem i zacząłem oglądać film.

Najpierw wyświetlano horror. Diabeł zapanował nad jakimś miasteczkiem. Zamieszkał w odrapanych podziemiach kościoła i uczynił słabowitego księdza swoim narzędziem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego diabeł zachciało się zapanować akurat nad tym miasteczkiem. To było naprawdę nędznie wyglądające miasteczko, zagubione gdzieś pośród pól kukurydzy.

Jednakże diabeł strasznie je sobie upodobał i wściekał się, bo pewna dziewczyna nie chciała ulec jego mocy. Kiedy się złościł, jego zielone diabelskie ciało, przypominające galaretkę owocową, trzęsło się jak w febrze. W tej złości było nawet coś zabawnego.

Siedzący przed nami mężczyzna w średnim wieku chrapał, wydając odgłosy podobne do żałosnych syren statków we mgle. W kącie po prawej jakaś para oddawała się namiętnym pieszczotom. Z tyłu ktoś bardzo głośno

1

] puścił bąka. Tak głośno, że nawet chrapanie mężczyzny przed nami na chwilę ustało. Na to zachichotały dwie licealistki.

Natychmiast pomyślałem o Szprocie. Kiedy tak o nim myślałem, uświadomiłem sobie, że wyjechałem z Tokio i oto jestem w Sapporo. To znaczy, że ktoś musiał głośno puścić bąka, by naprawdę dotarło do mnie,

że jestem  
daleko od Tokio.

218

To dziwne.

Kiedy tak myślałem o różnych rzeczach,  
zdrzemnąłem  
się. Przyśnił mi się zielony diabeł. Ten diabeł  
ze snu wcale  
nie był zabawny. Siedział w ciemności i tylko  
wpatrywał  
się we mnie.

Obudziłem się, gdy po skończonym filmie  
zabłyło  
światło. Wszyscy ziewnęli jednocześnie,  
jakby się umó-  
wili. Kupiłem dla nas w kiosku dwie porcje  
lodów. Lody  
były twarde, tak jakby zostały jeszcze z  
zeszłego lata.

- Spałeś cały czas?

- Tak - odparłem. - Ciekawe było?

- Bardzo ciekawe! Na końcu całe  
miasteczko wy-  
buchło.

- Coś takiego!

W kinie panowała nieprzyjemna cisza. A  
może to tylko  
wokół mnie była nieprzyjemna cisza.  
Dziwne uczucie.

- Słuchaj - powiedziała - nie wydaje ci  
się, że nadal  
jesteśmy w ruchu?

Kiedy to powiedziała, uświadomiłem sobie,  
że rzeczy-  
wiście miałem takie uczucie.

Ścisnęła mnie za rękę.

- Nie puszczaj mojej ręki. Boję się.

- Dobrze.

- Jak nie będziemy się trzymać za ręce,  
możemy  
zostać przemiesieni w różne miejsca. W  
jakieś dziwne  
miejsca.

Zgasło światło, zaczęły się zapowiedzi  
nowych filmów.  
Odsunąłem jej włosy i przyłożyłem wargi  
do ucha.

- Wszystko będzie dobrze. Nie bój się.  
- Miałaś rację - szepnęła. - Trzeba było przyjechać tu czymś, co miało imię.

Przez półtorej godziny trwania następnego filmu, siedząc w ciemności, kontynuowaliśmy to powolne przemieszczanie. Przytuliła policzek do mojego ramienia, które po chwili lekko zwilgotniało od jej ciepłego oddechu.

Po wyjściu z kina otoczyłem ją ramieniem i szliśmy spacerem po mieście, w którym zapadał już zmierzch. Czuliśmy się bardzo sobie bliscy. Ulicę wypełniał przyjemny gwar przechodniów, a na niebie zaczęły się pojawiać blade gwiazdy.

- Czy na pewno jesteśmy w tym mieście, co trzeba?  
- zapytała.

Spojrzałem na niebo. Gwiazda Polarna była we właściwym miejscu. Chociaż wyglądała trochę na falsyfikat

Gwiazdy Polarnej. Była za duża i za jasna.

- Sam nie wiem - powiedziałem.  
- Wydaje mi się, że coś tu nie pasuje.  
- Zawsze tak jest, kiedy przebywasz gdzieś po raz

pierwszy. Człowiek nie może się od razu przystosować.

- Ale niedługo się przystosujemy?  
- Pewnie za jakieś dwa, trzy dni - powiedziałem.

Kiedy zmęczyło nas spacerowanie, weszliśmy do pierwszej z brzegu restauracji, wypiliśmy po dwa piwa i zjedliśmy łososia z kartoflami. Jak na restaurację, do której

trafia się przypadkiem, jedzenie było bardzo dobre. Piwo smaczne, a biały sos do ryby nie za gęsty, ale odpowiednio esencjonalny.

- A teraz - powiedziałem, pijąc kawę - czas już chyba rozejrzeć się za noclegiem.

- Mniej więcej sobie wyobrażam, jaki powinien być nasz hotel - odparła.

- Jaki?

- Przeczytaj mi po kolei nazwy hoteli.

Poprosiłem niezbyt sympatycznego kelnera o książkę telefoniczną instytucji i znalazłszy hasło „Hotele, zajazdy”, zacząłem je po kolei odczytywać. Przy mniej więcej czterdziestym przerwała mi.

- Ten będzie dobry.

- Który?

- Ten, który przeczytałeś jako ostatni.

- „Dolphin Hotel” - przeczytałem jeszcze raz.

- Co to znaczy?

- Hotel Pod Delfinem.

- Tam się zatrzymamy.

- Nigdy nie słyszałem o takim hotelu.

- Ale wydaje mi się, że to jest właśnie hotel, w którym powinniśmy się zatrzymać.

Podziękowałem kelnerowi i zwróciłem mu książkę telefoniczną. Potem zadzwoniłem do hotelu Pod Delfinem. Odebrał jakiś niewyraźnie mówiący mężczyzna i powiedział, że wolne są pokoje jedno- i dwuosobowe.

Na wszelki wypadek zapytałem, jakie jeszcze mają pokoje

prócz jedno- i dwuosobowych. Okazało się, że nie było innych. Poczulem się lekko skołowany, ale zarezerwowałem pokój dwuosobowy i zapytałem o cenę. Była o jakieś czterdzieści procent niższa, niż się spodziewałem.

Hotel Pod Delfinem znajdował się o dwie przecznice na zachód i o jedną na południe od naszego kina. Był mały i niczym się nie wyróżniał. Do tego stopnia niczym się nie wyróżniał, że trudno było nawet wyobrazić sobie hotel jeszcze mniej charakterystyczny. Wokół tego braku charakteru unosiła się jakaś metafizyczna aura. Nie było neonu, nie było szyldu, nie było nawet porządnego wejścia. Tylko obok szklanych drzwi, wyglądających jak tylne wejście dla pracowników, znajdowała się mała miedziana tabliczka z napisem „Dolphin Hotel”. Nie było nawet nigdzie wizerunku delfina.

Budynek był czteropiętrowy i miał tyle wyrazu, co leżące na dłuższym boku duże pudełko zapalek. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że nie był nawet taki stary, ale na tyle odrapany, że aż zwracało to uwagę. Pewnie był odrapany od samego początku, od chwili gdy go zbudowano.

To ma być nasz hotel?

Jednak najwyraźniej hotel od razu jej się spodobał.

- Wygląda na bardzo dobry hotel, nie uważasz?

- zapytała.

- Na dobry hotel? - odpowiedziałem pytaniem.

- Taki niewielki i nie ma w nim nic niepotrzebnego.

- Nic niepotrzebnego - powtórzyłem. -  
Czy do niepo-  
trzebnych rzeczy zaliczasz niepoplamione  
prześcieradła,

222



nieciekącą umywalkę, klimatyzację, którą można wyregulować, miękki papier toaletowy, nowe mydło, nie-splowiałe zasłony i tak dalej?

- Ty zawsze dostrzegasz tylko ciemne strony - zaśmiała się. - Poza tym nie przyjechaliśmy przecież na wycieczkę.

Po otwarciu drzwi okazało się, że hol był dużo większy, niż się mogło wydawać z zewnątrz. Na środku stał zestaw kanap i foteli oraz duży kolorowy telewizor. Telewizor był włączony: nadawali właśnie jakiś teletur-niej. Nigdzie nie było żywej duszy.

Po obu stronach wejścia stały donice z ozdobnymi roślinami. Mniej więcej połowa liści uschła. Zamknąłem za sobą drzwi i stojąc między donicami, przez chwilę rozglądałem się dokoła. Teraz zorientowałem się, że hol wcale nie był taki duży. Sprawiał wrażenie dużego dlatego, że było w nim mało mebli. Zestaw kanap, zegar stojący i duże lustro. To wszystko.

Podszedłem do ściany i przyjrzałem się zegarowi oraz lustru. Miały plakietki mówiące o tym, że są prezentami upamiętniającymi coś tam. Zegar spóźniał się siedem minut, a moja odbita w lustrze postać miała tułów przesunięty względem szyi.

Zestaw kanap i foteli był równie odrapany jak cały hotel. Pomarańczowe obicie nabrało bardzo dziwnego odcienia. Tak jakby najpierw ktoś wystawił je na długo na słońce, następnie przez tydzień trzymał na deszczu, a potem przeniósł do piwnicy i zostawił tam

specjalnie  
tak długo, aż całe pokryło się pleśnią. Taki  
odcień można

było spotkać w początkach epoki  
tecmikoloru. Kiedy  
podszedłem do kanapy, okazało się, że leży  
na niej  
uśpiony łysy mężczyzna w średnim wieku,  
skręcony jak  
suszona ryba. Na pierwszy rzut oka  
wydawało się, że nie  
żyje, ale tylko spał. Czasami lekko poruszał  
nosem. Na  
grzbiecie nosa miał odcisnięty ślad okularów,  
lecz okula-  
rów nigdzie nie było widać. W takim razie  
niemożliwe  
było, że zasnął, oglądając telewizję. Dziwna  
sprawa.

Podszedłem do lady recepcji i zajrzałem  
do środka.

Nie było nikogo. Ona nacisnęła dzwonek.  
Dzyń-dzyń  
wypełniło całe pomieszczenie.

Poczekaliśmy trzydzieści sekund, ale nie  
było żadnej  
reakcji. Mężczyzna na kanapie też się nie  
obudził.

Ponownie zadzwoniła.

Mężczyzna na kanapie jęknął, tak jakby  
miał do  
siebie o coś pretensję. Potem otworzył oczy i  
popatrzył na  
nas nieprzytomnie.

Dziewczyna zdecydowanie zadzwoniła po  
raz trzeci.

Mężczyzna zerwał się z kanapy,  
przemierzył hol,  
przemknął obok mnie i wszedł za ladę  
recepcji. To on był  
recepjonistą.

- Bardzo przepraszam - powiedział. -  
Naprawdę  
bardzo przepraszam. Usnąłem, czekając na  
państwa.

- Przepraszamy, żeśmy pana obudzili -  
odpowiedziałem.

- Ależ skąd, co też pan mówi! -  
powiedział recep-  
cjonista i wyciągnął ku mnie kartę hotelową  
i długopis.

Mały i środkowy palec jego lewej dłoni

nie miały  
ostatniego stawu.

224

Napisałem w karcie swoje nazwisko, a potem zastanowiłem się, zwinąłem ją w kulkę i na nowej wpisałem zmyślone nazwisko i zmyślony adres. Było to dość zwyczajne nazwisko i adres, ale zważywszy, że wymyśliłem je na poczekaniu, nie były wcale najgorsze. W rubryce zawód postanowiłem wpisać handel nieruchomościami.

Recepcjonista założył grube okulary w plastikowej oprawie, które leżały obok telefonu, i uważnie prze-  
studiował moją kartę hotelową.

- Tokio, Suginami, ..., dwadzieścia dziewięć lat,  
pośrednik handlu nieruchomościami.

Wyjąłem z kieszeni jednorazową chusteczkę i starłem z palców tusz, jaki pozostawił długopis.

- Pan tu służbowo?

- Właściwie tak... - powiedziałem.

- Na ile dni?

- Na miesiąc.

- Na miesiąc? - Popatrzył na mnie tak, jakby wpatrywał się w białą kartkę. - Przez miesiąc będzie pan mieszkał w hotelu?

- Czy nie mogę?

- Nie, może pan, ale zwykle prosimy, by goście regulowali rachunek co trzy dni.

Postawiłem torbę na podłodze, wyjąłem z kieszeni kopertę z szeleszczącymi banknotami dziesięciotysięcznymi, odliczyłem dwadzieścia i położyłem na ladzie.

- Jak zabraknie, to dołożę - powiedziałem. Recepcjonista ujął banknoty w trzy palce lewej ręki i prawą



dwukrotnie je przeliczył. Potem wypisał pokwitowanie i wręczył mi.

- Czy mają państwo jakieś życzenia co do pokoju?

- Najlepszy byłby narożny pokój oddalony od windy.

Recepcjonista odwrócił się do nas plecami i zaczął się

wpatrywać w tablicę z kluczami. Po długim namyśle

wręczył nam klucz od pokoju 406.

Na tablicy wisały prawie wszystkie klucze. Nie można powiedzieć, żeby hotel Pod Delfinem robił świetne interesy.

Ponieważ w hotelu nie istniała instytucja boya, musieliśmy sami zanieść torby do windy. Tak jak powiedziała dziewczyna, w tym hotelu nie było nic niepotrzebnego.

Winda trzęsa i rzeźbiła jak duży pies cierpiący na chorobę płuc.

- Jeśli człowiek ma zamiar dłużej się zatrzymać, takie małe, niezobowiązujące hotele są lepsze - powiedziała.

Małe niezobowiązujące hotele, to wyrażenie bardzo mi się podobało. Można by go użyć w reklamach firm turystycznych. Na dłuższe pobyty najlepsze są swojskie, małe, niezobowiązujące hoteliki. Ale po wejściu do pokoju w tym małym, niezobowiązującym hotelu najpierw musiałem zabić kapciem spacerującego po parapecie karalucha i podnieść leżące obok łóżka dwa włosy łonowe.

Wyrzuciłem to wszystko do kosza. Pierwszy raz widziałem karalucha na Hokkaido. Ona w tym czasie przygotowywała kąpiel, regulując temperaturę wody.

Kurki były  
bardzo hałaśliwe.

226



- Możemy się przenieść do lepszego hotelu - krzyknąłem do niej, otwierając drzwi łazienki. - Mamy bardzo dużo pieniędzy.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Nasze poszukiwanie owcy zaczyna się stąd. Musimy być tutaj.

Położyłem się na łóżku, zapaliłem papierosa, włączyłem telewizor i zgasilem po przeleceniu wszystkich kanałów. Tylko telewizor dobrze odbierał. Ustał głos lejącej się wody, jej wyrzucone z łazienki ubranie wleciało do pokoju i dobiegł odgłos prysznicza.

Gdy odsunąłem zasłonę, po drugiej stronie ulicy ukazały się niewielkie bezsensowne budynki podobne do hotelu Pod Delfinem. Wszystkie były brudne, jakby posypane popiołem, i od samego patrzenia czuło się zapach uryny. Mimo że już dochodziła dziewiąta, w kilku oświetlonych oknach widać było ludzi, którzy jeszcze ciągle pracowali. Nie wiem, czym się zajmowali, ale nie wyglądali na zadowolonych. Chociaż z ich punktu widzenia ja też pewnie nie wyglądałem na zadowolonego.

Zasłoniłem okno, wróciłem do łóżka i położyłem się na prześcieradle tak wykrochmalonym, że przypominało asfalt. Myślałem o swojej byłej żonie i o mężczyźnie, z którym teraz żyła. Dosyć dobrze go znałem. Przecież w końcu był moim przyjacielem, więc musiałem go dobrze znać. W wieku dwudziestu siedmiu lat był mało znanym gitarzystą jazzowym i jak na mało znanego gitarzystę jazzowego był stosunkowo

rozsądnym czło-  
wiekiem. Charakter też miał niezły. Tylko  
stylu nie miał.

Jednego roku błdził gdzieś pomiędzy Kennym Burrellem i B.B. Kingiem, a innego roku między Larrym Coryellem i Jimem Hallem.

Nie wiedziałem, dlaczego po mnie wybrała takiego człowieka. Niewątpliwie ludzie miewają różne upodobania.

Górował nade mną tylko tym, że umiał grać na gitarze, a ja nad nim tylko tym, że umiałem zmywać naczynia.

Większość gitarzystów nie zmywa naczyń. Jeśli skaleczą się w palec, tracą sens istnienia.

Potem pomyślałem o seksie z nią. Dla zabicia czasu

próbowałem policzyć, ile razy kochaliśmy się przez te

cztery lata małżeństwa. Ale to i tak była liczba niedokład-

na, a niedokładne liczby nie mają wielkiego znaczenia.

Powinienem był pisać pamiętnik. A przynajmniej robić

znaczki w kalendarzyku. Wtedy wiedziałbym dokładnie,

ile razy przez te cztery lata uprawiałem seks. Potrzebna mi

jest rzeczywistość dokładnie wyrażona w liczbach.

Moja była żona miała szczegółowy wykaz swoich

stosunków seksualnych. Nie znaczy to, że pisała pamięt-

nik. Od czasu pierwszej miesiączki prowadziła w dużych

zeszytach dokładne rejestry wszystkich miesiączek i jako

dotatkowe dane umieszczała tam też wykazy wszystkich

stosunków seksualnych, jakie kiedykolwiek odbyła. Miała

takich notatników osiem i trzymała je w zamkniętej na

klucz szufladzie razem z ważnymi ustami i zdjęciami.

Nikommu tych zeszytów nie pokazywała i nie

wiem, do  
jakiego stopnia rozpisywała się w nich o  
seksie. A teraz  
po rozstaniu z nią pewnie już nigdy się nie  
dowiem.

- Jeśli umrę - mówiła często - spal te - zeszyty. Polej naftą, spal dokładnie i zakop. Jeśli spojrzysz nawet na jedną literę, nigdy ci nie wybaczę.

- Ale przecież ja od dawna z tobą sypiam. Znam cię na wylot. Dlaczego się czegoś przede mną wstydzisz?

- Komórki zmieniają się co miesiąc. Nawet w tej chwili - wyciągnęła ku mnie szczupłą dłoń. - Sądzisz, że coś o mnie wiesz, ale to tylko wspomnienia, nic więcej.

Z wyjątkiem ostatniego miesiąca przed rozwodem była osobą myślącą właśnie w taki metodyczny sposób. Była naprawdę w pełni świadoma rzeczywistości życia. Znała zasadę, że nie można otworzyć drzwi, które raz się zamknęło, i że nie można także zostawić ich otwartych.

To, co teraz o niej wiem, to tylko wspomnienia, nic więcej. Te wspomnienia oddalają się i bledną powoli jak zniszczone komórki. I nie znam nawet dokładnej liczby stosunków, jakie z nią odbyłem.

## 2. Owczy Profesor wchodzi na scenę

Obudziliśmy się następnego rana o ósmej, ubraliśmy się, zjechaliśmy windą na dół i zjedliśmy śniadanie w pobliskiej kawiarni. W hotelu Pod Delfinem nie było ani kawiarni, ani restauracji.

- Tak jak mówiłem wczoraj, będziemy działać oddzielnie - powiedziałem, wręczając jej kopię zdjęcia owiec.



- Ja postaram się poszukać tego widoku na zdjęciu, posługując się górami w tle jako śladem. Chciałbym, żebyś ty skupiła się na miejscach hodowli owiec. Wiesz, jak się do tego zabrać, prawda? Nawet najmniejsza informacja może być ważną. To i tak będzie lepsze, niż miotanie się na oślep po całym Hokkaido.

- Nic się nie martw, możesz na mnie liczyć.
- Spotkajmy się po południu w hotelu.
- Nie możesz się tak tym przejmować -

powiedziała, nakładając okulary słoneczne. - Na pewno szybko znajdziemy.

- Byłoby świetnie, gdyby się udało - odrzekłem.

Oczywiście poszukiwania wcale nie poszły nam tak gładko. Udałem się do Wydziału Turystyki w Urzędzie Okręgowym, obszedłem różne biura podróży i agencje turystyczne, dotarłem do związku alpinistycznego. Byłem chyba we wszystkich miejscach, które miały jakikolwiek związek z turystyką i górami, ale nikt nie znał widoczku na moim zdjęciu.

- Te góry mają bardzo typowy kształt - mówili - i do tego na zdjęciu jest tylko fragment pasma.

Wędrowałem tak cały dzień i jedyny wniosek, do jakiego doszedłem, był następujący: jeżeli jakieś pasmo górskie nie ma bardzo charakterystycznego kształtu, to nie można go rozpoznać tylko po jednym fragmencie.

Wstąpiłem po drodze do księgarni i kupiłem mapę Hokkaido oraz książkę pod tytułem *Gary*

*Hokkaido.* Wszed-

230



łem do kawiarni, zamówiłem dwa piwa imbirowe i zabra-  
łem się do czytania. Na Hokkaido była nieprawdopodobna  
ilość gór i prawie wszystkie tego samego koloru i kształtu.  
Zacząłem kolejno porównywać zdjęcie od Szczura z foto-  
grafiami w książce, ale po dziesięciu minutach rozboleła  
mnie głowa. Poza tym góry sfotografowane w książce były  
tylko częścią gór znajdujących się na Hokkaido. Zrozumia-  
łem też, że ta sama góra może wyglądać zupełnie inaczej,  
jeśli spojrzeć na nią z różnych stron. „Góry żyją - pisał  
autor we wstępie. - Góry zmieniają się zależnie od miejsca,  
z którego je obserwujemy, od pory roku, dnia, a nawet  
nastawienia patrzącego. Dlatego ważne jest, byśmy uświa-  
domili sobie, że zawsze poznajemy tylko jedną część, jedno  
oblicze góry”.

- O rany! - powiedziałem na głos i ponownie za-  
brałem się do pracy, choć wiedziałem, że była bezcelowa.

Kiedy zegar wybił piątą, wyszedłem z kawiarni, usiad-  
łem na ławce w parku i zjadłem kukurydzę, dzieląc się  
z gołębiami.

Jakość prac poszukiwawczych dziewczyny okazała się  
lepszą, ale wspólną cechą jej i moich wysiłków było to, że  
do niczego nie doprowadziły. Poszliśmy do małej restaura-  
cyjki na tyłach hotelu Pod Delfinem i jedząc lekką kolację,  
opowiadaliśmy sobie nawzajem o swoich poszukiwaniach.

- W Urzędzie Okręgowym w Wydziale Hodowli nic  
nie wiedzieli - powiedziała. - Hodowla owiec

została już  
zaniechana. Nie opłaca się. Przynajmniej  
hodowla i wypas  
na dużą skalę.

- Czyli skoro jest ich mało, to powinno być łatwo znaleźć.

- Wcale niekoniecznie. Jeśli hoduje się dużo owiec na wełnę, wtedy są i związki zawodowe, i Urząd może to wszystko skontrolować normalnymi drogami, ale nie mają kontroli nad małymi i średnimi hodowcami. Dziś ludzie hodują sobie po parę owiec, tak jakby hodowali psa czy kota. Dali mi spis trzydziestu hodowców, ale ten spis jest sprzed czterech lat i mówią, że przez cztery lata dużo mogło się zmienić. Podobno japońskie rolnictwo zmienia się co trzy lata jak kameleon.

- O rany - westchnąłem, popijając piwo. - Wygląda na to, że utknęliśmy w martwym punkcie. Na Hokkaido jest ponad sto takich gór jak ta i nic nie wiadomo o hodowli owiec.

- Przecież jeszcze nawet pierwszy dzień się nie skończył. To dopiero początek.

- Czy uszy nic ci nie mówią?

- Teraz przez dłuższy czas nic nie powiedzą - odparła.

Potem zjadła trochę gulaszu rybnego i wypila łyk zupy sojowej. - Ja to sama jakoś czuję. Uszy mówią tylko, jeśli czuję się zagubiona albo psychicznie wygłodniała, a teraz tak nie jest.

- To znaczy, że rzucają ci linę tylko wtedy, gdy toniesz.

- Uhm. Teraz, będąc razem z tobą, jestem zadowolona, a kiedy jestem zadowolona, uszy milczą. Dlatego musimy szukać owcy o własnych siłach.

- Nie bardzo cię rozumiem - powiedziałem.

- Jesteśmy naprawdę w kropce. Jeśli nie znajdziemy

owcy, będziemy

232

mieli kłopoty. Nie wiem, jakie to będą kłopoty, ale skoro oni mówią, że będziemy mieli kłopoty, to znaczy, że to będą prawdziwe kłopoty. To są zawodowcy. Nawet jeśli Szef umrze, zostanie organizacja, która pokrywa całą Japonię jak sieć kanalizacyjna. I właśnie ta organizacja spowoduje nasze kłopoty. Wiem, że to wszystko brzmi idiotycznie, no ale tak to teraz wygląda.

- Przecież to zupełnie jak w tym filmie animowanym *Najeźdźcy*.

- W tym sensie, że jest idiotyczne, owszem. W każdym razie zostaliśmy w to wciągnięci. I kiedy mówię „my”, mam na myśli ciebie i mnie. Na początku tylko ja byłem w to wplątany, ale potem i ty się włączyłaś. I mimo wszystko nie uważasz, że toniemy?

- Ależ mnie się to wszystko bardzo podoba! Jest dużo przyjemniejsze niż spanie z nieznajomymi, wystawianie uszu na błysk flesza czy robienie korekty słownika imion własnych. Życie właśnie na tym polega.

- Czyli - powiedziałem - ani nie toniesz, ani nie potrzebujesz liny?

- -Uhm. Musimy sami znaleźć owcę. Żadne z nas aż tak wiele nie poświęciło.

Może i tak.

Wróciliśmy do hotelu i odbyliśmy stosunek płciowy. Bardzo lubię wyrażenie „stosunek płciowy”. Przywodzi mi na myśl pewną możliwość o określonym kształcie.



Trzeci i czwarty dzień w Sapporo okazały się równie bezowocne. Wstawaliśmy o ósmej, jedliśmy śniadanie, spędzaliśmy cały dzień oddzielnie, spotykaliśmy się wieczorem, wymienialiśmy przy kolacji informacje, wracaliśmy do hotelu, odbywaliśmy stosunek płciowy i szliśmy spać. Wyrzuciłem stare tenisówki, kupiłem nowe i pokazałem zdjęcie kilkuset osobom. Ona na podstawie informacji zebranych w urzędach i bibliotekach zrobiła listę hodowców owiec i dzwoniła do nich po kolei. Ale efekty były zerowe. Nikt nie pamiętał takiej góry i żaden hodowca nie miał owcy z łata w kształcie gwiazdy na grzbiecie. Pewien staruszek przypomniał sobie, że przed wojną widział taką górę na południowym Sachalinie, ale jakoś nie wydawało mi się, żeby Szczur mógł zawędrować aż na Sachalin. Na pewno nie udałoby mu się wysłać ekspresu do Tokio z Sachalinu pocztą japońską.

Tak samo minął piąty, potem szósty dzień i październik zaczął na dobre zadomowiać się w mieście. Słońce było jeszcze ciepłe, ale wiatr przeszywał na wskroś i wieczorami zacząłem nosić lekką, bawełnianą kurtkę. Sapporo było duże, a jego ulice irytująco proste. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak mylące może być miasto, w którym wszystkie ulice są idealnie proste.

Byłem naprawdę zdezorientowany. Czwartego dnia straciłem poczucie kierunku i stron świata.

Zaczęło mi  
się wydawać, że naprzeciw wschodu jest  
południe, więc  
kupiłem sobie w sklepie papierniczym  
kompas. Kiedy tak



chodząc z kompasem, miasto stopniowo stawało się nierealne. Budynki wyglądały jak dekoracje do filmu, a przechodnie wydawali się dziwnie dwuwymiarowi, jakby zrobieni z tektury. Słońce wschodziło z jednej strony pozbawionej wyrazu krainy i zataczając na niebie łuk jak kula armatnia, znikało po drugiej stronie.

Wypijałem czasem nawet po siedem kaw dziennie i siusiałem co godzinę. W ten sposób powoli traciłem apetyt.

- A może dałbyś ogłoszenie do gazety? - zaproponowała. - Że chcesz, by przyjaciel się z tobą skontaktował.

- Niezły pomysł - powiedziałem. - Nie wiadomo, czy poskutkuje, ale zawsze lepsze to niż bezczynność.

Poszedłem do czterech gazet i opłaciłem trzylinijkowe ogłoszenie w porannych wydaniach dnia następnego.

*Szczur! Odezwiij się!  
Bardzo pilne!!!  
Hotel Pod Delfinem, pokój 406*

Przez następne dwa dni siedziałem w pokoju hotelowym i czekałem na telefon. Telefon odezwał się trzykrotnie. Najpierw zadzwonił pewien obywatel, dowiedzieć się, co to znaczy Szczur.

- To przezwisko przyjaciela - odparłem. Usatysfakcjonowany odłożył słuchawkę. Drugi był to dowcip.

- Pii, pii - powiedział ktoś - pii, pii. Rozłączyłem się. Miasta to bardzo dziwne miejsca.

Trzeci telefon był od kobiety o przerażająco cienkim głosiku.

- Wszyscy nazywają mnie Szczurkiem.

- Jej głos

brzmiał tak, jakby wiatr targał przewodem telefonicznym.

- Bardzo mi przykro, że się pani specjalnie trudziła, ale ja szukam mężczyzny - powiedziałem.

- Tak też sądziłam - odrzekła. - No ale ponieważ

mnie wszyscy nazywają Szczurkiem, to pomyślałam, że na wszelki wypadek zadzwonię.

- Dziękuję pani bardzo.

- Ależ nie ma za co. Czy znalazł pan już tego pana?

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. -

Niestety.

- Szkoda, że to nie o mnie chodziło. No ale nie, prawda?

- Tak, szkoda.

Zamilkła. Podrapałem się za uchem końcem małego palca.

- Tak naprawdę to chciałam z panem porozmawiać

- powiedziała.

- Ze mną?

- Nie wiem dlaczego, ale od czasu kiedy dziś rano

zobaczyłam to ogłoszenie, ciągle się wahałam, czy zadzwonić,

czy nie. Myślałam, że to na pewno będzie narzucanie się...

- To znaczy, że to nieprawda, że wszyscy nazywają panią Szczurkiem?

- Tak - powiedziała. - Nikt nie nazywa mnie Szczurkiem. Nie mam też przyjaciół. I dlatego chciałam z kimś porozmawiać.

Westchnąłem.

- No, cóż, w każdym razie dziękuję.
- Przepraszam. Czy pan jest z Hokkaido?
- Z Tokio - powiedziałem.
- I z Tokio przyjechał pan szukać przyjaciela?
- Tak jest.
- Ile ten pan ma lat?
- Właśnie skończył trzydzieści.
- A pan?
- Za dwa miesiące będę miał trzydzieści.
- Nie jest pan żonaty?
- Nie.

- Ja mam dwadzieścia dwa. Czy z wiekiem różne

rzeczy stają się łatwiejsze?

- Hmm - zastanowiłem się - sam nie wiem. Niektóre stają się łatwiejsze, a inne nie.

- Przyjemnie byłoby, gdybyśmy mogli spokojnie porozmawiać przy kolacji.

- Bardzo mi przykro, ale muszę tu siedzieć i czekać na telefon.

- No tak - powiedziała. - Przepraszam.

- W każdym razie dziękuję pani za telefon.

Rozłączyła się.

Na dobrą sprawę to mogła być jakaś inteligentna

prostytutka, szukająca w ten sposób klienta.

A może po

prostu, tak jak się wydawało, samotna

dziewczyna. Mnie

i tak było to obojętne. Żaden ślad z tego nie wyniknął.

Następnego dnia telefon zadzwonił tylko raz.

- W sprawie Szczurów proszę się zdać na mnie  
- powiedział jakiś zbzikowany facet. Przez piętnaście minut opowiadał mi o walkach, jakie toczył ze szczurami w obozie na Syberii. Historia była bardzo ciekawa, ale nic mi nie pomogła.

Usiadłem przy oknie na krześle, z którego wyłaziły sprężyny, i czekając na telefon, przez cały dzień przyglądałem się, jak ludzie pracują w jakiejś firmie na drugim piętrze w budynku naprzeciwko. Mimo że przyglądałem się cały dzień, nie miałem pojęcia, czym się ta firma zajmowała. Zatrudniała około dziesięciu osób. Bez przerwy wbiegali tam i wybiegali jacyś ludzie, zupełnie jak na meczu koszykówki. Ktoś przekazywał komuś jakieś dokumenty, inny ktoś przystawiał na nich pieczętkę, a jeszcze inny ktoś wkładał je do koperty i wybiegał. W przerwie obiadowej urzędniczka o dużych piersiach zaparzyła dla wszystkich herbatę. Po południu kilka osób zamówiło kawę z pobliskiej restauracji. Widząc to, sam też nabrałem ochoty na kawę. Poprosiłem recepcjonistę, by zapisał, jeśli będą dla mnie jakieś wiadomości, napiłem się kawy w kawiarni obok, kupiłem dwie puszki piwa i wróciłem do hotelu. Kiedy znów wyjrzałem przez okno, w firmie naprzeciw zostały już tylko cztery osoby. Urzędniczka o dużych piersiach przekomarzała się z jakimś młodym pracownikiem. Pijąc piwo, nadal obserwowałem

sytuację, zwracając uwagę głównie na ową urzędniczkę.

Im dłużej jej się przyglądałem, tym większe wydawały mi się jej piersi. Na pewno używa stanika zbudowanego

jak wiszący most Golden Gate w San Francisco. Wydało się, że kilku pracowników miało ochotę się z nią przespać. Czulem ich pożądanie przez dwa okna dodatkowo oddzielone ulicą. Dziwnie jest wyczuwać pożądanie innych. Szybko zaczyna się mieć złudzenie, że to nasze własne pożądanie.

O piątej kobieta przebrała się w czerwoną sukienkę i wyszła. Włączyłem telewizor i obejrzałem *Królika Buggsa*. I tak dobiegał końca ósmy dzień w hotelu Pod Delfinem.

- O rany! - powiedziałem. Ostatnio mówienie „O rany!” weszło mi w nawyk. - Minęła już jedna trzecia miesiąca, a my ciągle nie posunęliśmy się nawet o krok.

- No - powiedziała. - Ciekawe, jak się ma Szprot?

Po kolacji siedzieliśmy w holu hotelu Pod Delfinem na tandetnych pomarańczowych kanapach. Oprócz nas był tam tylko ów recepcjonista z trzema palcami. Używając drabiny, zmieniał żarówki, przecierał szyby i porządkował gazety. W hotelu mogli być jeszcze inni goście, ale nawet jeśli byli, wszyscy musieli siedzieć w swoich pokojach jak mumie, nie wydając żadnych dźwięków.

- Jak panu idzie praca? - zapytał niepewnie recepcjonista, podlewając rośliny w doniczkach.

- Niezbyt dobrze - stwierdziłem.

- Podobno dał pan ogłoszenie w gazecie.

- Tak - powiedziałem. - Szukam kogoś w związku z prawami do dziedziczenia gruntu.

- Dziedziczenia gruntu?



- Tak, spadkobierca przypadł bez wieści.
- Aha. - Zrozumiał recepcjonista. -  
Ciekawa praca.
- Nieszczególnie.
- Ale jakoś kojarzy mi się z *Moby Dickiem*.
- Z *Moby Dickiem*? - zapytałem.
- Szukanie czegoś jest bardzo ciekawe.
- Na przykład mamutów? - zapytała dziewczyna.
- Tak. To dotyczy wszystkiego - odparł recepcjonista.
- Ja nazwałem ten hotel Pod Delfinem z powodu sceny z delfinem w *Moby Dicku* Melville'a.
- Naprawdę? - zdziwiłem się. - Ale w takim razie dlaczego nie nazwał go pan hotel Pod Wielorybem?
- Wieloryb jakoś mi nie pasował do nazwy hotelu
- odparł z żalem.
- Hotel Pod Delfinem to bardzo ładna nazwa - powiedziała dziewczyna.
- Dziękuję bardzo - uśmiechnął się recepcjonista.
- Chciałbym podziękować państwu za taki długi pobyt w hotelu. Myślę, że może pisane nam było się spotkać i chciałbym poczęstować państwa lampką wina.
- Będzie nam bardzo przyjemnie - powiedziała dziewczyna.
- Dziękujemy bardzo - dodałem.
- Zniknął gdzieś w głębi i po chwili wynurzył się z butelką schłodzonego białego wina i trzema kieliszkami.
- Ja właściwie jeszcze jestem w pracy, ale pomyślałem, że tylko tak symbolicznie...
- Ależ prosimy bardzo - powiedzieliśmy.



Napiliśmy się więc wina. Nie było to wysokiej klasy wino, ale smakowało przyjemnie i orzeźwiająco. Kieliszki miały wyrzeźbiony motyw winogron i były bardzo eleganckie.

- Lubi pan *Moby Dick*? - zapytałem.

- Tak i od dzieciństwa chciałem być marynarzem.

- A teraz prowadzi pan hotel? - zapytała dziewczyna.

- To dlatego, że straciłem te palce - powiedział recepcjonista. - Wkręciły się w kołowrót przy rozładunku statku.

- Bardzo mi przykro - powiedziała dziewczyna.

- Zrobiło mi się wtedy ciemno przed oczami. No, ale w życiu nigdy nic nie wiadomo. Przecież dorobiłem się w końcu tego hotelu. Nie jest to specjalnie dobry hotel, ale staram się i jakoś sobie radzę. To już będzie dziesięć lat.

To znaczyło, że on nie jest recepcjonistą, tylko właścicielem.

- Wspaniały hotel - dodała mu otuchy dziewczyna.

- Dziękuję bardzo - powiedział właściciel i dolał nam wina.

- Ale jak na dziesięć lat to, jakby to powiedzieć, ten budynek ma dużo charakteru, prawda? - postanowiłem nagle zapytać.

- Tak, został zbudowany zaraz po wojnie. Z powodu pewnych okoliczności udało mi się tanio go odkupić.

- A co tu było przedtem, zanim powstał hotel?

- Nazywało się to Związkiem Hodowców Owiec Wyspy Hokkaido. Znajdowały się tu różne biura i materiały

dotyczące hodowli owiec...

241

- Owiec? - powtórzyłem.
- Tak, owiec - potwierdził właściciel.

- Budynek należał do Związku Hodowców Owiec Wyspy Hokkaido i tak było do czterdziestego szóstego roku, potem hodowla owiec na wyspie podupadła, no i związek przestał istnieć - powiedział mężczyzna i wypił łyk wina. - W tamtym czasie mój ojciec był akurat prezesem i powiedział, że nie pozwoli, by tak po prostu zamknięto i zlikwidowano związek. Udało mu się odkupić tę parcelę i budynek po stosunkowo niskiej cenie, pod warunkiem że przechowa wszystkie materiały dotyczące owiec. Dlatego jeszcze teraz całe pierwsze piętro jest zawałone materiałami na temat owiec. Mówię „materiały”, ale to jest wszystko stare i chyba nikomu do niczego niepotrzebne, tylko takie hobby starego człowieka. No a resztę przebudowałem na hotel.

- Co za zbieg okoliczności! - powiedziałem.
- Zbieg okoliczności?
- Właśnie człowiek, którego poszukuję, ma związek z owcami. Jedyne mój ślad to zdjęcie owiec, które mi przysłał.

- Taak? - powiedział właściciel. - Jeśli można, to chętnie bym obejrzał.

Wyjąłem z kieszeni notes, z niego zdjęcie i podałem właścicielowi. Przyniósł leżące na ladzie okulary i przyjrzał się uważnie zdjęciu.



- Pamiętam to miejsce - powiedział.  
- Pamięta pan?  
- Tak, bez wątpienia. - Podeszedł do drabiny, która ciągle stała pod lampą, przysunął ją do ściany po przeciwnej stronie, zdjął jakiś wiszący niedaleko sufitu obrazek i zszedł z drabiny. Potem wytarł ścierką kurz z obrazka i podał mi go.  
- Czy to nie jest ten sam widok?  
Ramka była stara, a zdjęcie w środku jeszcze starsze. Zrobiło się całkiem brązowe. Na tym zdjęciu też były owce. Pewnie z szesnaście. Poza tym płot, brzozy i góry. Kształt brzozowego zagajnika był zupełnie inny niż na zdjęciu Szczura, ale góry były rzeczywiście dokładnie takie same. Nawet kompozycja zdjęcia była identyczna.  
- O rany! - powiedziałem do dziewczyny. - Codzienie rano przechodziliśmy obok tego zdjęcia.  
- Przecież ci mówiłam, że musimy zamieszkać w hotelu Pod Delfinem - odparła jak gdyby nigdy nic.  
- A więc - powiedziałem, biorąc głęboki oddech  
- gdzie to jest?  
- Nie wiem - odrzekł właściciel. - To zdjęcie wisi tu w tym samym miejscu od czasów Związku Hodowców Owiec.  
- Ahaa... - powiedziałem.  
- Ale jest sposób, żeby się dowiedzieć.  
- Jaki?  
- Proszę zapytać mojego ojca. Ojciec ma pokój na górze. Praktycznie nigdy nie opuszcza pierwszego piętra

i ciągle studiuje materiały dotyczące owiec.  
Nie widziałem  
go już chyba od dwóch tygodni, ale  
zostawiam pod  
drzwiami posiłki i po pół godzinie znajduję  
puste talerze,  
czyli na pewno żyje.

- Czy pana ojciec będzie znał to miejsce  
na zdjęciu?

- Myślę, że tak. Jak wcześniej mówiłem,  
był prezesem  
Związku Hodowców Owiec i wie wszystko,  
co dotyczy  
owiec. Ludzie nazywają go nawet Owczym  
Profesorem.

- Owczym Profesorem - powtórzyłem.

### 3. Owczy Profesor dużo je i dużo mówi

Z opowieści właściciela hotelu Pod  
Delfinem, syna  
Owczego Profesora, wynikało, że  
dotychczasowe życie  
jego ojca było bardzo nieszczęśliwe.

- Ojciec urodził się w tysiąc dziewięćset  
piątym roku  
w Sendai jako najstarszy syn w starej  
rodzinie samuraj-  
skiej - mówił właściciel. - Będę posługiwał  
się latami  
kalendarza zachodniego\*, jeśli to państwu nie  
przeszkadza.

- Proszę bardzo - powiedziałem.

- Nie byli bardzo bogaci, ale mieli własną  
ziemię i od  
dawna nosili tytuł kasztelanów. Pod koniec  
okresu Edo  
był też w tej rodzinie pewien znany uczonec,  
specjalista  
od rolnictwa.

---

\* W Japonii często zamiast dat według  
kalendarza zachodniego podaje się daty,  
używając  
roku panowania cesarza, od którego bierze  
nazwę dana era

Owczy Profesor od dzieciństwa był wyjątkowo zdolnym uczniem, młodym geniuszem, którego znało całe miasto.

Wyróżniał się nie tylko w nauce, grał również na skrzypcach. Będąc w szkole średniej, wystąpił kiedyś przed rodziną cesarską, która przebywała akurat w okolicy. Zagrał sonatę Beethovena i w nagrodę otrzymał złoty zegarek.

Rodzina miała nadzieję, że będzie studiował prawo i poświęci się tej dziedzinie, ale Owczy Profesor zdecydowanie odmówił.

- Nie interesuje mnie prawo - oznajmił młody Owczy Profesor.

- W takim razie mógłbyś zostać muzykiem - powiedział ojciec. - Może być w rodzinie jeden muzyk.

- Muzyka mnie też nie interesuje - odparł Owczy Profesor.

Zapadła cisza.

- Co w takim razie masz zamiar robić? - zapytał ojciec.

- Interesuje mnie rolnictwo. Chciałbym studiować administrację.

- Dobrze - powiedział ojciec po chwili.

Nie miał innego wyjścia. Owczy Profesor był szczerym i łagodnym młodzieńcem, ale gdy raz coś postanowił, nie można było go od tego odwieść. Nawet ojciec nie miał nic do powiedzenia.

Następnego roku zgodnie ze swoim życzeniem Owczy Profesor wstąpił na Wydział Rolnictwa Cesarskiego Uniwersytetu w Tokio. Jego geniusz nie przygasł nawet na uniwersytecie. Wszyscy, łącznie z profesorami, obserwowali





go z uwagą. Jak i przedtem przodował w nauce i był bardzo lubiany. Należał do uniwersyteckiej elity i nie można mu było nic zarzucić. Nie wdawał się w złe towarzystwo i nie ciągnęły go naganne rozrywki. Gdy miał wolny czas, czytał książki, a gdy go zmęczyły, szedł do ogrodu i grał na skrzypcach. W kieszeni jego uniwersyteckiego munduru zawsze tkwił złoty zegarek.

Gdy skończył studia z wyróżnieniem i został przyjęty do pracy w Ministerstwie Rolnictwa, należał już do superelity. Jego praca dyplomowa była, mówiąc najprościej, kompleksowym planem rozwoju jednolitego rolnictwa na wielkim obszarze Japonii, Korei i Tajwanu. Koncepcja zbyt idealistyczna, ale w owym czasie dużo się o tej pracy mówiło.

Owczycy Profesor przepracował dwa lata w Ministerstwie w Tokio, a potem został wysłany na Półwysep Koreański, by tam studiować uprawę ryżu. Po powrocie przedstawił referat zatytułowany *Szkic planu uprawy ryżu na Półwyspie Koreańskim*. Referat został zaakceptowany do wdrożenia.

W roku 1934 sprowadzono Owczego Profesora z powrotem do Tokio i przedstawiono młodemu oficerowi armii japońskiej. Oficer powiedział, że armia pragnie, aby Owczycy Profesor stworzył samowystarczalny system zaopatrzenia wojska oparty na hodowli owiec, z myślą o planowanej na dużą skalę kampanii w północnej części Chin. Było to

pierwsze spotkanie Owczego Profesora z  
owcami. Przygo-  
tował projekt zintensyfikowania hodowli  
owiec w Japonii,  
Mandżurii i Mongolii, a potem, by zbadać  
sytuację na

miejscu, udał się wiosną następnego roku do Mandżurii.

I tam rozpoczął się jego upadek.

Wiosna trzydziestego piątego roku minęła spokojnie.

Coś zdarzyło się dopiero w lipcu. Owczy Profesor wyjechał sam konno przyjrzeć się stadom i zaginął bez śladu.

Minęły trzy dni, potem cztery, a Owczy Profesor nie

wracał. Armia wysłała grupę poszukiwawczą, która nie-

zmordowanie przeczesywała wielkie tereny, próbując

znaleźć Profesora, ale na próżno. Myślano, że pewnie

rozszarpały go wilki albo porwali bandyci.

Kiedy po

tygodniu wszyscy porzucili już nadzieję, Owczy Profesor

powrócił pewnego wieczoru do obozu bardzo wynisz-

czony. Twarz miał straszliwie wychudłą, ciało poranione,

tylko oczy świeciły mu niezwykłym blaskiem. Nie miał

konia, stracił też złoty zegarek. Powiedział, że zabłądził

i koń się zranił. Ludzie uwierzyli.

Jednak mniej więcej w miesiąc później po minister-

stwie zaczęły krążyć dziwne plotki. Wynikało z nich, że

Profesor „nawiązał z owcami szczególne stosunki”, jednak

nikt nie wiedział, co owe „szczególne stosunki” miałyby

oznaczać. Został więc wezwany do pokoju przełożonego

w celu wyjaśnienia sprawy. W społeczeństwie kolonial-

nym nie można sobie pozwolić na ignorowanie plotek.

- Czy naprawdę nawiązałeś z jakąś owcą szczególne

stosunki? - zapytał przełożony.

- Owszem - odpowiedział Owczy

Profesor.

Rozmowa wyglądała mniej więcej tak, jak  
poniżej.

247

*Pytanie:* Czy szczególne stosunki oznaczają akty seksualne?

*Odpowiedź:* Nie.

*Pytanie:* Chciałbym, żebyś to bliżej wyjaśnił.

*Odpowiedź:* Chodzi o akty duchowe.

*Pytanie:* To nie jest wyjaśnienie.

*Odpowiedź:* Nie umiem tego dobrze wyrazić, ale myślę, że najbliższe będzie „porozumienie duchowe”.

*Pytanie:* Twierdzisz, że między tobą a owcą nastąpiło porozumienie duchowe?

*Odpowiedź:* Tak jest.

*Pytanie:* Twierdzisz, że przez ten tydzień, kiedy cię nie było, zawierałeś porozumienie duchowe z owcą?

*Odpowiedź:* Tak jest.

*Pytanie:* Nie uważasz, że dopuściłeś się zaniedbania obowiązków służbowych?

*Odpowiedź:* Moja praca polega na badaniu owiec.

*Pytanie:* Nie mogę uznać porozumienia duchowego za cel badań. Musisz być w przyszłości ostrożny. Jesteś człowiekiem, który z wyróżnieniem ukończył Wydział Rolnictwa na Cesarskim Uniwersytecie, człowiekiem, który osiągał znakomite wyniki w pracy w Ministerstwie, kimś, kto w przyszłości ma udźwignąć ciężar polityki rolnej we wschodniej Azji. Musisz o tym pamiętać.

*Odpowiedź:* Rozumiem.

*Pytanie:* Zapomnij o porozumieniu duchowym. Owce to tylko zwierzęta hodowlane.

*Odpowiedź:* Nie mogę zapomnieć.

*Pytanie:* Proszę o wyjaśnienie.

*Odpowiedź:* Owca znajduje się we mnie.

*Pytanie:* To nie jest wyjaśnienie.

*Odpowiedź:* Nie mogę nic więcej wyjaśnić.

W lutym trzydziestego piątego roku Owczy Profesor został odwołany do Tokio. Wielokrotnie zadawano mu te same pytania i w końcu przeniesiono go do działu dokumentacji ministerstwa. Jego praca polegała na sporządzaniu spisów i porządkowaniu dokumentów na półkach. Został w ten sposób odsunięty od realizacji planu polityki rolnej w Azji Wschodniej.

- Owca opuściła mnie - powiedział wtedy Owczy Profesor zaufanemu przyjacielowi - choć dawniej żyła w moim ciele.

W 1937 Owczy Profesor zrezygnował z pracy w ministerstwie, ale dzięki planowi intensyfikacji hodowli i zwiększenia pogłowia owiec w Japonii, Mongolii i Mandżurii do trzech milionów, za który kiedyś był odpowiedzialny, udało mu się otrzymać pożyczkę. Pojechał na Hokkaido i zaczął hodować owce. Miał ich 56.

1939 - Owczy Profesor żeni się. 128 owiec.

1942 - Rodzi się syn (obecny właściciel hotelu Pod Delfinem). 181 owiec.

1946 - Pastwiska Owczego Profesora zostają zarekwirowane przez armię amerykańską jako teren na ćwiczenia wojskowe. 62 owce.

1947 - Owczy Profesor zostaje  
pracownikiem Związku

Hodowców Owiec Wyspy Hokkaido.

1949- Żona Owczego Profesora umiera na  
gruźlicę.

1950- Owczy Profesor zostaje Prezesem  
Związku

Hodowców Owiec.

1960 - Syn Profesora traci palce w porcie  
Otaru.

1967- Likwidacja Związku Hodowców  
Owiec.

1968- Otwarcie hotelu Pod Delfinem.

1978 - Miody pośrednik handlu  
nieruchomościami  
pyta o zdjęcie owiec (chodzi o mnie).

- O rany! - powiedziałem.

- Bardzo chciałbym się zobaczyć z pana  
ojcem - po-  
wiedziałem.

- Może się pan zobaczyć, ale ponieważ  
ojciec mnie  
nie lubi, czy nie zechciałby pan pójść do  
niego sam?

- zapytał syn Owczego Profesora.

- Nie lubi pana?

- Dlatego, że nie tylko straciłem dwa palce,  
ale jeszcze  
do tego wyłysiałem.

- Aha - powiedziałem. - Pana ojciec jest,  
zdaje się,  
dość dziwnym człowiekiem.

- Jestem jego synem, ale uważam, że  
niewątpliwie  
jest bardzo dziwny. Od czasu, jak się  
zadał z owcą,  
zupełnie się zmienił. Jest bardzo trudny,  
czasem nawet  
okrutny. Ale w głębi serca to dobry  
człowiek. Jak się  
posłucha jego gry na skrzypcach, zaraz  
można poznać. Ta

owca go skrzywdziła. I poprzez ojca skrzywdziła także i mnie.

- Kocha pan ojca, prawda? - powiedziała dziewczyna.

- Tak, kocham go - odparł właściciel hotelu Pod Delfinem. - Ale ojciec mnie nie lubi. Nigdy w życiu mnie nie przytulił. Nigdy miło się do mnie nie odezwał. A od czasu jak straciłem palce i wyłysiałem, bez przerwy mi dokucza.

- Na pewno nie robi tego umyślnie - powiedziała dziewczyna pocieszająco.

- Ja też tak myślę - dorzuciłem.

- Dziękuję bardzo - powiedział właściciel.

- Czy mamy tak po prostu iść do pana ojca i on się zgodzi z nami porozmawiać? - zapytałem.

- Nie wiem - odparł właściciel. - Ale myślę, że jeśli będą państwo pamiętali o dwóch rzeczach, to się pewnie zgodzi. Po pierwsze, proszę wyraźnie powiedzieć, że mają państwo pytanie dotyczące owiec.

- A po drugie?

- Proszę nie mówić, że to ja państwa przysłałem.

- Rozumiem.

Podziękowaliśmy synowi Owczego Profesora i weszliśmy po schodach na górę. Panował tam chłód i pachniało wilgocią. Światło było słabe, a w kątach korytarza pełno kurzu. Powietrze wypełniał zapach papieru i ludzkiego ciała. Kierując się wskazówkami właściciela, doszliśmy do końca korytarza i zapukaliśmy do odrapanych



drzwi. Na drzwiach wisiała stara plastikowa tabliczka z napisem „Gabinet prezesa”. Nie było odpowiedzi.

Zapukałem jeszcze raz. Nadal cisza. Gdy zapukałem

trzeci raz, ze środka dobiegł jęk.

- Cicho! - zawołał męski głos. - Cicho!

- Chcielibyśmy porozmawiać o owcy.

- Idźcie do cholery! - ryknął Owczy

Profesor. Jak na

siedemdziesięcioletka miał bardzo silny głos.

- Koniecznie musimy się z panem

zobaczyć - krzyk-

nałem przez drzwi.

- Kretyn! Nie mam nic do powiedzenia

o żadnej

owcy! - zawołał Owczy Profesor.

- Jednak powinien pan z nami

porozmawiać - po-

wiedziałem. - O owcy, która zniknęła w

trzydziestym

szóstym.

Przez chwilę panowała cisza, a potem gwałtownie

otworzyły się drzwi. Przed nami stał Owczy Profesor.

Włosy Owczego Profesora były długie i białe jak śnieg.

Brwi też były białe i zwisały nad oczami jak sopte. Miał

około metra sześćdziesiąt pięć wzrostu i trzymał się

bardzo prosto. Był mocno zbudowany, a jego nos przeci-

nał twarz prostą linią i wyzywająco wysuwał się do

przodu jak skocznia narciarska.

Pokój wypełniał zapach niemytego ciała.

Właściwie

nie był to nawet zapach ciała. W pewnym momencie taki

zapach przestaje już być zapachem ciała i stapia się

harmonijnie z czasem i światłem. Był to duży pokój,



ściśle wypełniony papierami i książkami, tak że prawie nie widać było podłogi. Większość książek stanowiły naukowe dzieła w obcych językach, wszystkie bardzo poplamione. Przy ścianie po prawej znajdowało się straszliwie brudne łóżko, przy oknie naprzeciw stało wielkie mahoniowe biurko i obrotowe krzesło. Na biurku panował względny porządek, a na papierach spoczywał przycisk w kształcie owcy. W pokoju panował półmrok i tylko stojąca na biurku zakurzona lampa oświetlała je mocą sześćdziesięciu watów.

Owcy Profesor ubrany był w szarą koszulę, czarny zapinany sweter i praktycznie bezkształtne spodnie w jodełkę. Szara koszula i czarny sweter z powodu słabego oświetlenia wyglądały jak biała koszula i szary sweter. Może kiedyś naprawdę takie były.

Owcy Profesor usiadł na krześle przy biurku i wskazał palcem łóżko, na którym my mieliśmy usiąść. Dotarliśmy do łóżka, stąpając między książkami jak po polu minowym. Łóżko było tak brudne, że zastanawiałem się, czy moje levisy już na zawsze przykleją się do pościeli. Owcy Profesor splótł dłonie na biurku i uważnie nam się przypatrywał. Palce miał porośnięte czarnymi włosami. Te czarne włosy na palcach stanowiły dziwny kontrast z oślepiającą bielą włosów i brwi.

Podniósł słuchawkę telefonu.

- Przynieś mi kolację, szybko! -  
wrzasnął. - A więc  
- powiedział - przyszliście porozmawiać o owcy, która

zniknęła w trzydziestym szóstym.  
- Tak - odpowiedziałem.

- No, no - mruknął. Potem głośno wytarł nos w linie. - Chcecie mi coś powiedzieć? Czy o coś zapytać?

- Jedno i drugie.

- To najpierw mówcie.

- Wiemy, co stało się z owcą, która opuściła pana wiosną trzydziestego szóstego roku.

- Też coś! - parsknął Owczy Profesor. - To ja wyrzekłem się wszystkiego i od czterdziestu dwóch lat próbuję tylko tego się dowiedzieć, a wy mi mówicie, że wy to po prostu wiecie?

- Wiemy.

- Może mnie nabieracie.

Wyjąłem z kieszeni srebrną zapalniczkę z herbem owcy oraz zdjęcie od Szczura i położyłem na biurku.

Profesor wyciągnął porośniętą włosami rękę, wziął zdjęcie i zapalniczkę i długo im się przyglądał w świetle lampy.

Cząsteczki ciszy powoli wypełniły pokój. Grube, podwójne okna nie dopuszczały żadnych dźwięków z ulicy i tylko pykanie starej lampy było doskonale słyszalne.

Profesor skończył badanie zdjęcia i zapalniczki, z pstryknięciem zgasił lampę, a potem potarł powieki grubymi palcami. Wyglądało to tak, jakby próbował wepchnąć gałki oczne do środka czaszki. Kiedy opuścił dłonie, miał oczy czerwone jak królik.

- Przepraszam - powiedział Owczy

Profesor. - Byłem cały czas otoczony kretynami i przestałem ufać ludziom.

- Nie szkodzi - powiedziałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie.



- Czy potrafisz sobie wyobrazić stan, w którym pozostała tylko myśl, a odebrany został całkowicie sposób jej wyrażenia? - zapytał Owczy Profesor.

- Nie wiem - powiedziałem.

- To piekło. Piekło, w którym wirują same myśli. Dno piekła, do którego nie dochodzi żaden promyk światła, w którym nie ma ani kropli wody. Takie właśnie było moje życie przez ostatnie czterdzieści dwa lata.

- To z powodu owcy, prawda?

- Tak, z powodu owcy. Owca pozostawiła mnie w takim stanie samemu sobie. To było wiosną trzydziestego szóstego roku.

- I odszedł pan z ministerstwa, by móc szukać owcy?

- Wszyscy urzędnicy to głupcy. Nie rozumieją wartości prawdy. Nigdy nie zrozumieją znaczenia tej owcy.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Przyniosłam kolację - powiedział kobiecy głos.

- Zostaw pod drzwiami - krzyknął Owczy Profesor.

Słychać było odgłos tacy stawianej na podłodze, a potem oddalające się kroki. Dziewczyna otworzyła drzwi i podała tacę Owczemu Profesorowi. Na tacy była zupa, sałatka, bułeczka i pulpety mięsne dla Profesora oraz dwie filiżanki kawy dla nas.

- Jedliście kolację? - zapytał Owczy Profesor.

- Tak, jesteśmy po kolacji - odparliśmy.

- Coście jedli?

- Cielęcinę duszoną w winie - odpowiedziałem.

- Pieczone krewetki - odpowiedziała ona.





- Oo! - jęknął Profesor. Potem zaczął jeść zupę, chrupiąc grzanki. - Przepraszam, ale będę mówił, jedząc. Jestem głodny.

- Ależ prosimy! - odpowiedzieliśmy.

Profesor jadł zupę, a my popijaliśmy kawę. Profesor jadł, nie odrywając oczu od talerza.

- Czy pan zna to miejsce na zdjęciu? - zapytałem.

- Znam. Bardzo dobrze znam.

- Powie nam pan, gdzie to jest?

- Zaraz, zaraz, poczekajcie - powiedział

Owczym Profesorem.

Odsunął pusty talerz po zupie. - Na wszystko

przyjdzie czas. Najpierw porozmawiajmy o trzydziestym

szóstym. Ja będę mówił pierwszy, potem ty.

Skinąłem głową.

- Postaram się to wytłumaczyć jak najprościej - powiedział

Owczym Profesorem. - Owca weszła w moje ciało

latem trzydziestego piątego roku.

Zabłądziłem w trakcie

przeglądu pastwisk gdzieś niedaleko granicy mandżur-

sko-mongolskiej i spędziłem noc w jakiejś jamie, która

akurat się trafiła. Przyśniła mi się owca,

która zapytała,

czy może wejść w moje ciało. Proszę bardzo, powiedziałem.

Wtedy nie myślałem, że to miało jakiegokolwiek

znaczenie. Wiedziałem też, że to przecież tylko sen.

- Staruszek zachichotał i zaczął jeść sałatkę. - Była to

owca rasy, jakiej nigdy wcześniej nie

widziałem. Z powodu

swojej pracy znałem rasy owiec z całego świata, ale ta

była zupełnie inna. Jej rogi były wygięte pod dziwnym

kątem, nogi miała grube, a oczy

przezroczyście jak źród-



łana woda. Wełnę miała białą, a na grzbiecie brązową łatę w kształcie gwiazdy. Nigdzie na świecie nie ma takich owiec. Dlatego właśnie powiedziałem jej, że może wejść w moje ciało. Jako naukowiec nie chciałem przepiąć owcy nieznaney rasy.

- Jakie to uczucie, kiedy owca wchodzi w człowieka?

- Nic specjalnego. Po prostu wie się, że w środku jest owca. Człowiek budzi się rano i wie, że ma w sobie owcę.

To bardzo naturalne uczucie.

- Czy zdarzały się panu bóle głowy?

- Ani razu od urodzenia.

Owczy Profesor starannie polał pulpety sosem, włożył jednego do ust i zaczął mówić, żując.

- W północnych Chinach i Mongolii to, że ma się w sobie owcę, nie jest niczym zadziwiającym.

Oni uważają posiadanie takiej owcy za znak łaski bożej.

Na przykład

w jednej z ksiąg wydanych w czasach dynastii Juan

napisano, że Dżyngis-chan miał w sobie „białą owcę

z gwiazdą na plecach". Ciekawe, prawda?

- Ciekawe.

- Uważa się, że owce, które mogą wejść w ciało człowieka, są nieśmiertelne. I ludzie noszący w sobie owcę też są nieśmiertelni. Ale jeśli owca ucieknie,

człowiek traci nieśmiertelność. Wszystko zależy od owcy.

Jak jej się gdzieś spodoba, to zostaje tam nawet kilka-

dziesiąt lat, a jak jej się nie podoba, to siup! i już jej nie

ma. Ludzie, od których uciekła owca, są popularnie

nazywani „bezowczymi". To znaczy tacy ludzie jak ja.



Mlask, mlask.

- Od czasu, jak weszła we mnie owca,  
zacząłem  
studiować folklor i legendy dotyczące owiec.  
Rozmawia-  
łem z tamtejszymi ludźmi i czytałem stare  
księgi. Szybko  
rozeszły się plotki, że i ja muszę nosić w  
sobie owcę,  
i plotki te dotarły aż do mojego  
przełożonego. Jemu się  
to nie podobało i zostałem wysłany z  
powrotem do  
Japonii z diagnozą „rozstroju  
nerwowego”. Że niby  
cierpiałem na typowy syndrom kolonialny.

Po uporaniu się z trzema pulpetami  
Owczy Profesor  
zabrał się do bułeczki. Nawet nam,  
patrzącym z boku,  
serce się radowało na widok jego apetytu.

- Głupota współczesnej Japonii bierze  
się stąd, że  
niczego się nie nauczyliśmy od innych ludów  
azjatyckich.  
Tak jest też w wypadku owiec. Hodowla  
owiec w Japonii  
podupadła dlatego, że patrzono na nią  
jedynie z punktu  
widzenia surowców, wełny i mięsa. Brak  
jest myśli na  
poziomie życiowym. Próbuje się tylko  
efektywnie wycią-  
gać wnioski, nie biorąc pod uwagę czynnika  
czasu. To  
dotyczy wszystkich dziedzin. Po prostu nie  
stoimy mocno  
na ziemi. Nic więc dziwnego, że  
przegraliśmy wojnę.

- Ta owca przyjechała z panem do  
Japonii, prawda?

- próbowałem wrócić do tematu.

- Tak - powiedział Owczy Profesor. -  
Wróciliśmy  
razem statkiem z Pusanu.

- Jaki był właściwie cel owcy?

- Nie wiem - powiedział Owczy  
Profesor, jakby

wypluwając te słowa. - Nie wiem. Owca

mi tego nie

258

powiedziała. Ale musiała mieć jakiś wielki cel, tyle udało mi się zrozumieć. Jakiś wielki plan, który mógł mieć na celu zmianę ludzi i ich świata.

- I to próbowała zrobić ta jedna owca?

Owczy Profesor skinął głową, włożył do ust ostatni kęs bułeczki i otrzepał ręce.

- Nie ma się co dziwić. Przypomnij sobie, czego dokonał Dzyngis-chan.

- Też prawda - powiedziałem. - Ale dlaczego po tylu latach owca wybrała akurat Japonię?

- Ja ją prawdopodobnie obudziłem. Pewnie spała w tej jamie przez kilkaset lat. I tę owcę ja, akurat ja musiałem obudzić.

- To nie pana wina - powiedziałem.

- Nie - odparł Owczy Profesor - to moja wina. Powinienem się był szybciej zorientować. W takim wypadku ja też miałbym coś do powiedzenia. Ale minęło dużo czasu, zanim się zorientowałem i poza tym owcy już wtedy nie było.

Owczy Profesor zamilkł i potarł palcem biały sopel brwi. Wyglądało na to, że ciężar tych czterdziestu dwóch lat powoli docierał do najdalszych zakątków jego ciała.

- Pewnego ranka obudziłem się i owcy nie było. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy być „bezowczym”. To piekło. Owca pozostawia ci tylko myśl. Ale bez owcy nie można tej myśli wyrazić. To jest właśnie „bezowczość”.

Owczy Profesor jeszcze raz wytarł nos w ligninę.

- No, teraz kolej na twoją opowieść.

Opowiedziałem, co stało się po tym, jak owca opuściła Owczego Profesora. O tym, jak weszła w ciało młodego prawnicowca przebywającego w więzieniu. O tym, jak on zaraz po wyjściu z więzienia stał się bardzo wpływowym człowiekiem prawicy. O tym, jak potem pojechał do Chin i tam stworzył siatkę informacyjną i dorobił się majątku. O tym, że po wojnie był uwięziony jako zbrodniarz wojenny klasy A, ale został wypuszczony na wolność w zamian za informacje o siatce szpiegowskiej stworzonej przez niego w Chinach. O tym, jak wykorzystując pieniądze, których się tam dorobił, zorganizował po wojnie zakulisowe centrum sterowania polityką, gospodarką i informacją. I tak dalej.

- Słyszałem o nim - powiedział Owczy Profesor z goryczą. - Wygląda na to, że owca znalazła sobie odpowiedniego człowieka.

- Ale wiosną tego roku go opuściła. Jest teraz nieprzytomny i umierający. Przedtem owca nie dopuszczała, by rozwinęła się jego choroba mózgu.

- Miał szczęście. Człowiekowi „bezowczemu” dużo łatwiej, gdy jest nieprzytomny.

- Dlaczego owca odeszła od niego, mimo że przez długie lata budowała taką wielką organizację?

Owczy Profesor głęboko westchnął.





- Ciągłe jeszcze nie rozumiesz? W jego przypadku było tak samo jak w moim. Przestał być potrzebny. Ludzkie możliwości są ograniczone, a owcy niepotrzebni są ci, którzy dotarli do granic swoich możliwości. Prawdopodobnie nie był jednak w stanie w pełni zrozumieć, czego oczekiwała od niego owca. Jego zadaniem było stworzenie wielkiej organizacji, a kiedy wykonał to zadanie, został porzucony. Tak samo jak mnie wykorzystano jedynie jako środek transportu.

- To co potem stało się z owcą?

Owczy Profesor podniósł ze stołu zdjęcie owiec i postukał w nie palcem.

- Wędrowała po całej Japonii, szukając nowego gospodarza. Prawdopodobnie ma zamiar postawić tego człowieka na czele organizacji.

- Jaki jest cel owcy?

- Tak jak przed chwilą powiedziałem, niestety nie mogę wyrazić tego słowami. Mogę tylko stwierdzić, że chodzi o realizację owczej idei.

- Czy to jest idea dobra?

- W kategoriach owczych idei na pewno jest dobrem.

- A pana zdaniem?

- Nie wiem - powiedział starzec. -

Naprawdę nie wiem. Od czasu kiedy owca odeszła, nie wiem nawet, gdzie kończę się ja, a gdzie zaczyna się cień owcy.

- Wspomniał pan przed chwilą, że być może miałby pan szansę wygrać z owcą. Co pan miał na myśli?

Owczy Profesor pokręcił głową.



- Nie mam zamiaru ci tego powiedzieć.  
W pokoju ponownie zaległo milczenie.  
Za oknem  
zaczął padać ulewny deszcz. Był to pierwszy  
deszcz od  
naszego przyjazdu do Sapporo.  
- Proszę nam na koniec powiedzieć, gdzie  
się znajduje  
to miejsce ze zdjęcia - poprosiłem.  
- To jest farma, na której mieszkałem  
przez dziewięć  
lat. Hodowałem tam owce. Zaraz po  
wojnie została  
zarekwirowana przez armię amerykańską, a  
kiedy mi ją  
zwrócono, sprzedałem dom razem z  
pastwiskiem jako  
działkę lotniskową jakiemuś bogaczowi.  
Myślę, że jeszcze  
ciągle należy do niego.  
- Czy nadal są tam hodowane owce?  
- Nie wiem. Ale z tego zdjęcia  
wynikałoby, że chyba  
nadal są hodowane. W każdym razie jest to  
oddalone  
miejsce i jak okiem sięgnąć, nie ma  
innych domów.  
W zimie farma jest odcięta od świata.  
Właściciel korzysta  
z niej pewnie tylko dwa, trzy miesiące w  
roku. Chociaż  
jest tam cicho i przyjemnie.  
- A czy ktoś to nadzoruje pod nieobecność  
właściciela?  
- Zimą pewnie nikogo tam nie ma. Z  
wyjątkiem mnie  
nikt chyba nie chciałby spędzić tam zimy.  
Opiekę nad  
owcami można za opłatą zlecić miejskiej  
owczarni w mia-  
steczku na dole. Dach jest tak zbudowany,  
że śnieg nie  
gromadzi się i spada na ziemię, nie trzeba też  
obawiać się  
kradzieży. Jeśli nawet ktoś by stamtąd coś  
ukradł, miałby  
wielki kłopot z przetransportowaniem tego z  
górnego na dół.  
Tam spada strasznie dużo śniegu.



- A czy teraz ktoś tam jest?
- Czy ja wiem? Pewnie już nikogo nie ma.

Niedługo

zacznie padać śnieg, niedźwiedzie też wędrują w poszukiwaniu pożywienia przed zapadnięciem w sen zimowy... Wybierasz się tam?

- Myślę, że pewnie będę musiał tam pojechać. Nie mam prócz tego innego śladu.

Owczy Profesor przez chwilę się nie odzywał. W kąciku ust miał resztkę sosu pomidorowego z pulpetów.

- Prawdę mówiąc, przed wami był tu jeszcze jeden człowiek, który pytał o to miejsce. Chyba w lutym tego roku. Był chyba mniej więcej w tym samym wieku co ty. Podobno zobaczył zdjęcie w holu na dole i ono go zainteresowało. Akurat mi się wtedy nudziło, więc powiedziałem mu różne rzeczy. Mówił, że zbiera materiały do książki.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie przedstawiające mnie ze Szczurem i podałem Owczemu Profesorowi. Zdjęcie zrobił Jay w Jay's Bar latem siedemdziesiątego roku. Ja paliłem papierosa i patrzyłem w bok, a Szczur spoglądał w obiektyw i trzymał uniesiony do góry kciuk. Obaj byliśmy młodzi i mocno opaleni.

- Ten to ty - powiedział Owczy Profesor, zapaliwszy lampę na biurku i przyglądając się zdjęciu.  
- Młodszy niż teraz.

- To zdjęcie sprzed ośmiu lat - powiedziałem.

- Ten drugi to chyba ten mężczyzna.

Był trochę starszy i miał wąsy, ale to prawie na pewno

on.

- Wąsy?  
- Tak, wyraźne wąsy i reszta twarzy niedogolona.  
Próbowałem sobie wyobrazić Szczura z wąsami, ale miałem trudności.

Owczy Profesor narysował nam dokładną mapę okolic farmy. Trzeba się było przesiąść w lokalny pociąg niedaleko Asahikawy i o trzy godziny drogi stamtąd u podnóża gór znajdowało się miasteczko. Farmę od miasteczka oddzielały kolejne trzy godziny jazdy samochodem.

- Dziękujemy panu za wszystko - powiedziałem.

- Szczerze mówiąc, to sędzę, że lepiej nie zadawać się z tą owcą. Ja jestem tego dobrym przykładem. Nie ma nikogo, kto byłby szczęśliwy po spotkaniu z nią, dlatego że w obliczu tej owcy system ludzkich wartości traci swoje znaczenie. No ale ty pewnie masz jakieś swoje powody.

- Tak właśnie jest.

- Uważaj na siebie - powiedział Owczy Profesor.

- I wystaw, proszę, te naczynia za drzwi.

#### 4. Pożegnanie z hotelem Pod Delfinem

Poświęciliśmy cały dzień na przygotowania do drogi. W sklepie sportowym kupiliśmy sprzęt do wspinaczki wysokogórskiej i specjalnie paczkowaną żywność. W domu towarowym grube rybackie swetry i wełniane skar-



pety. W księgarni nabyliśmy mapę tamtych okolic w skali

1:50000 i książkę o ich historii. Kupiliśmy też specjalne

mocne, podbite metalem buty do chodzenia po śniegu

oraz grubą bieliznę, chroniącą od chłodu.

- Ten rodzaj bielizny nie nadaje się do mojej pracy

- powiedziała dziewczyna.

- Jak się znajdziemy w śniegu, to nie będziesz nawet

miała czasu myśleć o takich rzeczach - odparłem.

' - Chcesz tam zostać aż do nadejścia śniegów?

- Nie wiem, ale pod koniec października zaczyna już

padać i lepiej się przygotować. Nie wiadomo, co się może

zdarzyć.

Wróciliśmy do hotelu, włożyliśmy nasze zakupy do

wielkiego plecaka, a niepotrzebne już rzeczy przywiezione

z Tokio zapakowaliśmy razem i oddaliśmy na prze-

chowanie właścicielowi hotelu Pod Delfinem. W rzeczy-

wistości prawie wszystko, co było w jej torbie, okazało

się niepotrzebne. Zestaw kosmetyków, pięć książek, sześć

taśm magnetofonowych, sukienka i pantofle na wysokich

obcasach, papierowa torba pełna rajstop i bielizny,

podkoszulki i szorty, budzik podróżny, szkicownik i 24

kolorowe kredki, papeteria, ręcznik kąpielowy, podręczna

apteczka, suszarka do włosów, owijane wata patyczki do

czyszczenia uszu.

- Po co przywiozłaś sukienkę i pantofle na obcasach?

- zapytałem.

- A w co bym się ubrała, gdyby było jakieś przyjęcie?

- rzekła.

- Skąd u licha miałyby być przyjęcie? -  
zapytałem.

Ale w końcu i tak zwinęła porządnie  
sukienkę i wcis-  
nęła ją razem z butami na obcasach do  
mojego plecaka.

Kosmetyki wymieniła na mały zestaw  
podróżny, kupiony  
w pobliskiej drogerii.

Właściciel chętnie zgodził się przechować  
nasze bagaże.

Opłaciłem pobyt do następnego dnia i  
powiedziałem, że  
wrócimy za jakiś tydzień lub dwa.

- Czy ojciec przydał się państwu do  
czegoś? - zapytał  
właściciel lekko zaniepokojony.

Powiedziałem mu, że ojciec bardzo się  
nam przydał.

- Ja też czasem myślę, że powinienem  
czegoś poszukać

- powiedział właściciel. - Ale nie wiem,  
czego właściwie  
miałbym szukać. Mój ojciec jest człowiekiem,  
który zawsze  
czegoś szukał. Nadal czegoś szuka. Od  
dzieciństwa słysza-  
łem opowieści o białej owcy, która zjawiała się  
ojcu we śnie  
i dlatego zawsze myślałem, że życie  
właśnie na tym  
polega. Myślałem, że prawdziwe życie polega  
na ciągłym  
poszukiwaniu.

W holu hotelu Pod Delfinem było jak  
zwykle cicho.

Stara pokojówka wchodziła i schodziła po  
schodach,  
myjąc je mopem.

- Ale ojciec ma już siedemdziesiąt trzy  
lata i ciągle  
jeszcze nie znalazł tej owcy. Ja nawet nie  
wiem, czy ona  
naprawdę istnieje. Myślę, że jego życie nie  
było zbyt  
szczęśliwe. Chciałbym, żeby ojciec  
przynajmniej teraz był  
szczęśliwy, ale on tylko mnie wyśmiewa i nie  
słucha. To

dlatego, że moje życie nie ma żadnego  
określonego celu.

266

- Ale ma pan przecież hotel Pod Delfinem - powie-  
działa dziewczyna łagodnie.  
- Poza tym myślę, że poszukiwanie owcy  
też wkro-  
czyło w nową fazę - dodałem. - Myśmy  
się podjęli  
dalszych poszukiwań.  
Twarz właściciela rozjaśniła się  
uśmiechem.  
- Och, jeśli tak, to już nic nie mówię.  
Teraz powinno  
nam się udać żyć razem szczęśliwie.  
- Życzę panu, żeby tak się stało.

- Czy ci dwaj naprawdę będą teraz  
szczęśliwi? - za-  
pytała mnie później, gdy byliśmy już sami.  
- Myślę, że zabierze to trochę czasu, ale  
wszystko  
będzie w porządku. Przecież ta pustka  
czterdziestu dwóch  
lat została w końcu wypełniona. Zadanie  
Owczego  
Profesora zostało wykonane. Teraz tylko  
my musimy  
znaleźć owcę.  
- Bardzo polubiłam i ojca, i syna.  
- Ja też ich polubiłem.

Gdy skończyliśmy pakowanie, odbyliśmy  
stosunek  
płciowy, a potem poszliśmy do miasta  
obejrzeć film. Na  
filmie mężczyźni i kobiety tak samo jak my  
odbywali  
stosunki płciowe. Wydawało mi się, że  
przyglądanie się  
stosunkom płciowym innych ludzi też wcale  
nie było złe.

Rozdział ósmy  
**Przygoda z owcą**  
**(III)**



## 1. Narodziny, rozkwit i upadek Dwunastu Wodo- spadów

Siedząc w porannym pociągu zdążającym do Asahikawy, popijałem piwo i czytałem grubą książeczkę pod tytułem *Historia Dwunastu Wodospadów*. Dwanaście Wodospadów to miasteczko, w którego pobliżu znajdowała się farma Owczego Profesora. Pewnie do niczego mi się ta lektura nie przyda, ale nie może zaszkodzić. W książce napisano, że autor urodził się w Dwunastu Wodospadach w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym. Od czasu ukończenia studiów na wydziale literatury na Uniwersytecie Hokkaido aktywnie działa jako historyk stron rodzinnych. Jak na aktywne działanie ta jedna książka to nie za dużo. Wydana została w roku siedemdziesiątym, pierwsza i pewnie jedyna edycja.

Według autora pierwsi osadnicy przybyli w okolice Dwunastu Wodospadów w początkach lata roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego. Było ich osiemnaścioro. Wszyscy byli biednymi chłopami z okolic cieśniny Tsugaru, a ich cały majątek składał się z kilku narzędzi rolniczych, ubrań, koców, żelaznych kociołków i noży.

Po drodze trafili do wioski ajnuskiej\* niedaleko Saporo i wysupłali swoje ostatnie grosiki na wynajęcie

---

Ainu, Ajnowie - rdzenni mieszkańcy wyspy



Hokkaido

271

młodego chłopca jako przewodnika. Chłopiec był szczupły, ciemnooki, a jego imię w języku Ajnów oznaczało „zmienny jak księżyc”. (Autor wysuwa przypuszczenie, że być może chłopiec ów miał skłonność do depresji).

Jednak jako przewodnik okazał się dużo bystrzejszy, niż wskazywał na to jego wygląd. Prawie zupełnie nie znając ich języka, prowadził tych straszliwie nieufnych i ponurych wieśniaków na północ wzdłuż rzeki Ishikari.

Dobrze wiedział, gdzie trzeba szukać żyznej ziemi.

Czwartego dnia dotarli na miejsce. Teren był rozległy, dobrze nawodniony i dookoła kwitły piękne kwiaty.

- Tu będzie dobrze - powiedział chłopiec z dumą.
- Mało dzikich zwierząt, żyzna ziemia i są łososie.
- Nie - pokręcił głową przewodnik wieśniaków.
- Chcemy iść dalej.

Chłopiec pomyślał, że pewnie wieśniacy spodziewają się znaleźć jeszcze lepsze miejsce bardziej na północ.

- Dobrze, więc idźmy dalej.

Szli ku północy przez następne dwa dni. Dotarli do płaskowyżu, który nie był tak żyzny jak poprzednie miejsce, ale za to wody było tam w bród.

- No jak? - zapytał chłopiec. - Tutaj też nie jest źle. Jak myślicie?

Wieśniacy pokręcili przecząco głowami. To samo powtórzyło się jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu dotarli do miejsca, gdzie dziś znajduje się Asahikawa. Jest to siedem dni drogi z Sapporo, podróż około

stuczterdzies-  
tokilometrowa.

272

- A tu jak? - zapytał chłopiec bez większej nadziei.  
- Nie - odparli wieśniacy.  
- Ale dalej już są góry - powiedział chłopiec.  
- Nie szkodzi - rzekli uszczęśliwieni wieśniacy.  
I tak przekroczyli przełęcz Shiogari.

Wieśniacy mieli naturalnie swoje powody, by unikać żyznych równin i iść w głąb łądu, szukając niezasydlonych terenów. Pewnej nocy wszyscy opuścili chyłkiem wioskę rodzinną, pozostawiając za sobą wielkie, niespłacone długi. Dlatego musieli unikać nizin, na których łatwo można by ich odnaleźć.

Oczywiście ajnuski chłopiec nic o tym nie wiedział. I widząc tych chłopów uciekających od żyznej ziemi i prących dalej i dalej na północ, najpierw się dziwił, potem martwił, później poczuł zdezorientowany, przeraził się, aż w końcu zupełnie stracił pewność siebie.

Lecz podobno miał bardzo złożony charakter i gdy docierali do przełęczy Shiogari, pogodził się już całkowicie z tym, że niezrozumiały wyrok losu kazał mu prowadzić tych wieśniaków coraz dalej i dalej. Wybierał więc najbardziej niedostępne szlaki i niebezpieczne moczary, co bardzo radowało wieśniaków.

Po pokonaniu przełęczy szli jeszcze cztery dni na północ, aż dotarli do rzeki płynącej ze wschodu na zachód. Po naradzie zdecydowali się skierować na wschód.

Była to straszna okolica i straszna droga. Przedzierali

się przez morze bambusowej trawy, pół  
dnia szli przez

273

łąkę porośniętą trawą, która wyrastała ponad ich głowy, przez bagna, w których tonęli po pas w błocie, czasem wdrapywali się po skałach i tak posuwali się ku wschodowi. Nocami rozbijali nad rzeką namioty i zasypiali, słuchając wycia wilków. Ręce mieli poranione od bambusowej trawy, a muszki i komary oblepiły ich ciała i ssaly krew, włączając nawet do uszu. Po pięciu dniach drogę zagrodziły im góry. Dotarli do miejsca, z którego nie było już dokąd iść.

- Dalej już ludzie naprawdę nie mogą mieszkać - oświadczył chłopiec.

Usłyszawszy to, wieśniacy postanowili wreszcie zakończyć swoją wędrówkę. Było to ósmego lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku w miejscu oddalonym o dwieście sześćdziesiąt kilometrów od Sapporo.

Wieśniacy najpierw zbadali teren, sprawdzili jakość wody, jakość gleby i stwierdzili, że miejsce całkiem nieźle nadaje się do uprawy roli. Potem podzielili ziemię między siebie i w środku postawili wspólną chatę z drewnianych bali.

Chłopiec natknął się na polującą w pobliżu grupę Ajnów i zapytał ich, jak się to miejsce nazywa.

- Takie zadupie na końcu świata nie ma żadnej nazwy - odrzekli.

Dlatego też nowa osada jeszcze przez pewien czas nie miała nazwy. Oddalona o sześćdziesiąt kilometrów od najbliższych osiedli ludzkich (a nawet jeśli

ktoś bliżej  
mieszkał, to najwyraźniej nie życzył  
sobie żadnych

274

kontaktów) nie potrzebowała nazwy. W roku osiemdziesiątym ósmym przybył urzędnik z Urzędu Okręgowego, zrobił spis wszystkich osadników i nalegał, że osada powinna mieć nazwę. Jednak osadnikom brak nazwy zupełnie nie przeszkadzał. Zebrali się więc z sierpami i motykami we wspólnej chacie i uchwalili, że nie nadadzą osadzie imienia. Cóż miał robić biedny urzędnik? Ponieważ rzeka płynąca przez osadę tworzyła dwanaście małych wodospadów, nazwał osadę „Osada - Dwanaście Wodospadów” (potem przemianowano ją na „Wieś Dwunastu Wodospadów”) i zgłosił tę nazwę do urzędu. Od tego czasu była to oficjalna nazwa osady. Ale to zdarzyło się znacznie później. Wróćmy do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego.

Teren przyszłej osady był dużą doliną pomiędzy górami schodzącymi w dół pod kątem sześćdziesięciu stopni.

W dole płynęła rzeka. Patrząc na ten krajobraz, można było zrozumieć określenie „zadupie”. Ziemię porastała bambusowa trawa. Zapuściły w nią korzenie wielkie iglaste drzewa. Wilki, jelenie, niedźwiedzie, polne myszy, małe i duże ptaki przemierzały okolice w poszukiwaniu pożywienia, nielicznych liści, mięsa i ryb. Było też niezwykle dużo much i komarów.

- Naprawdę macie zamiar się tu osiedlić? - zapytał ajnuski chłopiec.

- Oczywiście - odpowiedzieli wieśniacy.

Nie wiadomo, dlaczego chłopiec pozostał z



osadnikami  
i nigdy nie powróci! do swej rodzinnej  
wioski. Autor

wysuwał przypuszczenie, że kierowała nim ciekawość. (Autor naprawdę lubił wysuwać przypuszczenia). Ale bardzo wątpliwe, czy bez niego osadnikom udałoby się przetrwać zimę. Chłopiec nauczył ich, jak wykopywać zimą korzonki dzikich warzyw, jak chronić się przed śniegiem, jak łowić ryby w zamrożonej rzece, jak zastawiać pułapki na wilki, jak odpędzać niedźwiedzie krążące po okolicy, zanim zapadną w sen zimowy, jak przepowiadać pogodę na podstawie zmian kierunków wiatru, jak zapobiegać odmrożeniom, jak piec korzenie trawy bambusowej, jak ścinać drzewa, tak by padały w jedną stronę. Dzięki temu wieśniacy zaczęli uważać chłopca za jednego ze swoich, a jemu wróciła wiara w siebie. Później ożenił się z córką jednego z osadników, miał troje dzieci i przyjął japońskie imię. Nie był już „zmienny jak księżyc”.

Jednak pomimo wszystkich wysiłków chłopca, życie osadników było niezwykle ciężkie. W sierpniu każdy miał już swoją chatę, ale ponieważ były zbudowane z nierównych drewnianych bali, zimą śnieg bezlitośnie zawiewał do środka. Wcale nierzadko budzili się rano, by odkryć, że na podłodze zebrało się około trzydziestu centymetrów śniegu. Do tego, ponieważ każda rodzina miała zwykle tylko jedną kołdrę, mężczyźni spali zwinięci w kłębek przy ogniu. Gdy skończyły im się zapasy

pożywienia, zaczęli jeść łowione w rzece ryby  
i odkopywać  
spod śniegu szerniałe korzonki podbiału i  
paproci. Była  
to bardzo surowa zima, ale wszyscy ją  
przetrwali. Ani się

nie klócili, ani nie rozpaczali. Ich siłą było to, że przez lata nawykli do biedy.

Nadeszła wiosna. Urodziło się dwoje dzieci i liczba ludności osady osiągnęła dwadzieścia jeden osób. Kobiety pracowały w polu jeszcze na dwie godziny przed porodem i następnego ranka wróciły do pracy. Na nowych polach zasadzono kukurydzę i ziemniaki, a mężczyźni ścinaли drzewa i wypalali pozostałe pnie, użyźniając ziemię i zagospodarowując ugory. Kiedy ziemia znowu zaczęła rodzić, zawiązały się owoce i ludzie odetchnęli z ulgą, przyszła szarańcza.

Wielki rój szarańczy nadleciał z za gór. Początkowo wyglądał jak wielka czarna chmura. Potem lekko zadrżała ziemia. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Wiedział jedynie ajnuski chłopiec. Kazał mężczyznom zapalić na polach ogniska. Potem polał wszystkie sprzęty naftą i podpalił. Kobietom kazał wziąć garnki i uderzać w nie z całej siły drewnianymi tłuczkami. Zrobił (jak potem wszyscy przyznali) wszystko, co było możliwe. Ale na nic się to nie zdało. Kilkaset tysięcy owadów opadło na pola i zniszczyło uprawy w mgnieniu oka. Nie zostało nic.

Gdy szarańcza odleciała, chłopiec padł na pole i zapłakał. Wieśniacy nie płakali. Spalili martwe owady i zabrali się od razu do przeorywania pól.

Spędzili drugą zimę, jedząc ryby, korzenie podbiału i proci. Wiosną urodziło się kolejnych troje dzieci i znowu obsiano pola. Latem ponownie przyszła

szarańcza i zniszczyła uprawy. Tym razem chłopiec też nie płakał.

Trzeciego roku ustały w końcu naloty szarańczy.  
Długotrwałe deszcze wprawdzie zniszczyły jajeczka, ale za to ucierpiały zbiory. Kolejnego roku wylęgło się strasznie dużo chrabąszczy, a w rok później było bardzo zimne lato.

Doczytałem do tego miejsca, zamknąłem książkę,  
napilem się piwa z puszki i wyjąłem z plecaka kanapki z ikrą.

Dziewczyna spała z podwiniętymi nogami na siedzeniu naprzeciwko. Poranne jesienne słońce pokryło jej kolana cienką warstewką światła. Skądś dostała się do środka ćma i trzepotała jak skrawek papieru poruszany wiatrem. Po chwili usiadła na piersi dziewczyny, odpoczęła tam i znowu gdzieś odleciała. Gdy ćma zniknęła, dziewczyna wydała mi się nagle nieco starsza.

Wypaliłem papierosa i ponownie zabrałem się do *Historii Dwunastu Wodospadów*.

Po sześciu latach osadzie nareszcie zaczęło się lepiej powodzić. Uprawy dojrzały, chaty zostały przebudowane, a ludzie przywykli do życia w zimnym klimacie. Wspólna chata z drewnianych bali została zastąpiona porządną chatą z heblowanych desek, zbudowano piece i zawieszono lampy. Osadnicy załadowali nadwyżkę zbiorów, suszone ryby i jelenie rogi na łódź, popłynęli do odległego o dwa dni drogi miasta, sprzedali te towary i kupili sól, ubrania i naftę. Niektórzy nauczyli się, jak robić węgiel

drzewny ze ścinanych drzew i karczowanych  
pni. Wzdłuż

278

rzeki powstało kilka podobnych osad i nawiązały się pomiędzy nimi stosunki.

Gdy tak rozwijało się osadnictwo, brak rąk do pracy powoli stawał się poważnym problemem. Osadnicy zwołali naradę i po dwóch dniach sporów postanowili sprowadzić kilkoro krewnych z rodzinnej wioski. Martwiły ich tylko niespłacone długi. Jednak z odpowiedzi na ostrożny list z zapytaniem dowiedzieli się, że wierzyciele już dawno zrezygnowali z odzyskania pieniędzy. I wtedy po raz pierwszy po wielu latach osadnicy wysłali listy do dawnych znajomych, pytając, czy nie osiedliliby się razem z nimi na północy.

W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym został przeprowadzony spis ludności i wtedy właśnie osada została nazwana Dwanaście Wodospadów.

Następnego roku do osady przybyło sześć nowych rodzin, liczących łącznie dziewiętnaście osób. Przywitano ich w odnowionej wspólnej chacie i wszyscy płakali, ciesząc się z ponownego spotkania. Nowym osadnikom przydzielono ziemię i z pomocą starych osadników zaczęli oni zagospodarowywać ugory i budować domy.

W roku dziewięćdziesiątym drugim przybyły kolejne cztery rodziny liczące szesnaście osób, a w dziewięćdziesiątym szóstym jeszcze siedem rodzin, razem dwadzieścia cztery osoby.

I tak rosła liczba osadników. Wspólna chata została rozbudowana i przerodziła się we wspaniałą



światlicę.  
Obok pojawiła się mała świątynia. Osada  
Dwunastu

Wodospadów została oficjalnie mianowana  
wsią. Głównym  
pożywieniem osadników było nadal  
proso, ale  
niekiedy dodawano już do niego biały ryż.  
Czasem, co  
prawda nieregularnie, pokazywał się nawet  
listonosz.

Oczywiście bywały też i nieprzyjemne  
zdarzenia. Ciągłe  
pojawiali się urzędnicy zbierający podatki i  
rekrutujący  
do wojska. Najbardziej niezadowolony był z  
tego ów  
ajnuski chłopiec (miał już wtedy trzydzieści  
parę lat). Za  
nic nie mógł zrozumieć potrzeby płacenia  
podatków  
i służby wojskowej.

- Wydaje mi się, że przedtem było nam  
lepiej - mówił.

Mimo to jednak wieś dalej się rozwijała.

W roku tysiąc dziewięćset drugim odkryto,  
że w pobliżu  
wioski znajduje się płaskowyż nadający się  
do hodowli  
owiec, i wieś założyła tam owczą farmę. Z  
Urzędu Okręgo-  
wego znowu przyjechał urzędnik i pokazał,  
jak ogradzać  
pastwiska, jak doprowadzić wodę i zbudować  
owczarnię.

Wkrótce przy pomocy więźniów rząd  
naprawił drogę  
i drogą tą nadeszły owce sprzedane  
osadnikom prawie za  
darmo. Ludzie we wsi nie mieli pojęcia,  
dlaczego rząd im  
tak życzliwie pomaga. Wielu z nich myślało,  
że ponieważ  
w przeszłości dużo wycierpieli, teraz dla  
odmiany zdarzyło  
się coś pomyślnego.

Oczywiście rząd nie dał im owiec z czystej  
życzliwości.

Armia naciskała na rząd, gdyż  
przygotowywała się do  
kampanii w Azji i potrzebowała wełny do  
ochrony przed

zinnem. Rząd polecił Ministerstwu Rolnictwa  
rozwiniecie  
hodowli owiec, A ministerstwo zrzucilo ten  
obowiazek

280

na Urząd Okręgowy Wyspy Hokkaido.  
Groził wybuch  
wojny japońsko-rosyjskiej.

Najbardziej zainteresował się owcami  
ajnuski chłopiec.  
Nauczył się hodowli owiec od urzędnika z  
okręgu i został  
mianowany człowiekiem odpowiedzialnym  
za owczą  
farmę. Nie wiadomo, dlaczego owce tak go  
zaczekały.  
Być może nie mógł przywyknąć do życia we  
wsi, które  
wraz ze wzrostem ludności stawało się coraz  
bardziej  
skomplikowane.

Na farmę przybyło trzydzieści sześć owiec  
rasy saus-  
daun, dwadzieścia jeden owiec rasy  
shropshire i dwa  
owczarki szkockie. Chłopiec szybko został  
bardzo dobrym  
hodowcą i co roku przybywało owiec i psów.  
Szczerze  
pokochał i owce, i psy. Urzędnicy byli  
zadowoleni,  
a szczeniaki były poszukiwane przez inne  
owcze farmy  
jako bardzo dobre psy pasterskie.

Gdy rozpoczęła się wojna japońsko-  
rosyjska, pięciu  
chłopców z wioski zostało powołanych do  
wojska i wy-  
słanych na front na kontynent azjatycki.  
Wszyscy trafili  
do tej samej jednostki i kiedyś podczas bitwy  
na niewiel-  
kim wzgórzu pocisk nieprzyjacielski uderzył  
w prawe  
skrzydło ich oddziału. Dwóch chłopców  
zginęło na  
miejscu, a jeden stracił lewą rękę. Bitwa  
skończyła się po  
trzech dniach i pozostali dwaj chłopcy  
odnaleźli szczątki  
swoich ziomków. Wszyscy byli synami  
pierwszej i drugiej  
grupy osadników. Jeden z tych, którzy  
zginęli, był

najstarszym synem ajnuskiego chłopca,  
owczarza. Zginęli,  
mając na sobie wojskowe płaszcze z owczej  
wełny.

- Dlaczego jada aż za granicę i tam rozpętuje wojnę?

- pytał wszystkich ajnuski owczarz, który miał już wówczas około czterdziestu pięciu lat.

Nikt mu nie odpowiedział. Owczarz opuścił więc wioskę i zamieszkał na farmie razem z owcami. Jego żona umarła pięć lat wcześniej na zapalenie płuc, a dwie córki, które mu zostały, były już zamężne. W rewanżu za opiekę nad owcami wieś zaczęła mu wypłacać pewną sumę pieniędzy jako pensję.

Po stracie syna stał się bardzo zgorzkniałym człowiekiem i umarł w wieku lat sześćdziesięciu dwóch. Chłopiec, który pomagał mu przy owcach, znalazł pewnego ranka jego ciało na klepisku owczarni. Zamarzył na śmierć. Po obu stronach, wyjąc, z oczami pełnymi rozpacz, siedziały dwa psy, wnuki pierwszych psów, które przybyły na farmę. Owce nie wiedziały o niczym i stojąc w zagrodach, skubały siano wyścielające oborę. Odgłos ich uderzających o siebie zębów brzmiał w cichej oborze jak koncert kastanietów.

Historia Dwunastu Wodospadów miała dalszy ciąg, ale skończyła się już dla ajnuskiego chłopca. Poszedłem do toalety i wysiusiałem dwie puszki piwa. Kiedy wróciłem na miejsce, dziewczyna już nie spała i nieco nieprzytomnie patrzyła na krajobraz za oknem. Rozciągały się tam zalane wodą pola ryżowe. Gdzieś tam stał silos. Rzeka zbliżyła się, a potem oddaliła. Zapaliłem

papierosa i przez chwilę przyglądałem się  
krajobrazowi  
oraz profilowi dziewczyny patrzącej na  
krajobraz. Nie

282

odzywała się. Skończyłem papierosa i wróciłem do książki. Na stronach przez chwilę zamajaczyły cienie przęsła wiaduktu.

Gdy skończyła się opowieść o nieszczęsnym ajnuskim chłopcu, który umarł jako stary owczarz, reszta historii Dwunastu Wodospadów była dość nudna. Jeśli nie liczyć tego, że pewnego roku dziesięć owiec zdechło na wzdęcie i nadmierne zimno wywołało poważne straty w zbiorach ryżu, wieś rozwijała się harmonijnie i w okresie Taishó\* otrzymała prawa miejskie. Miasto wzbogaciło się i zaczęło stopniowo się rozbudowywać. Powstała szkoła podstawowa, urząd miejski, oddział poczty. Zasiedlanie wyspy Hokkaido było praktycznie zakończone.

Cała ziemia nadająca się do uprawy była już zagospodarowana i niektórzy z synów biedniejszych rolników zaczęli opuszczać miasto, by szukać nowych ziem w Mandżurii czy na Sachalinie. Przy roku trzydziestym siódmym pojawiła się też wzmianka o Owczym Profesorze. Napisane było, że pan..., który jako wysłannik Ministerstwa Rolnictwa prowadził liczne badania w Korei i Mandżurii, w wieku lat trzydziestu z powodu pewnych okoliczności zrezygnował z pracy i zajął się hodowlą owiec w kotlinie położonej w górach na północ od Dwunastu Wodospadów. Nie było nic więcej na temat Owczego Profesora ani przedtem, ani dalej. Autora, tego dziejopisa stron



" Okres Taisho - 1912-1926

283

rodziny, też najwyraźniej znudziła historia miasta od początku lat trzydziestych, opis stał się fragmentaryczny i stereotypowy. Styl także utracił lotność w porównaniu z częścią dotyczącą życia ajnuskiego chłopca.

Pominałem okres trzydziestu jeden lat od roku trzydziestego ósmego do sześćdziesiątego dziewiątego i postanowiłem przeczytać rozdział zatytułowany „Miasto dzisiaj”. Ale „dzisiaj” w rozumieniu tej książki to był rok siedemdziesiąty, wcale nie takie znowu dzisiaj. Prawdziwe dzisiaj to październik siedemdziesiątego ósmego. Jednak jeśli ktoś pisze historię jakiegoś miasta, to zwykle na końcu musi umieścić „dzisiaj”. Nawet jeśli dzisiaj od razu przestaje być dzisiaj, to nikt nie może zaprzeczyć, że dzisiaj jest dzisiaj. A jeżeli dzisiaj nie byłoby dzisiaj, to historia nie byłaby historią.

Według *Historii Dwunastu Wodospadów* w kwietniu roku sześćdziesiątego dziewiątego miasto liczyło piętnaście tysięcy mieszkańców, o sześć tysięcy mniej niż dziesięć lat wcześniej. Ten spadek spowodowany był zmniejszającą się liczbą rolników. Tak niezwykle wysoki wskaźnik porzucania pracy w rolnictwie łączył się podobno, obok rozwoju infrastruktury przemysłowej spowodowanej rozwojem ekonomicznym, także z typową dla Hokkaido trudnością uprawy ziemi w zimnym klimacie.

Co się w takim razie stało z tymi porzuconymi polami?

Zostały zalesione. Prawniki zalesiały tereny,  
które pra-  
dziadowie karczowali i zagospodarowywali,  
lejąc krwawy  
pot. To przedziwne. W związku z tym  
obecnie w Dwu-

nastu Wodospadach rozwija się głównie przemysł leśny i drzewny. W mieście jest kilka warsztatów stolarskich i ludzie robią tam skrzynie telewizorów, toaletki, drewniane maskotki-misie i ludowe laleczki ajnuskie. Dawna wspólna chata stała się Muzeum Osadnictwa i można tam zobaczyć stare narzędzia rolnicze, naczynia i tak dalej. Są tam też pamiątki po dwóch chłopcach, którzy zginęli w wojnie japońsko-rosyjskiej. Jest pudełko na pożywienie ze śladami zębów niedźwiedzia. Zachował się również list, który pierwsi osadnicy wysłali do rodzinnej wsi, pytając o wiadomości na temat wierzycieli.

Szczerze mówiąc, współczesne Dwanaście Wodospadów wydawało się strasznie nudne. Większość mieszkańców po powrocie z pracy ogląda telewizję przeciętnie przez cztery godziny i kładzie się spać. Duży procent ludności bierze udział w wyborach, lecz od początku wiadomo, kto wygra. Hasłem miasta jest „Bogaty człowiek wśród bogatej przyrody”. Przynajmniej tak jest napisane na tablicy na dworcu.

Zamknąłem książkę, ziewnąłem i ułożyłem

się do snu.

## **2. Dalszy upadek Dwunastu Wodospadów**

**i owce**

W Asahikawie przesiadliśmy się w inny pociąg i kierując się na północ, przejechaliśmy przez przełęcz Shiogari.

Podróżowaliśmy mniej więcej tą samą trasą  
co ajnuski  
chłopiec i osiemnastu biednych wieśniaków  
dziewięć-  
dziesiąt osiem lat wcześniej.

Jesienne słońce wyraźnie oświetlało  
pozostałości dzie-  
wiczej puszczy i płonące czerwienią  
jarzębiny. Powietrze  
było tak przezroczyste, że aż mnie oczy  
rozbolały od  
patrzenia.

Pociąg był z początku pusty, ale gdzieś w  
połowie drogi  
wsiadł tłum dojeżdżających do szkoły  
licealistów. Pociąg  
wypełnił się hałasem, wesołym gwarem,  
zapachem łupie-  
żu, bezsensownymi rozmowami i  
nieznajującym ujścia  
pożądaniem. Taki stan trwał jakieś pół  
godziny, po czym  
wszyscy nagle wysiedli na jakiejś stacji i  
zniknęli. Pociąg  
znowu był pusty, nie było nawet słyszeć  
żadnej rozmowy.

Chrupiąc czekoladę, którą podzieliliśmy  
się na pół,  
wyglądaliśmy przez okno. Światło  
bezszelestnie rozlewało  
się po ziemi. Wszystko wydało się nagle  
dalsze, tak jak  
oglądane przez lornetkę z odwrotnej strony.  
Ona zaczęła  
cicho gwizdać melodię *Johnny B. Goode*.  
Nigdy jeszcze tak  
długo nie milczeliśmy.

Wysiedliśmy z pociągu po dwunastej.  
Stałem na  
peronie, przeciągnąłem się zdecydowanie i  
wziąłem głęboki  
oddech. Powietrze było tak czyste, że aż płuca  
się przed nim  
kurczyły. Blask słońca był przyjemnie ciepły,  
ale temperatu-  
ra na pewno o jakieś dwa stopnie niższa niż  
w Sapporo.

Wzdłuż torów ciągnęło się kilka starych

zajezdni  
zbudowanych z cegły, a dalej leżała  
trzymetrowa sterta

286

drewnianych bali poczerńiałych od deszczu,  
który padał  
ostatniej nocy. Kiedy nasz pociąg odjechał,  
peron zupełnie  
opustoszał, tylko nagietki na rabatce lekko  
się chwiały,  
poruszane chłodnym wiatrem.

Widziane z peronu miasto wyglądało na  
typowe,  
małe, prowincjonalne. Widać było nieduży  
dom towaro-  
wy, pełną sklepików i szyldów główną ulicę,  
dworzec  
autobusowy z dziesięcioma stanowiskami,  
mały punkt  
informacji turystycznej. Wydawało się, że  
nie ma tu nic  
ciekawego.

- Tu jest cel naszej podróży? - zapytała.

- Nie, tu przesiadamy się w jeszcze jeden  
pociąg. Nasze  
docelowe miasteczko jest znacznie, znacznie  
mniejsze.

Ziewnąłem i jeszcze raz wziąłem głęboki  
oddech.

- Tu jest tylko punkt tranzytowy. To  
stąd pierwsi  
osadnicy skierowali się na wschód.

- Pierwsi osadnicy?

Usiedliśmy w poczekalni dworcowej przy  
zimnym  
piecu i gdy czekaliśmy na pociąg,  
opowiedziałem jej  
pokrótce historię Dwunastu Wodospadów.  
Ponieważ  
łatwo było pomylić te wszystkie daty,  
nakreśliłem szybko  
prostą chronologiczną tabelę wydarzeń na  
niezapisanej  
kartce w notesie, posługując się tabelą na  
ostatniej  
stronie *Historii Dwunastu Wodospadów*. Po  
lewej stronie  
umieściłem daty z historii osady, a po  
prawej główne  
wydarzenia z historii Japonii. Wyszła mi  
wspaniała tabela.

Na przykład rok 1905 (trzydziesty ósmy  
rok okresu



Meiji) - upadek Portu Artura i śmierć syna  
ajnuskiego

287

chłopca na polu bitwy. Jeśli dobrze pamiętałem, był to też rok urodzenia Owczego Profesora. Wszystkie te wydarzenia jakoś się ze sobą łączyły.

- Z tej tabeli wynika, że Japończycy żyli od wojny do wojny - powiedziała, porównując obie kolumny.

- Na to wygląda - odparłem.

- Jak to się stało?

- To jest dość skomplikowana sprawa.

Nie da się wyjaśnić w dwóch słowach.

- Aha.

Poczekalnia, jak większość poczekalni, była wielka, nijaka i nieprzyjazna. Ławki straszliwie niewygodne, popielniczki pełne niedopałków zalanych wodą, powietrze zatechłe. Na ścianach wisiało kilka plakatów z miejscowości wypoczynkowych i list gończy. Oprócz nas był tu tylko staruszek w swetrze w kolorze wielbłądziej wełny i matka z mniej więcej czteroletnim chłopcem. Staruszek siedział bez ruchu zatopiony w lekturze jakiegoś magazynu literackiego. Odwracał kartki tak, jakby odrywał plaster. Od odwrócenia jednej do odwrócenia następnej mijało piętnaście minut. Matka z synem wyglądali jak zmęczone sobą małżeństwo.

- Pewnie wszyscy byli biedni i mieli nadzieję, że być może uda im się jakoś wydobyć z biedy - powiedziałem.

- Tak jak ludzie z Dwunastu Wodospadów?

- Właśnie. Dlatego uprawiali pola jak szaleńcy. Ale i tak prawie wszyscy umarli w biedzie.

- Dlaczego?



- Z powodu tej okolicy. Hokkaido ma zimny klimat. Regularnie co kilka lat przychodzą straszne mrozy i niszczą uprawy. Jak nie ma zbiorów, to nie tylko nie ma co jeść, ale nie ma też dochodu, więc nie można kupić nafty ani nasion czy sadzonek na przyszły rok. Dlatego pożyczają się od lichwiarza pieniądze pod zastaw ziemi. Ale te ziemie nie są tak urodzajne, by starczyło na zapłacenie lichwiarskiego procentu. I w ten sposób w końcu traci się ziemię. Tak wielu chłopów zbankrutowało i musiało dzierżawić grunty.

Przekartkowałem *Historię Dwunastu Wodospadów*.

- W Dwunastu Wodospadach w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym liczba chłopów, którzy mieli własną ziemię, spadła do czterdziestu sześciu procent. Potem nałożyły się na siebie kryzys ekonomiczny i klęska mrozów.

- Z takim trudem zagospodarowali ten teren, stworzyli pola, jednak w końcu i tak nie udało im się uciec od długów.

Ponieważ mieliśmy jeszcze czterdzieści minut, dziewczyna poszła sama na spacer po mieście. Ja, popijając w poczekalni coca-cole, zabrałem się do czytania jakiejś książki, którą wcześniej zacząłem, ale po dziesięciu minutach znudziła mi się i włożyłem ją z powrotem do kieszeni. Nie mogłem się skupić. Głowę miałem pełną owiec z Dwunastu Wodospadów i kiedy

włożyłem tam  
drukowane słowa, owce szybko przeżuły je  
wszystkie

litera po literze. Zamknąłem oczy i westchnąłem. Zagwizdał przejeżdżający pociąg towarowy.

Wróciła dziesięć minut przed odjazdem, niosąc torebkę jabłek. Zjedliśmy je zamiast drugiego śniadania i wsiedliśmy do pociągu.

Pociąg nadawał się na złom. Podłoga była tak wydeptana, że tworzyła fale i idąc korytarzem, bujał się człowiek na prawo i lewo. Siedzenia były prawie zupełnie wyłysiałe i tak twarde jak zeszlomiesięczny chleb. We wnętrzu panowała fatalna mieszanina zapachu oleju i toalety.

Otworzenie okna zabrało mi dziesięć minut. Do środka dostało się trochę świeżego powietrza, ale gdy pociąg ruszył, z zewnątrz zaczął wpadać drobny piasek, spędziłem więc kolejne dziesięć minut na zamykaniu okna.

Pociąg składał się z dwóch wagonów i jechało nim około piętnastu pasażerów. Wszyscy spleceni grubymi więzami braku zainteresowania i zmęczenia. Staruszek w swetrze w kolorze wielbłądziej wełny nadal czytał magazyn literacki. Jeśli wziąć pod uwagę szybkość, z jaką czytał, mógł to być numer sprzed trzech miesięcy. Gruba kobieta w średnim wieku wpatrywała się w jakiś punkt w przestrzeni z natężeniem krytyka muzycznego, przysłuchującego się sonacie fortepianowej Skriabina. Ukradkiem spojrzałem w miejsce, w które się wpatrywała, ale nic tam nie było.

Wszystkie dzieci też były spokojne. Żadne

nie biegało,  
nie hałasowało, nie próbowały nawet  
wyglądać przez

290

okno. Ktoś zakaszlał, wydając suchy  
dźwięk, jakby  
postukał metalowymi szczypcami w głowę  
mumii.

Na każdej stacji ktoś wysiadał. Wysiadał  
też konduk-  
tor, szedł do wyjścia z peronu, tam odbierał  
od podróż-  
nego bilet, wracał do pociągu i znowu  
ruszaliśmy. Twarz  
konduktora była tak pozbawiona wyrazu, że  
nawet jeśli  
zachciałoby mu się obrabować bank, nie  
potrzebowałby  
maski. Po drodze nie wsiadł nikt nowy.

Za oknami ciągnęła się rzeka. Woda była  
mętna po  
deszczu. W jesiennym słońcu wyglądała jak  
kanał kawy  
z mlekiem. Wzdłuż rzeki biegła brukowana  
droga, która  
chwilami stawała się niewidoczna. Co  
pewien czas  
przejeżdżały wielkie, zmierzające na zachód  
ciężarówki  
wyładowane drewnem, ale poza tym ruch  
był bardzo  
mały. Ciągące się wzdłuż drogi ogromne  
tablice re-  
klamowe wysyłały w przestrzeń do nikogo  
nieadresowane  
wiadomości. Dla zabicia czasu zacząłem  
przyglądać się  
tym nowoczesnym, wielkomiejskim  
reklamom. Na jednej  
opalona dziewczyna w bikini piła coca-cole,  
na innej  
charakterystyczny aktor w średnim wieku,  
marszcząc  
czoło, przechylał szklaneczkę szkockiej  
whisky, na jeszcze  
innej unosił się na wodzie zegarek dla  
płetwonurków.  
Jedna z reklam przedstawiała niezwykle  
kosztownie  
urządzone mieszkanie, a w nim modelkę  
malującą  
paznokcie. Nowi osadnicy - reklamy,  
najwyraźniej bardzo



zręcznie i skutecznie podbijali te tereny.

Pociąg dotarł do ostatniej stacji w Dwunastu Wodospadach o drugiej czterdzieści. Oboje nie wiadomo kiedy

zasnęliśmy i przegapiliśmy powtarzaną  
przez głośnik  
nazwę stacji. Silniki dieslowskie zatrzymały  
się, wydając  
ostatnie westchnienie, a potem zapanowała  
absolutna  
cisza. Obudziła mnie taka właśnie cisza, od  
której cierpnie  
skóra. Rozejrzałem się dookoła. W pociągu  
zostało tylko  
nas dwoje.

W pośpiechu ściągnąłem z siatkowej półki  
bagażę,  
obudziłem dziewczynę, poklepując ją  
kilkakrotnie po  
ramieniu, i wysiedliśmy. Wiatr wiejący po  
peronie miał już  
w sobie chłód zwiastujący koniec jesieni.  
Słońce ześlizgnę-  
ło się ze środka nieba i pełzło po groźnie  
ciemnych górach  
w kierunku ziemi. Dwa łańcuchy górskie  
łączyły się ze  
sobą zaraz za miastem i osłaniały je, tak jak  
dłoń osłania  
od wiatru zapalną. Wąski peron wyglądał jak  
mała łupina  
próbująca przedrzeć się przez te wielkie fale.

Zadziwiony, przez chwilę wpatrywałem  
się w ten  
widok.

- Gdzie jest dawna farma Owczego  
Profesora? - za-  
pytała.

- W górach, o trzy godziny jazdy  
samochodem.

- Pojedziemy prosto tam?

- Nie - powiedziałem. - Jeżeli

wybralibyśmy się teraz,  
to nie dotarlibyśmy tam przed nocą.  
Dzisiaj gdzieś tu  
przenocujemy i wyruszemy jutro rano.

Przed dworcem znajdował się niewielki  
pusty plac.

Na postoju nie było taksówek, a w  
wodotrysku o kształcie  
jakiegoś ptaka nie było wody. Ptak z  
otwartym dziobem



obojętnie spoglądał w górę. Fontannę otaczały rabatki z nagietkami. Od razu było widać, że przez ostatnie dziesięć lat miasteczko znacznie podupadło. Na ulicach nie spotykało się prawie nikogo, a nieliczni przechodnie mieli ten nieobecny wyraz twarzy, charakterystyczny dla ludzi mieszkających w podupadłym mieście.

Po lewej stronie placu stało sześć starych magazynów z czasów, gdy transport towarów odbywał się jeszcze koleją. Były to ceglane budynki ze spadzistymi dachami. Żelazne drzwi odmalowano kilkakrotnie, a potem zrezygnowano. Na dachu siedział rząd olbrzymich kruków, w milczeniu spoglądających na miasto. Pusty plac obok magazynów zarósł gąszczem nawłoci, w której tkwiły dwa stare samochody zardzewiałe od deszczu. Oba nie miały kół, a spod ich podniesionych masek było widać, że wypruto im też wszystkie wnętrzości.

Na tym placu, przypominającym nieczynne lodowisko, znajdował się plan miasta i objaśnienia dla turystów, ale były tak zniszczone przez deszcze i wiatry, że w połowie nieczytelne. Udało mi się odczytać jedynie „Dwanaście Wodospadów” i „najdalej wysunięty na północ obszar uprawy ryżu na dużą skalę”.

Po drugiej stronie placu znajdował się mały pasaż handlowy. Był podobny do kameralnych pasażów handlowych w innych miasteczkach, ale szeroki i pusty, co jeszcze pogłębiało wrażenie zimna w całym

mieście.  
Jarzębiny po obu stronach ulicy jaśniały  
świeżą czer-  
wienią, ale i one go nie ocieplały. To zimno  
żyło sobie,

jak mu się podobało, niezależnie od losów miasteczka.

Tylko mieszkańcy, ich codzienne małe zajęcia i kłopoty były całkowicie w tym zimnie spowite.

Nałożyłem plecak i przeszliśmy pół kilometra do końca pasażu w poszukiwaniu zajazdu. Zajazdu nie było. Jedna trzecia sklepów miała opuszczone żaluzje. Szyld sklepu z zegarkami odczepił się z jednej strony i kołatał na wietrze.

Pasaż handlowy nagle się skończył i naszym oczom ukazał się zarośnięty chwastami parking. Stały tam dwa nowe samochody, kremowa honda fair lady i sportowa wersja toyoty celiki. Wyglądały tu dziwnie, choć ta pozbawiona wyrazu nowość samochodów nawet pasowała do opustoszałej atmosfery miasteczka.

Za pasażem handlowym praktycznie nic już nie było.

Droga schodziła łagodnie w dół ku rzece i tam rozwidlała

się na prawo i lewo, w kształcie litery „T”. Po obu

stronach stały małe, parterowe, drewniane domy, a ros-

nące przy nich brudnozielone drzewa wyciągały ku niebu

gęste gałęzie. Wszystkie gałęzie miały jakiś dziwny kształt.

Każdy dom miał przy wejściu zbiornik na naftę i taki

sam stojak na kanki z mlekiem. Nad wszystkimi dachami

unosły się monotennie wysokie anteny telewizyjne.

Wyciągały ku niebu swoje srebrne ramiona, jakby chciały

współzawodniczyć z wznoszącymi się nad miastem gó-

rami.

- Tu chyba nie ma żadnych zajazdów? -

powiedziała  
dziewczyna zmartwionym głosem.

294

- Nie martw się. W każdym miasteczku jest jakiś zajazd.

Wróciliśmy na dworzec i zapytaliśmy o zajazd. Dwaj kolejarze, między którymi była taka różnica wieku, że z powodzeniem mogli być ojcem i synem, wyglądali na straszliwie znudzonych i niezwykle uprzejmie wytłumaczyli nam, jak znaleźć zajazd.

- Są dwa zajazdy - wyjaśnił starszy. - Jeden dosyć drogi, a drugi dosyć tani. Jak przyjeżdża jakaś szycha z okręgu albo jak jest jakaś specjalna okazja, to urządza się w tym droższym.

- Jedzenie mają bardzo dobre - dodał młodszy.

- W tym tańszym zatrzymują się różni przedsiębiorcy, młodzi ludzie, no, po prostu zwyczajni ludzie. Nie jest tam brudno ani nic takiego. Mają bardzo ładne łazienki.

- Ale ściany są cienkie - dorzucił młodszy.

Potem przez chwilę spierali się o grubość ścian.

- Pójdziemy do tego droższego - oświadczyłem.

W kopercie zostało jeszcze dużo pieniędzy i nie było powodu oszczędzać.

Młodszy kolejarz wyrwał kartkę z notatnika i narysował na niej, jak dojść z dworca do zajazdu.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem. - Ale miasto jest dużo smutniejsze i cichsze niż dziesięć lat temu, prawda?

- Tak - odrzekł starszy. - Został już tylko jeden tartak, nie ma żadnego większego przemysłu, rolnictwo podupadło, no i liczba ludności się zmniejsza.



- Nawet w szkole mają kłopoty z  
zebraniem pełnych  
klas - dodał młodszy.

- Ilu jest teraz mieszkańców?  
- Mówią, że siedem tysięcy, ale naprawdę to tyle też nie ma. Pewnie będzie z pięć.  
- Nawet tę linię kolejową mogą każdego dnia zlikwidować. Podobno to trzecia u kolei najbardziej deficytowa linia w kraju - powiedział starszy.  
Zdziwiłem się, że są dwie linie w jeszcze gorszym stanie niż ta, ale nic nie powiedziałem, podziękowałem i wyszliśmy z dworca.

Aby dojść do zajazdu, trzeba było zejść w dół ku rzece skarpą położoną za pasażem handlowym, skręcić w prawo i przejść około trzystu metrów wzdłuż rzeki. Był to przyjemny stary zajazd i brzmiały w nim jeszcze echa dawnej świetności miasta. Od strony rzeki znajdował się zadbany ogród, a w jego rogu mały szczeniak, owczarek alzacki, jadł wczesną kolację, wetknąwszy mordkę do miski.

- Państwo pewnie przyjechali powspinać się w górach? - zapytała pokojówka, która zaprowadziła nas do pokoju.

- Tak - odpowiedziałem po prostu.

Na pierwszym piętrze były tylko dwa pokoje. Nasz okazał się duży. Za oknem na korytarzu płynęła ta sama rzeka kawy z mlekiem, którą widziałem z pociągu.

Dziewczyna powiedziała, że chce się wykapać, więc postanowiłem w tym czasie wybrać się do urzędu miejskiego. Urząd znajdował się przy drugiej z kolei opus-



toszalej przecznicy odchodzącej od pasażu handlowego, ale budynek był znacznie nowszy i porządniejszy, niż się spodziewałem. Podeszedłem do okienka działu hodowli bydła i wyciągnąwszy wizytówkę z nazwą pewnego czasopisma, którą posługiwałem się dwa lata temu, gdy próbowałem swych sił jako niezależny dziennikarz, powiedziałem, że chciałbym się czegoś dowiedzieć o hodowli owiec. Na wizytówce widniała nazwa tygodnika dla kobiet i mogło się wydać dziwne, że zbierałem materiały o hodowli owiec, ale urzędnik od razu się zgodził i wprowadził mnie do środka.

W mieście jest teraz ponad dwieście sztuk owiec, wszystkie należą do rasy suffolk. Hodowane są na mięso.

Mięso dostarczane jest do okolicznych>zajazdów i restauracji i cieszy się wielką popularnością.

Wyjąłem notes i zacząłem robić notatki. Pewnie teraz przez wiele tygodni będzie kupował ten tygodnik. Jak o tym pomyślałem, zrobiło mi się przykro.

- Czy to w związku z jakąś rubryką kulinarną, czy coś takiego? - zapytał urzędnik po chwili, gdy już wyjaśnił mi co nieco na temat okolicznej hodowli owiec.

- To też - powiedziałem. - Ale naszym tematem jest raczej próba uchwycenia pełnego obrazu owiec jako takich.

- Pełnego obrazu owiec?

- Ich natury, usposobienia, takich rzeczy.

- Coś podobnego - powiedział urzędnik.

Schowałem notes i wypilem podaną wcześniej herbatę.



- Słyszałem, że w górach jest jakaś opuszczona farma?

- Owszem, jest. Do wojny była to prawdziwa farma hodowlana, ale potem zarekwirowała ją armia amerykańska i teraz nie jest już używana. Kiedy została zwrócona przez armię, jakiś bogaty człowiek przez chyba dziesięć lat używał tego jako letniska, no ale przestał przyjeżdżać, pewnie dlatego że zawsze są kłopoty z dostaniem się tam, i teraz wszystko stoi puste. Dlatego miasto dzierżawi pastwisko. Tak naprawdę to dobrze byłoby tę starą farmę wykupić i zrobić z niej atrakcję turystyczną, ale miasto jest biedne i to niemożliwe. No bo najpierw trzeba by zrobić porządną drogę.

- Miasto dzierżawi?

- Tak, latem miejska owczarnia prowadzi tam około pięćdziesięciu owiec na wypas. Tam jest bardzo dobre pastwisko, a na miejskim pastwisku nie starcza trawy dla wszystkich owiec. We wrześniu, kiedy pogoda zaczyna się psuć, sprowadza się owce na dół.

- Wie pan, kiedy owce przebywają tam na górze?

- Co roku trochę się to zmienia, ale mniej więcej od początku maja do połowy września.

- Ile osób zabiera te owce w góry?

- Jedna. Przez ostatnie dziesięć lat robi to co roku ten sam człowiek.

- Chciałbym się z nim zobaczyć. Urzędnik zadzwonił do miejskiej owczarni.

- Jeśli pan teraz tam pójdzie, zastanie go pan - powiedział. - Zawiozę pana.



Najpierw odmówiłem, ale potem usłyszałem, że inaczej nie ma jak się tam dostać. W mieście nie było taksówek, nie można było też wynająć samochodu, a piechotą zajęłoby mi to półtorej godziny.

Niewielki samochód minął nasz zajazd i skierował się dalej na zachód. Przejechaliśmy przez długi betonowy most, potem przez zimne, podmokłe tereny i wjechaliśmy na łagodną skarpe wiodącą w kierunku gór. Żwir pod kołami wydawał suchy dźwięk.

- W porównaniu z Tokio nasze miasto wygląda pewnie na wymarłe, prawda? - zapytał urzędnik.

Odpowiedziałem wymijająco.

- To miasto naprawdę umiera. Póki jeszcze pociąg tu dojeżdża, jakoś idzie, ale kiedy zlikwidują tę linię kolejową, miasto rzeczywiście umrze. To bardzo dziwne, gdy miasto tak umiera. Rozumiem, że ludzie umierają, ale miasta?

- Co się stanie, gdy miasto umrze?

- Co się stanie? Tego nikt nie wie. I nie wiedząc, wszyscy uciekają. Jeśli ludność spadnie poniżej tysiąca - co się może bardzo łatwo zdarzyć - istnienie naszego urzędu też straci sens, więc może my też właściwie powinniśmy uciec.

Poczęstowałem go papierosem i przypaliłem mu zapalniczką Duponta z herbem owcy.

- W Sapporo miałbym dobrą pracę. Wujek ma firmę poligraficzną i brakuje mu rąk do pracy. Drukuje na zamówienia szkół, więc firma jest bardzo stabilna. Tak





naprawdę to byłoby dla mnie najlepsze.  
Znacznie lepsze  
niż liczenie pogłowa sprzedawanych owiec  
i krów.

- Tak, naturalnie - powiedziałem.

- Ale nie potrafię tak nagle wyjechać z  
miasta. Rozumie  
pan? Jeśli miasto ma umrzeć, chcę tę śmierć  
zobaczyć na  
własne oczy i to uczucie jest silniejsze niż  
chęć wyjazdu.

- Urodził się pan w tym mieście? -  
zapytałem.

- Tak - odrzekł mężczyzna i potem już  
się nie od-  
zywał. Za górami zniknęła już jedna trzecia  
ciemnego,  
ponurego słońca.

Bramę wjazdową do owczarni stanowiły  
dwa słupy  
i rozciągająca się pomiędzy nimi tablica z  
napisem

„Owczarnia Miejska w Dwunastu  
Wodospadach”. Za  
bramą po zboczu wiodła droga, która ginęła  
wśród drzew  
Oczerwonych liściach.

- Za tym laskiem jest owczarnia, na jej  
tyłach mieszka  
kierownik. Jak pan wróci do miasta?

- To będzie cały czas w dół, więc wrócę  
piechotą.

Dziękuję panu bardzo.

Gdy samochód zniknął z pola widzenia,  
przeszedłem  
między słupkami i zacząłem iść drogą pod  
góre. Ostatnie  
żółte promienie słońca barwiły żółc  
klonowych liści na  
pomarańczowo. Drzewa były wysokie i  
plamki światła  
przesianego przez ich liście tańczyły na  
żwirowej drodze.

Wyszedłem z lasku i zobaczyłem ciągnący  
się wzdłuż  
zbocza podłużny budynek owczarni.  
Zapachniało oborą.  
Spadzisty dach owczarni pokryty był  
czerwoną blachą

1wystawały z niego trzy kominy wentylacyjne.

300

Przy wejściu była buda i mały owczarek szkocki na łańcuchu zaszczeakał kilka razy na mój widok. Był to stary pies o sennych oczach i szczekanie nie było wrogie. Pogłaskałem go po karku i od razu się uspokoił. Przy budzie stały dwie żółte plastikowe miski, z wodą i z jedzeniem. Gdy przestałem głaskać, pies, zadowolony, wlaź z powrotem do budy i położył się, starannie układając przednie łapy jedną przy drugiej.

W owczarni panował półmrok i nikogo nie było. Środkiem biegł betonowy chodnik, a po obu jego stronach znajdowały się zagrody dla owiec. Wzdłuż zagród ciągnęły się rynny w kształcie litery „U” odprowadzające owcze odchody i doprowadzające wodę do sprzątnia. Ściany wybite były drewnem, gdzieś gdzieś znajdowały się okna, przez które widać było masyw gór. Wieczne słońce barwiło owce po prawej na czerwono i kryło owce po lewej w niebieskawym cieniu.

Kiedy wszedłem do obory, dwieście owiec podniosło głowy i spojrzało na mnie. Połowa stała, a druga połowa leżała na sianie wyścielającym zagrody. Ich oczy były nienaturalnie niebieskie i wyglądały jak małe, przepelnione studzienki po dwóch stronach mordek. Kiedy światło padało w nie z przodu, wydawały się szklane. Owce nie odrywały ode mnie wzroku. Żadna się nie poruszała. Parę głośno przeżuwało siano, które już wcześniej miały w pysku, ale poza tym nie było

słysząc  
żadnych dźwięków. Gdy wszedłem, kilka  
owiec piło  
wodę, lecz przerwały picie, podniosły głowy  
i też mi się

przyglądały. Wyglądały tak, jakby myślały całą grupą jednocześnie. Kiedy pojawiłem się w drzwiach owczarni, ich grupowe myślenie na chwilę ustało. Wszystko się zatrzymało i wszystkie owce zachowywały swój sąd na później. Gdy zacząłem iść, ich myślenie znowu zadziało. Zaczęły się poruszać w ośmiu zagrodach. Wszystkie samice zgromadziły się wokół przewodnika, a w zagrodach dla baranów samce cofnęły się i każdy z nich przyjął postawę obronną. Tylko kilka bardzo ciekawskich, nie odsuwając się od barierek, nadal mi się przyglądało.

Wszystkie owce miały wąskie czarne uszy odchodzące pod kątem prostym od pyska, a w uszach plastikowe znaczki. Niektóre znaczki były niebieskie, inne żółte, a jeszcze inne czerwone. Na grzbietach też miały duże znaki zrobione kolorowymi flamastrami.

Szedłem cicho i powoli, by nie przestraszyć owiec, udając, że wcale mnie nie obchodzą. Potem zbliżyłem się do jednej z zagród i dotknąłem młodego barana. Baran drgnął, ale nie uciekł. Inne owce przyglądały nam się z powątpiewaniem. Baran stał sztywno i przypatrywał mi się w napięciu, jak niepewny czulek wysunięty przez całe stado.

Owce rasy suffolk mają w sobie coś niesamowitego. Wełnę tylko mają białą, a całą resztę czarną. Duże uszy odstają im na boki jak skrzydła ćmy. Niebieskie oczy błyszczą w mroku i spiczaste nosy z garbkiem mają

w sobie coś niewytłumaczalnie  
cudzoziemskiego. Ani nie  
ignorowały mojej obecności, ani jej nie  
akceptowały, po  
prostu traktowały mnie jak chwilową  
zmianę scenerii.

Kilka owiec energicznie i głośno oddało mocz. Mocz spłynął do rynny, zakręcił i przepłynął obok mnie. Słońce kryło się już za górami, które spowijał teraz ciemno-niebieski mrok przypominający rozwodniony atrament.

Wyszedłem z owczarni, jeszcze raz pogłaskałem psa, skierowałem się na tyły obory, przeszedłem przez rzeczkę po małym mostku i dotarłem do domku kierownika. Był to mały parterowy domek, a przy nim znajdował się duży budynek gospodarczy, w którym składowano siano i narzędzia. Budynek ten był znacznie większy niż sam dom.

Kierownik pracował obok ntógo, układając worki ze środkiem dezynfekującym przy cementowym basenie, mniej więcej metrowej wielkości. Kiedy się zbliżałem, podniósł na chwilę oczy, a potem bez większego zainteresowania powrócił do pracy. Podszedłem do cementowego basenu. Wtedy przestał w końcu pracować i otarł z czoła pot wiszącym na szyi ręcznikiem.

- Jutro przeprowadzam dezynfekcję wszystkich owiec  
- powiedział. Potem wyjął z kieszeni roboczych spodni strasznie pogniecionego papierosa, wygładził go w palcach i zapalił. - Tutaj rozpuszczę proszek i zanurzę w nim wszystkie owce po kolei. Jak się tego zaniedba, to potem są pełne robaków.

- Sam pan to będzie robił?

- Skąd! Sam nie dałbym rady. Przyjdzie dwóch ludzi do pomocy. Zrobimy to we trzech z psem. Pies najlepiej



pracuje. Owce mu też ufają. Jak owce nie  
zaufają, pies  
nigdy nie będzie dobrym pasterzem.

Mężczyzna był ode mnie o jakieś pięć centymetrów niższy, ale wyglądał na silnego. Dobiegał pewnie pięćdziesiątki, a jego krótko obcięte sztywne włosy wyglądały jak szczotka. Ściągnął z palców gumowe rękawiczki, tak jakby zdejmował skórę, otrzepał je o spodnie i włożył do kieszeni. Wyglądał raczej na sierżanta musztrującego nowych rekrutów niż na kierownika owczarni.

- Ale pan podobno chce o coś zapytać?
- Tak.
- To proszę pytać.
- Od jak dawna pan tu pracuje?
- Dziesięć lat - powiedział mężczyzna. -

Można powiedzieć, że to długo, albo że krótko, to zależy. Ale o owcach wszystko wiem. Przedtem byłem w Siłach Samoobrony\*.

Znowu powiesił sobie ręcznik na szyi i spojrzał na niebo.

- Całą zimę spędza pan tutaj?
- Tak - powiedział. - No tak - zakaszłał.
- Gdzie

miałbym się podziać, a poza tym nawet zimą jest dużo roboty. Tu się czasem zbiera dwa metry śniegu i jak się go nie odgarnie, dach może się zawalić i zgnieść owce.

Trzeba je też karmić, oborę sprzątać. Zawsze coś tam jest.

- A gdy przychodzi lato, zabiera pan część owiec na wypas w góry?
- Tak.
- Ciężko jest prowadzić stado owiec?

---

\* Po drugiej wojnie światowej zlikwidowano armię japońską, a na jej miejsce powołano siły zbrojne o charakterze defensywnym, tzw. Siły Samoobrony



- Łatwo. Ludzie robią to od wieków.  
Dopiero niedawno  
zbudowano stałe owczarnie, przedtem zawsze  
hodowano  
owce, przenosząc się z miejsca na miejsce. W  
szesnastym  
wieku w Hiszpanii cały kraj pokryty był  
drogami tylko do  
przepędzania owiec i nawet król nie mógł nimi  
podróżować.

Mężczyzna wypluł flegmę i roztarł  
podeszwą gumiaka.

- Owce, jeśli tylko ich nie przestraszyć,  
są bardzo  
spokojne. Spokojnie i grzecznie idą za psem.

Wyjąłem z kieszeni przysłane przez  
Szczura zdjęcie  
i pokazałem mężczyźnie.

- To jest to pastwisko w górach, prawda?

- Tak - powiedział mężczyzna. - Tak,  
na^ pewno. I te  
owce to też nasze owce.

- A ta? - zapytałem wskazując końcem  
długopisu  
owcę z łatą w kształcie gwiazdy na  
grzbiecie.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w  
zdjęcie.

- Tylko ta nie. To nie jest nasza owca. Ale  
to dziwne,  
skąd by się wśród nich zaplątała jakaś  
obca owca?

Pastwisko otoczone jest drutem, ja  
codziennie rano  
i wieczorem przeliczam owce, a nawet  
jakby przyszła  
jakaś obca, to pies od razu by się  
zorientował. Owce też  
by hałasowały. A przede wszystkim jeszcze  
nigdy nie  
widziałem takiej owcy.

- Czy od czasu, gdy w maju wygonił pan  
owce na  
wypas w góry, do chwili gdy sprowadził je  
pan z po-  
wrotem na dół, nie zdarzyło się nic  
niezwykłego?

- Nic się nie zdarzyło - odparł mężczyzna.

- Tam jest

bardzo spokojnie.

- I był pan tam sam przez całe lato?  
- Nie, nie sam. Co dwa dni przyjeżdżał  
pracownik  
z miasta, czasem przyjeżdżali też z urzędu  
miejskiego na  
kontrolę. Raz na tydzień zjeżdżałem do  
miasta, a mój  
zmiennik zajmował się owcami. Trzeba  
też dowozić  
jedzenie i inne zapasy.

- Czyli nigdy nie jest pan pozostawiony  
zupełnie sam  
w górach?

- Nie. Jak nie ma śniegu, to tam można  
dojechać  
jeepem w półtorej godziny. Jak na spacer.  
Ale jak raz  
spadnie śnieg, już nie da się przejechać  
samochodem  
i wtedy jest człowiek uwięziony przez całą  
zimę.

- I teraz tam w górach nikogo nie ma?

- Nikogo prócz właściciela domu  
letniskowego.

- Właściciela domu letniskowego?

Słyszałem, że on  
już go od dawna nie używa.

Kierownik wyrzucił papierosa na ziemię i  
rozgniół go  
podeszwą.

- Od dawna nie używał, ale teraz  
używa. Jak się  
chce, to tam można mieszkać. Ja dbałem  
cały czas  
o dom. Jest prąd, gaz i telefon i nawet  
żadna szyba nie  
jest stłuczona.

- Ten człowiek w urzędzie miejskim  
powiedział, że  
tam nikogo nie ma.

- Oni o bardzo wielu rzeczach nie wiedzą.  
Oprócz tej  
pracy dla miejskiej owczarni mam od dawna  
prywatną  
umowę z właścicielem i nie mam po co  
bez potrzeby  
o tym gadać. Właściciel mówił, żeby nic nie  
gadać.



Mężczyzna chciał wyciągnąć z kieszeni papierosa, ale paczka była pusta. Wyjąłem w połowie opróżnioną paczkę papierosów Lark i dołożywszy do niej złożony banknot dziesięciotysięczny, podałem mężczyźnie. Przyglądał się paczce przez chwilę, po czym wziął ją, wyjął papierosa, a resztę włożył do kieszeni na piersi.

- Dziękuję.

- A kiedy przyjechał ten właściciel?

- Wiosną. Jeszcze śniegi nie zaczęły

topnieć, to znaczy, musiał być marzec. Nie był tu chyba od pięciu lat. Nie wiem, dlaczego nagle zachciało mu się przyjechać, no ale to przecież właściciel, może sobie przyjeżdżać, kiedy chce, a nam nic do tego. Prosił, żeby nikomu nie mówić, to znaczy, że ma jakieś swoje powody. W każdym razie od tego czasu tam jest. Ja mu po cichu dowożę jeepem jedzenie, naftę i tak dalej. Ma tyle zapasów, że mógłby tam być przez rok.

- Czy jest może mniej więcej w moim wieku i ma wąsy?

- Tak - powiedział kierownik. - Zgadza się.

Nie - O rany! - westchnąłem.

było nawet sensu pokazywać zdjęcia.

### 3. Noc w Dwunastu Wodospadach

Dzięki temu, że dałem kierownikowi pieniądze, negocjacje poszły bardzo gładko. Umówiliśmy się, że przyjedzie



do zajazdu następnego dnia o ósmej rano i  
zawiezie nas  
na farmę w górach.

- Z dezynfekcją powinniśmy zdążyć,  
nawet jak zacz-  
niemy po południu - powiedział.

Był dobrze zorganizowanym realistą.

- Tylko jedno mnie martwi - dorzucił.

- Droga

rozmiękła po wczorajszym deszczu i

możliwe, że w jed-

nym miejscu nie da się przejechać

samochodem. W takim

wypadku będziecie musieli dojść na

piechotę. Ja nic na

to nie poradzę.

- Nie szkodzi - powiedziałem.

Kiedy wracałem piechotą do miasta, w

końcu przypo-

mniałem sobie, że ojciec Szczura miał na

Hokkaido dom

letniskowy. Szczur mi kilka razy o tym

opowiadał.

Wysoko w górach, wielka łąka, stary,

dwupiętrowy dom.

Zawsze przypominam sobie ważne rzeczy za

późno.

Powinienem był sobie przypomnieć po

otrzymaniu listu.

Wtedy łatwo byłoby to sprawdzić.

Wściekły na siebie wracałem mozolnie do

miasteczka.

Przez półtorej godziny widziałem tylko trzy

pojazdy.

Dwie duże ciężarówki wyładowane

drewnem i mały

traktor. Wszystkie jechały w dół, ale żaden

nie zatrzymał

się i nie zaproponował, że mnie podwiezie.

Byłem z tego

zadowolony, wołałem iść piechotą.

Do zajazdu dotarłem po siódmej i na

dworze było już

zupełnie ciemno. Przemarłem do kości.

Szczeniak wy-

stawił głowę z budy i zapiszczał.

Dziewczyna, ubrana

w dzinsy i mój sweter z golfem, siedziała w

sali gier przy



wejściu zatopiona w jakiejś grze komputerowej. Pokój musiał dawniej być salonem, bo pozostało w nim jeszcze piękne obramowanie kominka. Znajdowały się tu cztery telewizory z grami i dwie maszyny bilardowe, ale były to tanie maszyny hiszpańskiej produkcji, tak stare i zniszczone, że strach było ich dotknąć.

- Umieram z głodu - powiedziała głosem zmęczonym czekaniem.

Zamówiłem kolację, szybko się wykapałem i wycierając się, stanąłem na wadze. Od dawna się nie ważyłem.

Sześćdziesiąt kilo, tyle samo co dziesięć lat temu. Te dodatkowe kilogramy, które zaczynały mi przyrastać w pasie, zniknęły w ciągu ostatniego tygodnia.

Kiedy wszedłem do pokoju, kolacja już czekała. Jedząc gulasz i popijając piwem, opowiedziałem jej o owczarni i o jej kierowniku, byłem żołnierzem Sił Samoobrony.

Żałowała, że nie widziała owiec.

- No, ale wygląda na to, że jesteśmy prawie u celu, prawda?

- Mam nadzieję - powiedziałem.

Obejrzeliśmy w telewizji film Hitchcocka, potem otuliliśmy się kołdrą i zgasiliśmy światło. Zegar na dole wybił jedenastą.

- Jutro musimy wcześnie wstać - powiedziałem.

Nie było odpowiedzi. Posłuchałem jej regularnego oddechu. Spała. Nastawiłem podręczny budzik i w świetle



księżycą wypaliłem papierosa. Było słycać szum rzeki, oprócz tego absolutna cisza, tak jakby całe miasto ułożyło się do snu.

Przez to, że cały dzień coś robiłem, moje ciało było bardzo zmęczone, ale umysł miałem podniecony i nie mogłem usnąć. W głowie czułem jakiś nieprzyjemny szum.

Kiedy tak leżałem, wstrzymując w ciemności oddech, otaczające mnie miasteczko rozplynęło się. Domy się rozpadły, szyny przerdzewiały na wylot, a pola zarosły chwastami. W ten sposób miasto zakończyło swoją krótką, stuletnią historię i wtopiło się w ziemię. Czas cofnął się, jak na filmie puszczonej od końca. Na równinie pojawiły się znowu jelenie, niedźwiedzie i wilki, niebo pociemniało od szarańczy, morze bambusowej trawy falowało na wietrze, a gęsty iglasty las przysłaniał słońce.

W ten sposób zniknęły wszystkie ludzkie przedsięwzięcia i zostały jedynie owce. W ciemności jarzyły się ich źrenice. Było ich kilkadziesiąt tysięcy. Ziemia wypełniła się odgłosami przeżuwania i uderzających o siebie zębów.

Gdy zegar wybił drugą, owce zniknęły.  
Potem zasnąłem.

#### 4. Mijamy pechowy zakręt

Ranek był zimny i pochmurny.  
Współczułem owcom,  
które w taki dzień będą musiały się  
zanurzać w płynie



dezynfekującym. A może owce nie są specjalnie wrażliwe na zimno. Pewnie nie.

Krótką jesień na Hokkaido dobiegała końca. Gęste szare chmury zwiastowały śnieg. Ponieważ z tokijskiego września przenieśliśmy się w październik na wyspie Hokkaido, jesień roku siedemdziesiątego ósmego prawie wymknęła mi się z rąk. Był początek i koniec jesieni, ale nie było środka.

Obudziłem się o szóstej, umyłem twarz i czekając na śniadanie, siedziałem na korytarzu i wpatrywałem się w rzekę. Wody było znacznie mniej niż wczoraj i nie była już wcale mętna. Po drugiej stronie rzeki rozpościerały się pola ryżowe. Jak okiem sięgnąć, dojrzałe kłosa tworzyły dziwne faliste linie, poruszane kapryśnym porannym wiatrem. Po betonowym moście przejechał tramwaj i skierował się w stronę gór. Przez długi czas wiatr przynosił jeszcze terkot jego silnika. Z brzoźowego lasku o pożółkłych liściach wyleciały trzy kruki i zatoczywszy nad rzeką parę kółek, zatrzymały się na balustradzie mostu. Te kruki wyglądały trochę tak jak członkowie widowni biorący udział w awangardowym przedstawieniu. Ale po chwili zmęczone tą rolą po kolei zerwały się z balustrady i odleciały w górę rzeki.

Punktualnie o ósmej przed zajazdem pojawił się stary jeep kierownika owczarni. Jeep pokryty był brezentowym

dachem. Najwyraźniej pochodził z demobilu,  
gdyż z tyłu



widać było zatarte litery z numerem jednostki Sił Samoobrony.

- To dziwne - powiedział kierownik, gdy tylko mnie zobaczył. - Wczoraj chciałem tam na wszelki wypadek zadzwonić, ale nie dodzwoniłem się.

Usiedliśmy na tylnym siedzeniu. W samochodzie lekko czuć było zapach benzyny.

- A przedtem kiedy ostatni raz pan dzwonił?

- Hmm, chyba w zeszłym miesiącu. Około dwudziesto- tego. Od tego czasu ani razu nie dzwoniłem. Zwykle on dzwoni, jak ma do mnie jakąś sprawę. Podaje mi listę zakupów albo coś takiego.

- Nie było sygnału?

- Zupełna cisza. Pewnie linia gdzieś przerwana. Jak spadnie dużo śniegu, to się czasem zdarza.

- Ale przecież nie padało.

Kierownik uniósł twarz ku górze i pokręcił szyć.

Zastrzykało.

- Tak czy siak, pojedźmy. Na miejscu się dowiemy.

W milczeniu przytaknąłem. Od zapachu benzyny kręciło mi się w głowie.

Samochód przejechał betonowy most i skierował się ku górom tą samą drogą, którą przebyłem wczoraj.

Kiedy mijaliśmy owczarnię miejską, wszyscy troje spojrzeliśmy na dwa słupki przy bramie i napis.

W owczarni

panowała cisza. Wszystkie owce wpatrują się pewnie

tymi niebieskimi oczami w swoją własną, milczącą

przestrzeń.

- Dezynfekcję zacznie pan od popołudnia?

- Tak, ale tak bardzo mi się z tym nie spieszy. Muszę tylko skończyć, zanim spadnie śnieg.

- A kiedy mniej więcej spadnie śnieg?

- Nie zdziwiłbym się, jeśli nawet spadłby w przyszłym tygodniu - powiedział kierownik. Po czym schylił się i zakaszał, z jedną ręką na kierownicy. - Zacznie się gromadzić dopiero w listopadzie. Czy pan wie, jak tu wygląda zima?

- Nie.

- Jak się zacznie gromadzić, to przybywa go i przybywa, jakby jakaś tama się przerwała. Wtedy już nic się nie poradzi. Można tylko siedzieć w domu i wzruszać ramionami. To nie jest miejsce dla ludzi.

- Ale pan sam od dawna tu mieszka.

- No bo owce lubię. To są dobre zwierzęta i poznają człowieka. Jak tak się człowiek zajmuje owcami, to nawet nie zauważa, kiedy rok mija, i tak to się kręci. Jesienią się zapłodni, zimę się przetrwa, wiosną rodzą się jagnięta, latem wygania się na pastwisko, a jesienią znowu się zapładnia. I tak w kółko. Owce się co rok zmieniają, tylko ja ciągle ten sam i tylko się starzeję. A im jestem starszy, tym trudniej mi odejść z tego miasta.

- Co owce robią zimą? - zapytała dziewczyna.

Kierownik odwrócił się nagle, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności, i patrzył, pożerając ją wzrokiem. Szosa była pusta i z naprzeciwka nikt nie jechał, ale i tak oblałem się zimnym potem.



- Zimą owce siedzą spokojnie w owczarni  
- powie-  
dział kierownik w końcu, odwracając się ku  
przodowi.

- Nie nudzi im się?

- A czy pani uważa, że pani życie jest  
nudne?

- Nie wiem.

- Owce tak samo - powiedział

kierownik. - Nie

zastanawiają się nad takimi rzeczami, a

nawet jak się

zastanowią, to nie wiedzą. Jedzą siano,

oddają mocz,

trochę się kłóca, myślą o swoich dzieciach,

które mają się

wiosną urodzić, i tak im upływa zima.

Na zboczach zaczął pojawiać się śnieg i  
jednocześnie

droga zrobiła się kręta. Pola powoli znikaly,

a zamiast

nich po obu stronach drogi wyrosły ściany

ciemnego

lasu. Co pewien czas między drzewami

przeświecały

jeszcze leżące w dole pola.

- Jak tutaj napada śniegu, zupełnie nie da  
się przeje-

chać - powiedział kierownik. - Nie ma

co prawda

potrzeby tu przyjeżdżać. -

- Nie ma wyciągów narciarskich ani tras

wspinacz-

kowych? - zapytałem.

- Nie, nic nie ma. Nic tu nie ma, więc

turystów też

nie ma. Dlatego miasto stopniowo podupada.

Do początku

lat sześćdziesiątych było wzorcowym

miastem uprawy

ryżu w zimnym klimacie i całkiem nieźle

sobie radziło,

ale potem powstała nadwyżka w krajowej

produkcji

ryżu, no i nikomu już się nie chce uprawiać

pól w lodów-

ce. Tego właściwie można było się

spodziewać, ale...

- A co się stało z tartakami?



- Tu brak rąk do pracy, więc przenieśli się w lepsze okolice. Jeszcze ciągle jest w mieście parę małych zakładów przeróbki drewna, ale nic na większą skalę. Drzewa ścięte w górach przejeżdżają przez miasto i jadą prosto do Nayori albo do Asahikawy. Dlatego tylko drogi się polepszyły, a miasto upada. Wielkie ciężarówki mogą przejechać przez śnieg, jeśli mają specjalne opony.

Odruchowo wetknąłem do ust papierosa, ale przypomniałem sobie zapach benzyny i włożyłem go z powrotem do paczki. Zamiast niego postanowiłem posać cytrynowego dropsa, którego znalazłem w kieszeni. Smak cytryny zmieszał mi się w ustach z zapachem benzyny.

- Owce się kłóca? - zapytała dziewczyna.

- Bardzo często się kłóca - powiedział kierownik.  
- Tak samo jest ze wszystkimi zwierzętami żyjącymi w stadach. W społeczności owiec każda owca ma swoje dokładnie określone miejsce. Jeśli w jednej zagrodzie jest pięćdziesiąt owiec, to jest owca numer jeden i owca numer pięćdziesiąt. I każda dobrze zdaje sobie sprawę z własnego miejsca w tym porządku.

- To niezwykle - powiedziała dziewczyna.

- Dzięki temu jest też łatwiej nimi kierować. Jak się pociągnie za sobą najważniejszą owcę, to reszta grzecznie pójdzie za nią.

- Ale skoro ten porządek jest ustalony, to o co się kłóca?

- Jeśli któraś owca się zrani i straci siły, to porządek

przestaje obowiązywać. Wtedy te stojące  
niżej próbują

dostać się wyżej i wyzywają ją na pojedynek. Jak do tego dojdzie, to bywa, że hałasują nawet ze trzy dni.

- Biedna.

- No tak, ale one to sobie robią nawzajem. Ta pokonana owca też za młodu wygryzła jakąś inną. A jak pójdą na rzeź, to już nie ma ani pierwszej, ani ostatniej.

Wszystkie w zgodzie idą na pieczeń.

- Ojej - powiedziała dziewczyna.

- Ale najbiedniejszy jest główny baran reproduktor.

Wiedzą państwo, co to owczy harem?

Powiedzieliśmy, że nie wiemy.

- W hodowli owiec najważniejsza jest kontrola rozplodu. Dlatego trzyma się owce oddzielnie, barany oddzielnie i w zagrodzie owiec jest tylko jeden baran.

Zazwyczaj to najsilniejszy baran, przewodnik stada. On dostarcza najlepszego nasienia. Po mniej więcej miesiącu, kiedy skończy się zapładnianie, ten baran wraca do zagrody z innymi baranami. Ale tymczasem w zagrodzie baranów powstał już nowy porządek. Ten główny baran z powodu zapładniania jest o połowę chudszy i nie może wygrać z innymi. Mimo to musi z każdym stoczyć pojedynek. Biedny, prawda?

- A jak one się pojedykują?

- Trykają się głowami. Owce mają głowy twarde jak żelazo i puste w środku.

Dziewczyna myślała o czymś w milczeniu. Pewnie wyobrażała sobie walczące owce.



Po półgodzinie nagle skończył się asfalt i droga zrobiła się o połowę węższa. Ciemne fale lasu zdawały się nacierać na samochód z obu stron drogi. Temperatura była o kilka stopni niższa. Droga stała się strasznie nierówna i samochód chwiało się jak wskazówka sejsmografu. Leżący na podłodze plastikowy zbiornik z benzyną zaczął wydawać groźne odgłosy, jakby szare komórki rozsypywały się wewnątrz czyjejs czaszki. Od samego słuchania rozboleła mnie głowa.

Taka droga ciągnęła się przez dwadzieścia lub trzydzieści minut. Nie mogłem nawet dokładnie odczytać godziny na zegarku. Przez ten cały czas żadne z nas się nie odezwało. Trzymałem się poręczy na oparciu siedzenia, dziewczyna chwyciła mnie za prawy łokieć, a kierownik koncentrował się na prowadzeniu.

- Na lewo - powiedział krótko po chwili.

Nie wiedziałem, o co chodzi, ale spojrzałem na lewą stronę drogi. Gęsty las skończył się nagle, jakby ktoś wyrwał go z ziemi, i teren zapadł w nicość. Ogromna dolina. Widok był imponujący, ale nie było w nim ani krztyny ciepła. Wielkie urwiste skały zepchnęły w dół wszelkie przejawy życia i jakby tego jeszcze było im mało, wionęły na wszystko swym śmiertelnym tchnieniem.

U szczytu drogi prowadzącej wzdłuż doliny znajdowała się dziwnie gładka stożkowata góra. Jej czubek wyglądał tak, jakby jakaś wielka siła przekreśliła go w jedną stronę.

Kierowca, trzymając mocno trzęsącą się  
kierownicę,  
wskazał brodą górę.

- Jedziemy aż na drugą stronę tej góry.

CiężM wiatr wiejący w dolinie głąskał i unosił ku górze trawy, porastające zbocza po prawej stronie. W okna samochodu z chrzęstem uderzył drobny piasek.

Przejechaliśmy kilka ostrych zakrętów i gdy tak zbliżaliśmy się do stożkowej góry, zbocza po prawej powoli przerodziły się z porośniętych trawą w strome nagie skały, aż stały się zupełnie prostopadłymi ścianami. Miałem wrażenie, że z trudem trzymamy się wąskiej półki wyrzeźbionej w ogromnej, gładkiej skale.

Pogoda zaczęła się bardzo szybko psuć. Niebo, jakby zmęczone tą niezdecydowaną zmienną szarością z nie-wielkimi przeblaskami błękitu, zasnuło się gęstym popiołem, w którym gdzieniegdzie pojawiły się czarne nieregularne plamy, jakby z sadzy. Góry wokół też pokryły się ponurym cieniem.

Wiatr tworzył trąby powietrzne, w których wszystko wirowało jak w mózdzierzu, i wydawał nieprzyjemne, świszczące dźwięki. Otarłem dłonią pot z czoła. Pod swetrem też zlany byłem zimnym potem.

Kierownik zacisnął usta i brał zakręty, w prawo i znowu w prawo. Pochylony ku przodowi, tak jakby czegoś nasłuchiwał, co pewien czas lekko zwalniał, a gdy droga zrobiła się w jednym miejscu troszeczkę szersza, zahamował. Kiedy ucichł odgłos silnika, spowiło nas lodowate milczenie. Tylko wiatr miotał się po dolinie.

Kierownik nie odzywał się przez dłuższą chwilę, ciągle trzymając dłonie na kierownicy. Potem wysiadł z jeepa

318

i podeszwą gumiaka postukał w ziemię. Ja też wysiadłem, stanąłem obok mego i popatrzyłem na nawierzchnię drogi.

- Jednak nic z tego nie będzie - powiedział kierownik.

- Padało znacznie bardziej, niż myślałem.

Droga wcale nie wydawała mi się podmokła, wręcz przeciwnie, była twarda i sucha.

- W środku jest mokro - wyjaśnił

kierownik. - Wszys-

cy się na to nabierają. To jest dosyć dziwne miejsce.

- Dziwne?

Nie odpowiadając, wyjął z kieszeni papierosy i zapalił zapalniczkę.

- Przejdźmy się kawałek.

Przeszliśmy jakieś dwieście metrów do następnego

zakrętu. Poczułem, jak ogarnia mnie nieprzyjemne zimno.

Zaciągnąłem pod brodę suwak kurtki i postawiłem

kołnierz, mimo to dalej czułem zimno.

Na zakręcie kierownik zatrzymał się i z papierosem

w kąci ust przyjrzał się skale. Ze skały tryskała woda,

mały strumyczek spływał w dół i w poprzek drogi. Woda

zawierała glinę, była mętna i brązowa. Dotknąłem palcem

wilgotnej powierzchni skały. Okazała się znacznie mięk-

sza, niż się spodziewałem, i rozpadła mi się w palcach.

- Bardzo nie lubię tego zakrętu -

powiedział kierow-

nik. - Droga jest miękka, ale to nie tylko to.

Tu jest coś

pechowego. Nawet owce się boją, jak tędy przechodzą.

Kierownik zaniósł się kaszlem, po czym rzucił papiero-

sa na ziemię.

- Przepraszam bardzo, ale nie chcę ryzykować.



W milczeniu skinąłem głową.  
- Czy można będzie dojść piechotą?  
- Tak, chodzić można. To wibracje silnika są niebezpieczne.

Jeszcze raz mocno uderzył podszwą w drogę. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy głuchy odgłos. Był prze-  
rażając\

- Tak, iść można spokojnie.  
Ruszyliśmy w kierunku jeepa.  
- Stąd będzie jeszcze ze cztery kilometry - powiedział kierownik, idąc obok mnie. - Nawet z dziewczyną nie zajmie panu ^więcej niż półtorej godziny. Jest tylko jedna droga i nie bardzo pod górę. Przepraszam, że nie mogłem was odwieźć na miejsce.

- Nie szkodzi. Dziękuję panu bardzo.  
- Długo zostanieie tam na górze?  
- Nie wiem. Może jutro wrócimy, a może za tydzień.

To zależy, jak się rozwinie sytuacja.

Włożył do ust kolejnego papierosa, ale tym razem zaczął kaszleć, zanim go zapalił.

- Lepiej uważajcie. Jak tak dalej pójdzie, śnieg może w tym roku spaść wcześniej. A kiedy napada śniegu, już się stąd nie wydostaniecie.

- Będziemy uważać.

Wyjęliśmy z jeepa bagaże. Niebo było całkowicie pokryte chmurami. Zdjąłem cienką wiatrówkę i włożyłem ciepłą kurtkę do wspinaczki górskiej, ale nawet ona nie ochroniła mnie przed przenikliwym zimnem.

Kierownik z trudem zawracał samochód na wąskiej drodze, kilka razy uderzając o skałę. Przy każdym uderzeniu ze skały sypały się odłamki. Kiedy wreszcie udało mu się odwrócić, nacisnął klakson i pomachał ręką na pożegnanie. My też pomachaliśmy. Jeep minął zakręt i zniknął. Zostaliśmy zupełnie sami. Czułem się tak, jakby wywieziono nas samych na koniec świata.

Postawiliśmy plecaki na ziemi i rozejrzeliśmy się dookoła, nic nie mówiąc, bo też właściwie nie było o czym mówić. Głęboką doliną w dole płynęła srebrna rzeka, rysując na ziemi cienkie zakrętasy, a jej obie strony porośnięte były gęstym, zielonym lasem. Po drugiej stronie doliny ciągnęły się jak fale niższe góry pomalowane kolorami jesiennych liści, a w dali za nimi niewyraźnie widać było zamgloną równinę. Wznosiło się tam kilka słupów dymu ze słomy palonej po zbiorach ryżu. Był to w zasadzie piękny widok, ale mimo że długo się wpatrywaliśmy, wcale nie wprowadził nas w dobry nastrój. Wszystko wydawało się zimne, obojętne i jakieś takie pogańskie.

Niebo było całkowicie zasnuwane wilgotnymi, szarymi chmurami. Nie wyglądały nawet na chmury, raczej na jakąś jednolitą, ciężką tkaninę. Pod nimi nisko przepływała grupa innych, czarnych chmur. Tak nisko, że zdawało się, można by ich dotknąć. Płynęły ku wschodowi z niewiarygodną prędkością.



Ciężkie chmury,  
które przybyły przez Morze Japońskie z Chin  
na Hok-  
kaido, a teraz kierowały się w stronę Morza  
Ochockiego.  
Kiedy tak przyglądałem się chmurom  
nadpływającym

i znikającym jedna po drugiej, zdałem sobie sprawę, jak niepewne było nasze położenie, i nagle trudno było mi to znieść. Jednym kapryśnym podmuchem mogliśmy zostać strąceni w nicość doliny razem z tą rozmiękłą skałą na zakręcie.

- Pospieszmy się - powiedziałem i zarzuciłem na ramiona ciężki plecak.

Wolałem dostać się jak najbliżej jakiegoś dachu, zanim zacznie padać deszcz czy też deszcz ze śniegiem. Nie chciałem zostać przemoczony do suchej nitki w takim zimnym miejscu.

Szybkim krokiem minęliśmy „nieprzyjemny zakręt”.

Tak jak mówił kierownik, zakręt rzeczywiście miał w sobie coś złowieszczonego. Najpierw ciało odczuwało jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo i to nieokreślone niebezpieczeństwo, pukające człowieka w głowę, ostrzegało umysł. Tak jak podczas przechodzenia przez rzekę, gdy nagle postawi się nogę na mieliźnie, gdzie temperatura wody jest inna.

W ciągu tych pięciuset metrów odgłos naszych butów uderzających o ziemię zmieniał się kilkakrotnie. Spod ziemi jak węże wypełzło kilka strumyczków wody.

Nawet po przejściu zakrętu chcieliśmy szybko znaleźć się jak najdalej od niego, więc nie zwalnialiśmy kroku.

Po półgodzinie zbocze zrobiło się trochę mniej strome, a tu i tam zaczęły się pojawiać nieliczne drzewa. Dopiero wtedy odetchnęliśmy głębiej i nieco się rozluźniliśmy.

Pozostała część drogi nie była trudna.  
Zrobiło się  
płasko, krajobraz wokół był mniej  
poszarpany i powoli

322

przeradzał się w spokojny płaskowyż.  
Pojawiły się  
też ptaki.

Po kolejnych trzydziestu minutach  
znacznie oddalili-  
śmy się od owej dziwnej stożkowatej góry i  
wyszliśmy na  
zupełnie płaską równinę otoczoną ze  
wszystkich stron  
górami. Wyglądało to jak ogromny wulkan,  
którego  
górna połowa się zapadła. W nieskończoność  
ciągnęło się  
morze brzóz, pokrytych jesiennymi liśćmi.  
Wśród brzóz  
bujnie rosły intensywnie zielone krzewy i  
miękkie trawy.  
Gdzieś leżały przewrócone wiatrem,  
zbrązowiałe,  
próchniejące drzewa.

- Bardzo przyjemne miejsce -  
powiedziała dziew-  
czyna.

W porównaniu z tamtym zakrętem to  
miejsce rzeczy-  
wiście wydawało się przyjemne.

Droga przecinała w poprzek morze brzóz.  
Jeep ledwo  
by się tu zmieścić; droga była tak prosta,  
że aż się  
w głowie kręciło. Nie było zakrętów ani  
stromych odcin-  
ków. Kiedy patrzyło się przed siebie,  
wyglądało na to, że  
wszystko zbiega się w jednym punkcie. A  
nad tym  
punktem przepływały czarne chmury.

Było przerażająco cicho. Nawet dźwięk  
wiatru ginął  
wśród ogromnych drzew. Co pewien czas  
ciężkie, czarne  
ptaki przecinały niebo szybkim lotem,  
wystawiając czer-  
wone języki. Ale gdy przeleciały, cisza  
miękką galaretą  
wypełniała te przecięte miejsca. Pokrywające  
drogę mokre  
liście były zupełnie przesiąknięte  
przedwczorajszym desz-

czem. Nic prócz ptaków nie mąciło ciszy.  
Nawet nisko

wiszące chmury, które przed chwilą jeszcze tak na nas napierały, widziane z tego brzozowego lasu wydawały się dziwnie nierealne.

Po piętnastu minutach doszliśmy do czystej rzeczki. Przechodził nad nią solidny mostek z poręczą z brzozowych pniaków, a wokół niego była pusta przestrzeń nadająca się na odpoczynek. Zdjęliśmy plecaki, zeszliśmy do rzeczki i napiliśmy się wody. Nigdy jeszcze nie piłem takiej smacznej wody. Była słodka i tak zimna, że aż ręce poczerwieniały. Lekko pachniała ziemią.

Chmury nadal się przesuwały, ale pogoda jakoś się utrzymywała. Dziewczyna poprawiała sznurowadło w bucie, a ja usiadłem na poręczy mostka i zapaliłem. Skądś w dole rzeki dobiegał odgłos wodospadu. Sądząc po dźwięku, nie był to zbyt duży wodospad. Z lewej strony drogi powiał kapryśny wiatr, zaszumiał leżącymi na drodze liśćmi i zniknął po prawej.

Zgasiłem papierosa i kiedy rozgniatąłem go podeszwą, zobaczyłem obok drugi niedopałek. Podniosłem go i dokładnie obejrzałem. Był to rozdeptany seven star. Nie był nasiąknięty wodą, co wskazywałoby na to, że został wypalony po deszczu. To znaczy wczoraj lub dziś.

Próbowałem sobie przypomnieć, jakie papierosy palił Szczur, ale bez skutku. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, czy w ogóle palił papierosy. Zrezygnowałem i wyrzuciłem niedopałek. Prąd rzeczki od razu porwał

go w dół.

- Coś się stało? - zapytała dziewczyna.

324

- Znalazłem świeży niedopalek -  
powiedziałem. - Wy-  
gląda na to, że bardzo niedawno ktoś tak jak  
ja siedział  
tu i palił papierosa.  
- Twój przyjaciel?  
- Nie wiem.  
Usiadła obok mnie i uniosła rękami  
włosy. Pokazała  
mi uszy po raz pierwszy od długiego czasu.  
Odgłos  
wodospadu na chwilę ucichł w mojej  
świadomości  
i znowu powrócił.  
- Ciągle jeszcze lubisz moje uszy? -  
zapytała.  
Uśmiechnąłem się, wyciągnąłem rękę i  
czubkiem palca  
dotknąłem jej ucha.  
- Lubię - powiedziałem.

Piętnaście minut później droga nagle się  
skończyła.  
Brzozowe morze też raptem się urwało.  
Przed nami  
rozciągała się wielka jak jezioro łąka.

Łąka otoczona była wbitymi co pięć  
metrów słupkami  
połączonymi drutem. Drut był stary i  
zardzewiał. Ot-  
worzyłem zniszczoną, drewnianą furtkę i  
wszedłem.  
Trawa była miękka, a ziemia wilgotna i  
czarna.

Nad łąką przepływały czarne chmury. Na  
horyzoncie,  
po stronie, w którą płynęły, wznosiło się  
pasmo gór.  
Widziałem je pod nieco innym kątem, ale  
niewątpliwie  
były to góry ze zdjęcia Szczura. Nawet nie  
musiałem  
wyjmować zdjęcia, by się upewnić.



Bardzo dziwnie się czułem, widząc w końcu na własne oczy krajobraz, którego zdjęcie oglądałem setki razy.

Perspektywa zdawała się bardzo sztuczna. Nie miałem wrażenia, że naprawdę tu jestem, a raczej że ktoś dorobił resztę krajobrazu, tak by dopasować ją do zdjęcia.

Oparłem się o bramkę i westchnąłem. W każdym razie znaleźliśmy to miejsce. Jakie znaczenie miało to, że znaleźliśmy, to zupełnie inna sprawa, ale w każdym razie znaleźliśmy.

- Dotarliśmy, prawda? - powiedziała, ściskając mnie za ramię.

- Tak, dotarliśmy - odparłem. Nie trzeba było nic więcej mówić.

Po drugiej stronie łąki, dokładnie naprzeciw, znajdował się stary, piętrowy, drewniany dom jak z amerykańskiej farmy. Dom zbudowany czterdzieści lat temu przez Owczego Profesora i odkupiony przez ojca Szczura.

Trudno mi było na odległość ocenić jego wielkość, ponieważ nie miałem go z czym porównać. Był to przysadzisty dom bez wyrazu. Biel farby lśniła złowieszczo pod zachmurzonym niebem. Ze środka mansardowego dachu koloru rdzawej musztardy wystawał ku niebu czworokątny komin z cegły. Wokół domu nie było płotu, za to otaczała go grupa wiecznie zielonych drzew, które rozpostarłszy gałęzie, chroniły dom od wiatru i śniegu.

Dom wydawał się zadziwiająco opustoszały. W ogóle

sprawiał jakieś dziwne wrażenie. Nie był  
nieprzyjazny  
ani zimny, nie miał szczególnie dziwnego  
kształtu, nie

był nawet bardzo zniszczony. Był tylko -  
dziwny. Wy-  
glądał jak jakieś wielkie stworzenie, które  
zestarzało się,  
nie mogąc dobrze wyrazić swoich uczuć. Nie  
to, że nie  
wiedziało, jak je wyrazić; nie wiedziało, co  
wyrazić.

W powietrzu unosił się zapach deszczu.  
Lepiej było się  
pospieszyć. Przeszliśmy prosto przez łąkę,  
kierując się  
w stronę domu. Z zachodu nadpływały  
teraz ciężkie<sup>^</sup>  
nabrziałe deszczem chmury, a nie takie jak  
do tej pory,  
małe i poszarpane.

Łąka była wielka, wręcz przygniatająca.  
Choć szliśmy  
szybko, mieliśmy wrażenie, że nie posuwamy  
się naprzód.  
Straciliśmy wyczucie odległości.

Przyszło mi na myśl, że po raz pierwszy  
w życiu  
szedłem po takiej wielkiej, równej  
powierzchni. Wydawa-  
ło się, że można uchwycić w dłonie wiatr  
wiejący daleko,  
daleko stąd. Stado ptaków, jakby przecinając  
prąd płyną-  
cych chmur, przeleciało nad nami, kierując się  
ku północy.

Kiedy wreszcie po długim czasie  
dotarliśmy do domu,  
deszcz zaczynał właśnie kropić. Z bliska dom  
wydawał się  
znacznie większy i bardziej zniszczony. Biała  
farba pokrywa-  
ła go jak strupy, w wielu miejscach łuszcząc się  
i odpadając.  
Kawałki farby, które odstawały od ściany,  
poczerniały od  
długotrwałego wpływu deszczu. Jeśli farba do  
tego stopnia  
poódpada, to trzeba by ją pewnie zupełnie  
zeskrobać przed  
ponownym malowaniem. Poczulem  
zniechęcenie na tę  
myśl, mimo że przecież ja i tak nie

musiałbym tego robić.  
Niezamieszkane domy zawsze próchnieją.  
Ten dom też  
przekroczył już granicę, spoza której nie  
było powrotu.

32  
7

W przeciwieństwie do rozpadającego się domu drzewa rozrastały się bezustannie i otoczyły go tak, że zaczął wyglądać jak chatka na drzewie z *Robinsona szwajcarskiego*.

Nieprzycinane od dawna gałęzie rozrastały się, jak chciały.

Gdy sobie przypomniałem' stromą drogę, która tu prowadziła, nie mogłem sobie wyobrazić, jakim sposobem czterdzieści lat temu Owczy Profesor przywiózł na górę materiały potrzebne do zbudowania domu. Musiał na to zużyć wszystkie siły i cały majątek.

Pomyślałem o Owczym Profesorze zamkniętym w ciemnym pokoju na pierwszym piętrze hoteliku w Sapporo i serce mi się ścisnęło. Jeśli istniało coś takiego, jak niewdzięczne życie, to życie Owczego Profesora na pewno było jego przykładem. Patrzyłem na dom, stojąc w strugach zimnego deszczu.

Z bliska, tak samo jak z daleka, zdawał się kompletnie opustoszały. Na drewnianych okiennicach, osłaniających staromodne wąskie okna, osiadła warstewka drobnego piasku i kurzu. Deszcz wyrysował na piasku dziwne wzory, potem pokryła go nowa warstwa piasku i nowy deszcz wyrysował nowe wzory.

W drzwiach wejściowych, na wysokości oczu, znajdowało się dziesięciocentymetrowe kwadratowe okienko, ale było od środka zasłonięte firanką. Mosiężną klamkę także pokrywał piasek i kurz, które obsypały się z szelestem, gdy położyłem na niej rękę. Klamka poruszyła się

jak stary ząb trzonowy, lecz drzwi się nie  
otworzyły.

Zrobione z potrójnych desek dębowych,  
były znacznie

328

mocniejsze, niż mi się na początku wydawało.  
Na wszelki wypadek uderzyłem kilka razy pięścią, ale tak jak się spodziewałem, nic to nie dało. Tylko ręka mnie rozboleła.  
Nad głową, jak przesypujące się wydmy, szumiały poruszone wiatrem drzewa.

Idąc za radą kierownika, sprawdziłem w skrzynce pocztowej. Klucz wisiał na gwoździu. Był to stary mosiężny klucz, w środku, tam gdzie dotykają go palce, wytarty do białości.

- Czy nie jest niebezpiecznie zostawiać klucz w takim miejscu? - zapytała dziewczyna.

- Chyba żaden złodziej nie zapaściłby się aż tutaj, bo potem musiałby wszystko znosić na dół - odparłem.

Klucz wszedł do zamka tak gładko, że aż wydało się to nienaturalne. Obrócił się szybko w mojej dłoni, zamek wydał przyjemny zgrzyt i odskoczył.

Okiennice nie były od dawna otwierane i w domu panował nienaturalny półmrok. Oczy przyzwyczały się do niego dopiero po dłuższej chwili. Półmrok wypełniał wszystkie kąty i zakamarki.

Byliśmy w dużym pokoju. Dużym, cichym pokoju, w którym pachniało starą stodołą. Pamiętałem ten zapach z dzieciństwa. Zapach dawnych czasów, jaki wydzielają stare meble i niepotrzebne nikomu dywany. Zamknąłem za sobą drzwi i natychmiast umilkł dźwięk wiatru.

- Dzień dobry! - zawołałem głośno. -  
Jest tu kto?





Oczywiście wołanie nie miało sensu. Nikogo nie było.

Tylko stojący przy piecu zegar tykaniem odmierzał czas.

Przez kilka sekund byłem zdezorientowany. Pomieszał mi się czas i kilka miejsc nałożyło się na siebie. Wspomnienia nieprzyjemnych uczuć rozleciały się jak suchy piasek. Ale to trwało tylko chwilę. Gdy otworzyłem oczy, wszystko wróciło do normy. Przed oczami rozciągała mi się jedynie dziwnie równa szara przestrzeń.

- Dobrze się czujesz? - zapytała dziewczyna ze zmartwieniem w głosie.

- Tak, tak, wszystko w porządku - powiedziałem.

- Wejdźmy do środka.

Podczas kiedy ona, chcąc zapalić światło, szukała kontaktu, ja podszedłem do pogrążonego w mroku zegara, by mu się przyjrzeć. Miał trzy ciężarki wiszące na łańcuchach, które musiały służyć do nakręcania. Wszystkie były na samym dole i zegar tykał już tylko ostatnim wysiłkiem. *Sądząc* po długości łańcucha, opuszczenie się na dół zabierało ciężarkom pewnie około tygodnia. To by znaczyło, że ktoś był tu tydzień temu i że ten ktoś nakręcił zegar.

Podciągnąłem wszystkie trzy ciężarki do góry, potem usiadłem na kanapie i wyciągnąłem nogi. Kanapa wyglądała na przedwojenną, ale była bardzo wygodna. Ani twarda, ani miękka, dopasowywała się do ciała. Pachniała jak wnętrze ludzkiej dłoni.

Po chwili usłyszałem pstryknięcie i zabłyśnięcie światła,

a z kuchni wyszła dziewczyna. Rozejrzała się bystro,

330

obchodząc pokój dookoła, po czym usiadła na fotelu i zapaliła mentolowego papierosa. Ja też zapaliłem mentolowego papierosa. Od czasu gdy się z nią związałem, też trochę je polubiłem.

- Wygląda na to, że twój przyjaciel miał zamiar spędzić tu zimę - powiedziała. - Bardzo pobieżnie rozejrzałam się po kuchni, ale jest tam dość opału i jedzenia na całą zimę.

Kuchnia wygląda jak sklep spożywczy.

- Tylko jego nie ma.

- Sprawdźmy na górze.

Weszliśmy po schodach przy kuchni. W połowie schody skręcały pod bardzo dziwnym kątem. Kiedy znaleźliśmy się na piętrze, wydało mi się, że jesteśmy w innej warstwie atmosfery.

- Trochę mnie boli głowa - powiedziała.

- Bardzo cię boli?

- Nie, nie, nie przejmuj się. Jestem do tego przyzwyczajona.

Na piętrze były trzy sypialnie. Jeden duży pokój po lewej stronie korytarza i dwa małe po prawej. Po kolei otworzyliśmy drzwi do wszystkich pokoi. W każdym z nich ustawiono tylko najpotrzebniejsze meble. Pokoje stały puste i mroczne. W największym były dwa łóżka i komoda, ale na łóżkach nie było materaców. Pachniało umarłym czasem.

Tylko w pokoju położonym najdalej unosił się zapach człowieka. Łóżko było porządnie posłane, w poduszce pozostało jeszcze małe wgłębienie, a obok niej leżała



złożona niebieska piżama. Na nocnym stoliku stała staroświecka lampka, a obok niej książka. Była to powieść Conrada.

Obok łóżka znajdowała się solidna dębowa komoda, a w niej poukładane męskie swetry, koszule, spodnie, skarpetki i bielizna. Swetry i koszule były stare, znoszone, miejscami podarte, ale wszystkie dobrej jakości. Kilka z nich pamiętałem. Należały do Szczura. Koszule numer 37 i spodnie rozmiar 73. Na pewno tak.

Przy oknie stało proste biurko i stół z rodzaju tych, które ostatnio trudno znaleźć. W szufladzie biurka znajdowało się tanie wieczne pióro, trzy pudełka zapasowych naboji i papeteria, ale papier był biały. W drugiej szufladzie do połowy opróżnione pudełko dropsów na kaszel i wiele innych drobiazgów. Trzecia była pusta. Ani pamiętnika, ani notesu, ani notatek. Nic. Wyglądało na to, że Szczur zebrał wszystkie niepotrzebne rzeczy i pozbył się ich. Wszystko było za bardzo uporządkowane i to mi się jakoś nie podobało. Przesunąłem palcem po stole i zebrałem warstewkę białego kurzu. Nie było go dużo. Też miał około tygodnia.

Otworzyłem okno wychodzące na łąkę, a potem okiennice. Wiatr był silniejszy niż przedtem, a czarne chmury płynęły jeszcze niżej. Łąka wiała się w szponach wiatru jak jakieś żywe stworzenie. Po drugiej stronie widać było brzozy i góry. Dokładnie ten sam widok, co na zdjęciu. Tylko owiec nie ma.



Zeszliśmy na dół i usiedliśmy na kanapie.  
Rozległa się  
melodia kuranta, a potem zegar uderzył  
dwanaście razy.  
Milczeliśmy, aż w powietrzu przebrzmiało  
ostatnie ude-  
rzenie.

- Co masz zamiar teraz zrobić? -  
zapytała.

- Wygląda na to, że trzeba poczekać -  
odparłem.

- Szczur był tu jeszcze tydzień temu. Są tu  
jego rzeczy.

Na pewno wróci.

- Ale jeśli przedtem zaczniesz gromadzić się  
śnieg, my  
też będziemy musieli spędzić tu zimę, no i  
upłynie twój  
miesięczny termin.

Miała rację.

- Uszy nic ci nie mówią?

- Nic z tego. Jak próbuję otworzyć uszy,  
zaczyna  
mnie boleć głowa.

- No to poczekamy tu sobie spokojnie  
na Szczura

- powiedziałem.

Nie było innego wyjścia.

Ona robiła w kuchni kawę, a ja obszedłem  
dookoła pokój  
i zajrzałem we wszystkie kąty. Pośrodku ściany  
znajdował się  
prawdziwy kominek. Nie nosił śladów  
niedawnego używa-  
nia, ale był sprzątnięty i można byłoby w nim  
zapalić. Przez  
komin dostało się do wnętrza parę liści. W  
pokoju znajdował  
się też duży piecyk olejowy, którego pewnie  
używa się, gdy  
nie jest wystarczająco zimno, by palić w  
kominku. Wskazów-  
ka poziomego oleju pokazywała, że zbiornik  
jest pełny.

Obok kominka była wbudowana w ścianę  
oszkłona  
półka na książki, pełna ściśle  
upakowanych starych





tomów. Wziąłem kilka z nich do ręki i przekartkowałem, ale były to przedwojenne książki, pozbawione większej wartości, wiele z nich dotyczyło geografii, fizyki, historii, filozofii i polityki. Mogły być chyba przydatne tylko przeciętnemu inteligentowi czterdzieści lat temu do zdobycia wiedzy ogólnej. Znalazłem też trochę książek wydanych po wojnie, ale ich wartość była mniej więcej podobna. Tylko *Żywoty Plutarcha*, *Wybór tragedii greckich* i kilka powieści nie zwiędziało i oparło się upływowi czasu. Być może jednak nawet takie książki bardzo się przydawały, kiedy trzeba było spędzać tu długą zimę. W każdym razie nigdy jeszcze nie widziałem kolekcji równie bezwartościowych książek.

Obok półki z książkami znajdowała się druga wbudowana w ścianę półka, na której stały głośniki, wzmacniacz i adapter z rodzaju tych, jakie modne były w połowie lat sześćdziesiątych. Wszystkie z dwustu płyt były stare i porysowane, ale przynajmniej nie bezwartościowe. Muzyka nie wietrzeje tak jak filozofia. Włączyłem wzmacniacz, wziąłem pierwszą z brzegu płytę i nastawiłem. Nat King Cole śpiewał *South of the Border*. Wydawało mi się, że pokój wypełnił się atmosferą lat pięćdziesiątych.

Na przeciwległej ścianie znajdowały się cztery staroświeckie zasuwane okna, wysokie na jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów i umieszczone w równych od-

stepach. Z okien widać było szarą łąkę  
pograżoną w desz-  
czu. Deszcz się nasilił i pasmo gór na  
horyzoncie stało się  
niewyraźne i zamglone.

Podłoga była wyłożona deskami, a środek pokoju pokrywał dywan o wymiarach mniej więcej trzy na cztery metry. Na nim stały kanapy, fotele oraz lampa.

Solidny stół i krzesła zostały zepchnięte w róg i pokryły się warstewką białego kurzu.

Pokój był duży i wydawał się pusty.

Na jednej ze ścian znajdowały się niepokazne drzwi. Gdy

je otworzyłem, ukazał się za nimi mniej więcej dwunastometrowy składzik. W pomieszczeniu tym poustawiano

jedne na drugich niepotrzebne meble, dywany, naczynia,

był tu zestaw do gry w golfa, bibeloty, gitara, materac,

jesionki, buty do wspinaczki górskiej, stare czasopisma

i temu podobne przedmioty. Znajdowały się tam nawet

szkolne podręczniki i zdalnie sterowany samolot. Większość

tych przedmiotów były to produkty dekady od połowy lat

pięćdziesiątych do połowy lat sześćdziesiątych.

Dziwnie płynął czas w tym domu. Tak samo jak na

stojącym w pokoju starym zegarze. Ktoś przychodzi i dla

kaprysu podnosi ciężarki. Tak długo jak ciężarki są

w górze, czas płynie sobie spokojnie, tykając. Ale kiedy

człowiek zniknie i ciężarki opuszczą się w dół, zatrzymuje

się. I ten zatrzymany czas tworzy na podłodze warstewkę

bezbarwnego życia.

Wybrałem kilka starych tygodników filmowych i przy-

niosłem do pokoju. Otworzyłem jeden z nich i znalazłem

reklamę filmu *Alamo*. Pisali, że jest to pierwszy film

w reżyserii Johna Wayne'a i że John Ford  
bardzo go lan-  
suje. John Wayne powiedział, że chciał  
zrobić wspaniały

film, który przemówi do serc Amerykanów.  
Ale w bobrowej  
czapce było mu zupełnie nie do twarzy.

Dziewczyna pojawiła się, niosąc kawę.  
Wypiliśmy  
ją, siedząc naprzeciw siebie. Krople deszczu  
nieustannie  
uderzały o szyby. Czas powoli nabierał  
ciężaru i wy-  
pełniał pokój, mieszając się z lekkim,  
chłodnym zmro-  
kiem. Żółte światło lampy unosiło się w  
powietrzu  
jak pyłek kwiatowy.

- Jesteś zmęczony? - zapytała.

- Pewnie tak - powiedziałem, bezmyślnie  
przyglądając  
się widokowi za oknem. - Ciągłe szukaliśmy i  
szukaliśmy  
i nagle się zatrzymaliśmy. Pewnie nie mogę  
się do tego  
przyzwyczaić. Poza tym z takim trudem  
znaleźliśmy  
krajobraz ze zdjęcia, a nie ma ani Szczura,  
ani owcy.

- Prześpij się. Ja w tym czasie zrobię coś  
do jedzenia.

Przyniosła z góry koc i przykryła mnie.

Zapaliła piecyk  
olejowy, wetknęła mi do ust papierosa i  
zapaliła.

- Nie martw się. Na pewno wszystko  
będzie dobrze.

- Dziękuję - powiedziałem.

Potem zniknęła w kuchni.

Kiedy zostałem sam, nagle poczułem się  
ocięzały.

Zaciągnąłem się dwa razy, zgasilem  
papierosa, podcią-

nąłem koc pod brodę i zamknąłem oczy.

Zasnąłem

w ciągu kilku sekund.

5. Dziewczyna odchodzi z gór. Uczucie  
straszego  
głodu

Obudziłem się, gdy zegar wybił szóstą.  
Leżałem na ka-  
napie. Światło się nie paliło i pokój pogrążony  
był w ciemno-  
ści. Calutkie ciało miałem ścierpnięte.  
Wydawało mi się, że  
ta atramentowa ciemność przeniknęła mnie  
na wskroś.

Deszcz przestał już najwyraźniej padać i  
zza okna  
dobiegały głosy ptaków. Na białej ścianie  
tańczyły ciemne  
wydłużone cienie rzucane przez płomień  
piecyka olejowe-  
go. Wstałem z kanapy, zapaliłem stojącą  
lampę, poszed-  
łem do kuchni i wypilem dwie szklanki  
zimnej wody. Na  
kuchence znalazłem garnek z gulaszem w  
sosie śmietano-  
wym. Garnek był jeszcze lekko ciepły. W  
popielniczce  
stały na sztorc dwa niedopałki mentolowych  
papierosów  
dziewczyny, w tej samej pozycji, w jakiej je  
zdusiła.

Instynktownie poczułem, że już jej w tym  
domu nie ma.

Oparłem dłonie o kuchenkę i starałem się  
zebrać myśli.

Już jej tu nie ma. To pewne. To nie są tylko  
przypusz-  
czenia ani dedukcja, jest to fakt. Powiedziało  
mi o tym  
puste powietrze wypełniające dom. To  
powietrze, którego  
dość się nawdychałem przez dwa miesiące  
po odejściu  
żony, zanim spotkałem dziewczynę.

Na wszelki wypadek poszedłem jednak na  
górną,  
sprawdziłem po kolei w trzech pokojach,  
otwierając  
nawet drzwi szaf. Nie było jej. Zniknęła

też torba  
i puchowa kurtka. Sprzed drzwi zniknęły  
buty. Nie było

wątpliwości, że odeszła. Przeszukałem wszystkie miejsca, w których mogła zostawić mi kartkę, ale żadnej kartki nie było. Biorąc pod uwagę, która jest godzina, dziewczyna już pewnie zeszła z gór.

Nie mogłem jakoś zrozumieć tego, że odeszła. Dopiero co się obudziłem i jeszcze nie rozjaśniło mi się w głowie, ale nawet gdy nie byłem zaspany, już od pewnego czasu nadawanie odpowiedniego znaczenia wszystkim rzeczom, które się wokół mnie zdarzały, zaczęło przekraczać moje możliwości. Dlatego mogłem jedynie poddać się biegowi wypadków.

Usiadłem na kanapie i gdy tak beczynnie siedziałem, nagle zdałem sobie sprawę, że jestem straszliwie głodny. Byłem tak głodny, że aż mnie to zdziwiło.

Zszedłem po schodach z kuchni do piwnicy, która służyła jako spiżarnia, wybrałem na chybił trafił butelkę czerwonego wina, odkorkowałem i spróbowałem. Było trochę za zimne, ale bardzo łagodne. Wróciłem do kuchni, pokroiłem leżący na stole chleb i obrałem jabłko. W czasie gdy gulasz się podgrzewał, wypilem trzy kieliszki wina.

Kiedy gulasz był ciepły, zabrałem jedzenie i wino do pokoju i zjadłem kolację, słuchając orkiestry Percy'ego Faitha grającej *Perfidie*. Po kolacji wypilem resztkę kawy z rondelka i postawiłem pasjansa kartami, które leżały na kominku. Był to pasjans wymyślony w Anglii w dziewiętnastym wieku. Przez pewien czas cieszył się popular-



nością, ale potem wyszedł z mody, gdyż był zbyt skomplikowany. Pewien matematyk obliczył, że pasjans ów

338

wychodzi tylko raz na dwieście pięćdziesiąt tysięcy razy.

Postawiłem trzy razy, ale oczywiście nie wyszedł. Sprzątałem naczynia i karty, a potem wypilem resztę wina z butelki.

Za oknem wszystko spowijała ciemność. Zamknąłem okiennice, położyłem się na kanapie i słuchałem skrzypiących płyt.

Czy Szczur wróci?

Chyba wróci. Zgromadził tu sobie jedzenie i opał na całą zimę. Ale to było tylko „chyba”. Może miał już dosyć i wrócił do „miasta”. Możliwe też, że postanowił zamieszkać z jakąś dziewczyną na dole. To nie było wykluczone.

Jeśli tak, to jestem w nie najlepszym położeniu. Upłynie miesiąc, minie wyznaczony termin, a ja nie znajdę ani Szczura, ani owcy. A wtedy mężczyzna w czarnym garniturze na pewno wciągnie mnie w ten jego - że tak powiem - „zmiersch Bogów”. Nawet wiedząc, że wciągnięcie mnie nic nie da, na pewno to zrobi. To tego typu człowiek.

Właśnie mijala połowa mojego miesiąca. Drugi tydzień października, pora roku, kiedy miasta wyglądają najbarziej miejsko. Gdyby nic specjalnego się nie zdarzyło, pewnie siedziałbym teraz w jakimś barze i jadł omlet, popijając whisky. Przyjemna pora dnia o przyjemnej porze roku. Wieczór po deszczu. Pokruszony lód. Solidny, drewniany bar. Czas płynący spokojnie jak rzeka.

Kiedy się tak zamyśliłem, zaczęło mi się wydawać, że

na świecie jest jeszcze jeden ja, który teraz  
siedzi właśnie  
w jakimś barze i zadowolony popija sobie  
whisky. Im

dłużej o tym myślałem, tym tamten ja  
wydawał mi się  
bardziej rzeczywisty od tego mnie. Gdzieś coś  
się przesu-  
nęło i prawdziwy ja przestałem być  
rzeczywistym ja.

Potrząsnąłem głową i odpędziłem te  
wyobrażenia.

Za oknem cicho śpiewały nocne ptaki.

Poszedłem na górę i posłałem łóżko w  
jednym z mniej-  
szych pokoiów, tych nieużywanych przez  
Szczura. Mate-  
rac, pościel i koce znalazłem starannie  
poskładane w sza-  
fie obok schodów.

Meble były takie same jak w pokoju  
Szczura. Nocny  
stolik, biurko, komoda i lampka. Kształt  
miały staro-  
świecki, ale pochodziły z czasów, kiedy  
przykładano  
dużą wagę do funkcjonalności i  
produkowano rzeczy  
solidne. Nie było w nich nic  
niepotrzebnego.

Z okna za łóżkiem widać było łąkę.  
Deszcz zupełnie  
już ustał i w grubej warstwie chmur  
gdzieniegdzie  
pojawily się prześwity. Niekiedy spośród  
nich wyglądał  
piękny łuk księżyca i wyraźnie oświetlał łąkę.  
Wyglądała  
jak dno głębin morskiej oświetlone przez  
satelitę.

W ubraniu wślizgnąłem się do łóżka i  
wpatrywałem  
się w ten krajobraz, który to się pojawiał, to  
znikał.

Na chwilę na ten obraz nałożył się obraz  
dziewczyny  
samotnie schodzącej z gór i mijającej  
feralny zakręt.  
Kiedy ten obraz zniknął, ujrzałem z kolei  
stado owiec  
i Szczura robiącego im zdjęcie. Ale księżyc

skrył się za  
chmurą i gdy ponownie się wyłonił, wszystkie  
obrazy znikły.

340

W świetle nocnej lampki zacząłem czytać  
*Przygody*  
*Sherlocka Holmesa.*

6. O tym, co znalazłem w garażu i o czym  
myślałem  
na łące

Stado ptaków jakiegoś nieznanego mi  
gatunku ob-  
siadło dąb przed drzwiami, gęsto jak bombki  
na choince,  
i ćwierkało. W porannym świetle wszystko  
lśniło wilgocią.

Na śniadanie zrobiłem sobie grzanki w  
staroświeckim  
tosterze; rozpuściwszy masło na patelni,  
usmażyłem dwa  
jajka sadzone i wypilem dwie szklaneczki soku  
z winogron,  
który znalazłem w lodówce. Czułem się bez  
niej samotny,  
ale cieszyło mnie to, że przynajmniej umiem  
jeszcze  
odczuwać osamotnienie. Osamotnienie nie  
było wcale  
złym uczuciem. Jak cichy dąb, z którego  
odleciały ptaszki.

Pozmywałem naczynia, potem poszedłem  
do łazienki,  
zmyłem kawałek żółtka, który przykleił mi  
się w kącie  
ust, i przez pięć minut myłem zęby. Po  
długim wahaniu  
postanowiłem się ogolić. Obok umywalki  
znajdował się  
prawie nowy krem do golenia i żyletka. Była  
też szczotka  
do zębów, pasta, mydło, płyn po goleniu,  
nawet woda  
kolońska. Na półce leżało dziesięć porządnie  
poskłada-  
nych kolorowych ręczników. Ta  
metodyczność była bar-  
dzo charakterystyczna dla Szczura. Lustro i  
umywalka  
nie miały najmniejszej plamki.



Toaleta i łazienka wyglądały mniej więcej tak samo.

Przestrzenie między kafelkami były wyszorowane do białości starą szczoteczką do zębów i proszkiem do prania.

To nie byle co! Z pudełka zapachowego w toalecie unosiła

się woń przypominająca dzin z sokiem cytrynowym, jaki

pije się w eleganckich barach.

Po wyjściu z umywalni zszedłem na dół, siadłem na

kanapie i zapaliłem porannego papierosa. W plecaku

miałem jeszcze trzy pudełka larków i na tym koniec.

Kiedy to wypalę, będę musiał wprowadzić zakaz palenia.

Myśląc o tym, zapaliłem jeszcze jednego. Poranne światło

było przyjemne i kanapa dostosowywała się do kształtu

ciała. W ten sposób zanim się obejrzałem, minęła godzina.

Zegar spokojnie wydzwonił dziewiątą.

Wydawało mi się, że rozumiałem przyczynę, dla której

Szczur uporządkował sprzęty w całym domu, wyszorował

do białości fugi między kafelkami, prasował koszule i golił

się, mimo że i tak z nikim się nie widywał. Gdyby człowiek

siedział tu bez ruchu, straciłby realne poczucie czasu.

Wstałem z kanapy, założyłem ręce i obszedłem pokój

dookoła, ale nie przychodziło mi do głowy, czym mógł-

bym się zająć. Tam, gdzie dało się posprzątać, Szczur już

sprzątnął. Zmiótł nawet sadzę z wysokiego sufitu.

Znajdę sobie w końcu jakieś zajęcie.

Postanowiłem na razie przejść się naokoło domu.

Pogoda była piękna. Niebo pokrywały smugi białych



chmurek, jakby pozostałe po zamieceniu, i  
zewszađ  
dobiegały głosa ptaków.

342

Za domem znajdował się obszerny garaż. Przed starymi, dwuskrzydłowymi drzwiami leżał niedopałek. Seven star. Niedopałek był dosyć stary, z rozdartej bibułki wystawał filtr. Przypomniałem sobie, że w domu była tylko jedna popielniczka. I w dodatku wyglądała, jakby od dawna nie była używana. To znaczy, że Szczur nie pali. Obróciłem na dłoni filtr i odrzuciłem na ziemię.

Otworzyłem ciężki skobel i drzwi do garażu. Wnętrze było przestronne, światło słoneczne przedostające się przez szpary między deskami pokrywało czarne klepisko równoległymi liniami. Pachniało benzyną i ziemią.

W garażu stała stara toyota landcruiser. Ani na samochodzie, ani na oponach nie było śladu błota. Bak był prawie pełny. Sprawdziłem w miejscu, gdzie Szczur zawsze chował kluczyki. Tak jak się spodziewałem, były tam. Włożyłem kluczyk w stacyjkę i przekręciłem. Silnik od razu zapalił i zaczął wydawać przyjemny szum. Szczur był zawsze naprawdę świetny w ustawianiu gaźnika. Zgasilem silnik i siedząc na miejscu kierowcy, rozejrzałem się wokoło. W samochodzie nie było nic interesującego. Tylko mapa drogowa, ręcznik i pół tabliczki czekolady. Na tylnym siedzeniu zwój drutu i duże obcęgi. Jak na samochód Szczura z tyłu było bardzo brudno. Otworzyłem tylne drzwi, podniosłem z siedzenia coś, co tam leżało, i przytrzymałem w smudze światła słonecznego, dostającego się do środka

przez dziurę po  
sęku. Wyglądało jak wata, którą wypycha się  
poduszki. Albo  
jak owcza wełna. Wyjąłem z kieszeni  
chusteczkę jednorazo-  
wą, zawinałem to w nią i schowałem do  
kieszeni na piersi.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Szczur nie pojechał samochodem. Skoro samochód jest w garażu, Szczur albo zszedł piechotą na dół, albo w ogóle nie zszedł.

Jedno i drugie było możliwe, żadne nie miało sensu.

Jeszcze trzy dni temu droga wzdłuż skał była przejezdna,

a trudno uwierzyć, że Szczur wyszedł z domu i biwakuje

gdzieś tu w okolicy na dworze.

Zrezygnowałem z dalszych rozważań, zamknąłem

garaż i wyszedłem na łąkę. Choćbym nie wiem jak długo

myślał, nie uda mi się wyciągnąć sensownych wniosków

z bezsensownej sytuacji.

Słońce pięło się coraz wyżej, a wraz z nim znad łąki

unosila się mgła. Przez mgłę niewyraźnie majaczyły na

horyzoncie góry. Wszędzie pachniało trawą.

Po wilgotnej trawie doszedłem do środka łąki. Do-

kładnie na środku leżała stara opona. Guma zupełnie

zbielała i kruszyła się. Usiadłem na oponie i rozejrzałem

się dookoła. Dom wyglądał jak biała skała wystająca

z morza.

Siedząc tak samotnie na oponie w środku łąki, przy-

pomniałem sobie zawody pływackie na długie dystanse,

w jakich brałem udział w dzieciństwie. Pływaliśmy

z jednej wyspy na drugą i ja często zatrzymywałem się

w połowie i rozglądałem dookoła. I zawsze miałem to

dziwne, szczególne wrażenie. Po pierwsze dziwne było

znajdowanie się między dwoma punktami położonymi

w równej odległości, a poza tym dziwne

było, że gdzieś  
tam daleko, na łądzie, ludzie zajmują się  
swymi codzien-

344

nymi sprawami. Najdziwniejsze zaś było to, że świat żyje sobie zupełnie normalnie beze mnie. Siedziałem tak bez ruchu przez piętnaście minut, potem wróciłem do domu, usiadłem na kanapie w pokoju na dole i zacząłem czytać dalszy ciąg *Przygód Sherlocka Holmesa*. O drugiej przyszedł Człowiek-Owca.

## 7. Nadchodzi Człowiek-Owca

Kiedy zegar wybił drugą, rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw dwukrotnie, a po chwili jeszcze trzy razy.

Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że słysząc pukanie. Nawet nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby tu zapukać. Szczur otworzyłby sobie, nie pukając - przecież to w końcu był jego własny dom. Jeśli byłby to kierownik owczarni, pewnie zapukałby raz i wszedł, nie czekając na odpowiedź. A jeśli to byłaby ona - nie, to przecież nie może być ona. Ona weszłaby cicho przez kuchenne drzwi i siedziałaby tam sama, pijąc kawę. Nie należy do ludzi, którzy pukają do drzwi wejściowych.

Otworzyłem drzwi. Przed drzwiami stał Człowiek-Owca. Człowiek-Owca nie wydawał się szczególnie zainteresowany ani drzwiami, ani mną, który je otworzyłem. Wpatrywał się uparcie w stojącą o dwa metry dalej skrzynkę pocztową, jakby to było coś bardzo ciekawego. Był niewiele wyższy od skrzynki pocztowej.



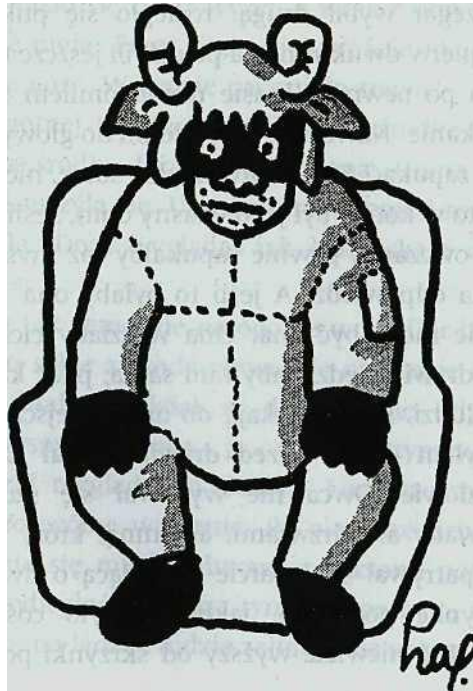
Pewnie miał jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu. Do tego był przygarbiony i miał kabłąkowate nogi.

A poza tym, ponieważ stałem, około półtora metra nad ziemią, czułem się, jakbym patrzył na niego z okna autobusu.

Człowiek-Owca, starając się ignorować tę wyraźną różnicę poziomów, stał zwrócony w bok i usilnie wpatrywał się ciągle w skrzynkę pocztową. Skrzynka była oczywiście pusta.

- Czy mogę wejść? - spytał szybko Człowiek-Owca nadal zwrócony w bok. Mówił tak, jakby był czymś zdenerwowany.

- Proszę - powiedziałem.





Pochylił się i energicznymi ruchami rozwiązał sznurowadła ciężkich butów. Buty oblepione były wyschniętym błotem jak ciastko lukrem. Człowiek-Owca zdjął buty, podniósł i z wprawą otrzepał jeden o drugi. Gruba warstwa błota poddała się i spadła na ziemię. Potem, tak jakby był dobrze z tym domem obeznany, wszedł do środka, nałożył kaptcie, szybko podszedł do kanapy, usiadł i wydał westchnienie ulgi.

Człowiek-Owca był całkowicie pokryty owczą skórą. Jego krępa sylwetka bardzo pasowała do takiego stroju. Rękawy i nogawki były doszyte do skóry pokrywającej tułów. Kaptur też był doszyty, ale ozdabiała go para prawdziwych, zakręconych rogów. Z dwóch stron kaptura odstawały poziomo uszy, które musiały być usztywnione drutem. Zakrywająca górną połowę twarzy maska, rękawiczki i skarpetki były czarne. Od szyi do wysokości bioder biegł długi zamek błyskawiczny, tak aby łatwo można było się ubrać i rozebrać.

Na piersi znajdowała się kieszeń, także zapinana na suwak, a w niej papierosy i zapałki. Człowiek-Owca włożył do ust papierosa seven star, zapalił zapałką i głośno westchnął. Poszedłem do kuchni i przyniosłem umytą popielniczkę.

- Napiłbym się - powiedział Człowiek-Owca.

Znowu poszedłem do kuchni i znalazłem do połowy opróżnioną butelkę Four Roses. Przyniosłem też dwie szklaneczki i lód.

Każdy z nas nalał sobie szklaneczkę whisky z lodem

i wypiliśmy, nie wznosząc żadnych toastów.  
Człowiek-Owca  
do końca pierwszej szklaneczki przez cały czas  
mruczał coś  
do siebie. Miał stosunkowo duży nos i  
kiedy nabierał

powietrza, nozdrza rozdymały mu się jak skrzydełka.

Widoczna w otworach maski para oczu niespokojnie błądziła wokół mojej osoby.

Gdy skończył pierwszą szklaneczkę, jakby się trochę uspokoił. Zgasił papierosa i włożywszy palec pod maskę, potarł powieki.

- Wełna wchodzi mi do oczu - powiedział.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

- Przyszedłeś tu wczoraj przed południem, prawda?

- powiedział Człowiek-Owca, nadal trąc oczy. - Ciągle cię obserwowałem.

Wlał trochę whisky na w połowie roztopiony lód i wypił łyk, nie mieszając.

- A po południu ona odeszła.

- To też widziałeś?

- Nie tylko widziałem, to ja ją wygoniłem.

- Wygoniłeś?

- Tak, wsadziłem głowę przez kuchenne drzwi i po-

wiedziałem jej, żeby lepiej sobie poszła.

- Dlaczego?

Człowiek-Owca jakby się obraził i milczał.

Pewnie nie

należy go pytać dlaczego. W czasie gdy myślałem, jak

inaczej sformułować pytanie, jego oczy stopniowo zalśniły

innym blaskiem.

- Wróciła do hotelu Pod Delfinem - powiedział.

- Ona tak powiedziała?

- Nic nie powiedziała. Po prostu wróciła do hotelu

Pod Delfinem.

- Skąd wiesz?

Człowiek-Owca milczał. Oparł ręce na kolanach i wpa-trywał się w szklaneczkę na stole.

- Ale wróciła do hotelu Pod Delfinem, tak? - zapytałem.

- Hotel Pod Delfinem to bardzo dobry hotel. Pachnie tam owcami - powiedział Człowiek-Owca.

Znowu zamilkliśmy. Po bliższym przyjrzeniu się było widać, że wełna na jego ubraniu jest strasznie brudna i skołtuniona.

- Czy nie kazała mi nic przekazać, kiedy odchodziła?

- Nie. - Człowiek-Owca potrząsnął głową przecząco.

- Nic nie mówiła i ja o nic nie pytałem.

- Powiedziałeś jej, że lepiej, żeby sobie poszła i ona poszła, nic nie mówiąc?

- Tak. Chciała odejść i dlatego jej powiedziałem, że lepiej, żeby sobie poszła.

- Przyszła tu, bo sama chciała.

- Nie! - krzyknął Człowiek-Owca. - Ona chciała stąd odejść. Ale czuła się dezorientowana.

Dlatego ją wygoniłem. To ty ją do tego doprowadziłeś - mówiąc to, zerwał

się z kanapy i uderzył prawą dłońią o stół. Szklaneczka

whisky przesunęła się o jakieś pięć centymetrów.

Człowiek-Owca stał tak przez pewien czas, ale wkrótce

złość znikła z jego oczu i opadł na kanapę, tak jakby siły go opuściły.

- To ty ją do tego doprowadziłeś - powiedział tym

razem spokojnie. - Tak nie wolno. Ty nic nie rozumiesz.

Myślisz tylko o sobie.

- Czyli mówisz, że nie powinna była tu przyjeżdżać?

- Właśnie. Dziewczyna nie powinna była tu przyjeżdżać. Myślisz tylko o sobie.

Napiłem się whisky, zagłębiwszy się w kanapę.

- Ale to nie ma znaczenia. Tak czy siak, to już skończona sprawa - powiedział Człowiek-Owca.

- Skończona?

- Już się z nią nie zobaczysz.

- Dlatego że myślałem tylko o sobie?

- Właśnie. Dlatego, że myślałeś tylko o sobie. Za karę.

Człowiek-Owca wstał, podszedł do okna, jedną ręką

podniósł ciężkie okno i nabrał w płuca powietrza z zewnątrz. Musiał być bardzo silny.

- W takie pogodne dni powinienes mieć otwarte okno - powiedział.

Potem obszedł pół pokoju dookoła, zatrzymał się przed półką z książkami i z założonymi rękami zaczął przypatrywać się grzbietom książek. Jego kombinezon miał nawet mały ogonek. Od tyłu wyglądał zupełnie jak prawdziwa owca stojąca na dwóch nogach.

- Szukam przyjaciela - powiedziałem.

- Tak? - odparł Człowiek-Owca bez większego zainteresowania, ciągle stojąc do mnie plecami.

- Myślę, że mieszkał tu przez pewien czas. Jeszcze tydzień temu.

- Nie wiem.

Człowiek-Owca podszedł do kominka i przetasował leżące na nim karty.

- Szukam też owcy z łatą w kształcie gwiazdy na grzbiecie - powiedziałem.

- Nigdy takiej nie widziałem - odparł.

Jednak było jasne, że Człowiek-Owca wiedział coś i o Szczurze, i o owcy. Za bardzo udawał obojętność. Za szybko odpowiadał i ton jego głosu nie był naturalny.

Zmieniłem taktykę. Udając, że zupełnie straciłem dla niego zainteresowanie, ziewnąłem, podniosłem ze stołu książkę, przerzuciłem kartki. Człowiek-Owca podszedł do kanapy, jakby lekko niespokojny. Przez chwilę przyglądał się, jak czytam książkę.

- Czy czytanie książek jest ciekawe? - zapytał.

- Uhm - mruknąłem.

Człowiek-Owca wahał się. Czytałem, nie zwracając na niego uwagi.

- Przepraszam, że przed chwilą podniosłem głos - powiedział cicho. - Czasami zderza się we mnie część ludzka z owczą i wtedy taki się robię. Nie miałem nic złego na myśli. A poza tym ty mówiłeś tak, jakbyś miał pretensję.

- Nie szkodzi - powiedziałem.

- Mnie jest bardzo przykro, że już się nie zobaczysz z tą dziewczyną, ale to nie moja wina.

- Uhm.

Wyjąłem z kieszeni plecaka trzy paczki papierosów i wręczyłem Człowiekowi-Owcy. Wyglądał na trochę zdziwionego.

- Dziękuję. Jeszcze nigdy tych nie paliłem. Ale ty ich nie potrzebujesz?

- Rzuciłem palenie - powiedziałem.  
- To dobrze - rzekł poważnie Człowiek-Owca. - Pa-  
pierosy są naprawdę niezdrowe.  
Bardzo ostrożnie schował papierosy do kieszeni na rękawie. Uformowało się na nim prostokątne wybrzuszenie.  
- Muszę się koniecznie zobaczyć z przyjacielem. Po to przyjechałem z bardzo, bardzo daleka.  
Człowiek-Owca skinął głową.  
- To samo dotyczy owcy.  
Człowiek-Owca znowu przytaknął.  
- Ale ty nic o nich nie wiesz?  
Człowiek-Owca przecząco pokręcił głową.  
Owce uszy zatrzęsły się. Teraz zaprzeczał ze znacznie mniejszym przekonaniem niż poprzednio.  
- To bardzo dobre miejsce - Człowiek-Owca zmienił temat. - Widoki są ładne i powietrze czyste. Myślę, że i tobie się tu spodoba.  
- Tak, to dobre miejsce - powiedziałem.  
- Zimą jest jeszcze lepiej. Wokół jest tylko śnieg.  
Wszystko zamarza. Zwierzęta zapadają w sen zimowy i ludzie nie przychodzą.  
- Ty tu mieszkasz na stałe?  
- Uhm.  
Postanowiłem nie pytać go o nic więcej.  
Człowiek-Owca był jak zwierzę. Jak człowiek się do niego zbliża, ucieka. A gdy człowiek się oddala, podchodzi bliżej. Jeśli on tu mieszka, nie ma się co spieszyć. Mogę się powoli, stopniowo wszystkiego dowiedzieć.

Człowiek-Owca zaczął wolno ściągać rękawiczkę z prawej ręki, poczynając od kciuka, ze wszystkich palców po kolei. Pociągnął kilka razy i rękawiczka zesła. Ukazały się suche lekko brązowe dłonie. Niewielkie, ale mięsiste. Od nasady kciuka do środka grzbietu dłoni ciągnęła się blizna, jakby po oparzeniu.

Człowiek-Owca wpatrywał się przez chwilę w swoje dłonie, potem odwrócił je i zaczął przyglądać się ich wnętrzom. Był to gest, którym często posługiwał się Szczur. Ale Szczur nie może być Człowiekiem-Owcą. Jest ponad dwadzieścia centymetrów wyższy.

- Masz zamiar na długo się tu zatrzymać?  
- zapytał Człowiek-Owca.

- Odejdę, jak tylko znajdę przyjaciela albo owcę. Po to tu przyjechałem.

- Zimą jest bardzo przyjemnie - powtórzył Człowiek-Owca. - Jest biało i lśniaco. I wszystko zamarza.

Człowiek-Owca zachichotał i rozděły mu się nozdrza. Gdy otworzył usta, ukazały się pożółkłe zęby. Z przodu dwóch brakowało. Rytm jego myśli był jakiś nierówny i wydawało się, że to rozrzedza, to zagęszcza powietrze w pokoju.

- Muszę już iść - powiedział nagle. -  
Dziękuję za papierosy.

W milczeniu skinął głową.

- Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć przyjaciela i tę owcę.

- Uhm. A jak będziesz coś wiedział na ten temat, powiesz mi, prawda?





Człowiek-Owca przez chwilę kręcił się z niezadowolaniem.

- Dobra. Powiem ci.

Z trudem powstrzymałem uśmiech. Człowiek-Owca najwyraźniej nie umiał kłamać.

Nałożył rękawiczki i wstał.

- Przyjdę znowu. Nie wiem za ile dni, ale przyjdę.

- Jego spojrzenie stało się chmurne. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ skąd! - pospiesznie pokręciłem głową. - Przyjdź koniecznie.

- To przyjdę - powiedział i z hukiem zamknął za sobą drzwi.

Wyglądało na to, że przytnie sobie ogon, ale udało mu się.

Obserwowałem go przez szparę w okiennicach. Tak jak wtedy, kiedy przyszedł, stał przed skrzynką pocztową i wpatrywał się w odpadającą białą farbę. Potem poruszył lekko ciałem, dopasowując się do owczego ubrania, i szybkim krokiem ruszył na przełaj przez łąkę w kierunku lasu po wschodniej stronie. Odstające poziomo uszy drgały jak dwie trampolinki. Oddalał się, aż stał się tylko białym punkcikiem i w końcu rozpląnął się wśród białych pni brzoź. Im dłużej patrzyłem za nim, tym bardziej traciłem pewność, że jeszcze przed chwilą był w tym pokoju.

Ale na stole została butelka whisky i niedopałek seven star, a do kanapy przyczepionych było kilka



Maczków owczej wełny. Porównałem je z tymi, które znalazłem na tylnym siedzeniu samochodu. Były identyczne.

Po odejściu Człowieka-Owcy, pragnąc uporządkować myśli, zacząłem przyrządzać mielone kotlety. Posiekałem drobno cebulę i podsmażyłem na patelni. Kiedy się smażyła, rozmroziłem wyjętą z zamrażarki wołowinę i zmieliłem w maszynie do mięsa, używając sitka o średnich otworach.

Kuchnia była raczej skromna, ale znajdowało się tu więcej urządzeń i przypraw, niż potrzeba. Gdyby tylko naprawić drogę, można by tu stworzyć restaurację w stylu schroniska górskiego. Otworzyłyby się okna i ludzie jedliby, patrząc na stado owiec i niebieskie niebo. Powinno być zupełnie nieźle. Rodziny mogłyby bawić się z owcami na łące, a zakochani spacerowaliby po brzozowym lesie. Taka restauracja na pewno cieszyłaby się popularnością.

Szczur zajmowałby się sprawami administracyjnymi, a ja bym gotował. Znalazłoby się też coś dla Człowieka-Owcy. W takiej schroniskowej restauracji jego niezwykle ubranie byłoby przyjęte zupełnie naturalnie. Moglibyśmy też zatrudnić tego kierownika realistę jako pasterza. Przydałby nam się jeden realista. Psy także byłyby potrzebne. Owczy Profesor na pewno przyjechałby nas

odwiedzić.

Myślałem sobie o takich rzeczach,  
odruchowo mie-  
szając cebulę drewnianą łyżką.

Gdy pomyślałem, że być może na zawsze  
utraciłem  
dziewczynę o wspaniałych uszach, nagle  
ogarnęło mnie  
przygnębienie. Może Człowiek-Owca miał  
rację. Praw-  
dopodobnie powinienem był tu przyjechać  
sam. Prawdo-  
podobnie... Potrząsnąłem głową. Potem  
postanowiłem  
dalej myśleć o restauracji.

Jay. Gdyby on przyjechał, na pewno  
wszystko by  
dobrze poszło. Tak, całe przedsięwzięcie  
powinno być  
oparte na nim. A także na wybaczeniu,  
współczuciu  
i akceptacji.

Czekając, aż wystygnie cebula, usiadłem  
przy oknie  
i dalej patrzyłem na łąkę.

## 8. Niezwykły wiatr

Przez kolejne trzy dni nic nie robiłem. Nic  
się też nie  
wydarzyło. Człowiek-Owca się nie  
pokazywał. Przyrzą-  
dzałem posiłki, zjadałem je, czytałem  
książki, po zmroku  
piłem whisky i szedłem spać. Wstawałem o  
szóstej,  
przebiegałem się po łące, zakreślając wielkie  
półkole,  
potem brałem prysznic i się goliłem.

Poranne powietrze bardzo szybko stawało  
się coraz  
zimniejsze. Z dnia na dzień ubywało  
jaskrawożółtych  
liści brzoź i pierwsze zimowe wiatry wiały  
spomiędzy

gałęzi, kierując się na południowy wschód. Kiedy tak podczas biegu zatrzymywałem się pośrodku łąki, wyraźnie słyszałem ich świst. Wydawało się, że wołają „już nie ma powrotu!”. Krótka jesień dobiegała końca.

Z powodu braku ruchu i rzucenia palenia przez pierwsze trzy dni pobytu przybyły mi dwa kilogramy, ale dzięki bieganiu udało mi się pozbyć jednego z nich. Trochę dokuczało mi niepalenie, ale ponieważ w promieniu trzydziestu kilometrów nie można było kupić papierosów, nie miałem innego wyjścia i musiałem wytrzymać.

Za każdym razem, gdy chciało mi się palić, myślałem o niej i o jej uszach. W porównaniu ze wszystkim, co dotąd utraciłem, utrata papierosów wydawała mi się drobnostką. I naprawdę tak było.

Ponieważ miałem dużo czasu, przyrządzałem różne potrawy. Upiekłem nawet rostbef w piekarniku. Rozmroziłem łososia i zamarynowałem go. Nie było żadnych świeżych jarzyn, znalazłem więc na łące jakieś rośliny, które wyglądały na jadalne, dodałem do nich suszonej ryby i razem ugotowałem. Spróbowałem też ukusić kapuszę. Przygotowałem kilka rodzajów zakąsek, na wypadek gdyby pojawił się Człowiek-Owca. Ale się nie zjawił.

Popołudnia spędzałem, przyglądając się łące. Kiedy tak się wpatrywałem przed siebie, czasami miałem złudzenia, że oto ktoś wyłania się z brzoźowego lasu, przecina łąkę i zbliża ku domowi. Zazwyczaj

był to  
Człowiek-Owca, ale raz przywidział mi się  
Szczer, raz  
dziewczyna, a raz nawet owca z gwiazdą na  
grzbiecie.



Jednak nikt się nie zjawiał. Tylko wiatry przetaczały się przez łąkę. Zupełnie jakby była specjalną trasą obroną przez wiatry. Miały jakąś ważną misję do spełnienia i spieszyły przez łąkę, nie oglądając się za siebie.

Siódmego dnia po moim przyjeździe spadł pierwszy śnieg. O dziwo nie było wiatru, tylko nisko wiszące, ciężkie, ołowiane chmury. Wróciłem do domu po porannym biegu, wziąłem prysznic i kiedy popijając kawę, słuchałem płyt, zaczął padać śnieg. Twarde płatki o nieregularnych kształtach. Za każdym razem, kiedy płatek uderzał w okno, słychać było lekkie stuknięcie. Zaczął wiać niewielki wiatr i płatki śniegu spadały szybko na ziemię nieco ukośnie, pod kątem jakichś trzydziestu stopni. Na początku, kiedy śnieg nie był jeszcze bardzo gęsty, te ukośne linie wyglądały jak wzór na papierze, którego używają w domach towarowych, ale wkrótce śnieg zgęstniał, na dworze zrobiło się białe i nie było już widać ani gór, ani lasu. To nie był taki mizerny śnieg, jaki czasami pada w Tokio, ale porządny śnieg z prawdziwego zdarzenia, z tych, które padają w krajach północy. Śnieg, który wszystko dokładnie przykrywa i zamraża ziemię aż do głębi.

Od długiego wpatrywania się w śnieg rozboleły mnie oczy. Zasłoniłem okno i zacząłem czytać książkę, siedząc przy piecyku olejowym. Płyta się skończyła, igła wróciła

na swoje miejsce i wokół zrobiło się straszliwie cicho.  
Taka cisza, jaka zapada, gdy umrą wszystkie żywe stworzenia. Odłożyłem książkę i bez specjalnego powodu

obszedłem dom dookoła. Z pokoju do kuchni, potem sprawdziłem składzik, toaletę, łazienkę i piwnicę, pootwierałem też drzwi do pokoi na górze. Nie było nikogo. Tylko cisza zalała i wypełniła pokoje od ściany do ściany, jak olej. Zależnie od wielkości pokoju cisza brzmiała trochę inaczej.

Byłem sam i wydawało mi się, że jeszcze nigdy nie byłem tak samotny. Po dwóch dniach po raz pierwszy strasznie zachciało mi się palić, ale oczywiście nie miałem papierosów.

Zamiast papierosa napiłem się czystej whisky. Jeżeli spędziłbym tak całą zimę, może zostałbym alkoholiczkiem. Lecz w tym domu nie było wystarczającej ilości alkoholu na to, by zostać alkoholiczkiem. Trzy butelki whisky, butelka brandy i dwanaście zgrzewek puszkowanego piwa. To wszystko. Pewnie Szczur myślał tak samo jak ja.

Ciekawe, czy mój partner dalej pije? Czy udało mu się uporządkować firmę i powrócić, tak jak chciał, do dawnego, małego biura tłumaczeń? Pewnie tak zrobi.

I pewnie nawet beze mnie dobrze mu pójdzie. Tak czy inaczej nasze rozstanie i tak zbliżało się nieuchronnie. Po sześciu latach wróciliśmy do punktu wyjścia.

Po południu śnieg przestał padać. Przestał tak samo niespodziewanie, jak zaczął. Grube chmury popękały tu i tam jak glina, a wyglądające spoza nich słońce utworzyło

wielką kolumnę światła, która przesuwała  
się po łące.  
Był to wspaniały widok. «

Wyszedłem na dwór. Ziemia pokryta była  
twardymi  
płatkami śniegu, przypominającymi miętowe  
pastylki.  
Wyglądały tak, jakby się uparły i  
postanowiły, że za  
nic w świecie nie stopnieją. Ale kiedy  
zegar wybił  
trzecią, śnieg już prawie zupełnie zniknął.  
Ziemia była  
wilgotna i popołudniowe słońce spowiło  
łąkę ciepłym  
blaskiem. Ptaki zaczęły śpiewać, jakby je  
ktoś wypuścił  
na wolność.

Po kolacji wypożyczyłem sobie z pokoju  
Szczura  
książkę pod tytułem *Pieczenie chleba* i  
powieść Conrada.  
Usiadłem na kanapie w pokoju na dole i  
zabrałem się do  
czytania. Przeczytałem mniej więcej jedną  
trzecią, kiedy  
natrafiłem na kwadratowy, około  
dziesięciocentymetrowy  
wycinek z gazety, którego Szczur użył jako  
zakładki. Nie  
było daty, ale sądząc po kolorze papieru,  
gazeta musiała  
być stosunkowo nowa. Artykuł dotyczył  
wydarzeń lokal-  
nych. W jakimś hotelu w Sapporo odbędzie  
się sympo-  
zjum dotyczące starzenia się społeczeństwa.  
W pobliżu  
Asahikawy urządzono zawody sztafetowe.  
Odbył się też  
wykład na temat kryzysu  
bliskowschodniego. Nie było  
tam nic, co mogłoby zainteresować Szczura  
czy mnie. Po  
drugiej stronie znajdowały się ogłoszenia.  
Ziewnąłem,  
zamknąłem książkę, podgrzałem w kuchni  
resztkę kawy  
i wypięm.

Od dawna nie czytałem gazety i teraz po

raz pierwszy  
uświadomiłem sobie, że od tygodnia  
jestem zupełnie

360

odcięty od świata. Nic miałem radia,  
telewizora, gazet  
ani czasopism. Może Tokio zostaje w tej  
chwili zburzone  
pociskiem nuklearnym albo może na dole  
zapanowała  
zaraza. Może Marsjanie okupują Australię.  
Jeśli nawet  
tak było, nie miałem jak się tego  
dowiedzieć. Mógłbym  
co prawda pójść do garażu i posłuchać radia  
w samo-  
chodzie, ale wcale nie miałem na to ochoty.  
Jeżeli coś już  
i tak zdarzyło się bez mojej wiedzy, nie było  
potrzeby się  
o tym dowiadywać, a poza tym i bez tego  
miałem dość  
powodów do zmartwienia.

Coś nie dawało mi jednak spokoju. Tak  
jak wtedy,  
kiedy coś przemknie nam przed oczami, ale  
nie zauważa-  
my tego, ponieważ jesteśmy zamyśleni. Moje  
oczy miały  
to podświadome uczucie, że coś przed nimi  
przemknęło...  
Włożyłem filiżankę po kawie do zlewu,  
wróciłem do  
pokoju i jeszcze raz przyjrzałem się  
wycinkowi z gazety.  
To, czego szukałem, było na odwrocie.

*Szczur! Odezwij się!  
Bardzo pilne!!!  
Hotel Pod Delfinem, pokój 406*

Włożyłem wycinek z powrotem do książki i  
zagłębiłem  
się w kanapę.  
Więc Szczur wiedział, że go szukam.  
Pytanie, skąd  
wziął ten wycinek? Pewnie trafił na niego  
przypadkiem,  
kiedy akurat był na dole. A może szukał  
czegoś i czytał  
wszystkie gazety z kilku tygodni?





W każdym razie nie skontaktował się ze mną. (Możliwe też, że kiedy *znalazł* ogłoszenie, mnie już nie było w hotelu Pod Delfinem. Albo chciał się skontaktować, tylko jego telefon już nie działał).

Nie, tak nie było. Szczur mógł się ze mną skontaktować, ale nie chciał. Ponieważ wiedział, że jestem w hotelu Pod Delfinem, mógł się spodziewać, że w końcu tu dotrę. I jeśli chciałby się ze mną zobaczyć, poczekałby na mnie albo przynajmniej zostawiłby mi jakąś wiadomość.

Czyli z jakiejś przyczyny nie chciał się ze mną spotkać. Ale i nie odpychał mnie. Jeśli nie chciałby, żebym się tu zatrzymał, mógłby znaleźć wiele sposobów, żeby się mnie pozbyć. Przecież ten dom to jego dom.

Myśląc o tych dwóch teoriach, przypatrywałem się, jak duża wskazówka powoli obraca się wokół tarczy zegara. Nawet kiedy zrobiła pełny obrót, jeszcze ciągle nie udało mi się dotrzeć do sedna sprawy.

Człowiek-Owca coś wie. Nie ma co do tego wątpliwości. Niemożliwe, żeby on, który tak szybko zauważył moje przybycie tutaj, nie znał Szczura. Szczur spędził tu przecież prawie pół roku.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawało mi się, że zachowanie Człowieka-Owcy jest odzwierciedleniem życzeń Szczura. Człowiek-Owca wygonił z gór dziewczynę i zostawił mnie tu samego. Jego pojawienie się jest niewątpliwie zapowiedzią czegoś innego. Na

pewno coś się tu wokół mnie rozgrywało.  
Scena została  
opróżniona i coś miało się na niej wydarzyć.

362

Zgasilem swiatlo, wszedlem na gore i  
lezac w lozku,  
przygladalem sie księżycowi i łace.  
Spomiędzy chmur  
przezierał zimny blask gwiazd. Otworzyłem  
okno i ode-  
tchnąłem zapachem nocy. Oprócz szumu  
liści słycać  
było w oddali głos jakiegoś stworzenia.  
Dziwny głos, nie  
brzmiał ani jak ptak, ani jak zwierzę.  
W ten sposób dobiegał końca mój  
siódmy dzień  
w górach.

Obudziłem się, przebiegłem się po łace,  
wziąłem  
prysznic i zjadłem śniadanie. Ranek był  
zwyczajny. Niebo  
tak jak wczoraj zachmurzone, ale  
temperatura nieco  
wyższa. Chyba nie będzie dzisiaj śniegu.

Nałożyłem dzinsy, sweter, kurtkę i lekkie  
adidasy.  
Przeszedłem na przełaj przez łakę. Wszedłem  
w las po  
wschodniej stronie, mniej więcej tam gdzie  
zniknął Czło-  
wiek-Owca, i zacząłem chodzić wokoło. Nie  
było żadnej  
drogi ani śladów stóp. Gdzieniedzie leżały  
przewrócone  
pnie starych brzoź. Teren był równy, tylko co  
pewien czas  
trafiałem na szerokie na metr rozpadliny,  
jakby wyschnięte  
koryta strumieni albo pozostałości  
wykopanych rowów.  
Wiły się one wśród drzew i ciągnęły przez  
kilka kilomet-  
rów. Były raz głębsze, raz płytsze i mniej  
więcej do  
wysokości kostek wypełnione suchymi  
liśćmi. Poszedłem  
wzdłuż rowu i dotarłem do nasypu,  
wznoszącego się ku  
górze jak koński grzbiet. Obie strony nasypu  
łagodnie

opadały, tworząc wyschnięte zagłębienia.  
Ciężki ptak,

o piórach w kolorze suchych liści, z szelestem przeszedł przez nasyp i zniknął w gąszczu obok. Czerwień krzaków tarniny tworzyła płomienny ornament wśród pni drzew.

Chodziłem tak około godziny, aż straciłem poczucie kierunku. Nie uda mi się znaleźć Człowieka-Owcy. Szedłem wyschniętym rowem wzdłuż nasypu, aż usłyszałem szum wody. Dotarłem do strumienia i posuwałem się w dół, z nurtem. Jeśli dobrze pamiętałem, to powinienem teraz dojść do wodospadu, a obok powinna być droga, którą dotarliśmy na górę.

Po jakichś dziesięciu minutach usłyszałem szum wodospadu. Strumień jakby odpychany przez wielkie kamienie gdzieniegdzie zmieniał nurt i tworzył małe, zimne jak lód jeziora. Nie było widać ryb i na powierzchni unosiiy się tylko opadłe liście, powoli rysując na wodzie kółka. Przeskakując z kamienia na kamień, zszedłem w dół wodospadu i wdrapałem się po stromym, śliskim zboczu, aż znalazłem się na drodze, którą pamiętałem.

Przy moście siedział Człowiek-Owca i przyglądał mi się. Na ramieniu miał duży płócienny worek pełen drzewa.

- Jak będziesz za bardzo tu łąził, to się spotkasz z niedźwiedziem - powiedział. - Zdaje się, że jeden się tu zapuścił. Wczoraj po południu widziałem ślady. Jeśli koniecznie chcesz łązić, to przyczep sobie do

pasa dzwo-  
nek, tak jak ja.

364

**\*%**

Zadzwoił dzwoneczkiem, który miał  
przypięty agraf-  
ką w pasie.

- Szukałem ciebie - powiedziałem, kiedy  
złapałem  
oddech.

- Wiem - powiedział. - Widać było, że  
szukasz.

- To dlaczego się nie odezwałeś?

- Pomyślałem, że może chcesz sam  
znaleźć. Dlatego  
milczałem.

Wyjął z kieszeni na rękawie papierosa i  
zapalił ze  
smakiem. Usiadłem obok niego.

- Mieszkasz tu?

- Uhm - powiedział. - Ale nie mów  
nikomu. Nikt

o tym nie wie.

- Ale mój przyjaciel cię zna?

Milczenie.

- To jest bardzo ważne.

Milczenie.

- Jeśli jesteś przyjacielem mojego  
przyjaciela, to jesteś

1 moim przyjacielem, prawda?

- To prawda - powiedział ostrożnie

Człowiek-Owca.

- Zdaje się, że na to wychodzi.

- Jeśli jesteś moim przyjacielem, nie  
będziesz mnie

okłamywał. Prawda?

- Uhm - powiedział Człowiek-Owca z  
zakłopotaniem.

- No to nie odpowiesz mi? Jak przyjaciel?

Człowiek-Owca polizał spierzchnięte  
wargi.

- Nie mogę powiedzieć. Bardzo mi  
przykro, ale nie  
mogę. Nie wolno mi powiedzieć.

- Kto ci zabronił mówić?  
Człowiek-Owca zamilkł na dobre. Wiatr zaszumiał pomiędzy suchymi gałęziami.  
- Nikt nie usłyszy - powiedziałem cicho.  
Człowiek-Owca spojrzał mi prosto w oczy.  
- Ty nic nie wiesz o tym miejscu, prawda?  
- Nie wiem.

- Słuchaj, to nie jest zwyczajne miejsce.  
Musisz o tym pamiętać.  
- Ale ostatnim razem powiedziałeś, że to bardzo dobre miejsce.  
- Dla mnie tak - powiedział Człowiek-Owca. - Ja mogę mieszkać tylko tutaj. Jakby mnie stąd wygoniono, to nie miałbym gdzie się podziać.  
Umilkł. Wyglądało na to, że nic więcej nie da się z niego wyciągnąć. Spojrzałem na worek z drewnem.  
- Tym sposobem ogrzewasz się zimą?  
Człowiek-Owca w milczeniu skinął głową.  
- Ale nigdy nie widziałem dymu.  
- Jeszcze nie palę ognia. Do czasu aż śnieg zacznie padać. Ale nawet gdy napada śniegu i rozpalę ogień, nie zobaczysz dymu. Jest taki specjalny sposób palenia.  
Mówiąc to, uśmiechnął się z wyższością.  
- Kiedy zacznie się gromadzić śnieg?  
Człowiek-Owca spojrzał na niebo, a potem na mnie.  
- W tym roku śnieg będzie wcześniej niż zwykle.  
Pewnie za jakieś dziesięć dni.  
- Za dziesięć dni zamarznie droga?



- Pewnie tak. Nikt się tu nie dostanie i nie będzie można zejść w dół. Bardzo dobra pora roku.

- Mieszkasz tu od dawna?

- Od dawna - powiedział. - Od bardzo dawna.

- A czym się żywisz?

- Korzonkami, paprociami, orzeszkami, ptakami, da się też złapać rybki i kraby.

- Nie jest za zimno?

- Zima jest zawsze zimna.

- Jeśli czegoś ci brak, mogę się z tobą podzielić.

- Dziękuję, ale teraz niczego mi specjalnie nie brakuje.

Człowiek-Owca nagle wstał i ruszył w kierunku łąki.

Podniosłem się i poszedłem za nim.

- Jak doszło do tego, że się tu ukrywasz?

- Na pewno będziesz się śmiał -

powiedział Człowiek-Owca.

- Myślę, że nie będę się śmiał -

odrzekłem. Nie

wiedziałem, z czego miałbym się śmiać.

- Nie powiesz nikomu?

- Nie powiem nikomu.

- Dlatego, że nie chciałem iść na wojnę.

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu.

Kiedy tak

szliśmy obok siebie, głowa Człowieka-Owcy znajdowała

się na wysokości mojego ramienia.

- Wojnę z jakim krajem? - zapytałem.

- Nie wiem - powiedział Człowiek-Owca i zakaszłał

sucho. - Ale nie chciałem iść na wojnę.

Dlatego zostałem

owcą. Jako owca nie mogę stąd odejść.

- Urodziłeś się w Dwunastu Wodospadach?
- Uhm. Ale nie mów nikomu.
- Nie powiem - powtórzyłem. - Nie lubisz miasta?
- Tego na dole?
- Uhm.
- Nie lubię. Tam jest pełno żołnierzy. - Człowiek-Owca jeszcze raz zakaszłał. - A ty skąd przyjechałeś?
- Z Tokio.
- Słyszałeś coś o wojnie?
- Nie.

Wyglądało na to, że przestałem być dla Człowieka-

-Owcy interesujący. Nie rozmawialiśmy, aż doszliśmy do brzegu łąki.

- Nie zajdziesz do domu? - zapytałem.
- Muszę się przygotować do zimy. Jestem bardzo zajęty - odrzekł. - Następnym razem.
- Chcę się zobaczyć z przyjacielem - powiedziałem.
- Z pewnego powodu muszę się z nim zobaczyć w ciągu tygodnia.

Człowiek-Owca niechętnie pokręcił głową.

Zatrzęsły

mu się uszka.

- Przykro mi, ale jak ci mówiłem, nic nie mogę zrobić.
- Jeśli możesz, to mu to przekaż.
- Uhm - powiedział Człowiek-Owca.
- Dziękuję.

Potem rozstaliśmy się.

- Jeśli będziesz chodził po okolicy, nie zapomnij o dzwonku - powiedział Człowiek-Owca przed samym odejściem.

Potem ja skierowałem się prosto do domu,  
a on, tak  
samo jak przedtem, zniknął w lesie po  
wschodniej stronie.  
Rozdzieliła nas milcząca zieleń łąki,  
przyoblekającej się  
w zamglone, zimowe barwy.

Tego popołudnia upiekłem chleb. Książka  
pod tytułem  
*Pieczenie chleba*, którą znalazłem w pokoju  
Szczura, była  
bardzo życzliwa dla czytelnika. Napisano w  
niej: „Jeśli tylko  
umiesz czytać, nawet ty potrafisz bez trudu  
upiec chleb”,  
i rzeczywiście tak było. Postępując zgodnie ze  
wskazówka-  
mi z książki, bez trudu upiekłem chleb. Po  
całym domu  
rozszedł się smakowity zapach i wypełnił  
pokoje ciepłą  
atmosferą. Smak też, jak na początkującego,  
był całkiem  
niezły. W kuchni był duży zapas mąki i  
drożdży, więc nawet  
jeśli przyszłoby mi spędzić tu zimę,  
przynajmniej o chleb nie  
musiałbym się martwić. Ryżu i makaronu też  
było wbród.

Wieczorem zjadłem chleb, sałatę i jajka na  
szynce.

Potem na deser brzoskwinie z puszki.

Następnego ranka ugotowałem ryż i  
zrobiłem pilaw  
z łososiem z puszki, wodorostami i  
grzybami.

W południe zjadłem sernik, który był w  
zamrażalniku,  
i napiłem się mocnej herbaty z mlekiem.

O trzeciej zjadłem lody orzechowe polaną  
Cointreau.

Wieczorem upiekłem kurczaka i popiłem  
zupą Camp-  
beUa.

Znowu tyję.



Dziewiątego dnia koło południa, przyglądając się książkom na półce, zauważyłem, że jeden ze starych tomów musiał być niedawno czytany. Nie był pokryty kurzem tak jak inne i jego grzbiet lekko wystawał z szeregu.

Wyjąłem książkę z półki, usiadłem na kanapie i przewróciłem kartki. Było to *Pochodzenie azjanizmu* wydane w czasie wojny. Papier był bardzo złej jakości i przy przewracaniu kartek rozchodził się zapach pleśni. Pewnie dlatego, że została wydana w czasie wojny, książka była jednostronna i nonsensowna. Ziewałem co dwie, trzy strony. Niektóre słowa były wykreślone i nie było nawet jednej linijki o incydencie 26 lutego\*.

Przestałem czytać i tylko przewracałem strony. Przy końcu zauważyłem kartkę białego papieru. Po długim patrzeniu na pozółkłe stronicie białosc tej kartki wydawała się niezwykła. Na górze napisane było „Informacje dodatkowe”, a pod spodem lista nazwisk, dat i miejsc urodzeń wszystkich znanych i nieznanymi azjanistów. Przeleciałem je wzrokiem i w środku znalazłem nazwisko Szefa. Tego „zaowczonego” Szefa, przez którego tu się znalazłem. Miejsce urodzenia: Hokkaido, Dwanaście Wodospadów.

Odłożyłem książkę na kolana i siedziałem przez chwilę oszołomiony. Dłuższa chwila minęła, zanim myśli ułożyły mi się w słowa. Czuję się tak, jakby nagle ktoś uderzył mnie w tył głowy.

\* Zamach stanu zorganizowany przez  
oficerów frakcji procesarskiej 26 lutego 1936  
roku

370

Powinienem się był wcześniej zorientować. Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że SzeF pochodził z biednej rodziny z Hokkaido, powinienem był to sprawdzić. Choćby nie wiem, jak skutecznie starał się wymazać swoją przeszłość, na pewno jakoś można było to sprawdzić. Ten sekretarz w czarnym garniturze pewnie od razu by się dla mnie tego dowiedział.

Nie, to nie tak.

Potrząsnąłem głową.

Niemożliwe, żeby on tego nie sprawdził. Nie jest taki nieuważny. Na pewno sprawdził wszystkie możliwości, nawet najdrobniejsze szczegóły.

Tak samo jak sprawdził wszystkie możliwości dotyczące moich reakcji i mojego zachowania.

On od początku to wszystko wiedział.

Nie mogło być inaczej. Mimo to specjalnie zadał sobie trud, by mnie przekonać, czy też raczej zastraszyć, i sprwadzić tutaj. Dlaczego? Przecież on mógłby o wiele lepiej wszystko rozegrać niż ja. A jeśli z jakiejś przyczyny musiał mnie do tego wykorzystać, przecież mógł mi od razu powiedzieć, gdzie jest to miejsce.

Powoli zaczynałem trochę rozumieć i ogarnęła mnie złość. Wszystko wydało mi się groteskowe i bezsensowne.

Szczur coś wie. Mężczyzna w czarnym garniturze też coś wie. Tylko ja, niewiedzący prawie nic, znalazłem się w samym środku. W wielu sprawach się myliłem i zrobiłem wiele fałszywych kroków. Oczywiście można by to samo powiedzieć o całym moim życiu. W tym sensie nie





mogłem mieć do nikogo pretensji. Ale w każdym razie nie powinni byli tak mnie wykorzystywać. Wykorzystali mnie, wycisnęli, pokonali i dla mnie nie zostało już prawie nic.

Miałem ochotę rzucić to wszystko i od razu zejść z gór na dół, lecz to było niemożliwe. Za bardzo byłem w całą sprawę wplątany. Najprościej byłoby głośno się rozpłakać, ale nie mogłem też płakać. Wydawało mi się, że czeka mnie jeszcze coś, nad czym naprawdę będę musiał zapłakać.

Poszedłem do kuchni, przyniosłem butelkę whisky i szklaneczkę. Wypiłem pięć centymetrów. Napić się whisky - to jedyne, co przyszło mi do głowy.

»9. Rzeczy, które odbijają się w lustrze, i rzeczy, które nie odbijają się w lustrze

Dziesiątego dnia rano postanowiłem o wszystkim zapomnieć. To, co miałem utracić, już utraciłem.

Podczas mojego porannego biegu po raz drugi spadł śnieg. Najpierw marznący deszcz zmienił się w deszcz ze śniegiem, a potem w nieprzezroczysty śnieg. Nie taki lekki jak poprzednio, ale nieprzyjemny, oblepiający ciało śnieg. Przerwałem bieg w połowie, wróciłem do domu i nagrzałem wody na kąpiel. Czekając na wodę, usiadłem przed piecykiem, lecz nie udało mi się rozgrzać. Zimno przeniknęło mnie do szpiku kości. Zdjąłem rękawiczki,

ale nie mogłem zgiąć palców, a uszy  
strasznie mnie

372

piekły, tak jakby za chwilę miały odpaść.  
Skórę miałem  
chropowatą jak złej jakości papier.

Rozgrzało mnie dopiero pół godziny w  
gorącej wodzie  
i herbata z brandy, ale jeszcze przez dwie  
godziny co pewien  
czas wstrząsał mną dreszcz. To taka jest  
zima w górach.

Śnieg sypał aż do wieczora i pokrył białą  
całą łąkę.  
Kiedy nocna ciemność spowiała okolice,  
śnieg przestał  
padać i nastąpiła gęsta jak mgła cisza.  
Nastawiłem adapter,  
tak by ciągle powtarzał tę samą piosenkę, i  
dwadzieścia  
sześć razy wysłuchałem *White Christmas* w  
wykonaniu  
Binga Crosby'ego.

Oczywiście śnieg nie gromadził się na  
dobrze. Tak jak  
przepowiedział Człowiek-Owca, do pory,  
kiedy zamarza  
ziemia, było jeszcze trochę czasu.  
Następnego dnia  
wypogodziło się i dawno niewidziane słońce  
zaczęło  
niespiesznie stapiać śnieg. Na łące pozostały  
już tylko  
nieliczne białe plamy i lśniły oślepiająco,  
odbijając światło.  
Śnieg, który leżał na mansardowym dachu,  
zlepił się  
w jedną całość, ześlizgnął po pochyłości,  
głośno uderzył  
o ziemię i rozpadł się na kawałeczki. Za  
oknem z okapów  
spadały krople topniejącego śniegu.  
Wszystko lśniło. Na  
każdym liściu dębu błyszczały kropelki  
wody.

Z rękami w kieszeniach stałem w oknie i  
przyglądałem  
się temu. Wszystko rozwijało się bez żadnego  
związku ze  
mną. Bez związku z moim istnieniem,  
bez związku

z czymkolwiek istnieniem, życie płynie  
dalej. Śnieg  
pada, potem topnieje.

Słuchając topniejącego i rozpadającego się śniegu, sprzątałem dom. Z powodu śniegu czułem się rozleniwiony, a ponieważ formalnie biorąc, sam się wprosiłem do tego domu, powinienem przynajmniej sprzątać. Poza tym dosyć lubię gotowanie i sprzątanie.

Ale sprzątnięcie dużego domu okazało się trudniejsze, niż przypuszczałem. Łatwiej było nawet przebiec dziesięć kilometrów. Omiotłem wszystkie kąty, odkurzyłem wielkim odkurzaczem, przetrąłem drewnianą podłogę wilgotną szmatką, a potem wypastowałem. W połowie zabrakło mi tchu. Jednak ponieważ przestałem palić, ten brak tchu nie był nieprzyjemny. Nie taki, jakby coś utkwiło w gardle. Napilem się w kuchni zimnego soku z winogron i kiedy oddech mi się uspokoił, skończyłem podłogę, zanim minęło południe. Otworzyłem wszystkie okiennice, a wtedy dzięki wywoskowanej podłodze cały pokój zabłysnął. Dawno zapomniany zapach wilgotnej ziemi i pasty tworzyły bardzo przyjemną mieszankę.

Uprałem sześć szmatek, których używałem do pastowania, i wywiesiłem, by wyschły. Potem ugotowałem spaghetti. Dodałem do niego ikrę dorsza, dużo masła, białe wino i sos sojowy. Od dawna nie jadłem takiego przyjemnego, spokojnego południowego posiłku. Z pobliskiego lasu dobiegło stukanie dziecięcia.

Uporałem się ze spaghetti, zmyłem naczynia i zabrałem się do dalszego sprzątania.

Wyszorowałem wannę,  
umywalkę, muszlę klozetową i  
wypolerowałem meble.  
Ponieważ Szczur o nie dbał, nie były  
bardzo brudne

374

i udało mi się ładnie je wypolerować przy  
użyciu jakiegoś  
środka w aerozolu. Potem wyciągnąłem na  
dwór długi  
gumowy wąż i umyłem od zewnątrz szyby i  
okiennice.  
Wróciłem do domu, umyłem okna od środka  
i na tym  
zakończyłem sprzątanie. Pozostałe dwie  
godziny do  
wieczora spędziłem, słuchając płyt.

Wieczorem postanowiłem pójść do pokoju  
Szczura po  
jakąś nową książkę i zauważyłem, że stojące  
u podnóża  
schodów wielkie lustro jest strasznie brudne.  
Przetarłem je  
szmatką zamoczoną w płynie do czyszczenia  
szkła. Wycie-  
rałem i wycierałem, lecz brud nie schodził.  
Nie wiedzia-  
łem, dlaczego Szczur doprowadził lustro do  
takiego stanu.  
Nalałem do wiadra ciepłej wody i  
wyszorowałem lustro  
plastikowym zmywakiem. Starłem w ten  
sposób tłusty  
brud i potem wytarłem do sucha szmatką.  
Lustro było tak  
brudne, że woda w wiadrze zrobiła się  
zupełnie czarna.

Wyglądało na stare, otaczała je ozdobna  
drewniana  
rama. Musiało być wysokiej jakości, bo po  
wytarciu nie  
pozostała na nim nawet plamka. Nie było  
żadnych nierów-  
ności ani rys i cała moja postać od stóp do  
głowy odbijała się  
wyraźnie. Przez chwilę stałem przed lustrem i  
przyglądałem  
się swojemu odbiciu. Nie zobaczyłem nic  
niezwykłego. Ja,  
jak to ja, miałem swoją zwykłą, niewyraźną  
minę. Tylko to  
odbicie jakoś nadmiernie wyraźne. Brakowało  
mu zwykłej  
płaskości lustrzanego odbicia. Nie wydawało  
się, że oglą-

dam swoje odbicie w lustrze, tylko że ja jestem  
lustrzanym  
odbiciem, i ja - płaskie lustrzane odbicie -  
patrzę na  
prawdziwego mnie. Podniosłem prawą rękę i  
otarłem usta



wierzchem dłoni. Ten drugi w lustrze zrobił  
dokładnie to samo. Ale może to ten w lustrze to zrobił, a  
ja tylko po nim powtórzyłem. Nie miałem pewności,  
czy naprawdę otarłem usta z własnej wolnej woli, czy nie.  
Pamiętając o słowach „wolna wola”,  
złapałem się za ucho kciukiem i palcem wskazującym lewej  
ręki. Ten drugi ja w lustrze zrobił dokładnie to samo. On też  
wyglądał tak, jakby próbował pamiętać o słowach „wolna  
wola”.  
Zrezygnowałem i odszedłem od lustra. On  
też, tak jak się spodziewałem, oddalił się.

Dwunastego dnia po raz trzeci spadł śnieg.  
Kiedy się obudziłem, już sypało. To był strasznie cichy  
śnieg. Ani twardy, ani mokry. Wirując w powietrzu,  
spadał wolno z nieba i topniał, zanim zdążył się  
nagromadzić. Taki cichy śnieg, który powoduje, że człowiek  
przymyka oczy.

Wyciągnąłem ze schowka starą gitarę, z  
trudem nastroiłem i spróbowałem zagrać pewną  
melodię z dawnych czasów. Ćwiczyłem tak, słuchając *Air  
Mail Special* Benny Goodmana, i zanim się  
zorientowałem, już było południe. Pomiędzy kromki domowego  
chleba, który już nieco szczerstwiało, włożyłem gruby plaster  
szynki i popiłem to piwem.

Ćwiczyłem grę na gitarze przez kolejne  
pół godziny, gdy zjawiał się Człowiek-Owca. Śnieg ciągle  
cicho sypało.

- Jeśli przeszkadzam, to przyjdę kiedy  
indziej - po-

wiedział, stając w otwartych drzwiach.

376

- Nie, nie. Nudzę się - odparłem,  
odkładając -gitare  
na podłogę.

Tak jak poprzednio Człowiek-Owca zdjął  
buty, otrzepał  
z nich błoto i wszedł do domu. W śniegu  
wydawało się,  
że owczy kostium bardzo dobrze na nim  
leży. Usiadł na  
kanapie naprzeciw mnie, oparł się o poręcz i  
parę razy  
poruszył się niespokojnie.

- Jeszcze tym razem się nie zgromadzi? -  
zapytałem.

- Jeszcze się nie zgromadzi -  
odpowiedział. - Jest  
taki śnieg, co się gromadzi, i taki, co się nie  
gromadzi.

Ten jest z tych, co się nie gromadzi.

- Aha.

- Taki, co się gromadzi, będzie w  
przyszłym tygodniu.

- Napijesz się piwa?

- Dziękuję, ale jeśli można, wolałbym  
brandy.

Poszedłem do kuchni, przygotowałem  
butelkę brandy

dla niego, piwo dla siebie i zaniósłem do  
pokoju razem  
z kanapkami z serem.

- Grałeś na gitarze, co? - zapytał, jakby to  
go intereso-  
wało. - Ja też lubię muzykę. Ale na  
instrumentach nie gram.

- Ja też nie. Już z dziesięć lat nie grałem.

- Nie szkodzi, zagraj coś, dobrze?

Aby nie popsuć humoru Człowiekowi-  
Owcy, zagrałem  
melodię *Air Mail Special*, potem zaśpiewałem  
refren, coś tam  
zaimprovizowałem, ale pomyliły mi się progi  
i przestałem.

- Bardzo dobrze - pochwalił całkiem  
poważnie Czło-  
wiek-Owca. - Pewnie przyjemnie jest  
umieć grać na  
instrumencie?



- Jak ktoś umie dobrze grać. Ale żeby dobrze grać, trzeba mieć słuch.

- Naprawdę? - powiedział Człowiek-Owca. - Nalał sobie brandy do szklaneczki i powoli popijał, a ja otworzyłem puszkę piwa i napiłem się prosto z niej. - Nie udało mi się przekazać twojej wiadomości - oznajmił.

W milczeniu skinąłem głową.

- Przyszedłem ci to powiedzieć.

Spojrzałem na kalendarz na ścianie. Do terminu, który oznaczyłem czerwonym flamastrem, zostały już tylko trzy dni. Ale praktycznie mogłoby też to być dzisiaj.

- Sytuacja się zmieniła - powiedziałem.

- Jestem wściekły. Nigdy jeszcze nie byłem taki wściekły.

Człowiek-Owca milczał ze szklaneczką brandy w ręce.

Chwyciłem gitarę i zdecydowanie uderzyłem nią o obmurowanie kominka. Rozległ się nieharmonijny dźwięk i tył gitary rozleciał się na drobne kawałki. Człowiek-Owca poderwał się z kanapy. Jego uszka drżały.

- Ja też mam prawo się zezłościć - powiedziałem.

Miałem wrażenie, że mówię to sam do siebie. Ja też mam prawo się zezłościć.

- Przykro mi, że nie mogę nic dla ciebie zrobić. Ale chciałbym, żebyś wiedział, że cię lubię.

Przez chwilę obaj wpatrywaliśmy się w padający śnieg.

Był tak miękki, że wyglądał jak strzępy chmur spadających z nieba.

Poszedłem do kuchni przynieść więcej piwa. Kiedy przechodziłem obok schodów, spojrzałem w

lustr. Ten

378

drugi ja też był w drodze po piwo.  
Spojrzeliśmy na siebie  
i westchnęliśmy. Mieszkamy w różnych  
światach, ale  
myślimy o tych samych rzeczach. Zupełnie  
jak Groucho  
i Harpo Mara w filmie *Kacza zupa*.

Z tyłu za mną odbijał się pokój. Albo z tyłu  
za nim był  
pokój. Pokój za mną i pokój za nim były  
takie same.

Kanapa, dywan, zegar, obrazy, półka z  
książkami, wszyst-  
ko było identyczne. Może nie w bardzo  
dobrym guście,  
ale przytulny, miły pokój. Jednak coś się nie  
zgadzało.

Albo wydawało mi się, że coś się nie  
zgadza.

Wyjąłem z lodówki nową, niebieską  
puszkę loewen-  
brau i wracając, jeszcze raz spojrzałem na  
pokój w lustrze,  
a potem na prawdziwy pokój. Człowiek-  
Owca dalej  
siedział na kanapie i gapił się na śnieg.

Poszukałem w lustrze Człowieka-Owcy,  
lecz w lustrze  
go nie było. W pustym pokoju stała kanapa.  
W świetle  
po drugiej stronie lustra byłem sam. Po  
plecach przeszło  
mi mrowie.

- Błady jesteś - powiedział Człowiek-  
Owca.

Usiadłem na kanapie, nic nie mówiąc,  
otworzyłem  
puszkę i wypłem łyk piwa.

- Pewnie się przeziębiesz. Jak ktoś  
nieprzyzwyczajony,  
to tutejsza zima jest bardzo zimna. I  
powietrze jest  
wilgotne. Lepiej połóż się wcześniej spać.

- Nie - powiedziałem. - Dzisiaj nie będę  
się kładł.

Będę tu czekał na przyjaciela.





- Wiesz, że dzisiaj przyjdzie?
- Wiem - odparłem. - Przyjdzie tu dziś wieczorem

Odziesiątej.

Człowiek-Owca przyglądał mi się w milczeniu. Jego oczy widoczne w otworach maski nic nie wyrażały.

- Dziś wieczorem się spakuję, a jutro odejdę. Jeśli go zobaczysz, powiedz mu to. Choć myślę, że pewnie nie ma takiej potrzeby.

Człowiek-Owca przytaknął, tak jakby się zgadzał.

- Smutno mi będzie, jak stąd odejdiesz, ale pewnie nie ma innej rady. A czy mogę sobie wziąć kanapkę z serem?

- Proszę.

Zawinał kanapkę w serwetkę, wsunął do kieszeni

I nałożył rękawiczki.

- Mam nadzieję, że uda ci się z nim spotkać - powiedział, odchodząc.

- Uda mi się - odparłem.

Człowiek-Owca odszedł ku wschodniemu krańcowi łąki. Wkrótce spowiła go biała szata śniegu. Zrobiło się bardzo cicho.

Wlałem do jego szklaneczki dwa centymetry brandy i wypilem jednym haustem. Zapiekło mnie w gardle, a po chwili w żołądku. Po jakichś trzydziestu sekundach przestałem się trząść. Tykanie zegara spotęgowało się i dudniło mi w głowie.

Pewnie powinienem się przespać.

Przyniosłem sobie z góry koc i położyłem się na kanapie. Byłem zmęczony jak dziecko po trzydniowym

błądzeniu po lesie. Usnąłem natychmiast po zamknięciu  
oczu.

Miałem nieprzyjemny sen. Bardzo nieprzyjemny, tak nieprzyjemny, że nawet nie mogłem go sobie przypomnieć.

## 10. I tak mija czas

Ciemność jak oliwa wlewała mi się do uszu. Ktoś próbował rozbić młotkiem zmarzniętą skorupę ziemi. Młotek uderzył o ziemię dokładnie osiem razy. Ziemia nie pękła. Tylko gdzieniegdzie powstały rysy.

Ósma, ósma wieczorem.

Potrząsałem głową, próbując się obudzić. Cały ścierpłem i rozboleła mnie głowa. Czuję się tak, jakby ktoś wrzucił mnie razem z kostkami lodu do shakera i gwałtownie potrząsał. Nie ma nic bardziej nieprzyjemnego od obudzenia się w ciemności. Wydaje się wtedy, że trzeba wszystko robić od początku. Zaraz po obudzeniu ma człowiek wrażenie, że żyje życiem kogoś innego. Mija dłuższa chwila, zanim życie to nałoży się na własne życie. To bardzo dziwne uczucie patrzeć na swoje własne życie jak na życie kogoś innego. Wydaje się nawet niemożliwe, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Polałem głowę wodą z kranu w kuchni i przy okazji wypilem dwie szklanki wody. Woda była zimna jak lód,



ale twarz nadal mnie paliła. Znowu usiadłem,  
na kanapie  
i siedząc pośród ciemności i ciszy, po trochu  
zbierałem  
kawałki swojego życia. Nic specjalnego nie  
udało mi się  
zebrać, ale przynajmniej było to moje własne  
życie. Powoli  
przychodziłem do siebie. Nie umiem dobrze  
wyjaśnić, że  
ja to ja, a przy tym to pewnie i tak nikogo nie  
interesuje.

Wydawało mi się, że ktoś mi się  
przygląda, ale  
specjalnie mi to nie przeszkadzało. Jak  
człowiek siedzi  
sam w dużym pokoju, to często ma takie  
wrażenie.

Zacząłem myśleć o komórkach. Tak jak  
powiedziała  
moja żona, w końcu wszystko się traci. Traci  
się nawet  
samego siebie. Przycisnąłem dłonią policzek.  
Twarz, którą  
w ciemności wyczuwała moja ręka, nie  
wydawała się  
moją twarzą. Raczej twarzą kogoś obcego,  
kto nosi moją  
twarz. Nawet wspomnienia stały się  
niepewne. Nazwy  
wszystkich rzeczy stopniały i rozplływały się  
w ciemności.

Zegar wybił pół do dziewiątej. Śnieg  
przestał padać,  
ale niebo ciągle pokrywała gruba warstwa  
chmur. Było  
zupełnie ciemno. Przez długi czas siedziałem  
na kanapie,  
obgryzając paznokieć kciuka. Nie widziałem  
nawet wyraź-  
nie własnej ręki. Ponieważ przedtem  
wyłączyłem piecyk,  
w pokoju było bardzo zimno. Zawinąłem  
się w koc  
i wpatrywałem się w ciemność. Wydawało  
mi się, że  
siedzę skulony na dnie głębokiej studni.

Czas płynął. Ziarenka ciemności rysowały  
przedziwne

wzory na mojej siatkówce. Po chwili  
bezszelestnie się  
rozpadały i zastępowały je nowe wzory. W tej  
przestrzeni  
nieruchomej jak rtęć poruszała się jedynie  
ciemność.

Przestałem myśleć i poddałem się  
upływowi czasu.  
Czas opływał mnie dookoła. Nowa ciemność  
narysowała  
nowe wzory.

Zegar wybił dziewiątą. Kiedy ciemność  
pochłonęła  
ostatnie uderzenie, milczenie wcisnęło się  
za nim przez  
tę samą szparę.

- Czy mogę teraz mówić? - zapytał

Szczur.

- Możesz - odpowiedziałem.

## 11. Mieszkańcy ciemności

- Możesz - powiedziałem.

- Przyszedłem godzinę wcześniej, niż  
byliśmy umó-

wieni - powiedział Szczur przepraszająco.

- Nie szkodzi. Jak widzisz, nie mam nic  
do roboty.

Szczur zaśmiał się cicho. Znajdował się z  
tyłu za mną.

Miałem wrażenie, jakbyśmy siedzieli  
plecami do siebie.

- Zupełnie jak dawniej - powiedział  
Szczur.

- Pewnie możemy szczerze rozmawiać,  
tylko kiedy

obaj mamy za dużo czasu - powiedziałem  
ja.

- Na to wygląda.

Szczur uśmiechnął się. Nawet w zupełnej  
ciemności,  
siedząc do niego plecami, wiedziałem, że się  
uśmiecha.

Można poznać wiele rzeczy tylko po lekkiej  
zmianie

powietrza i nastroju. Kiedyś byliśmy  
przyjaciółmi. To

było tak dawno, że już prawie nie  
pamiętam.

- Ale ktoś powiedział, że przyjaciele, z którymi zabijamy czas, to właśnie prawdziwi przyjaciele - odezwał się Szczur.

- To przecież ty powiedziałeś.  
- Jak zawsze szybko się orientujesz.  
Zgadza się.

Westchnąłem.

- Jednak w tym całym zamieszaniu orientowałem się wyjątkowo powoli. Tak wolno, że myślałem, iż mnie szlag trafi. Mimo że dałeś mi tyle wskazówek.

- Nie ma rady. I tak nieźle sobie poradziłeś.

Umilkliśmy. Wydawało mi się, że Szczur przygląda się swoim dłoniom.

- Narobiłem ci dużo kłopotu - powiedział.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Ale nie było innego sposobu. Nie było nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Tak jak napisałem w liście.

- Chciałbym cię o to zapytać. Inaczej nic z tego nie zrozumie.

- Oczywiście - powiedział Szczur. - Oczywiście, że ci wszystko powiem. Ale przedtem napijmy się piwa.

Chciałem wstać, lecz Szczur mnie powstrzymał.

- Ja przyniosę - powiedział. - Przecież to w końcu mój dom.

Skierował się do kuchni, pewnie stawiając kroki w zupełnej ciemności. Słuchając, jak wyciąga z lodówki zgrzewkę piw, zamknąłem i znowu otworzyłem oczy.

Kolor ciemności w pokoju był trochę inny niż kolor ciemności po zamknięciu oczu.





Szczur wrócił i postawił na stole kilka puszek piwa.

Po omacku sięgnąłem po jedną, otworzyłem i wypilem do połowy.

- Jak nic nie widać, to nie smakuje jak piwo - powiedziałem.

- Przepraszam cię, ale musi być ciemno.

Milczeliśmy przez chwilę, pijąc.

- A więc - powiedział Szczur i odchrząknął.

Odstawiłem pustą puszkę na stół, zawiąłem się

w koc i czekałem, aż zacznie mówić. Lecz nie odzywał

się. Słyszałem tylko, jak potrząsa puszką, starając się

sprawdzić, czy na pewno jest już pusta.

Zawsze miał

taki nawyk.

- A więc - powtórzył Szczur. Potem dopił jednym

haustem resztkę piwa i z lekkim stuknięciem odstawił

puszkę na stół. - Zacznę od tego, dlaczego tu przyjecha-

łem. Dobrze?

Nie odpowiedziałem. Upewniwszy się, że nie mam

zamiaru odpowiedzieć, Szczur ciągnął dalej.

- Mój ojciec kupił ten teren w pięćdziesiątym trzecim

roku. Miałem wtedy pięć lat. Nie wiem, dlaczego kupił

ziemię w takim miejscu. Myślę, że pewnie udało mu się

tanio odkupić dzięki kontaktom z armią amerykańską.

Jak sam wiesz, tu jest bardzo ciężko z transportem, i o ile

latem jeszcze można sobie jakoś poradzić, gdy spadnie

śnieg, praktycznie nie da się tu mieszkać. Armia okupacyj-

na miała zamiar naprawić drogę i wykorzystać to miejsce

na stację radarową czy coś takiego, ale kiedy oszacowali



związane z tym kłopoty i koszty,  
zrezygnowali. A mias-  
teczko też jest biedne, więc na pewno nie  
zabierze się do  
budowy drogi. Poza tym przebudowanie  
drogi na nic by  
się im nie zdało. Dlatego ten teren został  
porzucony  
i zapomniany.

- A Owczy Profesor nie chciał tu wrócić?

- On mieszka w swych wspomnieniach.

Nie chce  
donikąd wracać.

- Może i tak - powiedziałem.

- Napij się więcej piwa - rzekł Szczur.

Powiedziałem, że nie mam ochoty.

Ponieważ piecyk

był wyłączony, byłem przemarznięty do  
szpiku kości.

Szczur otworzył sobie kolejną puszkę i  
napił się.

- Ojcu się tu bardzo podobało. Sam  
trochę naprawił  
drogę i doprowadził dom do porządku.

Myślę, że sporo

go to kosztowało. Ale dzięki temu

przynajmniej latem,

jeśli tylko miało się samochód, można tu

było zupełnie

nieźle żyć. Ogrzewanie, splukiwana

toaleta, prysznic,

telefon, awaryjny generator. Zupełnie sobie

nie wyob-

rażam, jak Owczy Profesor mógł tu

mieszkać.

Szczur wydał jakiś dźwięk pomiędzy  
czkawką a wes-  
tchnieniem.

- Od pięćdziesiątego piątego do około  
sześćdziesiątego

trzeciego przyjeżdżaliśmy tu każdego lata.

Rodzice, starsza

siostra, ja i dziewczyna do pomocy. Jak się

zastanowić,

to były najnormalniejsze lata w moim życiu.

Wtedy, tak

jak zresztą i teraz, wynajmowaliśmy

pastwisko miejskiej

owczarni i latem było tu pełno owiec.

Wszędzie owce.

386

Dlatego moje wspomnienia z letnich wakacji zawsze łączą się z owcami.

Nie wiedziałem, jak to jest, kiedy się ma dom letniskowy. Pewnie nigdy się nie dowiem.

- Ale mniej więcej od połowy lat sześćdziesiątych nasza rodzina przestała tu przyjeżdżać. Kupiliśmy drugi dom letniskowy bliżej domu, siostra wyszła za męża, moje stosunki z rodzicami nie były najlepsze, firma ojca miała przejściowe trudności, różne były przyczyny. I w ten sposób ten teren został porzucony po raz drugi. Ostatni raz przyjechałem tu w sześćdziesiątym siódmym. Wtedy przyjechałem sam. I sam spędziłem tu miesiąc.

Szczur umilkł na chwilę, jakby coś sobie przypomniał.

- Nie czułeś się samotny? - zapytałem.

- Wcale nie. Gdybym mógł, zostałbym tu na stałe.

No, ale to było niemożliwe. Przecież to był dom mojego ojca. Nie chciałem mu nic zawdzięczać.

- Teraz przecież nadal tak jest.

- Tak - powiedział Szczur. - Dlatego miałem zamiar nigdy tu nie przyjeżdżać. Ale kiedy w hotelu Pod Delfinem w Sapporo zobaczyłem zdjęcie tej łąki, nagle zachciało mi się choć rzucić na nią okiem. Ze względów sentymentalnych. Tobie na pewno też się to zdarza.

- Uhm - powiedziałem i przypomniałem sobie zasypane morze.

- Wtedy usłyszałem też opowieść Owczego Profesora.

Opowieść o owcy ze snu, która miała na grzbiecie łąkę w kształcie gwiazdy. Wiesz o tym, prawda?



- Wiem.  
- Resztę opowiem ci w skrócie -  
powiedział Szczur.  
- Po usłyszeniu tej opowieści nagłe  
zachciało mi się  
spędzić tu zimę. Nie mogłem się pozbyć tej  
myśli. Nie  
przejmowałem się już ojcem i tak dalej.  
Zrobiłem więc  
odpowiednie przygotowania i przyjechałem  
tutaj. Tak  
jakby mnie coś tu ściągnęło.  
- I potem spotkałeś tę owcę?  
- Zgadza się - powiedział Szczur. - Bardzo  
ciężko mi  
mówić o tym, co było później. Myślę, że  
choćbym nie  
wiedział ci tłumaczył, nie zrozumiesz, jak  
mi ciężko.  
Ścisnął w palcach drugą, pustą już puszkę  
po piwie.  
- Czy mógłbyś raczej zadawać mi pytania?  
Już chyba  
mniej więcej wiesz, o co chodzi.  
W milczeniu skinałem głową.  
- Będę pytał nie po kolei. Nie masz nic  
przeciwko  
temu?  
- Nie.  
- Ty już nie żyjesz, prawda?  
Szczur nie odpowiadał straszliwie długo.  
Może było to  
tylko kilka sekund, ale mnie wydawało się  
straszliwie  
długą ciszą. Poczulem suchość w gardle.  
- Tak - powiedział cicho Szczur. -  
Umarłem.

## 12. Szczur nakręca zegar

- Powiesiłem się na belce w kuchni - powiedział Szczur.
- Człowiek-Owca pochował mnie obok garażu.

Umieranie

nie było takie straszne. Mówię to, bo może cię to martwi.

Ale to naprawdę nie jest takie ważne.

- Kiedy?
- Tydzień przed twoim przybyciem tutaj.
- Wtedy nakręciłeś zegar?

Szczur się roześmiał.

- To bardzo dziwne, prawda? Ostatnia, najostatniejsza rzecz, jaką człowiek robi po trzydziestoletnim życiu, to nakręcanie zegara. Dlaczego ktoś, kto ma zaraz umrzeć, nakręca zegar? Bardzo dziwne.

Kiedy umilkł, w pokoju zrobiło się bardzo cicho.

Słyszeć było jedynie tykanie zegara. Śnieg pochłaniał

wszystkie inne dźwięki. Czuję się tak, jakbyśmy tylko

my dwaj pozostali w całym wszechświecie.

- Gdyby...

- Przestań - przerwał mi Szczur. - Nie ma już żadnego

„gdyby”. Ty też powinieneś już to wiedzieć, prawda?

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem.

^ Nawet gdybyś przyjechał tu tydzień wcześniej, i tak

musiałbym umrzeć. Może spotkalibyśmy się w jaśniejszym i cieplejszym miejscu. Ale i tak nic

by to nie zmieniło. Nie zmieniłoby tego, że musiałem umrzeć.

Byłoby tylko ciężiej. I ja pewnie nie mógłbym tego znieść.



- Dlaczego musiałeś umrzeć?  
W ciemności usłyszałem dźwięk pocieranych o siebie dłoni.

- Wolałbym o tym nie mówić. Zacząłbym się wtedy usprawiedliwiać. Nie uważasz, że nie ma nic bardziej żalosnego niż nieboszczyk, który się usprawiedliwia?

- Ale jeśli ty mi nie powiesz, to się nie dowiem.

- Napij się więcej piwa.

- Zimno mi - powiedziałem.

- Już nie jest tak zimno.

Drżącymi rękami otworzyłem puszkę i wypłem łyk.

Gdy zacząłem pić, okazało się, że rzeczywiście nie było już tak zimno.

- Powiem ci krótko. Ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz.

- Nawet jeśli bym powiedział, to kto mianowicie miałby mi uwierzyć?

- Też prawda - zaśmiał się Szczur. - Na pewno nikt by ci nie uwierzył. To taka szalona historia.

- Zegar wybił pół do dziesiątej.

- Czy mogę zatrzymać zegar? - zapytał Szczur. - Strasznie hałasuje.

- Oczywiście. To twój zegar.

Szczur wstał, otworzył drzwiczki zegara i zatrzymał wahadło. Wszystkie dźwięki i czas zniknęły z powierzchni ziemi.

- Krótko mówiąc, umarłem z owcą wewnątrz - powiedział Szczur. - Poczekaj, aż głęboko zaśnie, zawią-

załem linę wokół belki w kuchni i powiesiłem się. Nie miała kiedy uciec.

- Naprawdę musiałeś to zrobić?

- Naprawdę musiałem. Jeśli jeszcze trochę bym poczekał, owca zawładnęłaby mną całkowicie. To była moja ostatnia szansa.

Szczur ponownie potarł dłonie o siebie.

- Chciałem się z tobą spotkać jako prawdziwy ja. Ja z moimi wspomnieniami i słabościami. I dlatego też wysłałem ci to zaszyfrowane zdjęcie. Myślałem, że jeżeli uda mi się jakimś przypadkiem cię tu ściągnąć, będę w końcu uratowany.

- No i zostałeś uratowany?

- Tak - powiedział Szczur cicho.

- Punktem wyjścia jest słabość. Od niej wszystko się zaczyna. Ty na pewno tej słabości nie rozumiesz.

- Wszyscy ludzie są słabi.

- To jest teoria ogólna - powiedział Szczur i kilka razy strzelił palcami. - Z takimi ogólnymi teoriami do niczego się nie dojdzie. Ja mówię teraz o sprawach bardzo osobistych.

Milczałem.

- Słabość to coś, co gnije w nas w środku jak gangrena. Czuję to ciągle, od czasu gdy miałem mniej więcej piętnaście lat. Dlatego zawsze byłem zirytowany. Czy wiesz, jakie to uczucie, gdy w środku coś nieuchronnie gnije i człowiek sam to czuje?

Milczałem, owijając się kocem.

- Pewnie nie wiesz - ciągnął Szczur. - Nie masz tego w sobie. No, w każdym razie na tym właśnie polega słabość. Zupełnie jak dziedziczna choroba, nawet jeśli o niej wiemy, nie możemy sami się wyleczyć. Nie mija sama, tylko ciągle się pogarsza. -

- Jakiego rodzaju to słabość?

- Każdego rodzaju. Słabość moralna, słabość sumienia, słabość samego istnienia.

Zaśmiałem się. Tym razem mi się udało.

- Ale jeśli tak na to patrzysz, to każdy człowiek jest słaby.

- Mówiłem ci już, nie bawmy się w ogólne teorie! Oczywiście, że każdy człowiek ma jakąś słabość, jednak prawdziwa słabość jest równie rzadka co prawdziwa siła. Nie znasz słabości, która nieustannie wciąga człowieka w ciemność. I nie wiesz, że coś takiego na świecie istnieje. Nie da się wszystkiego wytłumaczyć ogólnymi teoriami.

Milczałem.

- Dlatego właśnie wyjechałem wtedy z miasta. Nie chciałem, by ludzie byli świadkami mojego dalszego upadku. Mówię też o tobie. A jeśli samemu się wędruje po nieznanych stronach, to przynajmniej nie sprawia się nikomu kłopotu. I w końcu... - powiedział Szczur i na chwilę zatonął w ponurym milczeniu. - I w końcu także z powodu tej słabości nie udało mi się uciec od widma owcy. Nie mogłem nic na to poradzić. Nawet jeśli od razu wtedy byś przyjechał, pewnie i tak nic bym na to nie poradził. Nawet jeżeli zdecydowałbym

się i zszedł

392

z gór, byłoby tak samo. Pewnie znowu bym tu wrócił. Na tym'właśnie polega słabość.

- Czego chciała od ciebie owca?

- Wszystkiego. Wszystkiego od początku do końca.

Mojego ciała, moich wspomnień, mojej słabości, moich sprzeczności... Ona bardzo lubi takie rzeczy.

Ma mnóstwo

czułek. Wprowadzała je do moich uszu, dziurek od

nosa i jak przez słomkę wszystko ze mnie wysysała.

Pewnie sama myśl o tym cię przeraża?

- A w zamian za to? "

- Coś zbyt wspaniałego dla mnie. Co prawda owca mi

tego w pełnej formie nie pokazała.

Widziałem jedynie

małeńki fragment. Ale i tak...

Umilkł.

- Ale i tak zostałem pokonany. Tak, że nie umiałem

się z tego wyplątać. Trudno mi to opisać słowami. To

jakby taki tygiel, który wszystko

pochłania. Jest tak

piękny, że tracisz głowę, i tak pełen zła, że włosy stają

dęba. Jeśli się w nim zanurzysz, wszystko inne znika.

Świadomość, system wartości, uczucia, troski, wszystko

znika. Przypomina to dynamizm tamtej chwili, kiedy

z pewnego punktu we wszechświecie

wyłoniło się źródło

wszelkiego życia.

' - Ale ty to odrzuciłeś?

- Tak. Wszystko zostało pogrzebane razem z moim

ciałem. I trzeba zrobić jeszcze tylko jedną rzecz, by

zostało pogrzebane na wieki.

- Jedną rzecz?

- Tak, jedną rzecz. Potem cię o to poproszę. Ale na razie zostawmy to.

Napiliśmy się piwa. Powoli się rozgrzewałem.

- Ten krwiałak działa tak jak bat, prawda? - zapytałem.

- By owca mogła kierować człowiekiem, w którym zamieszkała.

- Zgadza się. Jak się uformuje, nie można już uciec od owcy.

- Co właściwie chciał osiągnąć Szef?

- On był szalony. Na pewno nie wytrzymał widoku owego tygla. Posługując się nim, owca stworzyła olbrzymi system władzy. Po to w nim zamieszkała. Po wykorzystaniu był do wyrzucenia, jak produkt jednorazowego użytku. Pod względem umysłowym ten człowiek jest zerem.

- A po śmierci Szefa miała zamiar wykorzystać ciebie do przejęcia władzy nad tą organizacją, tak?

- Tak.

- A co miało być potem?

- Królestwo, w którym panowałyby całkowita anarchia pojęciowa. Wszystkie przeciwieństwa by się tam ujednoliciły. A w centrum bylibyśmy ja i owca.

- Dlaczego to odrzuciłeś?

Czas się zatrzymał. A na ten nieruchomy czas bezszelestnie opadał śnieg.

- Lubię swoją słabość. Lubię też cierpienie i ból. Letnie światło, zapach wiatru, głosy cykad, lubię to wszystko. Strasznie lubię. Piwo, które piję razem z tobą...

- Szczur nie dokończył. - Och, nie wiem.

Szukałem odpowiednich słów, ale bez skutku. Owi-  
nięty w koc wpatrywałem się w ciemność.

- Wygląda na to, że zrobiliśmy zupełnie  
różne rzeczy

z dokładnie tych samych materiałów -  
powiedział Szczur.

- Czy ty wierzysz, że świat będzie lepszy?

- A czy ty wiesz, co jest dobre, a co złe?

Szczur się roześmiał.

- Gdyby istniało królestwo teorii  
ogólnych, na pewno  
zostałbyś jego władcą.

- Jako człowiek bezowczy.

- Tak, jako bezowczy - Szczur  
dokończył trzecią

puszkę piwa i z brzękiem postawił ją na  
podłodze.

- Powinieneś jak najszybciej zejść na  
dół, zanim

śnieg odetnie ci drogę. Chyba nie chcesz  
spędzić zimy

w takim miejscu? Pewnie za jakieś  
cztery, pięć dni

zacznie się gromadzić śnieg, a zamarznęta  
górska droga

to też nie przelewki.

- A ty co potem zrobisz?

Szczur zaśmiał się wesoło w ciemności.

- Dla mnie już nie ma żadnego „potem”.

Ja po prostu

zniknę po zimie. Nie wiem, jak długa będzie  
ta zima, no

ale zima to zima. Cieszę się, że mogłem  
się z tobą

spotkać. Wołałbym się co prawda spotkać  
w jakimś

jaśniejszym i cieplejszym miejscu.

- Jay kazał cię pozdrowić.

- Pozdrów go ode mnie, dobrze?

- Z nią też się widziałem.

- Co u niej słyhać?

- W porządku. Ciągłe pracuje w tej samej firmie.

- To znaczy, że jeszcze nie wyszła za mąż?

- Nie - odparłem. - Chce cię zapytać, czy to już koniec, czy nie?

- Koniec - powiedział Szczur. - Mimo że sam nie umiałem tego skończyć, już koniec. Moje życie nie miało żadnego sensu. Choć gdyby posłużyć się jedną z twoich ulubionych teorii ogólnych, można powiedzieć, że niczyje życie nie ma sensu, prawda?

- Tak - powiedziałem. - Mam na koniec jeszcze dwa pytania.

- Słucham.

- Pierwsze dotyczy Człowieka-Owcy.

- Człowiek-Owca to porządny facet.

- Ale kiedy tu przychodził, to ty nim byłeś, prawda?

Szczur pokręcił głową, aż zatrzeszczało mu coś w szyi.

- Tak. Pożyczyłem jego ciało. Wiedziałeś, prawda?

- Zorientowałem się w trakcie - powiedziałem. - Na początku nie wiedziałem.

- Szczerze mówiąc, przestraszyłem się, kiedy roztrzaska-  
łeś gitarę. Pierwszy raz widziałem cię tak wściekłego, a poza tym to była moja pierwsza gitara. Nie była co prawda droga.

- Przepraszam - powiedziałem. - Chciałem cię tylko przestraszyć i wyciągnąć ze skorupy.

- Nie szkodzi. Jutro i tak wszystko zniknie - powiedział Szczur lekko. - A drugie pytanie pewnie dotyczy twojej dziewczyny?

- Tak.





Szczur długo milczał. Potarł dłonie o siebie i westchnął.

- Nie chciałem o niej mówić. Była zewnętrznym czynnikiem, którego nie przewidziałem.

- Zewnętrznym czynnikiem?

- Tak. Chciałem, żeby to była impreza dla samych

swoich. No a ona się tu pojawiła. Nie powinniśmy byli jej

do tego mieszać. Jak sam wiesz, ma niezwykle umiejęt-

ności. Umiejętności przyciągania różnych rzeczy. Ale nie

powinna była tu przyjeżdżać. To miejsce znacznie prze-

kracza jej umiejętności.

- Co się z nią stało?

- Nic jej nie jest. Jest zdrowa - powiedział Szczur.

- Ale ciebie już chyba nie przyciągnie.

Bardzo mi z tego

powodu przykro.

- Dlaczego?

- Coś zniknęło. Coś w niej zniknęło.

Milczałem.

- Rozumiem, jak się czujesz - ciągnął Szczur. - Ale to

by i tak wcześniej czy później zniknęło. Tak jak zniknęło

w tobie, we mnie i w wielu różnych dziewczynach.

Przytaknąłem.

- Muszę iść - powiedział Szczur. - Nie mogę długo

zostać. Na pewno jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Tak.

- Najlepiej w jakimś jaśniejszym miejscu, latem - po-

wiedział Szczur. - I jeszcze jedno na koniec. Chciałbym,

żebyś jutro rano o dziewiątej nastawił zegar i połączył

przewody, które znajdziesz z tyłu.

Zielony przewód

z zielonym, a czerwony z czerwonym. Potem  
o pół do  
dziesiątej wyjdź stąd i zejdź z gór. O  
dwunastej będę miał  
tu małe przyjęcie. Dobrze?

- Zrobię tak, jak mówisz.
- Cieszę się, że się z tobą widziałem.  
Na chwilę spowiło nas milczenie.
- Do widzenia - powiedział Szczur.
- Do zobaczenia - odpowiedziałem.

Siedząc owinięty w koc, zamknąłem oczy i  
nastawiłem  
uszu. Słyszałem kroki Szczura  
przechodzącego przez pokój  
i otwierającego drzwi. Do środka napłynęło  
lodowate  
powietrze. Nie było wiatru, tylko ciężkie,  
przenikające do  
szpiku kości zimne powietrze.

Szczur stał chwilę w otwartych drzwiach.  
Wydawało mi  
się, że nie patrzy ani na dwór, ani na  
pokój, ani na  
mnie, tylko na coś zupełnie innego. Jak  
gdyby przyglą-  
dał się klamce albo czubkom własnych  
butów. Po chwili  
z lekkim trzaskiem zamknął drzwi, jakby  
zamykał bramę  
czasu.

Potem była już tylko cisza. Nie zostało  
nic innego.

> 13. Zielone i czerwone przewody.  
Zamarznięta mewa

W pewien czas po odejściu Szczura  
dostałem strasz-  
liwych dreszczy. Kilka razy próbowałem  
zwymiotować

do umywalki, ale udało mi się wydobyć  
tylko jakieś  
chrapliwe odgłosy.

Poszedłem na górę, zdjąłem sweter i  
zakopałem się  
w pościeli. Robiło mi się na zmianę zimno i  
gorąco. Za  
każdym razem pokój się kurczył lub  
rozszerzał. Koc  
i bielizna były mokre od potu, który gdy  
ostygł, stał się  
potwornie zimny.

- Nakręć zegar o dziewiątej - wyszeptał  
mi ktoś do  
ucha. - Zielony przewód z zielonym...  
czerwony z czer-  
wonym... wyjdź stąd o pół do dziesiątej...

- Nie martw się - powiedział  
Człowiek-Owca.

- Wszystko się uda.

- Komórki się odradzają - mówiła żona.  
W prawej  
ręce trzymała białą koronkową halkę.

Nieświadomie potrząsnąłem głową w lewo  
i w prawo.

Czerwony przewód z czerwonym... zielony z  
zielonym...

- Zupełnie nic nie rozumiesz -  
powiedziała dziew-  
czyna. Słusznie, zupełnie nic nie  
rozumiałem.

Usłyszałem dźwięk fal. Ciężkich,  
zimowych fal. Morze  
koloru ołowiu i fale z grzebieniami jak  
koronkowe koł-  
nierzyki. Zamarznęta mewa.

Siedzę w hermetycznie zamkniętej sali  
wystawowej  
akwarium. Przede mną rząd członków  
wieloryba, jest  
strasznie gorąco i trudno oddychać. Ktoś  
powinien  
otworzyć okno.

- Nie można - powiedział kierowca. - Jeśli  
się otwo-  
rzy, potem nie będzie można zamknąć. A  
wtedy wszyscy  
umrzemy.



Ktoś otwiera okno. Jest strasznie zimno. Słysząc mewy. Ich ostry jak brzytwa krzyk przecina mi skórę.

- Pamiętasz imię kota?
- Szprot - odpowiadam.
- Nie, nie Szprot - mówi kierowca. -

Imię się już zmieniło. Imiona bardzo szybko się zmieniają. Przecież nie znasz nawet swojego imienia.

Jest strasznie zimno. I do tego o wiele za dużo mew.

- Przeciętność zachodzi bardzo daleko - mówi mąż-  
czyzna w czarnym garniturze. - Czerwony przewód jest zielony, a zielony przewód jest czerwony.

- Słyszałeś coś o wojnie? - spytał Człowiek-Owca.

Orkiestra Benny Goodmana zaczęła grać *Air Mail*

*Special*. Charlie Christian gra długą solówkę. Ma miękki, kremowy kapelusz. To ostatni obraz, jaki zapamiętałem.

#### 14. Po raz drugi na pechowym zakręcie

Śpiewają ptaki.

Światło słoneczne wlewa się przez szpary w okiennicach i pokrywa łóżko jasnymi paseczkami. Mój zegarek, który spadł na podłogę, wskazuje siódmą trzydzieści pięć. Koc i koszula są tak mokre, jakby ktoś wylał na nie wiadro wody.

Moje myśli nie były jeszcze zupełnie jasne, ale gorączka spadła. Za oknem rozciągał się śnieżny krajobraz. W no-

wym, porannym świetle łąka błyszczała srebrem. Poczulem na skórze przyjemne, zimne powietrze.

Zszedłem na dół i wziąłem gorący prysznic. Twarz miałem nienaturalnie bladą i wyglądało na to, że przez jedną noc wychudły mi policzki. Używając trzy razy więcej kremu do golenia niż zwykle, starannie zgoiłem zarost. A potem nieprawdopodobnie długo siusiałem.

Kiedy skończyłem siusiać, poczułem się strasznie słaby i przez piętnaście minut leżałem w szlafroku na kanapie. Ptaki dalej śpiewały. Śnieg zaczął topnieć i z okapu spadały krople. Czasami z oddali dochodził jakiś ostry odgłos.

O ósmej wypłem dwie szklanki soku z winogron i zjadłem jabłko. Potem się spakowałem. Postanowiłem wziąć z piwnicy butelkę białego wina, dużą tabliczkę czekolady Hershey i dwa jabłka.

Kiedy skończyłem pakowanie, pokój wypełnił się smutkiem. Wszystko dobiegało końca.

Upewniwszy się, że mój zegarek wskazuje dziewiątą, podciągnąłem trzy ciężarki zegara i nastawiłem go na dziewiątą. Potem z trudem odsunąłem zegar nieco od ściany i połączyłem ze sobą cztery przewody. Zielony przewód... z zielonym. Czerwony z czerwonym.

Przewody wystawały z czterech dziurek wywierconych w tylnej ścianie zegara. Jedna para na górze, druga na dole. Były mocno przytwierdzone do zegara takim samym drutem, jak ten, który znalazłem na tylnym

siedzeniu  
samochodu. Przysunąłem zegar z powrotem  
do ściany,  
podszedłem do lustra i pożegnałem się sam  
ze sobą.



- Mam nadzieję, że wszystko się uda - powiedziałem.
- Mam nadzieję, że wszystko się uda - powiedział on.

Przeszedłem na przełaj przez łąkę, tak jak pierwszego dnia. Śnieg skrzypiał pod moimi butami. Nieskażona śladami stóp łąka wyglądała jak srebrna tafla jeziora w kraterze wulkanu. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem linię moich śladów ciągnących się aż do domu. Linia była zaskakująco nierówna. Czyli wcale nie jest łatwo iść prosto.

Kiedy już znacznie się oddaliłem, dom zaczął wyglądać jak jakieś żywe stworzenie. Gdy ciężar śniegu mu doskwiera, otrząsa go ze swego spadzistego dachu. Wielka bryła ześlizgnęła się po pochyłości dachu na ziemię i rozpadła w kawałki.

Szedłem dalej, aż dotarłem do krańca łąki. Potem przez długi, długi brzozowy zagajnik, przez most, wokół podnóża stożkowatej góry, aż doszedłem do tego nieprzyjemnego zakrętu. Śnieg, który się tam zebrał, na szczęście nie zamarzł. Mimo to jednak, choć starałem się pewnie stawiać kroki, nie mogłem pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że zaraz zostanę ściągnięty na dno przepaści. Przeszedłem zakręt, nieomal przyklejając się do kruszącej się skały. Ubranie pod pachami miałem zupełnie mokre od potu. Tak samo się czułem w dzieciństwie, gdy budziłem się ze złego snu.

Po prawej stronie rozciągała się równina.  
Ona też  
pokryta była śniegiem. Środkiem płynęła,  
błyszcząc ośle-

402

piająco, rzeka Dwunastu Wodospadów.  
Wydawało mi się, że gdzieś z oddali dobiegł gwizd pociągu. Pogoda była wspaniała.

Odpocząłem chwilę, potem znowu zarzuciłem plecak i zacząłem schodzić po łagodnym zboczu. Za następnym rogiem ujrzałem jakiegoś nieznanego mi jeepa. Przed nim zaś stał ów sekretarz w czarnym garniturze.

## 15. Przyjęcie o dwunastej w południe

- Czekałem na ciebie - powiedział mężczyzna w czarnym garniturze. - Co prawda tylko dwadzieścia minut.

- Skąd pan wiedział?

- O miejscu? Czy o czasie?

- O czasie - powiedziałem, zdejmując plecak.

- A jak myślisz, dlaczego zostałem sekretarzem Szefa?

Za starania? Iloraz inteligencji? Za maniery?

Nic z tych

rzeczy. Przyczyną były moje specjalne umiejętności.

Wyczucie, jak wy to nazywacie.

Mężczyzna miał na sobie beżową kurtkę puchową,

spodnie narciarskie i zielone okulary przeciwsłoneczne

Ray Ban.

- Szef i ja mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, jeśli

chodziło o rzeczy przekraczające zwykłe rozumienie, logikę czy etykę.

- Mieliśmy?

- Szef umarł tydzień temu. Pogrzeb był wspaniały.

W Tokio jest teraz zamieszanie w związku z tym, kto będzie następcą. Zbiegają się sami przeciętniacy.

Głupcy.

Westchnąłem. Mężczyzna wyjął z kieszeni kurtki srebrną papierośnicę, a z niej papierosa bez filtra, którego następnie zapalił.

- Zapalisz?

- Nie - powiedziałem.

- Bardzo dobrze się spisałeś. Lepiej, niż myślałem.

Szczerze mówiąc, zaskoczyłeś mnie. Na początku miałem zamiar dawać ci po trochu wskazówki, gdy utkniesz w ślepej uliczce. A spotkanie z Owczym Profesorem to było naprawdę coś. Prawie mam ochotę cię zatrudnić.

- Pan od początku wiedział o tym miejscu, prawda?

- Oczywiście! Za kogo ty mnie masz?!

- Czy mogę o coś zapytać?

- Proszę - powiedział mężczyzna wesoło. - Tylko krótko.

- Dlaczego nie powiedział mi pan od razu o tym miejscu?

- Bo chciałem, żebyś tu sam przyjechał, z własnej woli. I żebyś go wyciągnął z jamy.

- Z jamy?

- Z psychicznej jamy. Kiedy owca w kogoś wejdzie, człowiek na pewien czas traci świadomość.

To tak jak

uraz psychiczny w następstwie

bombardowania. Twoim

zadaniem było wyciągnięcie go z tego stanu.

Ale po to,

żeby on ci zaufał, nie mogłeś o niczym wiedzieć. No jak?

Proste, prawda?

- Tak.

- Jak się wytłumaczy, to wszystko jest proste. Najtrudniej jest napisać program. Komputer nie jest w stanie przewidzieć wahań ludzkich uczuć, więc trzeba wszystko robić ręcznie. Ale nic nie da się porównać z radością, gdy sprawdzi się program napisany z takim wysiłkiem.

Wzruszyłem ramionami.

- A więc - ciągnął mężczyzna - przygoda z owcą zbliża się do końca. Dzięki moim obliczeniom i twojej naiwności. Dostanę go, prawda?

- Na to wygląda - powiedziałem. - On tam czeka.

O dwunastej podobno ma być przyjęcie.

Obaj jednocześnie spojrzeliśmy na zegarki. Była dziesiąta czterdzieści.

- Ja już pójdę - powiedział mężczyzna. - Nie chcę,

żeby na mnie czekał. Możesz kazać się odwieźć jeepem na dół. Aha, a to jest twoja wypłata.

Wyjął z kieszeni na piersiach czek i podał mi. Wsuną-

łem go do kieszeni, nie patrząc na sumę.

- Nie chcesz sprawdzić?

- Chyba nie ma potrzeby?

Mężczyzna roześmiał się wesoło.

- Przyjemnie było z tobą pracować. A twój partner rozwiązał firmę. Szkoda. Miała przyszłość. Przemysł reklamowy będzie się coraz bardziej rozwijał. Mógłbyś sam założyć firmę.

- Pan jest szalony - powiedziałem.  
- Spotkajmy się jeszcze kiedyś -  
powiedział.  
Skręcił za róg i ruszył piechotą ku łące.

- Szprot ma się dobrze - powiedział  
kierowca, pro-  
wadząc jeepa. - Przytył i się zaokrąglił.  
Siedziałem obok kierowcy. Wyglądał na  
zupełnie innego  
człowieka niż wtedy, gdy prowadził ten  
wielki jak widmo  
samochód. Opowiedział mi różne rzeczy o  
pogrzebie Szefa  
i zajmowaniu się kotem, ale ja prawie nie  
słuchałem.

Jeep dotarł na dworzec o pół do  
dwunastej. Miasto  
było ciche, jak wymarłe. Jakiś staruszek  
odgarniał łopata  
śnieg z placyku przed dworcem. Obok chudy  
pies machał  
ogonem.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem do  
kierowcy.

- Nie ma za co - odparł. - A czy  
wypróbował pan ten  
numer telefonu do pana Boga?

- Nie, nie miałem czasu.

- Od śmierci Szefa telefon nie  
odpowiada. Co też  
mogło się stać?

- Na pewno jest bardzo zajęty -  
powiedziałem.

- Możliwe - powiedział kierowca. - No to  
wszystkiego  
dobrego.

- Do widzenia - powiedziałem.

Pociąg odjeżdżał punktualnie o dwunastej.  
Na peronie  
nie było żywej duszy, w pociągu  
zaledwie czterech

pasażerów ze mną włącznie, ale i tak  
poczułem ulgę na  
widok dawno niewidzianych ludzi. Tak czy  
inaczej  
wróciłem do świata żywych. Nawet jeśli to  
jest nudny,  
pełen przeciętności świat, to jest mój świat.

Chrupiąc czekoladę, usłyszałem gwizd na  
znak odjaz-  
du. Gwizd umilkł i pociąg zaskrzypiał. W  
tym samym  
momencie z oddali dobiegł odgłos wybuchu.  
Zdecydowa-  
nym ruchem otworzyłem okno i wystawiłem  
głowę na  
zewnątrz. Po dziesięciu sekundach ponownie  
rozległ się  
odgłos wybuchu. Pociąg już jechał. Po trzech  
minutach  
gdzieś niedaleko stożkowatej góry ukazało  
się pasemko  
czarnego dymu.

Przez następne pół godziny, do czasu aż  
pociąg skręcił  
w prawo, wpatrywałem się w ten dym.

## Epilog

- To znaczy, że wszystko się skończyło -  
powiedział  
Owczy Profesor. - Wszystko się skończyło.  
- Tak, skończyło się - odparłem.  
- Pewnie powinienem ci za to  
podziękować.  
- Wiele rzeczy utraciłem.  
- Nie - potrząsnął głową Owczy Profesor.  
- Przecież  
dopiero zaczynasz żyć.  
- To prawda - powiedziałem.

Kiedy wychodziłem z pokoju, Owczy  
Profesor płakał  
bezglównie z głową na stole. Odebrałem mu  
jego stracony  
czas. Do końca nie wiedziałem, czy  
postąpiłem słusznie,  
czy nie.

- Odeszła stąd - powiedział ze smutkiem  
właściciel  
hotelu Pod Delfinem. - Nie powiedziała  
dokąd. I do tego  
nie najlepiej się chyba czuła.

- Niech się pan nie przejmuje -  
powiedziałem.

Odebrałem bagaż i zatrzymałem się w  
tym samym  
pokoju. Z okna widać było tę samą  
bezsensowną firmę.  
Nie zauważyłem kobiety z dużym biustem.  
Dwóch mło-  
dych urzędników pracowało przy biurkach,  
pałac papiero-  
sy. Jeden z nich odczytywał liczby, a drugi  
rysował przy  
linijce łamane linie jakiegoś wykresu.  
Ponieważ nie było  
kobiety z dużym biustem, firma wydawała  
się zupełnie  
inna niż przedtem. Nie zmieniło się tylko to,  
że nadal nie  
miałem pojęcia, co to za firma. O szóstej  
pracownicy  
poszli do domu i w budynku zrobiło się  
ciemno.

Włączyłem telewizor i obejrzałem  
wiadomości. Nie  
było nic na temat wybuchu w górach. Ach  
prawda, ten  
wybuch był wczoraj. Gdzie ja byłem, co ja  
robiłem przez  
cały dzień? Kiedy próbowałem sobie  
przypomnieć, roz-  
bolała mnie głowa.

W każdym razie minął jeden dzień.

W ten sposób dzień po dniu oddalam się  
od „wspo-  
mnień”, aż pewnego dnia znowu usłyszę  
daleki głos



w zupełnej ciemności.

408

Wyłączyłem telewizor i nie zdejmując butów, położyłem się na łóżku. Leżąc tak samotnie, przyglądałem się plamom na suficie. Plamy przypomniały mi o ludziach, którzy umarli dawno temu zapomnieni przez wszystkich.

Barwny neon zmienił kolor światła w pokoju. Przy uchu słyszałem tykanie zegarka. Odpiąłem go i rzuciłem na podłogę. Ciepłe dźwięki klaksonów samochodowych nakładały się na siebie. Próbowałem usnąć, ale bez skutku. Nie można spać, gdy człowiek pełen jest uczuć, których nie da się wypowiedzieć słowami.

Włożyłem sweter, wyszedłem na ulicę i wszedłem do pierwszej z brzegu dyskoteki. Słuchając grającej bez przerwy muzyki soulowej, wypłem trzy whisky z wodą. Poczulem się trochę normalniej. Musiałem być normalny. Wszyscy tego ode mnie oczekiwali.

Kiedy wróciłem do hotelu Pod Delfinem, trójpalczasty właściciel siedział na kanapie i oglądał ostatnie wydanie wiadomości.

- Wyjeżdżam jutro o dziewiątej - powiedziałem.
- Wraca pan do Tokio?
- Nie - powiedziałem. - Muszę jeszcze po drodze gdzieś wstąpić. Proszę mnie obudzić o ósmej.
- Dobrze - odpowiedział.
- Dziękuję panu za wszystko.
- Nie ma za co - powiedział właściciel i westchnął.
- Ojciec nic nie je. Jak tak dalej pójdzie, to umrze.
- Zdarzyło mu się coś bardzo nieprzyjemnego.



- Wiem - powiedział właściciel ze smutkiem. - Ale mnie ojciec nic nie mówi.  
- Na pewno niedługo wszystko się ułoży - odparłem.  
- Musi tylko minąć trochę czasu.

Następnego dnia zjadłem obiad w samolocie. Samolot zatrzymał się na lotnisku Haneda i potem poleciał dalej. Po lewej stronie ciągle widać było lśniące morze.

Jay jak zwykle obierał kartofle. Młoda dziewczyna dorabiająca w barze zmieniała kwiaty w wazonach i przecierała stoliki. Kiedy wróciłem z Hokkaido do mojego miasta, okazało się, że tu jeszcze była jesień. Góry widoczne z okna Jay's Bar pokryte były pięknym szkarłatem. Usiadłem przy barze i piłem piwo. Bar był jeszcze nieczynny. Rozłupywałem skorupki orzeszków ziemnych i rozlegał się przyjemny dźwięk.

- Trudno jest zdobyć orzeszki, które się tak przyjemnie

łupią - powiedział Jay.

- Tak? - powiedziałem, pogryzając owe orzeszki.

- Ciągle jeszcze masz urlop?

- Zrezygnowałem z pracy.

- Zrezygnowałeś?

- To długa historia.

Jay skończył obieranie ziemniaków, opłukał je na dużym durszlaku i odcedził.

- No i co będziesz teraz robił?

- Nie wiem. Dostanę trochę odprawy i trochę ze sprzedaży mojego udziału w firmie. Chociaż to nie będzie dużo. No i mam jeszcze to.

Wyciągnąłem z kieszeni czek i nie patrząc na kwotę, podałem Jayowi.

- To kupa pieniędzy, ale coś mi tu nieładnie pachnie.

- Jak najbardziej masz rację.

- Ale to długa historia?

Zaśmiałem się.

- Chciałbym ci to dać na przechowanie.

Wsadź do sejf, dobrze?

- A niby gdzie ja tu mam sejf?

- To może być do kasy.

- Włożę ci do skrytki w banku -

powiedział Jay

zmartwionym głosem. - Ale co masz zamiar z tym zrobić?

- Słuchaj Jay, przeniesienie baru tutaj musiało cię nieźle kosztować?

- Kosztowało.

- Masz długi?

- Pewnie, że mam.

- Czy dzięki tej sumie mógłbyś spłacić długi?

- Jeszcze nawet by zostało, ale...

- No to czy mógłbyś za te pieniądze

zrobić mnie

i Szczura współwłaścicielami? Niepotrzebne nam udziały

ani procenty. Wystarczy tylko zrobić to nominalnie.

- Ależ ja nie mogę się na to zgodzić!

- Możesz. W zamian za to, jak któryś z nas będzie

miał kłopoty, to nas tutaj przyjmiesz.

- Przecież do tej pory zawsze tak robiłem. Trzymając w ręku szklanekę piwa, przez chwilę wpatrywałem się w Jaya.
- Wiem. Ale chcę tak zrobić.
- Jay roześmiał się i włożył czek do kieszeni fartucha.
- Pamiętam jeszcze, jak się pierwszy raz upiłeś. Ile to było lat temu?
- Trzydzieści.
  - Już tak dawno?
- O dziwo Jay zaczął mówić o dawnych czasach i mówił przez całe pół godziny. Wstałem, kiedy bar wypełnił się gośćmi.
- Przecież dopiero co przyszedłeś - powiedział Jay.
  - Dobrze wychowane dziecko nie siedzi za długo
- odparłem.
- Widziałeś się ze Szczurem, prawda?
- Oparłem dłonie na barze i wziąłem głęboki oddech.
- Widziałem się.
  - To też jest długa historia?
  - Nigdy jeszcze nie słyszałeś równie długiej.
  - Nie da się opowiedzieć w skrócie?
  - Jak się opowie w skrócie, straci sens.
  - Wszystko u niego w porządku?
  - W porządku. Chciał się z tobą zobaczyć.
  - Ciekawe, czy kiedyś się spotkamy.
  - Na pewno tak. Przecież jesteśmy współwłaścicielami. Te pieniądze zarobiłem razem ze Szczurem.
- Bardzo się cieszę.

Wstałem i odetchnąłem powietrzem baru,  
za którym  
się stęskniłem.

- Aha, jako współwłaściciel chciałbym  
mieć tu ma-  
szynę bilardową i szafę grającą.

- Będą, kiedy następnym razem  
przyjedziesz - po-  
wiedział Jay.

Poszedłem wzdłuż rzeki aż do ujścia i  
usiadłszy na  
ostatnich ocalałych pięćdziesięciu metrach  
plaży, płaka-  
łem przez dwie godziny. Płakałem tak po  
raz pierwszy  
w życiu. Po dwóch godzinach wreszcie  
udało mi się  
przestać i wstać. Nie wiedziałem, dokąd iść,  
ale wstałem  
i otrzepałem ze spodni drobny piasek.

Słońce już zupełnie zaszło i kiedy  
zacząłem iść, z tyłu  
dobięł mnie cichy odgłos fal.

Koniec